

TOM CLANCY



OP-CENTER
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA

CZAS ZDRADY

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczeniaka
Tekst Jeff Rovin

Tom Clancy

Czas Zdrady

Rozdział 1

Georgetown, Waszyngton Niedziela, 21.22

Na polu walki nie ma lekko. Ale tu było jeszcze gorzej. Generał Mike Rodgers stał ze szkocką w ręku i żałował, że nie wziął podwójnej i że nie może wychylić jej do dna. Zrobiłby to, gdyby był w jakiejś pogrążonej w półmroku knajpie z pułkownikiem Augustem czy którymś z kumpli z Departamentu Obrony. Potem poprawiłby piwem na dobry humor. Ale jego kumpli tu nie było. Generał był na ekskluzywnym przyjęciu w dwupiętrowej rezydencji przy ulicy N w Georgetown, eleganckiej dzielnicy Waszyngtonu. W sali balowej na parterze tłoczyło się prawie dwustu polityków, przedstawiciele śmietanki towarzyskiej, adwokatów, zagranicznych dygnitarzy, liderów świata biznesu i szefów telewizyjnych programów informacyjnych.

Goście podzielili się na małe grupki. W każdej z nich toczyły się ożywione dyskusje, ale wszyscy jednocześnie słuchali, o czym mówi się w innych. Zdradzały ich oczy, dyskretne zerknięcia w stronę podsłuchiwanym. Niektórzy z tych siwowłosych arystokratów byli tak dobrymi obserwatorami, że nawet agenci CIA mogliby się niejednego od nich nauczyć.

Na polu bitwy człowiek wie, kim jest nieprzyjaciel. Na przyjęciach takich jak to sojusze mogą zmieniać się kilka razy w ciągu jednego wieczoru. Tak było w całym Waszyngtonie, a tym bardziej tu, gdzie zebrało się tylu wpływowych ludzi z tak wielu branż. Na placu boju człowiek wie, kiedy walka się kończy. W Waszyngtonie nie kończyła się nigdy. Nawet w Centrum Szybkiego Reagowania, którego Rodgers był wicedyrektorem, przyjaźnie były regularnie wystawiane na próbę przez ostre spory dotyczące operacji, w których gra toczyła się o najwyższe stawki. Rywalizacja o przydział zadań nadszarpywała zaufanie. A redukcje etatów i biurokratyczne przepychanki powodowały, że i o lojalność było coraz trudniej.

To właśnie sytuacja w Centrum skłoniła Rodgersa, żeby tu przyjść. Po rozwiązaniu dowodzonego przezeń Strikera, oddziału szybkiego reagowania zorganizowanego w ramach Centrum, generał zajął się organizacją wewnętrznej komórki wywiadowczej. Nie dało mu to tak dużej satysfakcji, jak oczekiwał. Był człowiekiem czynu, obserwacja i robienie zapisków to nie dla niego. Jego praca była ważna, fakt, ale on się do niej nie nadawał. Co gorsza, w swoich działaniach często wkraczał w kompetencje Boba Herberta, szefa wywiadu Centrum

Szybkiego Reagowania. Wywoływało to między nimi ledwo wyczuwalne napięcie i nie pozostawało bez wpływu na ich relacje. Nie można było tego nazwać antagonizmem; wręcz przeciwnie, obchodzili się ze sobą niezwykle ostrożnie, jak partnerzy deblowi, z których żaden nie chce pierwszy odbić piłki.

Kiedy asystentka Dona Orra, senatora z Teksasu, zadzwoniła do Rodgersa i powiedziała, że senator chciałby porozmawiać z nim o jego przyszłości zawodowej, generał bez wahania przyjął propozycję. Tego wieczoru pięćdziesięcioośmioletni Orr, zasiadający trzecią kadencję w senacie, zdążył powiedzieć mu tylko tubalnie: „Witam, generale! Dziękuję za przyjście”, zanim wchłonął go tłum gości. Ten siwowłosy były ranczer mówił to samo praktycznie każdemu, kiedy krążył między grupkami, ściskając dłonie i całując policzki. Pewnie żadnego nie pominął, podejrzewał Rodgers.

Generał nie poszedł za Orrem, w odróżnieniu od kilku innych gości, którzy dyskretnie trzymali się senatora. Chcieli zostać zauważeni i przedstawieni, komu trzeba. Miało im to dodać wiarygodności, jak świeżo upieczonym mafiosom na zebraniu donów. Rodgers nikogo tu nie znał, więc został przy barze i wdał się w pogawędkę z jednym z dwóch barmanów. Kiedy zegar wybił pół godziny, podeszła do niego jakaś kobieta.

- Ciężko być kimś spoza waszyngtońskiego towarzystwa, ale jest coś jeszcze gorszego - powiedziała, zamówiwszy colę.

- Co takiego? - spytał Rodgers, zerkając na nią.

- Do tego towarzystwa należeć - odparła.

Rodgers się uśmiechnął. W jej mocnym, dźwięcznym głosie brzmiał lekki wietnamski akcent, ale poza tym wyglądała na bywalczynię waszyngtońskich salonów.

- Jestem Kendra Peterson, asystentka senatora. - Wyciągnęła do niego szczupłą rękę. - Cieszę się, że mógł pan przyjść.

Rodgers uśmiechnął się szerzej i uściśnął jej dłoń. Kendra miała trzydzieści kilka lat, metr siedemdziesiąt wzrostu, ciemną karnację, egzotyczne oczy i proste czarne włosy. Emanowała chłodną pewnością siebie kogoś, kto dużo wie. Była w granatowej atlasowej sukni bez ramiączek, z szeroką, przezroczystą szarfą. Wyglądała ponętnie, ale miną dawała do zrozumienia, że nikt nie ma u niej szans.

- Miło mi - powiedział Rodgers. - Już zaczynałem się zastanawiać, co ja tu robię.

- Wiedziałam, że nie będzie miał pan okazji dłużej porozmawiać z senatorem, ale chciałam, żeby obejrzał pan ludzi, z którymi współpracujemy.

- Rozumiem. Może mi pani powiedzieć, po co?

- Senator interesuje się panem.

- Ale nic więcej nie wolno pani powiedzieć - domyślił się Rodgers.

Kendra Peterson skinęła głową.

- Krążą plotki, że senator chce kandydować na prezydenta - ciągnął Rodgers. - To prawda?

Panna Peterson uśmiechnęła się tylko.

- Będzie pan miał jutro po południu czas, by spotkać się z senatorem?

- Być może, jeśli dowiem się, po co - powiedział Rodgers. - Nie lubię działać bez przygotowania.

Kobieta pociągnęła łyk coli i odwróciła się w stronę sali.

- Ten dom został zbudowany w 1877 roku, cztery lata po włączeniu Georgetown do Dystryktu Kolumbii. Wie pan, ile wtedy był wart?

- Pewnie mniej niż kosztowało to przyjęcie.

- Ale tylko trochę. Niecałe pięć tysięcy dolarów, według dokumentów podatkowych. Siedem lat temu, na początku trzeciej kadencji, senator kupił go za dwa miliony siedemset tysięcy dolarów.

- I co z tego wynika?

Kobieta wpiła w niego swoje niesamowite oczy.

- Postawił go kapitan statku handlowego, który w ogóle nie zamierzał w nim mieszkać. Zapisał go wnuczce. Wiedział, że dom zyska na wartości więcej niż cokolwiek innego, co mógł jej zostawić. Tak samo senator widzi swoją polityczną przyszłość. To, co zapoczątkujemy tu dzisiaj, z czasem wyda wspaniałe owoce.

- Pani wybaczy, ale wszyscy tak mówią - stwierdził Rodgers.

- Poglądy senatora można zweryfikować na podstawie tego, jak głosował w senacie.

- Wiem, sprawdziłem to. Jest konserwatystą i zwolennikiem protekcjonizmu, ma skłonność do pobrzękiwania szabelką.

- Czy jego przekonania aż tak bardzo różnią się od pańskich? - spytała.

- Niekoniecznie - powiedział Rodgers. - Ale to pani już wiedziała, zgadza się?

- Senator ma silnych sprzymierzeńców i dysponuje dużymi środkami - przyznała Kendra. - Generale, ludzie bardzo pana szanują. Senatorowi przyda się taki doradca jak pan. - Nachyliła się ku niemu. - Ktoś, kto ma doświadczenie praktyczne i teoretyczne, i nie zna strachu, bez względu na okoliczności. Ktoś, komu nie jest też obca praca w wywiadzie. Ma pan unikalne kwalifikacje.

- Dzięki. - Przez ostatnie tygodnie był traktowany w Centrum jak intruz, miło więc było dla odmiany usłyszeć jakiś komplement.

Kendra dopiła colę.

- Generale Rodgers... jestem zmęczona.

- Nie widać tego po pani.

- Ale tak się czuję. Przygotowania do przyjęcia zajęły nam kilka tygodni. Zaraz się stąd wymknę i wreszcie się prześpię.

- Ja też zaraz idę - powiedział Rodgers. - Może gdzieś panią podrzucić?

- Bardzo pan miły, ale do domu odwiezie mnie pan Carlyle, szofer senatora. Poza tym powinien pan tu zostać, żeby ludzie pana widzieli.

- I co mam robić?

- Rozmawiać.

- Dzięki waszym „dużym środkom” pewnie wiecie już, że nie jestem w tym dobry - powiedział Rodgers.

- Obiło nam się to o uszy - przyznała. - Ale słyszeliśmy też, że szybko się pan uczy. Byłoby dobrze dla nas wszystkich, gdyby zaczął pan być kojarzony z naszą grupą.

- Żołnierz, którego widać, jest celem. Wolę być na wzniesieniu albo w okopie.

- Nawet podczas pokoju? - spytała.

- A mamy pokój, pani Peterson? - odparował Rodgers.

- Kendra.

- Kendra. - Skinął głową. - Bo ja mam wrażenie, że trwa energiczna mobilizacja.

- Cóż, widać w Waszyngtonie nikt nie uznaje neutralności - odparła ze śmiechem. Wyjęła z torebki palmpilota. - Będzie pan mógł spotkać się z senatorem i admirałem Linkiem jutro o trzeciej?

- Admirałem Linkiem? - powiedział Rodgers. - Coś mi to mówi...

- Kenneth Link to ten barczysty facet, który rozmawia z Williamem Wilsonem. Ostrzyżony na jeża, w czerwonej muszce.

Rodgers się odwrócił.

- Widzę go, ale wciąż nie wiem, skąd go znam.

- Był szefem wywiadu marynarki wojennej, a potem kierownikiem działu tajnych operacji CIA - wyjaśniła Kendra.

- Rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. Widywałem go na zebraniach NIPC. - NIPC to Narodowe Centrum Ochrony Infrastruktury, z siedzibą w kwaterze głównej FBI w Waszyngtonie, zostało utworzone w 1998 roku i skupiało przedstawicieli amerykańskich agencji wywiadowczych oraz ekspertów z prywatnego sektora. Jego zadaniem była ocena zagrożeń dla infrastruktury w energetyce, finansach, telekomunikacji, wodociągach i

ratownictwie. - Ciągłe narzekał na partykularne interesy i kompromisy.

- Admirał nie zwykł iść na ustępstwa w kwestii bezpieczeństwa narodowego. Myśli pan, że byłby w stanie z nim współpracować?

- Tak, jeśli tylko zgodzimy się, że jest różnica między bezpieczeństwem narodowym a paranoją - odparł Rodgers.

- Jaka?

- Jedno jest jak drzwi, w których jest zamek, a drugie jak drzwi wyrwane z zawiasów.

- To mi się podoba - powiedziała. - Będziecie mogli o tym porozmawiać... jeśli oczywiście termin panu pasuje.

- Jak najbardziej.

- Cieszę się. - Kendra schowała palmpilota i znów podała mu dłoń. - Dziękuję za przybycie, generale. Mam nadzieję, że to początek długiej i owocnej współpracy.

Rodgers uśmiechnął się do niej na pożegnanie. Nie odprowadził jej wzrokiem, tylko odwrócił się do baru. Dopijając drinka, odtworzył w pamięci ich krótką rozmowę. Kendra Peterson praktycznie potwierdziła, że senator Orr powoła nową partię i będzie kandydował na prezydenta. Rodgers chętnie by mu pomógł. Jego własne poglądy były umiarkowanie prawicowe, nie miały więc oporów co do poparcia programu Teksaszczyka. Wrócił pamięcią do pierwszych miesięcy działalności Centrum Szybkiego Reagowania, kiedy z dyrektorem Paulem Hoodem i Bobem Herbertem urządzali w piętrowym budynku na terenie bazy lotniczej Andrews siedzibę nowej agencji do spraw kryzysów wewnętrznych. W kilkunastu sekcjach zatrudnili najlepszych specjalistów, w tym Darrella McCaskeya z FBI, komputerowego geniusza Matta Stolla, łączniczkę polityczną Marthę Mackall, psycholog Liz Gordon, prawnika Lowella Coffeya III i wielu innych. Powołali do życia Strikera i zwerbowali świętej pamięci podpułkownika Charlesa Squiresa na jego dowódcę. Ich obszar działania został rozszerzony z areny krajowej na międzynarodową. To były piękne czasy. Rodgers miał wtedy poczucie, że się rozwija. Wojownik, który walczył w Wietnamie i dowodził brygadą zmechanizowaną w Zatoce Perskiej, teraz prowadził tajne akcje w Korei Północnej i dolinie Bekaa, ratował zakładników uwięzionych w siedzibie ONZ, zapobiegał nowej wojnie domowej w Hiszpanii i konfliktowi nuklearnemu między Indiami a Pakistanem.

Robił coś, co miało znaczenie.

A dziś werbuję szpiegów i analizuję dane, pomyślał. Owszem, to też praca godna szacunku, ale dowodzić a nadzorować to dwie zupełnie różne rzeczy. Jak to ujął chiński przywódca Liu Szaotsi? Prawdziwy wódz jest słoniem. Reszta to zwykle świnie, które wkładają sobie w nos młode cebulki, by się do niego upodobnić.

Rodgers skinął barmanowi głową i odwrócił się do sali. Nic mu się tu nie podobało. Ani te uściski dłoni, ani to ciągle strzyżenie uszami, ani desperacja tych wszystkich ludzi, a już na pewno nie ich sztuczne miny. Ale zaczynał czuć zapach cebuli. Nadszedł czas, by coś zmienić.

Spotka się z senatorem Orrem i admirałem Linkiem, ale najpierw porozmawia z Paulem Hoodem. Była bowiem jedna kwestia, w której Mike Rodgers nigdy nie poczyni ustępstw, choćby nie wiadomo jak się nudził. Chodziło o zasadę, której jego zdaniem większość obecnych tu osób nie potrafiłaby zrozumieć.

Najważniejsza jest lojalność.

Rozdział 2

Waszyngton Niedziela, 23.18

Swego czasu pochodzący z Liverpoolu William Wilson nie mógłby sobie pozwolić na pobyt w tak słynnym hotelu jak Hay-Adams, z widokiem na Biały Dom, pomnik Waszyngtona i Lafayette Park. Nie miałby też szans na zaproszenie na przyjęcie w Georgetown, zorganizowane przez amerykańskiego senatora. Ani być podrywany przez kobietę, która wyglądała tak jak ta.

Wystarczą dwa miliardy dolarów i świat zmienia się nie do poznania.

Wysoki, chudy, trzydziestoletni Wilson był wynalazcą technologii MasterLock. Wprowadzona na rynek przed pięcioma laty, pozwalała przy wykorzystaniu kombinacji klawiszy, sygnałów wizualnych i dźwięków o różnej częstotliwości tworzyć niezawodne firewalle. Wilsonowi jednak nie wystarczyło zrewolucjonizowanie zabezpieczeń komputerowych, kupił więc dogorywający londyński bank Merchant-Farmer i zrobił z niego potęgę na skalę europejską. Teraz miał wprowadzić Master-Bank do Internetu i zainwestować w europejskie firmy. Do Waszyngtonu przyjechał na spotkanie z ekspertami kongresowej komisji do spraw bankowych usług finansowych. Chciał przekonać ich do złagodzenia restrykcji na bezpośrednie inwestycje zagraniczne, wprowadzonych podczas wojny z terroryzmem. Konsekwencją byłoby wyciągnięcie setek milionów dolarów z banków i giełd amerykańskich. W zamian Wilson miał zagwarantować równe tej kwocie inwestycje w amerykańskie firmy. Pozwoliłoby to na podtrzymanie przepływu gotówki w Stanach Zjednoczonych, choć największa część zysków i ulg podatkowych i tak trafiłaby do jego kieszeni.

Olśniewająco piękna młoda kobieta zaczepiła go na początku przyjęcia, dosłownie kilka minut po jego przyjściu. Była dziennikarką. Najpierw zapewniła go, że nie chodzi o wywiad - stwierdziła, że zajmuje się ochroną środowiska i meteorologią - po czym spytała, czy mogłaby do niego później wpaść.

- Pociągają mnie mężczyźni, dzięki którym świat idzie naprzód - powiedziała.

Kto oparłby się takiemu tekstowi?

Po dwu godzinach Wilson wyszedł z dwoma ochroniarzami i szoferem. Umówił się z nią na jedenastą. Pod domem senatora czyhali paparazzi, a on nie chciał, by go z kimkolwiek

sfotografowali. Świat był konserwatywny. Wilson wolał pozostać faworytem działów naukowych i gospodarczych niż zmienić się w libertyna z rubryk plotkarskich.

Wynajął znajdujący się na ostatnim piętrze Apartament Federalny, jego ochroniarze zamieszkali w sąsiednim Apartamencie Prezydenckim. Pod drzwiami i na podłodze balkonu zainstalowano wykrywacze ruchu. Jeśli ktoś spróbuje wejść niezaanonsowany, wibrujące bransoletki dyskretnie obudzą ochronę.

Wilson zamówił Dom Perignon rocznik 1970 i szary kawior z białugi. Kazał też przynieść świece i tuzin róż na stoliki przy łóżku. Rozwiązał muszkę, ale zostawił ją na szyi i prysnął się nad kołnierzem Jivago Millennium. Tak naprawdę pewnie to wszystko nie było mu potrzebne, w końcu dzięki niemu świat szedł naprzód. Z drugiej strony, był synem właściciela pubu i fajnie było czuć inne zapachy niż smród piwa i papierosów. A jeszcze fajniej było przebywać w towarzystwie kobiet, które nimi nie cuchnęły.

Gość przybył punktualnie. Jeden z ochroniarzy czekał na nią pod windą i odprowadził do apartamentu. Wilson otworzył jej z różą w ręku. Uśmiechnęła się. Róża przy jej uśmiechu zbladła.

Jedli grzanki z kawiozem. Pili szampana. Stali obok siebie na balkonie i patrzyli na Biały Dom. Niewiele mówili. Wydawało się, że wystarczyło jej to, iż tu w ogóle była, a jemu - że miał ją u swojego boku. Kiedy odległy dzwon kościelny wybił północ, szybko przenieśli się z balkonu na autentyczną mahoniową kanapę Hepplewhite'a, a stamtąd do sypialni.

Kobieta zdmuchnęła świece na toaletce, położyła torebkę na nocnym stoliku i pchnęła Wilsona na królewskie łożo. Była równie pewna siebie, jak piękna. Wilsona ani trochę to nie zdziwiło, więc nie stawiał oporu. Trzeba pewności siebie, by w tak młodym wieku odnieść sukces w jej branży. Teraz to udowadniała.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytał.

- Leż - odparła i usiadła na nim okrakiem.

Podniósł na nią oczy i się uśmiechnął. Przejechała palcami po jego rękach i odsunęła je na bok. Ukłękła mu na dłoniach i długimi paznokciami drapała go po piersi, szyi i głowie. Jej jędrnym ciałem wstrząsały spazmy, jak po uderzeniach bicia. Jej policzek i ramię błyskały we wpadających przez okno światłach Lafayette Park.

Kobieta błyskawica, pomyślał Wilson. A z głębi jej duszy dobywa się grom.

Po szampanie zawsze robił się z niego Byron. Właśnie miał wypowiedzieć na głos zainspirowaną przez nią metaforę, kiedy kobieta nagle nachyliła się nad nim i wyciągnęła mu spod pleców dużą poduszkę. Przesunęła ją po jego twarzy i mocno przycisnęła.

- Ej! - krzyknął Wilson. Krzyknął raz jeszcze i zabrakło mu tchu. Zamknął oczy i usta

i spróbował podnieść głowę. Poczul skurcz w szyi i znieruchomiał.

Jego dłonie były przygwożdżone jej kolanami. Próbowal je podnieść, wijac się bezradnie, ale nic z tego. Krzyczal w poduszkę w nadziei, że ochroniarze go usłyszą. On ich nie słyszał. W uszach miał tylko śmiech sprężyn łózka, łomotanie własnego serca, które podchodziło mu do gardła, i swoje rozpaczliwe rżenie. Ręce go bolały, skóra na brzuchu i udach paliła w miejscach, gdzie ocierał się o ciało kobiety. Poduszka była mokra od potu i śliny.

To tylko zabawa, pomyślał z nadzieją, kiedy zobaczył pod powiekami rdzawoczerwone kręgi. To ją rajcuje.

Jeśli tak było, wcale mu się to nie podobało. Dłużej o tym nie myślał. Nie był w stanie. Przed oczami jak w kalejdoskopie przemykały mu obrazy z przeszłości.

I nagle zniknęły. Twarz przestała go palić, usta otworzyły się szeroko, a do płuc wpłynęło słodkie powietrze. Otworzył oczy i zobaczył ją. Wciąż klęczała na nim, jej ciemna sylwetka odcinała się na tle sufitu. Pot zalewał mu oczy. Jak przez mgłę zauważył, że nachyliła się nad nim. W rękę trzymała jakiś przedmiot, który błysnął w światłach parku. Próbowal podnieść ręce, by ją odepchnąć, ale wciąż był unieruchomiony. Nie mógł mówić ani krzyczeć, rozpaczliwie chwytal powietrze szeroko otwartymi ustami.

Przysunęła się bliżej i podłożyła lewą dłoń pod jego nos. Pchnęła do góry.

- Co...? - zdołał wydusić z siebie, kiedy jego głowa odchyliła się do tyłu. Krzyknął cicho, ale zabrzmiało to jak kwik głodnej świni.

Albo faceta uprawiającego seks, pomyślał. Chryste. Ochroniarze nie przyjdą, nawet jeśli go usłyszą.

Po chwili poczul w ustach chłodne ukłucie. Poczul, że kobieta zeszła z niego. To jednak nic nie dało. Zimne, odrętwiające mrowienie spłynęło z jego uszu na szyję, a potem na ramiona i pierś, niczym lód z wywróconego wiaderka. Poczul w pępku łaskotanie, które zaraz objęło całe nogi.

Tym razem nie było obrazów ani szamotaniny. Światła po prostu wyłączyły się, razem z jego płucami.

Rozdział 3

Waszyngton Poniedziałek, 8.02

Oficjalna nazwa Centrum brzmiała: Narodowe Centrum Szybkiego Reagowania. To właśnie ona widniała w statucie, na małej mosiężnej tabliczce przy drzwiach i na karcie, którą Paul Hood przesunął przez zamek w drzwiach wiodących do holu. Dlatego czuł się trochę dziwnie, przychodząc tu, kiedy nie działo się nic, co wymagałoby szybkiej reakcji. Był dziwnie zrelaksowany i zaniepokojony zarazem.

Mniej więcej połowa z siedemdziesięciu ośmiu pracowników Centrum miała za zadanie zbierać i analizować informacje. Reszta zajmowała się grożącymi kryzysami bądź takimi, które już stały się „aktywne”, jak eufemistycznie określano przewroty, uprowadzenia zakładników, zamachy terrorystyczne i inne tego rodzaju sytuacje. Kiedy połowa zespołu nie miała nic do roboty, Hood bał się, że zauważy to ktoś z Kongresu. Społeczność wywiadowcza powinna brać przykład z przedstawicieli narodu. Nie mając do dyspozycji nic prócz gazet, plotek i intuicji, zadziwiająco trafnie potrafili oceniać ludzi i agencje rządowe. A potem dokonywali egzekucji. Ludzie, którzy do niedawna obracali się w najwyższych kręgach, zostawali konsultantami. Wywieszenie tabliczki na drzwiach pozwalało im ocalić twarz. Tak naprawdę jednak byli bezrobotni.

Hood nie miał pojęcia, co zrobi, jeśli inkwizycja przyjdzie po niego. Jak na ironię, wiedział, jak temu zapobiec. Przed przyjściem do Centrum był przez dwie kadencje burmistrzem Los Angeles. Poznał w tym czasie sporo ludzi ze świata filmu i dowiedział się, że wielu z nich było praktycznie zbędnych. Czepiali się nawet tych zupełnie dobrych scenariuszy tylko po to, by mieć coś do roboty. Amerykańskich wojskowych cechowała podobna mentalność. Wywiad wojskowy finansował „czirliderów”, jak nazywano lokalne i działające pod przykryciem grupy wzniecające konflikty na całym świecie. „Fałszywa mobilizacja” - tak to określano. Pokój na świecie uniemożliwiał wzrost wydatków na wojsko. A zredukowana armia nie dałaby sobie rady z prowadzeniem prawdziwej wojny, gdyby taka wybuchła.

Polityka Departamentu Obrony miała sens. Z drugiej strony, fałszywą mobilizację przeprowadzić można tylko w jeden sposób. Trzeba upatrzeć sobie jakiegoś cudzoziemca, zrobić go i nasłać na niego ludzi. Hooda co prawda wkurzała bezkarność dyplomatów, ale

nie był zwolennikiem takiego sposobu działania. Po pierwsze, w jego wyniku pracownicy agencji nie mieli czasu na wypatrywanie autentycznych szpiegów i sabotażystów. Po drugie, mogło to za granicą uruchomić lawinę wydarzeń, w wyniku których dotychczasowi sojusznicy staliby się wrogami. Po trzecie, takich rzeczy nie powinno się robić. Choć w Waszyngtonie było to niemożliwe, Hood wierzył w dziesięcioro przykazań. Nie zawsze się do nich stosował, ale się starał. A mówienie fałszywego świadectwa było jednoznacznie zakazane.

Hood przywitał się ze strażnikiem, otworzył kartą windę i zjechał piętro niżej, do serca Centrum Szybkiego Reagowania. Tam przeszedł korytarzem z nierdzewnej stali obok pozbawionych okien biur do swojego wyłożonego drewnem gabinetu na tyłach budynku. Powitał go jego asystent, Bugs Benet, siedzący w boksie na prawo od drzwi. Właśnie wprowadzał do komputera raporty pracowników nocnej zmiany.

- Dzień dobry - powiedział Hood. - Jest coś?

- Na razie cisza - odparł Benet.

Hood mógł się tego domyślić. Gdyby zdarzyło się coś ważnego, skontaktowałby się z nim szef nocnej zmiany Curt Hardaway albo jego zastępca Bill Abram.

- Słyszał pan o Williamie Wilsonie? - spytał Benet.

- Tak - odparł Hood. - Mówili o tym w radiu.

- Atak serca w wieku trzydziestu jeden lat - powiedział Benet.

- Seks to jedna z najbardziej wyczerpujących czynności, porównywalna z meczem koszykówki czy wspinaczką górską - wtrąciła przechodząca obok Liz Gordon.

Hood uśmiechnął się do pani psycholog.

- Założą się, że w Brookings Institution tego byś nie powiedziała.

- Pewnie nie. - Liz z uśmiechem ruszyła w stronę swojego gabinetu. Ta trzydziestopięciolatka porzuciła stanowisko w niezależnym instytucie badawczym na rzecz pracy w Centrum Szybkiego Reagowania. Początkowo Hood nie miał przekonania do wiarygodności portretów psychologicznych, Liz jednak zrobiła na nim wrażenie swoimi spostrzeżeniami na temat przywódców, agentów, żołnierzy i pracowników Centrum, źle znoszących stres w życiu osobistym i zawodowym. Bardzo pomogła czternastoletniej córce Hooda, Harleigh, po tym, jak ta została zakładniczką zbuntowanych żołnierzy sił pokojowych ONZ. Udzieliła mu wielu skutecznych rad, jak wyprowadzić ją z szoku pourazowego. Pomogła mu też na nowo znaleźć wspólny język z dwunastoletnim synem Alexandrem po bolesnym rozwodzie z Sharon.

Hood zamknął drzwi, podszedł do biurka i wprowadził do komputera hasło. Nie było

to imię któregoś z dzieci ani jego pierwszego psa, czy choćby data rozpoczęcia pracy w Centrum. Coś takiego hacker mógłby rozgryźć. Hasło brzmiało „Dickdiver”; po głównym bohaterze jego ulubionej powieści Czula jest noc. Hood wpisał je z uśmiechem. Przed laty ze swoją ówczesną narzeczoną, Nancy Jo Bosworth, czytali sobie tę książkę na głos. Było to zaraz po tym, jak razem zamieszkali. Wtedy w jego świecie była jeszcze magia, a w sercu tlił się romantyzm. Trwało to do czasu, kiedy Nancy wykrała projekty oprogramowania i uciekła bez słowa pożegnania. Hood znalazł ją po prawie dwudziestu latach, przypadkiem, podczas wyjazdu do Niemiec w związku ze sprawą prowadzoną przez Centrum. Nancy wyjaśniła mu, że chciała zdobyć pieniądze dla nich obojga, ale zrobiło jej się wstyd. Ponieważ nie mogła ich zwrócić, zachowała je dla siebie.

Dawne uczucia powróciły. I choć do niczego nie doszło, był to gwóźdź do trumny jego bezbarwnego, zawartego z desperacji małżeństwa z Sharon. Teraz Hood znów był sam, ale powieść F. Scotta Fitzgeralda przypominała mu chwile, kiedy był naprawdę szczęśliwy. Hasło pozwalało mu codziennie wracać do nich pamięcią.

Zaczął przeglądać emaile. Dawniej po przyjeździe do pracy czytał gazetę, potem odbierał telefony. Teraz wszystkie informacje były dostępne w Internecie, a telefonu używało się w samochodzie lub w czasie lunchu. Gov-Net, zapewniający Centrum bezpieczny dostęp do Internetu, poświęcił śmierci Wilsona dużo miejsca na swojej stronie powitalnej. I nic dziwnego; w końcu to dzięki zaprojektowanym przez niego firewallom większość agencji rządowych mogła połączyć odrębne do tej pory linie w jedną sieć. Według Gov-Netu, Wilson około wpół do jedenastej wyszedł z przyjęcia w rezydencji senatora Dona Orra i wrócił do swojego apartamentu w Hay-Adams. Tam odwiedziła go jakaś kobieta. Pracownicy hotelu twierdzili, że wyszła około wpół do pierwszej. Odźwierny powiedział, że miała na sobie ozdobiony drukowanym wzorem płaszcz po kolana i dopasowany do niego szydełkowany kapelusz z czarną wstążką i nisko opuszczonym szerokim rondem. Najwyraźniej nie chciała, by ktokolwiek ją rozpoznał. Nie było w tym nic niezwykłego. Wielu oficjeli i biznesmenów umawiało się na schadzki w miejscowych hotelach. Nie chcieli, by ich partnerki zostały zidentyfikowane bądź sfilmowane przez wewnętrzne kamery. Dyrektorzy hoteli na ogół respektowali ich prawo do prywatności i nie robili większych przeszkód zapowiedzianym gościom.

Policja nie wiedziała, kim była kobieta, która odwiedziła Wilsona. Przedstawiła się jako Anna Anderson, ale nazwisko to okazało się należeć do Bogu ducha winnej staruszki. Być może był to swego rodzaju żart; tak bowiem nazywała się kobieta, która podawała się za Anastazję, córkę cara Mikołaja II. Kamery zainstalowane w holu i na ulicy uchwyciły

nieznajomą, kiedy niespiesznie wyszła z hotelu i ruszyła ulicą Szesnąstą, gdzie rozplynęła się w ciemnościach. Tacy goście, jak ona, raczej nie zostawiali samochodów na hotelowym parkingu. Nie chcieli, by namierzono ich po numerach rejestracyjnych. Waszyngtończycy zakładali, że wszyscy, od kelnerów po kierowców taksówek, polują na pieniądze od tabloidów i stacji telewizyjnych, i na ogół mieli słuszność. Policja przypuszczała, że Wilson umarł już po wyjściu kobiety, w przeciwnym razie przed opuszczeniem pokoju wezwałaby ona pogotowie, tym bardziej że śmierć Wilsona nie wyglądała podejrzanie. Był mocno spocony - prawdopodobnie z wysiłku - a wygląd łóżka wskazywał, że miał za sobą „pracowity wieczór”, jak to ujął jeden z informatorów. Choć Wilson był młody i dotąd nie miał kłopotów z sercem, wiele chorób serca było niewykrywalnych podczas zwykłego badania elektrokardiografem. Więcej powie sekcja zwłok.

W poczcie elektronicznej nie było nic ciekawego. Kilka CV z agencji i prywatnych firm, w których zanosilo się na zwolnienia. Wstępniaki z lewicowych, prawicowych i centrowych pism. Prośby o wywiady, które Hood rutynowo odrzucał. Nie zależało mu na autoreklamie i nie widział korzyści w upublicznianiu informacji o tym, jak Centrum funkcjonuje i z kim współdziała. W skrzynce miał nawet linki do zabezpieczonych hasłami stron osób, które zgłosiły gotowość do informowania go o sytuacji w obcych krajach i zagranicznych agencjach wywiadowczych. Podsyłał je Bobowi Herbertowi. W większości byli to oszuści i - niekiedy - zagraniczni agenci próbujący dowiedzieć się czegoś o Centrum, ale od czasu do czasu trafiali się fizycy jądrowi czy biotechnolodzy, którzy autentycznie szukali pomocy. Jeśli tylko chcieli mówić, amerykańscy agenci lub pracownicy ambasad gotowi byli ich wysłuchać.

Hood właśnie miał otworzyć prywatną skrzynkę, kiedy Bugs powiedział mu przez interkom, że dzwoni senator Devenport. Hood nie był zaskoczony. W Kongresie trwały prace nad budżetem, a ten senator z Karoliny Południowej niedawno zastąpił Barbarę Fox na stanowisku przewodniczącego kongresowej komisji do spraw służb specjalnych. Jej zadaniem była kontrola tego, co robią federalne agencje wywiadu i ile to kosztuje.

- Dzień dobry, senatorze - powiedział Hood.

- Gdzieś może jest dobry - odparł senator chrapliwym głosem. - Na pewno nie w moim biurze.

Hood nie spytał, dlaczego. Znał odpowiedź.

- Paul, podkomisja do spraw budżetu służb specjalnych podjęła wczoraj decyzję, że należy dokonać strategicznego przeszacowania wydatków - powiedział Debenport.

Używany przez komisję eufemizm na cięcia budżetowe.

- W ubiegłym roku fiskalnym obcięto nam cztery procent, dwa lata temu sześć - powiedział Hood. - Ile teraz?

- Trochę ponad dwadzieścia procent - odparł Debenport.

Hoodowi zrobiło się niedobrze.

- Nocna zmiana będzie musiała zredukować personel o połowę. To dużo, wiem, ale nie mieliśmy wyboru - ciągnął Debenport.

- O czym pan mówi? Jest pan szefem tej cholерnej komisji.

- To prawda, Paul. I dlatego nie wolno mi kierować się osobistym przekonaniem o niewątpliwych zasługach Centrum - powiedział Debenport. - To ja zdecyduję, gdzie zrobić cięcia, choć zależy mi na twojej opinii. Na pewno wezmę ją pod uwagę. Chcielibyśmy, żebyście zrobili krok w tył, wrócili do pierwotnej struktury Centrum.

- W pierwotnej strukturze była komórka wojskowa - zauważył Hood. - Już została zlikwidowana.

- Tak, i przeznaczone na nią fundusze poszły na agentów generała Rodgersa - powiedział Debenport. - Jesteśmy zdania, że zmiany na tym polu byłyby wskazane. Dokładnie przeanalizowaliśmy strukturę innych agencji wywiadowczych. Kompetencje komórki generała pokrywają się z obszarem działania CIA i federalnych. Połącz jego stanowisko ze stanowiskiem oficera politycznego.

- Senatorze, ile zabieracie CIA, FBI i NRO? - spytał Hood.

- Paul, to wszystko starsze, uznane...

- Cięcia ich ominą, zgadza się? - spytał Hood.

Debenport milczał.

- Senatorze?

- Skoro tak cię to ciekawi, Paul, to dostaną nawet więcej niż do tej pory - powiedział Debenport.

- Niesamowite - odparł Hood. - Długo lobbowali?

- Jak zwykle, odwalili te swoje powerpointowe prezentacje, ale nie to było najważniejsze - odparł Debenport. - Z miejsca dostali dużo zleceń z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Piórem moglibyśmy te wnioski o wzrost budżetu wypisać.

- Wszystko przez tę tak zwaną wojnę z terroryzmem - powiedział Hood. - Moglibyśmy i my się w nią zaangażować, gdyby nie to, że akurat trzeba było zapobiec wojnie jądrowej między Indiami a Pakistanem.

- Tak, i szczerze mówiąc między innymi z tego sukcesu wzięły się wasze kłopoty. Rozszerzyliście swój obszar działania ze Stanów Zjednoczonych na inne kraje...

- Na prośbę prezydenta - przypomniał mu Hood. - Sam o to prosił, kiedy powstrzymaliśmy lewicowy przewrót w Rosji.

- Znam historię. Ale przyszłość też znam. Wyborcy w gruncie rzeczy mają gdzieś to, czy władzę w Moskwie przejmą czerwoni, bomba jądrowa zniszczy Tokio, Hiszpania się rozpadnie, a Francją zaczną rządzić radykałowie. Środki na pomoc zagraniczną są cięte, jak leci.

- Pańskich wyborców może to nie obchodzić, ale my wiemy, że to, co dzieje się tam, wpływa na to, co dzieje się tutaj.

- To prawda - odparł Debenport. - I dlatego kompetencje, które dał wam prezydent, nie zostaną ograniczone.

- W odróżnieniu od finansów. Mamy robić to, co do tej pory, tyle że dysponując zmniejszonym o dwadzieścia procent, a i bez tego napiętym budżetem.

- Amerykańskim rodzinom jest o wiele trudniej - powiedział Debenport. - Jako senator, mam obowiązek im ulżyć.

- Senatorze, rozumiem pańskie stanowisko, ale tak nie można. Pracowałem na Wall Street. Prowadzę instytucję lepiej zorganizowaną i efektywniejszą od agencji, które dostaną podwyżkę. Zamierzam poprosić, na piśmie, o przesłuchanie przed komisją do spraw służb specjalnych, zgodnie ze statutem...

- Oczywiście, masz takie prawo. Ale byłoby to wielką stratą twojego i naszego czasu - powiedział Debenport. - Decyzja została podjęta jednogłośnie.

- Rozumiem. Mam więc jeszcze jedno pytanie. Czy komisja chce mnie skłonić do rezygnacji?

- A skąd - odrzekł Debenport. - Nie lubię owijać w bawełnę. Gdybyśmy uznali, że twój czas minął, powiedziałbym ci to.

- Dziękuję. Rozmawiał pan z prezydentem?

- Zaraz do niego zadzwonię. Tobie chciałem powiedzieć pierwszemu - zapewnił go Debenport. - Ale bez względu na jego zdanie na ten temat, nie ma prawa weta. Ani nawet większości w komisji.

- Czyli klamka zapadła.

- Przykro mi, Paul.

Hood był wściekły, ale nie na Debenporta. Był zły na siebie. Powinien był wyczuć, co się święci. Myślał, że po odejściu Fox sytuacja zmieni się na lepsze. I może w pewnym sensie tak było. Fox uważała, że Centrum w ogóle jest zbędne. Jej zdaniem działania CIA i FBI poza granicami kraju wystarczały, by zapewnić Ameryce bezpieczeństwo. Z drugiej strony, to

między innymi za jej przyczyną amerykańskie agencje wywiadowcze postawiły na elektroniczne środki zbierania informacji. Był to duży błąd. Bez agentów w terenie, wskazujących satelitom szpiegowskim i urządzeniom nasłuchowym lepianki, bunkry, mieszkania, samochody i jaskinie, duża część tak zwanej „działalności nieprzyjacielskiej w stadium początkowym” pozostawała niezauważona. Właśnie przez to tajne, chirurgiczne akcje przerodziły się w wojnę z terrorem.

Mimo to Hood liczył, że Debenport energiczniej wstawi się za Centrum.

Senator odłożył słuchawkę, a Paul siedział nieruchomo, wpatrzony w ostami otwarty email. Przyszedł z Biura Bezpieczeństwa Personelu Wydziału Łączności CIA i zawierał uaktualnione przepisy dotyczące ewakuacji i odkażania nieletnich w razie biologicznego ataku na przedszkola i żłobki dla dzieci pracowników służb wywiadowczych. Był to ważny dokument, ale zarazem pokazywał, jak wielką przepaść dzieli poszczególne agencje. Centrum nawet nie prowadziło własnego przedszkola.

Hood zamknął email i otworzył plik z budżetem. Zadzwoił do dyrektora finansowego Centrum, Eda Colahana, i wezwał go do siebie. Colahan tego dnia przyszedł do pracy przed wszystkimi. Wiedział, że w ramach obecnego roku fiskalnego zostało im jeszcze sześć tygodni funkcjonowania na dotychczasowych zasadach. Chciał być przygotowany na każdą ewentualną decyzję komisji.

Na tę przygotowany na pewno nie był.

Hood musiał teraz rozstrzygnąć, czy zredukować personel większości lub wszystkich dziesięciu sekcji, czy też jedną lub dwie w ogóle zlikwidować. Znał odpowiedź nawet bez zaglądania do statystyk. Wiedział, które wydziały pochłaniały prawie dwadzieścia procent budżetu. Likwidacja jednego z nich odbije się niekorzystnie na skuteczności Centrum.

Likwidując drugi, straci przyjaciela.

Rozdział 4

Waszyngton Poniedziałek, 8.20

W dzieciństwie Don Orr co roku niecierpliwie wyczekiwał dwudziestego drugiego czerwca, dnia, kiedy w liczącej dwudziestu dwóch uczniów szkole panny Clarion zaczynały się wakacje. Nie to, żeby nie lubił szkoły. Wprost przeciwnie. Uwielbiał się uczyć. Ale pierwszy dzień wakacji był wyjątkowy. Mały Don wstawał o świcie. Z oliwkową baseballówką nasuniętą na czoło napełniał manierkę ojca i przewieszał ją sobie przez ramię. Robił sobie trzy-cztery kanapki z masłem orzechowym i dżemem i chował je do chlebaka, z paczką owsianych ciastek i kompasem. Brał z szopy łopatę do obcinania głów napotkanym grzechotnikom. Trzymając ją niczym prorok laskę, wyruszał z rodzinnego rancza w Kingsville w Teksasie na gorącą, bezwietrzną równinę, by przemyśleć wszystko, czego nauczył się przez miniony rok. Dzień spędzony w samotności pozwalał mu utrwalić sobie w pamięci to, co najważniejsze. W szkółce niedzielnej dowiedział się, że tak samo postępował Jezus, a przed nim Mojżesz. Chłopiec wierzył, że ta wędrówka uczyni z niego silniejszego, lepszego człowieka.

Miał rację. Don Orr robił to przez dziesięć lat, rok w rok, odkąd skończył osiem lat. Dopiero później dowiedział się, że przez pierwsze dwa lata ojciec wysyłał w ślad za nim jednego z robotników zatrudnionych na ranczu. Tradycja ta wygasła w 1967 roku, kiedy Orr skończył osiemnaście lat i wstąpił do sił powietrznych. Potrafił już chodzić i jeździć konno. Teraz chciał latać. Dowódcy jednak mieli wobec niego inne plany. Woleli, by pracował fizycznie, jak na ranczu. Zaledwie dwa lata wcześniej w ramach sił powietrznych utworzone zostały jednostki saperskie pod nazwą Red Horse. Podzielono je na dwa bataliony: 555. „Potrójny Piątek” i 554. „Centa Mniej”. Orr trafił do jednego z nich. Po dziewięcioletnim szkoleniu w bazie lotniczej Cannon w Nowym Meksyku został wysłany z Pięćset Pięćdziesiątego Czwartego do bazy Phan Rang w Wietnamie. Tam jego specjalnością było wiercenie studni z wodą pitną. Nauczył się tego jeszcze na rodzinnym ranczu.

Potem służył jeszcze w Tajlandii. Niestety, nie dane mu było powąchać prochu. Wojna, jak ujeżdżanie konia, zaganianie bydła czy wędrówka przez spalone słońcem pustkowie, była potężnym wyzwaniem, które pozostawiało niezatarty ślad w głowie,

mięśniach i sercu. Między innymi dlatego senator Orr potrafił znaleźć wspólny język z weteranami takimi jak admirał Link. Podejmowanie ryzyka było zakodowane w ich psychice.

Jednak to nie skłonność do ryzyka, lecz poczucie obowiązku skłoniło senatora Orra do utworzenia przed sześcioma miesiącami partii United States First (Stany Zjednoczone Po Pierwsze). Dwie największe partie amerykańskie były, jak kraje Trzeciego Świata, zbieraninami zacietrzewionych watażków, których łączyło tylko jedno: przemożna niechęć do przeciwników politycznych.- Nie kierowała nimi żadna spójna filozofia. Aż ręce opadały.

Pomysł Orra był prosty. Stany Zjednoczone miały stać się tym, czym jego rodzinne ranczo: olbrzymią przestrzenią zagospodarowaną przez ludzi z wizją. Krajem nie powinny rządzić partie trawiące energię na bezsensowne przepychanki. Rozwój państwa nie mógł być uzależniony od umów międzynarodowych ani despotów, którzy dzięki dostarczanym jej surowcom, od drewna przez stal po ropę, mieli Amerykę w garści. Partia USF tego dopilnuje. Orr miał wpływy, determinację, kwalifikacje, jakich brakowało poprzednim niezależnym kandydatom. W jego żyłach płynęła czysta amerykańska krew. Poza tym udział w wyborach mu się opłacał. Senator miał wpływy w Kongresie, ale nie posiadał realnej władzy. Współpracował z dobrymi ludźmi, ale nie był nimi otoczony.

To miało się zmienić.

Orr przyjechał do swojego biura w Russell Senate Office Building. Ukończony w 1908 roku gmach stał na północ od Kapitolu, między Constitution Avenue, Pierwszą, Delaware Avenue i C Street NE. Z okien gabinetu senatora roztaczał się inspirujący widok na majestatyczną kopułę siedziby Kongresu. Za ledwie dwie przecznice dalej była Union Station.

- W razie czego nie będzie kłopotów z ucieczką - żartował z dziennikarzami wylewny senator. Kiedy Orr pierwszy raz przyjechał do Waszyngtonu, „Dallas Morning News” wysłał mu bilet powrotny. Redakcja widziała w nim zwolennika Manifest Destiny, * XIX-wieczna doktryna głosząca, że misją dziejową narodu amerykańskiego jest opanowanie całego kontynentu północnoamerykańskiego (przyp. tłum.). wrzuconego w o wiele bardziej złożoną rzeczywistość XXI wieku. Mylili się. Orr nie miał nic przeciwko wielokulturowemu społeczeństwu. Chciał tylko dopilnować, by funkcjonowało na zasadach ustalonych przez Stany Zjednoczone, nie przez radykałów czy drobnych tyranów. Wierzył, że Amerykanom zależy na tym samym. W ciepłe wiosenne dni, kiedy pozwalał na to napięty harmonogram, senator, jak w dzieciństwie, wyruszał na wędrowkę. Krótszą niż kiedyś. Szedł dziarskim krokiem na dworzec kolejowy i kręcił się to tu, to tam, słuchając, co mówią ludzie. Potem kupował butelkę wody i wracał do biura, po drodze rozmyślając o tym, co usłyszał. Na ogół było to zgodne z tym, co czytał w listach i emailach od wyborców ze swojego okręgu.

Amerykanie byli zwolennikami globalizacji, ale pod warunkiem że odbywać się będzie ona na uczciwych zasadach. Inne kraje wzbogacały się, sprzedając Stanom Zjednoczonym samochody, stal, ropę i urządzenia elektroniczne. Ameryka za darmo zapewniała im bezpieczeństwo. W zamian większość z nich udzielała rodzimym producentom ulg podatkowych, jednocześnie nakładając wysokie cła na produkty amerykańskie. Ucierpiał na tym nawet rodzinny interes Orra. Hodowcy bydła z Australii, Kanady i Brazylii płacili swoim pracownikom o wiele mniej niż ranczerzy amerykańscy i w większości karmili bydło tanimi gatunkami trawy, zamiast drogich, zdrowszych zbóż. Na tak funkcjonującym rynku coraz trudniej było prowadzić interesy. Orr zamierzał to zmienić. Będzie domagał się równego dostępu do zagranicznych rynków i nałożenia ceł wyrównawczych na towary importowane. Jeśli tego nie uzyska, cóż, drzwi dla importu zostaną zamknięte. Krytycy uważali, że jest naiwny, on jednak był przekonany, że książętom, premierom, prezydentom i wodzom trudniej będzie się żyło bez amerykańskich rynków - i ochrony.

Poprzedniego wieczoru senator do późna rozmawiał z publicznymi autorytetami, politykami i liderami biznesu. W większości byli to jego przyjaciele i sojusznicy. Pozostałe osoby zaprosił, by przekonały się, co on i jego współpracownicy sądzą o ich protekcyjnej działalności.

Jednym z tych outsiderów był świętej pamięci William Wilson.

Orr dowiedział się o jego śmierci od Kat. Podczas gdy szofer przebijał się przez poranne korki, senator zadzwonił do Kendry Peterson. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę, że tego dnia będą z całego świata odbierać telefony z prośbą o komentarz. Kendra już była w biurze; na razie zbywała dziennikarzy pochwałami MasterLocka i wyrazami żalu po odejściu jego twórcy. Obiecała, że senator jeszcze tego dnia wyda oficjalny komunikat.

Kiedy Orr przyszedł do biura, okazało się, że nie tylko prasa chce z nim rozmawiać. Przed dziewięcią zadzwonił detektyw Robert Howell z policji miejskiej. Senator szanował stróżów prawa. Odebrał telefon. W głosie detektywa Howella brzmiało napięcie.

- Panie senatorze, wiemy, że wczorajszego wieczoru pan Wilson był na przyjęciu w pańskiej rezydencji - zaczął. - Czy może mi pan powiedzieć, co robił i z kim mógł rozmawiać?

- Mieliśmy dwustu gości, detektywie - powiedział Orr. - Widziałem, jak z niektórymi rozmawiał, ale mu się nie przyglądałem. Wyszedł sam, koło wpół do jedenastej.

- Zauważył to pan?

- Tylko dlatego, że przyszedł mi podziękować. Brytyjczycy, jak Teksaszczyki, mają dobre maniery. Żeby oszczędzić panu czasu, dodam, że nie wiem, co mówił innym gościom i

nie zauważyłem, czy coś pił ani jadł. Jak sądzę, wykażą to badania toksykologiczne.

- Tak, panie senatorze. Nie wie pan, czy pan Wilson umówił się z kimś po przyjęciu? - spytał Howell.

- Nie - odparł Orr. - Gazety piszą, że przyjął w swoim apartamencie jakąś kobietę i w nocy dostał ataku serca. Czy ma pan powód, by przypuszczać, że było inaczej?

- Na razie nie.

- Cieszę się. Nie chciał być zamieszany w jakikolwiek skandal.

- Ale jeśli ktoś był z nim i nie wezwał pogotowia... na przykład jakaś mężatka obawiająca się kompromitacji... osoba ta może zostać oskarżona o nieumyślne zabójstwo.

- Rozumiem. Nie macie nagrań z hotelowych kamer?

- Mamy, ale ta pani bardzo dokładnie zakrywała twarz - powiedział Howell.

- Co jeszcze bardziej podsyca wasze podejrzenia - dodał Orr.

- Chcielibyśmy poznać jej nazwisko, to prawda - przytaknął detektyw. - Panie senatorze, czy bardzo narzucałbym się, prosząc o listę uczestników pańskiego przyjęcia?

- Narzucałby się pan, gdyby moi goście mieli być nękanii przez policję lub prasę - powiedział Orr.

- Zależy nam tylko na odnalezieniu kobiety, która wczorajszej nocy była u pana Wilsona. O nic więcej nie będziemy pytać.

- Skoro tak, moja asystentka Kendra Peterson przekaże panu tę listę - powiedział Orr.

- Dziękuję, panie senatorze.

- Możemy coś jeszcze dla pana zrobić? - spytał Orr.

- Na razie nic mi nie przychodzi do głowy - powiedział detektyw Howell. - Dziękuję za pomoc, panie senatorze.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Orr odłożył słuchawkę i usiadł za biurkiem z drewna rzadkiej teksańskiej osiki, tym samym, które kiedyś służyło legendarnemu Samowi Houstonowi, gdy zasiadał w senacie. Zgodnie z jego oczekiwaniami, detektyw Howell był wobec niego bardzo bezpośredni, ale pełen szacunku. Policjanci waszyngtońscy wiedzą, jak załatwia się takie sprawy. Zdają sobie sprawę, że insynuacje są groźną bronią w ręku polityka. Śledztwa prowadzone były z nadzwyczajną ostrożnością. Oby tylko media za bardzo nie zainteresowały się śmiercią Wilsona. Senator miał plan, wizję przyszłości Stanów Zjednoczonych, który był jedną z najsłabiej strzeżonych tajemnic w Waszyngtonie. Przez ostatnich kilka miesięcy zbierał fundusze i ludzi, by powołać do życia nową siłę w amerykańskiej polityce. Wkrótce publicznie przyzna to, co wielu podejrzewało: że zamierza kandydować na prezydenta z

ramienia nowo utworzonej partii. Ogłosi to na konferencji prasowej o siódmej następnego ranka; w Kingsville będzie wtedy szósta - o tej samej porze przed laty, na tle wschodzącego nad Teksasem słońca, rozpoczął swoją pierwszą kampanię wyborczą do senatu Stanów Zjednoczonych. Jednocześnie zaprosi wszystkich Amerykanów na konwencję partii USF, która miała odbyć się jeszcze w tym samym tygodniu w San Diego. Tam przedstawiony zostanie program partii i nastąpi oficjalna prezentacja kandydatów na stanowiska prezydenta i wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Orr nie zamierzał powtórzyć błędów założycieli innych „trzech” partii. Nie działał z pobudek osobistych, nie szukał zemsty, nie zamierzał podlizywać się radykałom. USF była partią dla ludzi, którzy ponad partykularnymi interesami stawiali dobro Ameryki.

Orr wyjrzał przez okno na Kapitol. Dzień był pogodny, stumetrowa kopuła lśniła na tle bezchmurnego nieba. Senator, jak zawsze, kiedy na nią patrzył, był pełen pokory i uświadamiał sobie, że jest kolejnym ogniwem w nieprzerwanym łańcuchu przywódców, sięgającym Ojców Założycieli Stanów Zjednoczonych. Widok tej kopuły każdego dnia przypominał mu, po co przyjechał do Waszyngtonu: by nieustraszenie służyć wyborcom. By strzec konstytucji ze wszystkich sił, całym swoim sercem i umysłem. Jeśli mu się to uda, nadal będzie służył narodowi. Jeśli nie, wróci na ranczo.

Tak czy inaczej, wygra.

Tak czy inaczej, pozostanie Amerykaninem.

Rozdział 5

Waszyngton Poniedziałek, 8.24

Kiedy listonosz nie jest listonoszem? Ed March poprosił starego znajomego, Darrella McCaskeya, żeby pomógł mu znaleźć odpowiedź na to właśnie pytanie.

W czasie studiów na uniwersytecie w Miami mieszkali w jednym pokoju. McCaskey został później zwerbowany przez FBI, Marchowi zaś zaproponowano posadę w straży pocztowej. Przez przeszło dziesięć lat zajmował się walką z pornografią dziecięcą. Kiedy sieci pedofilskie przeczuciły się z tradycyjnej poczty na Internet, March został przeniesiony do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Miał sprawdzać przeszłość osób regularnie wysyłających paczki do krajów wspierających terroryzm. Obecnie na jego celowniku znalazł się listonosz podejrzewany o pomoc pewnemu człowiekowi w ominięciu systemu zabezpieczeń; robił to tak, że odbierał paczki z wyznaczonej skrzynki i dorzucał je bezpośrednio do poczty przeznaczonej do wysyłki za granicę. Przypuszczano, że w ten sposób do adresata trafiały materiały, których nie dało się przekazać w postaci załączników do emaili: wykradzione dokumenty, gotówka i prawdopodobnie części komputerów.

W tej chwili Marchowi nie zależało na nadawcy. Chciał skonfiskować furgonetkę pocztową. Jeśli na interesującej go paczce będzie widniał ten sam adres, który znaleziono w kryjówce terrorystów w Gunong Tahan, przekona listonosza, by następne przesyłki oddawał CIA.

Ludzie Marcha czekali kawałek dalej w nieoznakowanym samochodzie. McCaskey natomiast miał sprawdzić, czy ktoś nie ma go na oku. Szpiegdy i terroryści często zatrudniali ludzi mających obserwować ich miejscowych pomagierów, zdarzało się bowiem, że ci okazywali się podwójnymi agentami. Zwłaszcza po zdemaskowaniu.

March, przebrany za sprzedawcę chorażówek, stał za małym białym wózkiem na rogu Constitution Avenue. Skrzynki pocztowe uznano za potencjalne miejsca ukrycia bomb, ta jako jedna z niewielu wciąż była w użytku. Straż pocztowa przypuszczała, że nadawca przyjeżdżał z Arlington mostem nad Potomakiem i zostawiał tu przesyłki w drodze do Ambasady Malezji na Massachusetts Avenue, gdzie był zatrudniony. Ustalono to na podstawie obserwacji jej pracowników. Tylko dwóch przejeżdżało obok skrzynki.

Jeden z nich przed czterdziestoma minutami zostawił w niej paczką.

McCaskey siedział po turecku na ławce przy pomniku Lincolna. Mijali go turyści i miłośnicy joggingu. Wszystkim bacznie się przyglądał, by sprawdzić, czy nie widział ich tu wcześniej. Wśród nich mógł być zwiadowca. Wypatrywał też błysku lornetki bądź osób ulokowanych w miejscach z dobrym widokiem na skrzynkę.

W rękę trzymał rekwizyt przydatny każdemu obserwatorowi: telefon komórkowy. Rozmawiając przez niego trzeba się skoncentrować, by dobrze słyszeć, przechodnie zakładają więc, że człowiek z komórką przy uchu nie zwraca na nich uwagi. Skrzętnie wykorzystują to kieszonkowcy. McCaskeyowi jednak nie umykał żaden szczegół, mimo że udawał pograżonego w rozmowie z żoną. Nawiasem mówiąc, była agentka Interpolu Maria Corneja. McCaskey siedziała obok niego. Oboje zdawali sobie sprawę z ironii całej tej sytuacji. McCaskey zawsze obawiał się, że Maria za bardzo poświęca się pracy w wywiadzie, by mieć czas na rodzinę. Z tego właśnie powodu rozpadło się jego pierwsze małżeństwo. Ożenił się z agentką FBI Bonnie Edwards, miał z nią troje dzieci. Bonnie odeszła ze służby, by zająć się ich wychowaniem, a McCaskey, by podreperować rodzinne finanse, przyjął propozycję awansu na stanowisko szefa sekcji w Dallas. Po kolejnym awansie wylądował w Waszyngtonie, co było dobre dla niego, ale nie dla rodziny. W końcu, po ośmiu latach małżeństwa, McCaskeyowie rozwiedli się. Dzieci odwiedzały ojca w czasie wakacji, a McCaskey jeździł do nich, kiedy tylko miał wolne. Mieszkały teraz z mamą pod Dallas. Bonnie wyszła ponownie za mąż, za członka zarządu firmy naftowej, który do małżeństwa wniósł trójkę swoich dzieci. Wydawała się zadowolona ze swojej „pełnej chaty”.

Kiedy McCaskey i Maria poznali się w jej ojczyściej Hiszpanii, na przeszkodzie stanęły im plany zawodowe, z których żadne nie chciało zrezygnować. Ponownie spotkali się niedługo, kiedy McCaskey trafił z misją do Madrytu. Wtedy Maria zgodziła się porzucić pracę i przenieść do Waszyngtonu.

A teraz jego piękna, ciemnowłosa żona pomagała mu obserwować okolicę. Obudziła się z kwaśnym uśmiechem na ustach. I choć w tej chwili grała rolę malarki szkicującej pastelami pomnik Lincolna, to wciąż wyglądała na lekko zagubioną.

- Skarbie, zupełnie nie umiem prowadzić takich sztucznych rozmów - powiedział do wyłączzonego telefonu. - Przerywać co dwa słowa i udawać, że słucham. - Zawiesił głos, udając, że słucha odpowiedzi. - A potem wybuchać rozbrajającym śmiechem. - Zachichotał. - Wolałbym sobie postrzelać.

- Może będziesz miał okazję - mruknęła Maria. - Na trzeciej, niania z wózkiem.

McCaskey zerknął na przechodzącą młodą kobietą o azjatyckich rysach. Miała na sobie bluzę Uniwersytetu Georgetown i dzinsy i obojętnie kołysała ciemnografitowym

wózkiem dziecięcym.

- Nie sądzę - odparł McCaskey.

- Darrell, w wózku nie ma dziecka - powiedziała Maria. Odłożyła kredę w kolorze kości słoniowej do drewnianego pudełka.

- Wiem - odparł, wciąż udając, że rozmawia przez telefon. - Wozi w nim torbę na zakupy. Pewnie trzyma w niej cały swój dobytek. Widzisz sznurówki jej adidasów? Są poprzecierane i zasupłane, z boku ma dziurę. Z rączki wózka odłazi pianka. Wygrzebała go ze śmietnika. To bezdomna.

- Albo udaje - powiedziała Maria, biorąc granatową kredkę do nałożenia cieni.

- Możliwe - przytaknął McCaskey. Spojrzał na trawnik po drugiej stronie ścieżki. - Bardziej niepokoi mnie ten koleś na trawie z laptopem.

- Ten w wiatrówce?

- Tak.

- Czemu? - spytała Maria. - Jest odwrócony plecami do skrzynki.

- Ale jego kamera internetowa nie - powiedział McCaskey. - Może odbywa telekonferencję, a może obserwuje skrzynkę.

W tej chwili nadjechała mała pocztowa furgonetka. Wysiadł z niej młody, chudy blondyn z białym plastikowym pojemnikiem i podszedł do skrzynki. McCaskey dalej mówił do telefonu, March przysunął się z wózkiem do furgonetki. Niczego niepodświadomie listonosz ukląkł, otworzył klapkę kluczykiem z pęku przytroczonego u pasa i powoli zaczął zgarniać zawartość skrzynki do pojemnika. Zdawał się czegoś szukać. Kiedy to znalazł, szybko zabrał resztę poczty i zamknął skrzynkę. To Marchowi wystarczyło. Wyszedł zza wózka i stanął listonoszowi na drodze. Wyjął odznakę i powiedział coś, czego McCaskey nie dosłyszał. Na twarzy listonosza odbiło się niedowierzanie, potem złość. Potrząsnął głową. March nie ustąpił. Zadzwoił gdzieś przez komórkę. Pewnie po posiłki.

Listonosz ruszył z pojemnikiem w stronę furgonetki. March złapał go za ramię i coś powiedział.

- Niech ktoś wezwie policję! - krzyknął listonosz.

Mężczyzna z laptopem odwrócił się. Kobieta z wózkiem też. Oboje zerwali się z ziemi.

- Są w zmowie? - powiedziała Maria.

- Nie wiem - odparł jej mąż. - Zostań tu. - Wstał i zaczął iść w stronę skrzynki, wciąż z komórką przy uchu.

Mężczyzna zatrzasnął laptopa, wsunął go do torby i ruszył w stronę furgonetki.

Kobieta pchnęła wózek w kierunku Marcha. Inni przechodnie patrzyli z zaciekawieniem.

Listonosz wyrwał się Marchowi. Szarpnął się jednak za mocno i wywrócił razem z pojemnikiem. Kobieta z wózkiem rzuciła się biegiem do rozsypanej poczty. Widząc to, McCaskey też przyspieszył kroku. Dotarł na miejsce pierwszy, kucnął i zaczął zgarniać pocztę ku sobie. W większości były to widokówki i trochę listów. Szukał dużej koperty lub małej paczki, zaadresowanej do któregoś z krajów południowego Pacyfiku lub Bliskiego Wschodu. Zobaczył pękata szarą kopertę adresowaną do Kuala Lumpur. Przysunął do siebie też inne listy, by nie było widać, że ten zainteresował go szczególnie. Maria obserwowała bezdomną.

Listonosz podbiegł do niego.

- Dziękuję, już to zabieram - powiedział, sięgając po listy.

- A ja zabieram to - wtrącił March, nachylił się i silną dłonią chwycił pęk kluczy listonosza. Rozpiął mały metalowy zatrzask i zabrał je. Wśród nich był kluczyk do furgonetki.

McCaskey oddał listonoszowi zebrane listy, a ten schował je z powrotem do pojemnika i schylił się po pozostałe. Bezdomna na czworakach podnosiła rozsypane koperty. Listonosz chciał wziąć je od niej, ale ona warknęła wrogo i wytrąciła mu pojemnik. Przesyłka do Malezji wylądowała na ulicy. Kobieta rzuciła się po nią. Listonosz nie ruszył się z miejsca.

Zrobił to McCaskey.

- Stój! - krzyknął do niej.

Mężczyzna z laptopem był bliżej i przeciął jej drogę. March nie zauważył go, zajęty przywoływaniem niebieskiego sedana. Po krótkiej szamotaninie nieznajomy wyrwał pocztę bezdomnej. Kiedy McCaskey podszedł do nich, kobieta zaczęła uciekać.

Duża koperta była w ręku mężczyzny, złożona na pół.

- Mam wszystko - powiedział do listonosza.

- Dzięki. Ja się tym zajmę - powiedział March, podchodząc do niego.

- Cieszę się, że mogłem pomóc - odparł mężczyzna z laptopem, odwrócił się i odszedł.

McCaskey miał złe przeczucia. Czekał z niepokojem, aż March przejrzy odzyskane koperty. Wreszcie na wierzchu znalazła się ta zaadresowana do Malezji. Była rozerwana.

- Cholera - zaklął McCaskey.

Listonosz nie mógł już sprawić im więcej kłopotów. Jeden z tajniaków prowadził go do samochodu. Teraz musieli zatrzymać mężczyznę z laptopem i rzekomą bezdomną.

McCaskey i March popatrzyli po sobie. March rzucił się za mężczyzną z laptopem. Jego ludzie wsadzili listonosza na tylne siedzenie sedana i przyłączyli się do pościgu. McCaskey odwrócił się w stronę łąki rozciągającej się po pomnik Lincolna. Bezdomna stała

na skraju trawnika i grzebała w wózku. Jeśli chowała tam zawartość koperty, będzie kłopot. Nie miał prawa robić jej rewizji. Oby tylko nie była uzbrojona. Wokół były setki potencjalnych zakładników.

Były agent FBI ruszył do niej szybkim krokiem. Podniósł telefon komórkowy do ucha i wpadł na nią, udając zaabsorbowanego rozmową. Wózek wywrócił się, jego zawartość rozsypała się po trawie.

- Przepraszam najmocniej - powiedział McCaskey, schował telefon do kieszeni i schylił się, by pomóc pozbierać jej rzeczy. Obok ubrań i butelki wody leżały paszporty różnych krajów.

- Nie ruszaj! - krzyknęła kobieta, odpychając go.

McCaskey nie musiał dać za wygraną. Już nie. Podeszedł, by skonfiskować dowody kradzieży lub fałszerstwa dokumentów.

Z okrzykiem złości, kobieta wyjęła z pochwy na przedramieniu nóż o dwóch ząbkowanych ostrzach, rozdzielonych skórzaną rękojeścią. McCaskey cofnął się, a ona podeszła do niego na szeroko rozstawionych nogach, tnąc na boki. To nie były gwałtowne ruchy oszalałej nędzarki, lecz przemyślany atak dobrze wyszkolonej wojowniczkii.

Były agent FBI nie nosił broni. Przydzielano ją tylko agentom Centrum działającym w terenie, a ze strzelby, którą trzymał w domu, żeby odstraszyć intruzów, nie byłoby w takiej sytuacji, jak ta, pożytku. Kobieta cięła z lewa na prawo i z powrotem na wysokości jego bioder. Musiał się zbliżyć do ręki, którą trzymała nóż i wylamać jej przedramię, czyli jedną dłońią chwycić ją za łokieć i pchnąć w górę, a drugą nacisnąć jej nadgarstek. Wtedy kobieta straci władzę w ręce i upuści nóż. Pytanie tylko, jak to zrobić i nie dać się ugodzić nożem.

McCaskey utkwiał oczy w ostrzu. Nie mrugał, tak jak uczyli go na szkoleniu. Musiał zaczekać, aż ona zrobi to pierwsza i wtedy...

Bezdomna nagle zatoczyła się w lewo, trafiona w skroń drewnianym pudełkiem z pastelami. Padła na kolana, nóż wysunął jej się z dłoni. Maria podniosła pudełko raz jeszcze, kurczowo ściskając uchwyt, i uderzyła ją mosiężnymi zawiasami w tył głowy. Kobieta upadła twarzą w trawę.

- A myślałam, że aikido nadaje się tylko do walki w dojo - powiedziała Maria.

- Nie każdy jest uzbrojony w pudełko farb - odparł McCaskey.

Oczy bezdomnej były zamknięte. McCaskey sprawdził, czy oddycha. Zabrał nóż i paszporty i odpędził turystów gestem ręki. Nadbiegli ochroniarze strzegący pomnika Lincolna.

Maria podniosła pudełko.

- Nabrałam pewności, że jest lewa, kiedy zaczęła zbierać listy - powiedziała.

- Czemu?

- Bezdomne kobiety nie używają szamponu o zapachu moreli. Dlatego miałam na oku ciebie, nie Eda.

- I bardzo ci jestem wdzięczny, kochanie - McCaskey spojrzał na ulicę. Jeden z tajniaków prowadził głośno protestującą mężczyznę z laptopem do sedana. Przyszedł March. McCaskey oddał mu paszporty i nóż. March połączył się z dyspozytorem i poprosił o przysłanie pogotowia do nieprzytomnej kobiety.

- No, to już coś - powiedział do McCaskeya. - Dziękuję. Wam obojgu.

- Cieszę się, że mogliśmy pomóc. Co macie na niego? - spytał McCaskey, wskazując ruchem głowy mężczyznę z laptopem.

- Nie zatrzymał się, kiedy poprosiliśmy - odparł March.

- To przestępstwo? - spytała Maria.

- Nie. Mam przeczucie, że coś ukrywa - powiedział March. - Chcę obejrzeć jego komputer.

- Możecie mu grzebać w komputerze na podstawie przeczucia? - zdziwiła się Maria.

- Nie - powiedział March. - Na mocy paragrafu 217 Aktu Patriotycznego. Jest podejrzany o popełnienie wykroczenia przy użyciu komputera; obserwacja służb federalnych przez kamerę internetową w pobliżu obiektu o znaczeniu historycznym jest przestępstwem. W takiej sytuacji można wszcząć dochodzenie bez nakazu.

- Mógł nie wiedzieć, że jesteście ze służb federalnych - zauważył McCaskey.

- Mógł - uznał March. - Ale mamy uzasadnione powody, by go podejrzewać. Miał w rękę przesyłką z ambasady i nie zatrzymał się, choć go o to prosiliśmy kilka razy. Jeśli jest niewinny, będzie to dla niego drobna niedogodność, za którą przeprosimy. Jeśli nie, możemy ocalić życie wielu osobom.

McCaskey skrzywił się i w tej chwili podeszli do nich ochroniarze. March wylegitymował się i poprosił, by przypilnowali kobiety. Zapewnił, że karetka będzie za kilka minut.

- A teraz wybaczenie, ale muszę to doprowadzić do końca. - Podał rękę McCaskeyowi i Marii. - Nie wiem, jak wam dziękować. Gdybyście czegoś potrzebowali, walcie do mnie jak w dym.

- Jasne - powiedział McCaskey.

Główny śledczy Centrum czuł, że powinien powiedzieć coś jeszcze na obronę mężczyzny z laptopem, ale dał sobie spokój. Ed March miał rację, no i działał zgodnie z

prawem. Zresztą jemu samemu ten facet też początkowo wydawał się podejrzany. I to także było tylko przeczucie. Stróże prawa czasem musieli się nim kierować.

Przed akcją McCaskey zostawił wóz na ulicy C. Wrócił do niego z Marią. Była naburmuszona i stwierdziła z oburzeniem, że tak samo wyglądała Hiszpania pod rządami Franco.

- Gdyby każdy aresztowany przez El Caudillo był winny, Hiszpania byłaby narodem bandytów - powiedziała.

- To co innego - uznał McCaskey. - Franco był tyranem. Ed jest dobrym policjantem, który próbuje chronić Amerykanów.

- Tak właśnie dobrzy policjanci zmieniają się w tyranów - odparowała.

- Nie zawsze - uznał bardziej z nadzieją niż z przekonaniem.

System nie był idealny, to fakt, ale McCaskey dodał sobie otuchy, wspominając hasło wypisane na tablicy podczas zajęć z teorii pomocy społecznej w Akademii FBI w Quantico. Był to budujący cytat z Jeffersona: „Na wzburzonym morzu wolności zawsze są fale”.

Rozdział 6

Waszyngton Poniedziałek, 9.02

Mike Rodgers wjechał na parking Centrum zaraz po Darrellu McCaskeyu. Mieli miejsca parkingowe obok siebie. McCaskey zaczekał, aż Rodgers wysiądzie. Miejsca były oznakowane numerami, nie nazwiskami. Gdyby ktoś dostał się na teren ściśle strzeżonej bazy i chciał podłożyć bombę w którymś z samochodów, musiałby najpierw dowiedzieć się, który do kogo należy. Dlatego właśnie Rodgers nie miał własnego wozu, tylko co pół roku wypożyczał nowy. Przez akcje Strikera narobił sobie wrogów za granicą. Nie żeby popadał w obsesję, ale Bob Herbert powiedział mu kiedyś, że w Waszyngtonie jest przeszło pięciuset tak zwanych „staczy” - obserwujących urzędników państwowych i przekazujących obcym służbom informacje o ich rozkładzie dnia. Dane te mogły zostać wykorzystane do rozmaitych celów, od szantażu po morderstwo. Rozsądek nakazywał więc zmieniać zarówno samochody, jak i trasy przejazdu. Generał mimo to spodziewał się, że pewnego dnia przeczyta w gazecie o pechowcu, któremu trafił się jego poprzedni wóz, wysadzonym w powietrze pod domem bądź zastrzelonym w centrum handlowym. On sam zawsze sprawdzał poprzednich użytkowników wypożyczanych przez siebie samochodów. Nie chciał, by trafił mu się taki, którym wcześniej jeździł jakiś pracownik ambasady czy handlarz narkotyków, który komuś podpadł.

- Obaj zaspaliśmy? - spytał.

- Gdzie tam - powiedział McCaskey. - Byliśmy z Marią na akcji. Pomagaliśmy znajomemu ze straży pocztowej.

- Jakiś nieostrożny szpieg skorzystał dwa razy z tej samej skrzynki kontaktowej? - spytał Rodgers.

- Coś w tym stylu. Przekazywał materiały wprost listonoszowi, by uniknąć kontroli - powiedział McCaskey.

Zdradzają nas nasi ludzie, pomyślał Rodgers. Kiedy słyszał o czymś takim, wyzbywał się wszelkich skrupułów. Bez mrugnięcia okiem postawiłby pod mur człowieka, dla którego forsa była ważniejsza od ojczyzny.

- Dopadliście ich?

McCaskey skinął głową.

- Maria od razu wypatrzyła szpiega. Dziewczyna ma niesamowitą intuicję.

- Zazdrościsz? - zażartował Rodgers.

- Nie. Jestem z niej dumny. Ja stawiałem na gościa, który oglądał pomnik Lincolna przez kamerę internetową. Okazało się, że to tajniak z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Słowo daję, mamy więcej glin niż gangsterów.

- Trochę bandziorów jeszcze zostało - powiedział Rodgers, kiedy weszli do środka.

- Wiem - odparł McCaskey. - Ale kiedy jednostki kontrwywiadu dostają się pod ogień swoich, to znak, że trzeba przemyśleć ogólną strategię. Powinniśmy robić więcej tego, co ty, szkolić personel do operacji zagranicznych i namierzać ET.

Skrót ET oznaczał nie tylko istoty pozaziemskie, ale przede wszystkim „eksportowanych terrorystów”. Kiedy w miejsce Strikera powołano jednostkę wywiadu osobowego, głównym zadaniem, jakie jej wyznaczono, była infiltracja grup zagranicznych i powstrzymywanie ich, zanim staną się rzeczywistym zagrożeniem.

Rodgers nie miał nic przeciwko temu. Problem polegał na tym, że od dziesiątków lat agencje wywiadowcze w coraz większym stopniu opierały się na informacjach uzyskiwanych drogą elektroniczną jak podsłuchane rozmowy telefoniczne i przechwycone emaile czy dane zbierane przez satelity szpiegowskie i samoloty bezzałogowe. Uważano, że zbyt ryzykownie byłoby polegać na informatorach. Obywateli obcych krajów, którzy nie chcieli pójść na współpracę, trzeba było zmuszać do tego szantażem. Było to kosztowne i czasochłonne, a poza tym wiązało się z koniecznością uzyskania odpowiedniego wsparcia. A informatorom i tak nie zawsze można było ufać. Poza tym rozbudowa sieci agentów wymagała cierpliwości i inwencji. Tymczasem taktyka amerykańskich agencji wywiadowczych coraz bardziej upodabniała się do tej, jaką zastosowali Sowieci, broniąc swojej ojczyzny przed hitlerowcami. Rzucali do boju wszystkich, jak leci, w nadziei, że w końcu przyniesie to skutek.

Rodgers i McCaskey wyszli z windy i ruszyli korytarzem w przeciwnych kierunkach. Jako zastępca dyrektora, generał miał gabinet przez ścianę z Paulem Hoodem. Oprócz nich w tej części budynku urzędował jeszcze tylko prawnik, Lowell Coffey III. McCaskey, szef wywiadu Bob Herbert, ekspert od komputerów Matt Stoli, psycholog Liz Gordon i łącznik polityczny Ron Plummer mieli gabinety w dziale operacji. To tu, zdaniem Herberta, odwalana była cała robota.

Kiedy Rodgers mijął gabinet Hooda, Bugs Benet spytał go, czy ma wolną chwilę.

- Jasne - powiedział Rodgers. - Coś się stało?

- Szef chce z panem rozmawiać.

- Rozumiem. Kiedy? - Drzwi Hooda rzadko bywały zamknięte. Teraz były.

- Powiedział, że jak tylko pan przyjdzie.

- Dzięki - odparł Rodgers. Przeszedł obok jego boks i zapukał do drzwi Hooda.

- Otwarte.

Rodgers wszedł.

- Dzień dobry - powiedział Hood.

- Dobry.

Hood wstał od biurka i wskazał skórzaną sofę pod ścianą. Rodgers usiadł. Hood zamknął drzwi i zajął miejsce obok niego. Miał dziwnie bezbarwny wyraz twarzy. Był dyplomata, ale zwykle potrafił wysłuchać i zrozumieć każdego. Dlatego ludzie mu ufali, a on mógł skutecznie działać.

- Mogę zrobić sobie kawę? - spytał Rodgers.

- Pewnie, Mike - powiedział Hood. - Przepraszam, że nie zaproponowałem. Jestem rozkojarzony.

- Widzę - stwierdził Rodgers. Podszedł do ekspresu stojącego na małym, trójkątnym stoliku z drewna tekowego. - Tobie też zrobić?

- Nie, dzięki. Wypiłem już tyle, że mi uszami wychodzi.

- Co się dzieje? - zapytał Rodgers, nalewając sobie kawy.

- Rano rozmawiałem z senatorem Debenportem. Chce, żebym zrobił duże cięcia w budżecie.

- Większe niż cztery procent, na które zgodziliśmy się ostatnio?

- O wiele większe - odparł Hood. - Pięć razy większe.

- To absurd - powiedział Rodgers. Wrócił z kubkiem i wziął łyk. - To już nie redukcja, tylko amputacja.

- Wiem - powiedział Hood.

- Ile możesz z tego zbić?

- Nawet centa.

- E tam. Wszystko jest do negocjacji.

- Nie, jeśli jest się politykiem w blasku reflektorów.

- Kto jak kto, ale ty wiesz, jak to jest.

- Tak - powiedział Hood. - Ludzie chcą czuć się bezpiecznie, komisja chce im to zapewnić w możliwie najbardziej spektakularny sposób. A do tego potrzeba pieniędzy.

Ta rozmowa budziła coraz większy niepokój Rodgersa. Hood o nic nie pytał, stwierdzał tylko fakty, jakby szykował się do przedstawienia jakiejś tezy.

- Musimy zrezygnować z działalności w obszarach, które pokrywają się z kompetencjami innych agencji - ciągnął Hood.

- Masz na myśli moją sekcję.

- Tak, Mike.

W głosie Hooda było coś, co wskazywało, że jeszcze nie skończył.

- A co ze mną? - spytał Rodgers.

- Chcą, żebym połączył stanowisko oficera politycznego ze stanowiskiem zastępcy dyrektora - powiedział Hood.

- Rozumiem. - Rodgers upił mały łyk kawy. Potem następny. - Ron Plummer ma lepsze kwalifikacje na moje stanowisko niż ja na jego - powiedział. - Kiedy mam się stąd wynieść?

- Mike, musimy porozmawiać...

- Porozmawiaj z Liz Gordon. Ona jest od tego.

- Nie, zależy mi na tym, żebyśmy dobrze się zrozumieli - powiedział Hood. - Nie chciałbym, żeby to zniszczyło naszą przyjaźń.

Rodgers aż się wzdrygnął na te słowa. Sam nie wiedział, dlaczego.

- Nie przejmuj się. Najwyższy czas, żebym coś zmienił. Armia przydzieli mi inne stanowisko. A może w ogóle zmienię branżę.

- Może udałoby się wyprowadzić na zewnątrz część naszych działań, moglibyśmy współpracować z tobą przy scenariuszach kryzysów - powiedział Hood.

- Wolałbym rozważyć inne możliwości - odparł Rodgers.

- W porządku. Jakby co, propozycja jest aktualna.

- To była propozycja? - spytał Rodgers. - Ja słyszałem „może”.

- Proponowałem, że spróbuję znaleźć projekty...

- Żebym miał czym zabić czas? - powiedział Rodgers.

- Nie - odparł Hood. - Chodziłoby o zadania dla wyjątkowo wykwalifikowanego profesjonalisty.

Rodgers pociągnął łyk kawy i wstał. Nie chciał dłużej rozmawiać. Nie wątpił, że Hood zrobił wszystko, by go tu zatrzymać. Może nawet zagroził rezygnacją. W końcu jednak postanowił zostać i postawić „przyjaciela” w obliczu zimnych faktów.

- Kiedy komisja chce, żebym się stąd wyniósł?

- Mike, nikt tego nie chce - powiedział Hood. - Gdyby tak było, załatwilibyśmy to po oficjalnym rozwiązaniu Strikera.

- Fakt - powiedział Rodgers. - Idzie o likwidację stanowiska, nie człowieka. Wolałbym podać się do dymisji niż zostać zwolniony. Tak zachowam trochę więcej godności.

- Rozumiem - powiedział Hood.

- Ile czasu potrzeba Plummerowi na przejęcie moich obowiązków?

- Dwa tygodnie? - zaryzykował Hood.

- W porządku. - Rodgers ruszył do drzwi.

- Mike...

- Wszystko gra. Naprawdę.

- Chciałem tylko powiedzieć, że współpraca z tobą była dla mnie zaszczytem.

Rodgers zatrzymał się w pół kroku. Pieprzyć to, pomyślał. Był żołnierzem, nie dyplomatą. Odwrócił się.

- A nie byłoby zaszczytem podać się ze mną do dymisji? - spytał.

- Gdybym wiedział, że w ten sposób skłonię Debenporta do zmiany decyzji, zrobiłbym to - powiedział Hood.

- Czyli traktujesz to jako manewr - stwierdził Rodgers. - Taktykę. A gdzie honor?

- Harakiri byłoby próżne, nie honorowe. To byłby akt kapitulacji.

- Tak nazywasz wsparcie przyjaciela i współpracownika?

- W tym przypadku, owszem.

- Jezu - powiedział Rodgers. - Dobrze, że tacy, jak ty nie osłaniali mojego tyłka w Wietnamie. Dziś leżałbym gdzieś pod kupą kamieni.

- Nie jesteśmy na polu walki, Mike. To polityka. Bronią są słowa i wpływy. Ludzie nie giną, tylko idą w odstawkę, zmieniają barwy, przegrupowują się. Tak to już jest. Niektórzy kierują się wybujałym poczuciem własnej wartości, inni zasadami. Ja objąłem to stanowisko, by służyć obywatelom Stanów Zjednoczonych. To dla mnie świętość. Nie zrezygnuję z tego dla dramatycznego gestu, który niczego nie zmienia.

- Tym dla ciebie jest lojalność? Dramatycznym gestem? Uratowanie twojej córki też było dramatycznym gestem?

- To nie fair. Jesteśmy na celowniku ludzi, których nawet nie znamy. Przystaliśmy na to, przychodząc tu. Zgodziliśmy się chronić nasz kraj i jego interesy.

- Nie potrzebuję kazań. Całe dorosłe życie służę krajowi.

- Wiem i dlatego powinieneś wiedzieć, co znaczy pracować w agencji rządowej. Pod tym względem Centrum podobne jest do wojska. Odbijają się na nas trendy polityczne, kaprysy opinii publicznej. Ktokolwiek zajmuje ten gabinet, musi radzić sobie przy użyciu środków, jakie dostaje. Także wtedy, kiedy są mu one odbierane.

Rodgers pokręcił głową.

- Jak kolaboranci z Vichy.

Twarz Hooda nie była już obojętna. Drgnął, jakby dostał cios w podbródek.

- Przepraszam - powiedział Rodgers. - Nie sugeruję, że jesteś tchórzem.

- Wiem - odparł Hood.

Zapadła niezręczna cisza. Hood wstał i podszedł do Rodgersa z wyciągniętą ręką. Generał podał mu dłoń. Uścisk Hooda był zaskakująco ciepły.

- Daj znać, gdybyś czegoś potrzebował - powiedział. - Albo, jeśli wolisz, porozmawiaj z Bobem.

- Nie, zgłoszę się do ciebie.

- W porządku. - Hood nie puszczał jego ręki. - Mike, chcę, żebyś mi uwierzył. Przez Centrum straciłem rodzinę. Jeśli stracę twoją przyjaźń, a nawet szacunek, będę musiał z tym żyć. Ale chcę, żebyś wiedział, że łatwiej byłoby mi odejść niż postąpić tak, jak postąpiłem. Wspomniałeś o lojalności. Zrobiłem to, co moim zdaniem było najlepsze dla Centrum, a nie co wygodne, korzystne czy choćby dobre dla mnie.

- Wierzę ci, Paul. Tylko się z tobą nie zgadzam.

- Niech ci będzie. Ale powiem ci jeszcze jedno: gdyby istniał ruch oporu przeciwko komisji do spraw służb specjalnych, wstąpiłbym do niego.

- Możemy sami go zorganizować - stwierdził Rodgers. - Będę miał sporo wolnego czasu.

- Wątpię.

- Pożyjemy, zobaczymy - odparł Rodgers i zabrał rękę. Poczul się lepiej po tym, jak dogryzł zgrywającemu niewiniątko Hoodowi. Rozumiał jego stanowisko, ale się z nim nie zgadzał. Przyjaciół nie zostawiało się w potrzebie. Koniec, kropka.

Poszedł do swojego gabinetu. Czy raczej gabinetu Rona Plummera. Już czuł się tu nieswojo, jak podoficer opróżniający szafkę poległego żołnierza. Zmusił się, by wybiec myślą w przyszłość, do spotkania z senatorem Orrem i tego, co nastąpi później.

Odrobina anarchii. Taką miał nadzieję.

Był w odpowiednim nastroju.

Rozdział 7

Waszyngton Poniedziałek, 9.27

Hood już miał wezwać Rona Plummera, kiedy ktoś zadzwonił na miejską linię. Zerknął na numer na wyświetlaczu. Była żona. Nie miał ochoty z nią teraz rozmawiać. Ostatnio ciężko im się było porozumieć. Sharon wciąż miała do niego pretensje, że po przeprowadzce do Waszyngtonu rzadko ich odwiedzał. Hood był na nią zły, że nie potrafiła docenić pracy, jaką wykonywał w Centrum. Ale to nie miało znaczenia. A jeśli coś stało się dzieciom?

- Cześć, Sharon. - Starał się przybrać uprzejmy ton.

- Cześć, Paul. Masz chwilkę?

- Jasne - powiedział. Sharon sprawiała wrażenie, jakby była w wyjątkowo dobrym humorze.

- Chciałabym cię prosić o przysługę - powiedziała. - Pamiętasz Jima Hunta?*

- Tego od cateringu?

- Jest restauratorem, zajmuje się obsługą prywatnych przyjęć - uściśliła.

Sharon poznała Hunta przed laty, kiedy jeszcze prowadziła własny program kulinarny. Od czasu do czasu chodzili razem na lunch. Ostatnio, jak Hood dowiedział się od dzieci, często jadali razem kolację.

- Jego syn Franklin jesienią zaczyna studiować nauki polityczne na uniwersytecie w Georgetown - ciągnęła Sharon. - Dostanie dodatkowe punkty, jeśli na wakacjach odbędzie staż w agencji rządowej. Nie znalazłoby się dla niego jakieś zajęcie w Centrum? To bardzo bystry chłopak, Paul.

Była żona, która zawsze wyrzucała mu, że tyle czasu spędza w Centrum, teraz prosi go, by załatwił tu staż synowi swojego faceta. W dodatku zwraca się z tym w dniu, kiedy dostał polecenie przeprowadzenia zwolnień. Cóż, nieszczęścia chodzą parami.

- Jest coś, co go szczególnie interesuje? - spytał Hood. W zasadzie miał to gdzieś, ale musiał zyskać na czasie, by się zastanowić, czy naprawdę chce jej pomóc.

- Uczy się języków i czytania map. Zna francuski, chodzi na lekcje japońskiego. Nawet uczy Harleigh podstaw japońskiej gramatyki. Ale przyjmie każdą pracę, na dowolnym stanowisku.

- Popytam ludzi - powiedział Hood. Postanowił, że to zrobi, choć Centrum rzadko zatrudniało stażystów, i to tylko na prośbę wpływowych kongresmanów. - Ale z góry uprzedzam, że obcięli nam dziś budżet. Mogą być kłopoty ze znalezieniem miejsca.

- Nie będziecie mu musieli płacić.

- Rozumiem - powiedział Hood. - Chodzi o to, że ludzie mają inne sprawy na głowie.

- Aha - odparła Sharon. Sądząc po tym, jak przeciągnęła drugą sylabę, nie była zadowolona z jego odpowiedzi. - Kiedy będziesz coś wiedział? Bo jeśli Frankie nie dostanie stażu u ciebie, będzie musiał zacząć szukać gdzie indziej.

- Daj mi dzień-dwa, zobaczę, jak wygląda sytuacja.

- Dzień, nie więcej - stwierdziła Sharon. - Musimy mieć czas, by rozważyć inne możliwości. Dzięki.

Nie spytała o zwolnienia. Kiedyś Centrum było jej wrogiem, rywalem w walce o względy męża. Teraz widziała w nim wyłącznie dawcę narządów, martwą istotę, która od czasu do czasu mogła się przydać. W dodatku mówiła o sobie i Jimie „my”. Hood poczuł lekkie ukłucie zazdrości, nie dlatego, że Sharon kogoś znalazła, lecz dlatego, że aktywnie uczestniczyła w życiu Hunta. Sprawy zawodowe Hooda nigdy tak jej nie zajmowały. Nawet ich dzieci zaprzyjaźniły się z synem Jima. Powinien się z tego cieszyć, ale nie potrafił.

Pogadali jeszcze trochę o dzieciach. Sharon powiedziała, że Harleigh ma się już lepiej i nawet znów gra na skrzypcach. Alexander nic, tylko gra na komputerze, słucha za dużo rapu i nie przykłada się do nauki. Hood obiecał, że wpadnie we wtorek lub środę i z nim porozmawia. Sharon powiedziała, że wtorek pasowałby lepiej, bo wtedy ma pomagać Jimowi w pracy. I odłożyła słuchawkę.

Zazdrościł jej. Miała starego znajomego, do którego mogła się zwrócić, kogoś, kto znał ją dłużej od niego. Niewykluczone, że Jim Hunt rozwiódł się właśnie dlatego, że usłyszał, iż Sharon znów jest do wzięcia.

Hood odchylił się na oparcie i wsłuchał w ciszę. Gdyby zrobiło się jeszcze jeden decybel ciszej, byłoby tu jak w grobie. Rodgers pewnie nie rozmawiał jeszcze z nikim o tym, co się stało, ale pracownicy wywiadu potrafili wyczuć, że coś wisi w powietrzu. Za to im płacono.

Hood żałował, że nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać. Jeszcze nigdy nie czuł się tak samotny. A podejrzewał, że naprawdę ciężkie chwile nadejdą, kiedy Lowell Coffey, Darrell McCaskey, a zwłaszcza Bob Herbert usłyszą o redukcjach. I o odejściu Mike'a Rodgersa.

Cóż, nie zwykł użalać się nad sobą. Dorośli ludzie dokonywali wyborów i żyli z ich

konsekwencjami. Jednak po raz pierwszy nie mógł liczyć na niczyje wsparcie.

Dlatego właśnie ożeniłem się z Sharon, przypomniał sobie. Nancy Jo odeszła, a on poślubił pierwszą kobietę, która pomogła mu zapomnieć o bólu. Niestety, Sharon nie wypełniła pustki.

Chciał z kimś porozmawiać. Z przyjacielem, nie specjalistą.

Pomyślał, że mógłby zadzwonić do Ann Farris. Była rzeczniczka prasowa Centrum długo walczyła o jego względy. On jednak był wtedy żonaty, a po rozwodzie nie czuł już tego napięcia, dreszczyku emocji, jaki wcześniej towarzyszył jego kontaktom z Ann. Ona nadal chciała z nim być, ale uczucia Hooda do tej rozwiedzionej młodej matki nie były dość silne. Dlatego postanowił także teraz do niej nie dzwonić. To byłoby wobec niej nie fair.

Mógłby zadzwonić do Daphne Connors. Z drugiej strony, po kilku spotkaniach z tą królową public relations doszedł do wniosku, że zawsze pozostaną tylko przyjaciółmi. Gdziekolwiek byli, w restauracji, kinie czy barze, Daphne podsłuchiwała rozmowy toczące się wokół. Nigdy nie przestawała szukać nowych klientów i użytecznych informacji. Hood może i był pracoholikiem, ale nie wnosił pracy za próg Centrum.

Kusiło go, by zadzwonić do Siergieja Orłowa, szefa Centrum Szybkiego Reagowania w Sankt Petersburgu. Zaprzyjaźnili się, kiedy wspólnie zapobiegli przewrotowi na Kremlu. Siergiej jednak nie był człowiekiem, z którym rozmawiało się przez telefon. Z nim trzeba było posiedzieć przy wielkiej misie uchy i wódce pitej z dwudziestopięciogramowych kieliszków.

No dobra, pomyślał. Mam jeszcze dużo roboty.

Ponieważ nie znalazł nikogo, z kim szczególnie chciałby porozmawiać, zadzwonił do osoby, do której zadzwonić musiał. Wezwał Rona Plummera. Dla Plummera dobro zespołu było najważniejsze. Owszem, będzie mu przykro z powodu odejścia Rodgersa, ale weźmie na siebie wszystkie obowiązki, jakie Hood mu przekaże.

Wystukując numer Plummera, Hood nagle poczuł się niepewnie na myśl o własnej przyszłości. Ludzie z natury chcą budować, nie nadzorować rozbiórkę. On sam liczył na to, że Centrum odgrywać będzie coraz ważniejszą rolę w dziedzinie wywiadu i zarządzania kryzysowego. To, co stało się dziś, było krokiem w złym kierunku. Tu nie chodziło już o odchudzenie struktury Centrum, zmniejszenie biurokracji czy likwidację dublujących się działów. Centrum Szybkiego Reagowania zostało po prostu wypatroszone. Hood nadal będzie miał dużo pracy, ale na ile będzie ona istotna? Co się stanie z Centrum? Co się stanie z nim samym?

- To chyba zależy tylko od ciebie, co? - spytał sam siebie na głos, żeby przerwać ciszę.

Wezwał Plummera. Wszystko po kolei. W końcu w tym właśnie Centrum się specjalizowało.

W zarządzaniu kryzysowym.

Rozdział 8

Las Vegas Poniedziałek, 7.43

Czteropiętrowa, zbudowana z białej cegły Atlantica była jednym z najstarszych i najskromniejszych hoteli na południowym końcu Strip. Nie było tu ani tańczących fontann, ani klatek z dzikimi zwierzętami, ani odtworzonych w skali jeden do dwóch znanych zabytków. Kiedy otwierano ją przed trzydziestoma siedmioma laty, była, jak głosił błyskający czerwony neon w oknie, Deluxe!. Teraz z dawnej chwały pozostała tylko dogodna lokalizacja w pobliżu wszystkich najważniejszych kasyn.

W Atlantice było też względnie tanio. Turyści przyjeżdżali, zostawiali w niej bagaże i szli do większych hoteli grać lub oglądać show. Dlatego też panował tu spory ruch. Łatwo było o zachowanie anonimowości. Miejsce w sam raz dla Toma „Wytapiacza” Mandora.

Trzydziestosiedmioletni mężczyzna wjechał białą furgonetką marki Toyota na drugi poziom parkingu. Zatrzymał się na miejscu z widokiem na hotel, odpiął pas, zapalił ręcznie skręconego papierosa. Czekał na Richmonda. Bezwiednie bębnił palcami w kierownicę, ale nie znaczyło to, że się niecierpliwił. Mandor nigdy się nie spieszył. Przez dwanaście lat pracy na platformie wiertniczej nauczył się podchodzić do wszystkiego na luzie. Jak wszyscy pracownicy. Inaczej w wolnych chwilach zwariowaliby z nudów i rozszarpali się na kawałki. To w czasie trzyletniego pobytu na Alaskan North Shore Mandor poznał Michaela Wayne’a Richmonda, kierowcę ciężarówki w firmie spedycyjnej Trans-Eastern Shipping. Richmond woził ropę na statki płynące do Korei Południowej i Japonii. To właśnie wtedy wpadli na pomysł, by zmienić branżę.

Stary thunderbird Richmonda przyjechał po kwadransie. Niewysoki Mandor wysiadł z furgonetki i zszedł betonowymi schodami na dół. To jego wspólnik zorganizował to spotkanie, nie chciał więc iść bez niego.

Mimo wczesnej pory było gorąco, prawie trzydzieści stopni. Pustynne powietrze było suche. Kiedy Mandor wyjeżdżał przed świtem z domu na południowozachodnim brzegu jeziora Mead, było chłodno; całe szczęście, że mimo to włożył bermudy i biały T-shirt.

Las Vegas na ogół późno budziło się do życia, ale człowiek, z którym byli umówieni, przyjechał z Maryland i wciąż funkcjonował według czasu wschodniego. W małym kasynie Atlantiki nie było żywej duszy. Mandor stanął w drzwiach i popatrzył na automaty, jakby

zastanawiał się, czy zagrać.

W rogu sufitu tkwiło duże wypukłe lustro” w którym pracownicy recepcji mogli widzieć kasyno. Mandor obejrzał w nim hol hotelu. Wysoki, potężnie zbudowany Richmond stał przy windach i rozmawiał przez wewnętrzny telefon. Kiedy odłożył słuchawkę, Mandor podszedł do niego.

Nie przywitani się. W holu były kamery. Podeszli do windy, Richmond wcisnął przycisk. Drzwi rozsunęły się i weszli do środka. Richmond wcisnął guzik czwartego piętra. Wyszli razem, ale poszli w przeciwnych kierunkach, bo w windzie też była kamera. Za to korytarz czwartego piętra był czysty. Ledwie drzwi zamknęły się za nimi, Mandor odwrócił się i ruszył za swoim współnikiem.

- Jak się jechało? - rzucił łysy Richmond przez ramię.

- Super - odparł Mandor, doganiając go. Klepnął starego druha w ramię. Lubił go i szanował. - O tej porze nie ma ruchu.

- No - powiedział Richmond. - Przyjechałem z Oceanside w cztery godziny.

Richmond mieszkał w domku wysoko w Górach Nadbrzeżnych na południu Kalifornii. Sam go zbudował przed czterema laty. Po wielu latach spędzonych w zimnym Chicago - był jednym z pięciorga dzieci wychowywanych przez samotną matkę w ciasnym mieszkaniu na South Side - i na Alasce zapragnął powygrzewać się w słońcu. Mandor też o tym marzył, choć chciał mieć dom nad wodą.

Richmond nie znał Erica Stone'a, człowieka, który do nich zadzwonił. Stone powiedział tylko, że polecił mu ich Pete z firmy naftowej. Peter Farmer był brygadzystą na ostatniej platformie, na której pracował Mandor. Richmond nagrał rozmowę i uprzedził o tym Stone'a. Kazał mu oświadczyć, że nie jest agentem służb specjalnych i że to nie żadna prowokacja.

Wiedzieli więc już, czym to spotkanie nie będzie. Teraz pora dowiedzieć się reszty. Richmond zadzwonił do Pete'a, by upewnić się, że Stone jest w porządku. Pete to potwierdził, ale nie wiedział, czego gość właściwie od nich chce.

Zatrzymali się pod drzwiami pokoju 515 i Richmond zapukał. Mandor odgarnął sięgające ramion szpakowate włosy. Nie lubił wiązać ich w kucyk. Nie tolerował wszelkiego rodzaju więzów. Dlatego właśnie trafił do branży naftowej. W wieku dwudziestu lat, w rodzinnym Toledo w stanie Ohio pobił byłego chłopaka Noel Lynch, kiedy przyłapał ich razem. Żeby uniknąć sprawy sądowej i prawdopodobnego więzienia, uciekł do Meksyku, a stamtąd do Wenezueli, gdzie dostał pracę na platformie wiertniczej. Spodobało mu się to. O dziwo, polubił silny wiatr, przenikliwie zimno i niekończącą się harówkę. Kiedy poczuł, że

popada w rutynę, pojechał na Alaskę. Gdy i tam mu się znudziło, znaleźli sobie z Richmondem nową fuchę. Taką, która nie wymagała ponoszenia kosztów ogólnych, reklamowana była wyłącznie ustnie i nie podlegała opodatkowaniu. Zostali oprychami do wynajęcia.

Zaczęli już na Alasce. Kiedy obrońcy środowiska stawali na drodze cystern albo blokowali dostęp do platform, Richmond z Mandorem wywozili organizatora protestu - lub jego żonę, jeśli zabrał ją ze sobą - na odludzie i przekonywali, by swoje pretensje zgłaszali gdzie indziej. Obicie gęby było tańsze, szybsze i skuteczniejsze od wynajęcia adwokata. Poza tym pozwalało uniknąć angażowania policji, aresztowania bowiem tylko opóźniały protesty, ale ich nie eliminowały.

Praca ta okazała się więcej niż lukratywna. Jeszcze w Punta Cardon Mandor dowiedział się, że Noel wyszła za tego dumia, którego zmasakrował. Pewnie dlatego, że żal jej się zrobiło faceta ślepego na jedno oko. Biorąc się do bicia, Mandor zawsze wyobrażał sobie, że daje w mordę temu zarozumiałemu futboliście. Niektórzy nazwaliby to przejawem socjopatii, dla niego jednak było to katharsis. Uważał, że gdyby wszyscy lubili swoją robotę tak jak on, świat byłby lepszy.

Drzwi otworzył im niski, elegancko ubrany mężczyzna. Miał około trzydziestu lat, słomkowe włosy i dziecinną twarz.

- Pan Stone? - powiedział Richmond.

- Tak. Pan Richmond?

Richmond skinął głową. Stone spojrzał na Mandora.

- Pan Mandor?

- Tak - odburknął Mandor. Nie mógł się zmusić, by mówić do tego małolata per „pan”.

- Wejdźcie - powiedział Stone i odsunął się na bok.

Richmond wszedł pierwszy.

- Skąd zna pan Pete'a? - spytał w małym przedpokoju.

Mandor wszedł za nim i Stone zamknął drzwi. Pokój był nieduży, z wielkim łóżem, kuchenką i małą jadalnią. Zasłony były zaciągnięte, paliły się wszystkie światła.

- Zanim odpowiem, mogę zrobić skan Raw? - spytał Stone.

- To znaczy? - odparł Richmond.

- Chodzi o wyszukiwanie fal radiowych - powiedział Stone. - Chcę się upewnić, czy nie nadajecie do kogoś na zewnątrz.

- W porządku.

Mandor wzruszył ramionami.

Stone podszedł do stojaka na bagaże u stóp posłanego łóżka. Wyjął aparat przypominający małą latarkę ze słuchawką. Włożył słuchawkę do ucha i powoli omiół gości snopem bladożółtego światła. Wynik badania wyraźnie go zadowolił.

- Poczęstujecie się czymś? - spytał Stone. - Może się czegoś napijecie?

- Ja dziękuję - powiedział Richmond.

- Ja też - dorzucił Mandor.

- To jak to było z tym Pete'em? - nie ustępował Richmond.

- Peter jest starym znajomym mojego pracodawcy. - Stone wyjął telefon komórkowy z wewnętrznej lewej kieszeni eleganckiej czarnej marynarki. - Może pan do niego zadzwonić. Poręczy za nas.

- Już z nim rozmawiałem - odparł Richmond. - Stwierdził, że jest pan w porządku, ale nie powiedział, dla kogo pan pracuje. Ani czego pan chce.

- Ani ile płaci - dodał Mandor. Tylko to go interesowało. Za odpowiednią cenę gotów był zrobić praktycznie wszystko dla każdego.

Stone usiadł w jednym z wiklinowych foteli obok małego stołu w jadalni. Wskazał gestem, by też usiedli. Richmond zajął drugi fotel. Mandor przycupnął na skraju łóżka.

- Pracuję dla dżentelmena, który jest oficerem wywiadu i politykiem mającym licznych zwolenników w świecie biznesu - powiedział Stone. - Peter Farmer jest jednym z nich. Kiedy nadejdzie czas, by powiedzieć wam coś więcej, będziecie dumni, że wspieracie naszą sprawę.

- Serio? - spytał Richmond lakonicznie.

- Zakładając, że ją wesprzemy - powiedział Mandor. Nie wiedział, jak Richmond, ale on nie zamierzał zgadzać się na cokolwiek z góry. - Chce pan, żebyśmy mu ufali, ale nam pan nie ufa.

- To przywilej pracodawcy - powiedział Stone.

- Jeszcze nie zostaliśmy pracownikami - odparował Mandor.

- To prawda - powiedział Stone. - Zobaczmy, czy da się coś na to poradzić.

Wygadany facet, pewnie prawnik. Nie podobał się Mandorowi. Stone uśmiechnął się z zadowoleniem i wsunął szczupłą dłoń do kieszeni koszuli. Wyjął małą szarą kopertę i położył ją na stoliku. Brzęknęła cicho.

- W środku są dwa kluczyki - powiedział. - Pierwszy od ciemnofioletowej furgonetki Dodge zaparkowanej na najniższym poziomie parkingu. Dokumenty wozu zostały wystawione na pańskie nazwisko, panie Richmond. Drugi otwiera skrytkę w Las Vegas

International Trust and Fund Company na Flamingo Avenue. Leży tam dwadzieścia pięć tysięcy dolarów gotówką. To połowa wynagrodzenia za trzy dni pracy. Mam mówić dalej?

Richmond i Mandor spojrzeli na kopertę, a potem na siebie nawzajem.

- Do czego ta furgonetka? - spytał Richmond.

- Z przyciemnianymi, kuloodpornymi szybami - uściślił Stone.

- Proszę dalej - powiedział Richmond.

- Ma pan domek w górach w Fullbrook, panie Richmond - ciągnął Stone. - Od najbliższych sąsiadów dzieli pana kawał drogi.

- Zgadza się. Czasem ludzie przyjeżdżają w nocy na grań oglądać widoki.

- Widzą stamtąd pański dom? - spytał Stone.

- Nie.

- To dobrze. Pojutrze o szóstej rano ktoś tam do pana zadzwoni - powiedział Stone. - Poprosi, żeby gdzieś pan pojechał, coś zabrał i wrócił do domu. Tam pan zaczeka, aż przyjdzie polecenie, by odbyć jeszcze jeden kurs. I tyle.

- To wszystko? - zdziwił się Richmond.

- Mniej więcej. Przynajmniej jeśli chodzi o pana. - Stone spojrzął na Mandora. - Pan pojedzie do San Diego. Będzie pan pracował jako ochroniarz. W gruncie rzeczy będzie pan musiał tylko siedzieć.

- To wszystko jest dość niejasne, panie Stone - zauważył Mandor.

- Dopiero co się poznaliśmy.

- Czyli możemy liczyć tylko na buziaka na dobranoc - zażartował Richmond.

- No właśnie - powiedział Mandor ze śmiechem. - Zakładam, że to, co mamy zrobić, jest niezgodne z prawem.

- Prawo nie zawsze przystaje do rzeczywistości - powiedział Stone.

- Tak czy inaczej, za jego łamanie idzie się za kratki - stwierdził Mandor. - Panie Stone, dwadzieścia pięć patoli na twarz to niezła kasa, muszę przyznać. I rozumiem, że konieczne są nadzwyczajne środki bezpieczeństwa. Ale cała ta tajemniczość mnie niepokoi. I to bardzo.

- Możecie się wycofać - powiedział Stone.

- Obaj? - spytał Richmond. - Bo ja gotów jestem panu zaufać.

- To robota dla dwóch ludzi, którzy mają doświadczenie i nie pękają pod presją - powiedział Stone. - Sprawdziłem was, panie Richmond. Ale jeśli zna pan kogoś innego...

- To nie będzie konieczne - wtrącił Mandor. - Wchodzę w to. - Do odważnych świat należy. Skoro Richmond się zgodził, on też mógł.

- Bardzo się cieszę - powiedział Stone. - I nie obawiajcie się, panowie. Jak sam pan zauważył, panie Mandor, kasa jest niezła. Ale to nie wszystko. Możecie liczyć na dodatkowe korzyści, które, zapewniam, będą naprawdę niesamowite.

- Czyli będą następne zlecenia? - spytał Richmond.

- Na razie to tylko mała część wielkiego przedsięwzięcia - odparł Stone. - Jeszcze nie jesteście w stanie docenić, jak znaczącą odegracie w nim rolę. Kiedy nadejdzie właściwy moment, będziecie mieli uzasadnione powody do zadowolenia.

- Może zabrzmi to małowartościowo, ale mnie pieniądze wystarczą - powiedział Mandor.

- To wcale nie jest małowartościowe, panie Mandor - powiedział Stone. - To jeden z powodów, dla których powstał ten kraj. By ludzie mogli swobodnie się bogacić.

Mandorowi to się spodobało. Chciwość jako przejaw patriotyzmu.

Rozmowa szybko dobiegła końca. Richmond i Mandor zamienili w drodze do windy kilka słów. Richmond schował kopertę do kieszeni koszuli.

- Wazeliniarz, co? - powiedział Mandor.

- I to jaki - odparł Richmond. - Co znaczy, że musi mieć niezłe dojścia. Inaczej tak by się nie puszył.

- Zgadza się.

- Zjedźmy na dół oddzielnie - powiedział Richmond. - Spotkamy się przy tej furgonetce od niego.

- Czemu? Myślisz, że to pułapka?

- Nie, chyba wszystko gra - odparł Richmond. - Ale ciągle nie wiemy, co z niego za jeden, może ktoś ma go na oku, a jeśli tak, mogą chcieć nas zgarnąć, żeby dowiedzieć się, co nam powiedział. W razie czego jeden z nas musi robić za złotą rączkę.

Na platformach wiertniczych złotą rączką nazywano człowieka, który kręcił się w pobliżu pracowników i wkraczał do akcji tylko w razie konieczności - kiedy ktoś zrobił sobie krzywdę albo gdy nawalał sprzęt.

Richmond zjechał na dół pierwszy. Mandor czekał kilka minut i wszedł do windy. Spotkali się przy ciemnografitowej furgonetce.

- Wszystko się zgadza - powiedział Richmond. - Z tyłu podłoga jest lekko podniesiona. Pod spodem jest duży schowek.

- Jak myślisz, na co? - spytał Mandor. - Narkotyki? Nielegalnych imigrantów?

Richmond wzruszył ramionami.

- Czy to ważne? Nieraz już przejeżdżałem przez granicę autostradą 115 i nikt nigdy mnie nie zatrzymał.

Mandor nachylił się do swojego współnika.

- A jeśli trzeba będzie kogoś załatwić? - spytał głośnym szeptem.

Richmond przez chwilę milczał.

- Nawet jeśli, to co?

- Taką kasę dostaje się za brudną robotę. To byłby nasz pierwszy raz. Chcesz tego?

Richmond spojrział na przyjaciela.

- Jeśli drapną nas za to, co robiliśmy do tej pory, dostaniemy dziesięć do dwudziestu lat. Dla ludzi w naszym wieku to prawie jak dożywocie. Mam za mało kasy, żeby przejść na emeryturę. A ty?

- Też.

- No to nie ma o czym gadać, zrobimy to. Po prostu będziemy uważać na każdym kroku.

Mandor wyjął z kieszeni koszuli papierosa i zapalił. Richmond miał rację. Co za różnica, co będą musieli zrobić? Ryzyko jest nieodłączną częścią każdej pracy. Na platformie co dzień stał w obliczu najprzeróżniejszych zagrożeń, od pożarów przez wybuchy w pompowni po zmęczenie metalu, które mogło skończyć się rozpadem całej konstrukcji. Gdyby pracował w fabryce, mógłby mieć wypadek albo wylecieć z roboty. Każdy dzień, każdy oddech niesie ze sobą ryzyko. A rzadko zdarzało się, by było ono tak dobrze płatne.

- Wiesz co? - powiedział Richmond po chwili namysłu. - Chodźmy rzucić okiem na kasę. Od razu poczujesz się lepiej.

- Dobra.

- Wóz zostawimy tu do jutra - powiedział Richmond. - Nie chcę, żeby nasz przyjaciel pomyślał, że jesteśmy nieostrożni albo przewidywalni. Odbierzesz go później.

Mandor przytaknął. Wrócili do swoich samochodów i pojechali do Flamingo. Mandor, lawirując wśród nielicznych o tej porze aut, zapalił drugiego papierosa.

Logika nakazywała przyjąć tę propozycję. Pete Farmer poręczył za Stone'a. Sam Stone zaufał im na tyle, by zapłacić sporą zaliczkę. Żeby dostać resztę - i liczyć na następne fuchy - musieli tylko postępować zgodnie z instrukcjami. Nic łatwiejszego. Jedno tylko w tej robocie niepokoiło Mandora bardziej niż we wszystkich dotychczasowych. Lubił wszystkich innych zleceniodawców - bukmacherów i gangsterów, którzy napuszczali ich na zatwardziałyh dłużników - i im ufał. Rozumiał ich. Eric Stone był dla niego zagadką.

Ale jak powiedział Richmond, będą uważać na każdym kroku. Jakkolwiek na to spojrzeć, pod jednym względem mieli nad Stone'em przewagę.

Gdyby sprawa się ryła, to jego będą mogli wsadzić do tego schowka pod podłogą.

Rozdział 9

Waszyngton Poniedziałek, 10.59

To był jeden z tych dni, kiedy Darrell McCaskey pracował dla wszystkich oprócz własnego szefa.

Agenci FBI i ich przełożeni nazywali to „wymianą taktyczną”; chodziło o sytuacje, kiedy poszczególne służby „wypożyczały” sobie pracowników. Czasem oficjalnie i na czas nieokreślony, jak to było w przypadku generała Rodgersa i Centrum Szybkiego Reagowania. Częściej jednak odbywało się to nieoficjalnie, na dzień-dwa, jak wtedy, gdy Darrell przyszedł z pomocą straży pocztowej.

Czy kilka godzin później, kiedy Scotland Yard poprosił go o pomoc w śledztwie w sprawie nagłej śmierci Williama Wilsona. Nadinspektor George Daily z wydziału specjalnego dostał polecenie od zastępcy komendanta, by upewnić się, że nie doszło do zabójstwa. McCaskey współpracował z pięćdziesięciosiedmioletnim Dailym dziesięć lat wcześniej przy międzynarodowym dochodzeniu w sprawie uprowadzeń kobiet chińskiego pochodzenia ze Stanów Zjednoczonych i Hongkongu. Wywożono je do Chin, by dać zastrzyk świeżej krwi pokoleniu przetrzebionemu w wyniku polityki ścisłej regulacji urodzeń. Pekin zaczął się obawiać, że przy obecnej liczbie dzieci w przyszłości może mu zabraknąć żołnierzy i robotników. Siatka została rozbita, ale współpracujący z nią urzędnicy państwowi uniknęli kary.

- Jestem pewien, że lekarz sądowy zna się na swoim fachu - powiedział McCaskey staremu znajomemu.

- W to nie wątpię - odparł Daily. - Ale z uwagi na osobę zmarłego sprawa budzi duże zainteresowanie. Zastępcy komendanta byłoby lżej na sercu, gdyby ciało obejrzał ktoś z doświadczeniem w sprawach kryminalnych.

- Macie informacje, że pan Wilson mógł być celem ataku jakiejś grupy? - spytał McCaskey.

- Żadnych.

- Czyli to tylko pro forma.

- Miejmy nadzieję - odparł Daily. - Wolelibyśmy nie znaleźć dowodów wskazujących, że doszło do przestępstwa.

McCaskey spojrział na zegarek.

- Dobrze, George. Zadzwoń do paru osób, jeszcze dziś umówię się na spotkanie. Jak już będzie po wszystkim, zadzwonić do ciebie do domu?

- Byłbym zobowiązany - powiedział Daily.

- Numer ci się nie zmienił? Nadal mieszkasz w Kensington?

- Jak to mówiła wasza kawaleria? Nie wrócę, „dopóki wróg nie zostanie schwytany lub zniszczony”. Będę tu, dopóki kawaleria nie wyciągnie mnie stąd siłą albo żona nie wyrzuci mnie za drzwi.

McCaskey roześmiał się. Lubił Daily’ego. Facet poważnie traktował każde śledztwo, ale do siebie podchodził z dystansem. Zazdrościł mu też udanego małżeństwa. Pamiętał, że kiedy pracował z nim w Londynie, Lucy Daily otwarcie okazywała dumę z męża. W dzieciństwie przeżyła niemieckie naloty, teraz stała twardo po stronie prawa i jego stróżów.

McCaskey odłożył słuchawkę i zadzwonił do znajomego z FBI, zastępcy dyrektora Bradena i poprosił o spotkanie z lekarzem sądowym. Braden wiedział, jak załatwia się takie sprawy, i umówił go na wpół do pierwszej, wykorzystując wpływy FBI w lokalnych urzędach. Nie zwlekając ani chwili, McCaskey wyszedł z biura. Po drodze zobaczył Boba Herberta i Mike’a Rodgersa, rozmawiających pod gabinetem Rodgersa. Herbert był, jak na niego, wyjątkowo posępny. W 1983 roku, w zamachu na ambasadę w Bejrucie stracił żonę i władzę w nogach. Przykutą do nowoczesnego wózka inwalidzkiego, robił wszystko z pasją. Śmiał się na całe gardło, walczył zaciekle, brał zadania w terenie, kiedy tylko się dało, i nie tolerował bezsensownej gadaniny. Teraz milczał. Zły znak.

- Dzień dobry - powiedział McCaskey, przechodząc obok niego.

Herbert był odwrócony do niego plecami. Odburknął coś, ale nawet się nie obejrzał.

McCaskey zatrzymał się.

- Coś się stało?

- Widzę, że jeszcze nie słyszałeś - powiedział Herbert ponurym, bezbarwnym głosem.

- Mike Rodgers wyleciał.

McCaskey przeniósł wzrok na generała.

- Dlaczego?

- Jestem za dużym obciążeniem dla budżetu - stwierdził Rodgers.

- To znaczy, że Paul się na to zgodził? - spytał McCaskey.

- Zgodził się i osobiście mu o tym powiedział. Nawet nie zaproponował, że na znak sprzeciwu poda się do dymisji - odparł Herbert.

- To by nic nie dało - powiedział Rodgers.

- Przynajmniej nabrałbym do niego więcej szacunku - odparł Herbert.

- No i byłoby to łatwiejsze rozwiązanie - zauważył McCaskey.

Herbert odwrócił się.

- Bronisz go?

- A co, nagle stał się wrogiem? - powiedział McCaskey.

- Nie - powiedział Rodgers z naciskiem.

Herbert nadal był zaszępiiony.

- Może to głupie pytanie, Mike, ale jak to przyjąłeś? - spytał McCaskey.

- Jestem żołnierzem - powiedział. - Idę, gdzie mi każą.

Takiej właśnie odpowiedzi spodziewał się McCaskey. Generał otwarcie mówił, co myśli. Za to rzadko dawał po sobie poznać, co czuje.

- Zostaniesz w wojsku? - spytał McCaskey.

- Nie wiem - powiedział Rodgers.

- Jezu! - powiedział Herbert, wrywając się z zadumy. - Nie do wiary. Jak możemy tak spokojnie rozmawiać o tym, jak przerobili naszego przyjaciela i współpracownika?

- Na razie rozmawiamy o jego planach - zauważył McCaskey.

- Darrell, on nie ma żadnych, dopiero go zwolnili - powiedział Herbert. - Ty jesteś facetem z branży, zawsze nim byłeś i zawsze będziesz. - Pchnął twarde gumowe koła wózka i odwrócił się. - Może następnym razem padnie na ciebie. Przydałyby ci się jaja, przyjacielu - dodał, omijając go.

- Co ty nie powiesz? - Były agent FBI ścisnął ramię Herberta, zatrzymując go. - Tak, dobro zespołu jest dla mnie najważniejsze. Zawsze tak było, zawsze tak będzie. Bitwy wygrywa artyleria, nie pojedyncze działa.

- W podręczniku FBI to wyczytałeś?

- Nie - odparł McCaskey ze spokojem. Jeśli obaj dadzą się ponieść nerwom, będzie gorąco. - Nauczyłem się tego przez dwadzieścia lat pracy w terenie. Nieraz musiałem ratować tyłki samotnym wilkom przekonanym, że w pojedynkę przeprowadzą całą operację.

Herbert zamyślił się na chwilę.

- No dobra. Zasłużyłem sobie na to. A teraz zabieraj rękę, zanim ci ją odgryzę.

Groźba Herberta zabrzmiała niepokojąco poważnie. Wiedział, że to do niego odnosiły się słowa McCaskeya, i poczuł się dotknięty. McCaskey puścił go i odsunął się na bok. Herbert odjechał na wózku. McCaskey postanowił porozmawiać z nim po powrocie. Bob szybko wpadał w złość, ale równie szybko się uspokajał.

Inni pracownicy Centrum dyskretnie omijali ich z daleka. Chodzili korytarzami w

milczeniu, ze spuszczoneymi oczami bądź wpatrzeni prosto przed siebie. Byli jednak specjalistami od zbierania informacji, obdarzonymi wyostrzonym słuchem politycznym i niewiele uchodziło ich uwagi.

- Przykro mi, Darrell - powiedział Rodgers. - Bob jest po prostu wkurzony.

- Jest, jaki jest - odparł McCaskey.

- Fakt.

- Słuchaj, masz swoje sprawy, ja też muszę już lecieć - powiedział McCaskey. - Daj znać, kiedy będziesz miał czas wyskoczyć na piwko.

- Pod koniec tygodnia.

- Pasuje - powiedział McCaskey i uściśnął dłoń Rodgersa. Po tylu latach współpracy, po wszystkim, co razem przeszli, ten gest wydał mu się zbyt prozaiczny. Nie było to jednak odpowiednie miejsce ani czas na pożegnania.

Szybko poszedł korytarzem do windy. Ledwie wsiadł do samochodu, włączył nowe urządzenie FIAT, transponder używany przez federalne agencje wywiadowcze. Był to zainstalowany w zegarku chip, który uaktywniał się po wysunięciu pokrętła i przekręceniu go w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek. Emitowany przezeń sygnał był monitorowany przez wszystkie zmotoryzowane jednostki policji miejskiej i stanowej. Najprościej mówiąc, transponder pozwalał jego posiadaczowi przekraczać prędkość i uciekać z miejsc wypadków. Sygnalizował policji, że łamiący przepisy kierowca ma do załatwienia sprawę wagi państwowej i nie może być zatrzymywany. FIAT-y wprowadzono do użytku przed dwoma laty, żeby cywilni pracownicy Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego mogli bez przeszkód wykonywać obowiązki. Choć McCaskey nie miał do załatwienia nic pilnego, Scotland Yard był ważnym sojusznikiem. Chciał dać im to, czego potrzebowali, tak szybko, jak to możliwe.

Ciało Wilsona zostało zabrane do kliniki Uniwersytetu Georgetown na Reservoir Road. Ostatnio właśnie tam wykonywano sekcje, jako że siedziba urzędu koronera była w remoncie. McCaskey zszedł na dół, by obejrzyć ciało. Towarzyszyła mu doktor Minnie Hennepin, rudowłosa, piegowata kobieta w średnim wieku. Miała na sobie nienagannie wyprasowany kitel.

- Domyślam się, że chodzi o to, co federalni nazywają osłanianiem własnego tyłka - powiedziała, kiedy szli betonowymi schodami.

- Wszystko, co robimy, w pewnym sensie do tego się sprowadza - przyznał McCaskey.

- Jeśli wolno spytać, czemu Scotland Yard po prostu nie przysłał kogoś ze swoich

śledczych?

- Bo prasa zaraz zwietrzyłaby sensację - powiedział McCaskey. - Uznaliby, że podejrzewamy, że coś jest nie w porządku. Brytyjskie władze chcą mieć czyste sumienie, a jednocześnie móc powiedzieć udziałowcom Wilsona, że ciało obejrzał ktoś z doświadczeniem w sprawach kryminalnych.

- Jak pan wie, panie McCaskey, nie znalazłam żadnych otarć ani urazów, nie licząc tych, które powstały w wyniku, że tak powiem, namiętnego stosunku płciowego. Przeprowadziliśmy też dokładną analizę toksykologiczną. Nie jestem pewna, co jeszcze zostało.

- Zrobiła pani badania na obecność związków chemicznych, które mogłyby wywołać reakcją analogiczną do naturalnej niewydolności narządów wewnętrznych? - spytał McCaskey.

- Wszystkich od formaldehydu po pavulon - powiedziała doktor Hennepin. - I nic.

- Niektóre z tych związków bardzo szybko ulegają rozpadowi.

- To prawda, panie McCaskey, ale musiałyby zostać podane w bardzo małych dawkach i wstrzyknięte względnie blisko serca, by wystarczająco silnie zadziałać - odparła. - Zbadałam go dokładnie i nie znalazłam śladów po ukłuciach.

- A pod pachą? - spytał McCaskey.

- To samo. Sprawdziłam też tętnicę udową, bo nadaje się do szybkiego przenoszenia związków chemicznych.

- Tak czy inaczej, rzucą okiem na zwłoki - powiedział McCaskey. - Nigdy nic nie wiadomo.

- Szczerze mówiąc, chętnie popatrzę, jak laik prowadzi oględziny - przyznała pani doktor. - Robił pan to już kiedyś?

- Wysłałem parę osób do kostnicy, ale na miejscu już ich nie oglądałem.

Weszli do piwnicy i doktor Hennepin włączyła światło. Kostnica była mniejsza, niż McCaskey się spodziewał, wielkością zbliżona do zwykłego pokoju. Jedną ze ścian zajmowało sześć chłodziń, po trzy w dwu rzędach. Po bokach stały skrzynie ze związkami chemicznymi i sprzętem, a naprzeciwko, przy wyjściu na klatkę schodową - stół laboratoryjny z głębokim zlewem i komputer. Na środku znajdowały się trzy stoły sekcyjne, oświetlone nisko zawieszonymi lampami fluorescencyjnymi.

- Mam go wyjąć z chłodziń? - spytała pani doktor.

- Nie trzeba - powiedział McCaskey. - Da się tam przenieść jakąś lampę?

- Tak - odparła.

McCaskey miał już do czynienia ze śmiercią. I to zbyt wiele razy. Do tej pory jednak stykał się z nią podczas strzelanin czy w melinach narkomanów, w których ktoś przedawkował. Jakkolwiek smutne, jakkolwiek tragiczne, odejście człowieka było dramatem. Ostatnim aktem życia. A oni tu gawędzili z doktor Hennepin, jakby chodziło o podjęcie decyzji, co zrobić z resztkami z lodówki. I w gruncie rzeczy tak było. Bez pirotechnicznych czy emocjonalnych fajerwerków, bez godnych czy niegodnych zapamiętania gestów. W powietrzu, jak stado sępów, wisiało tylko stłumione echo kroków i znizonych głosów McCaskeya i doktor Hennepin, i emanująca z nich obojga ciekawość.

Pani doktor pociągnęła gruby uchwyt chłodni numer cztery. Miliarder Wilson nawet nie dostał jedyńki. Zabrakło mu jednego miejsca do brązu. W kostnicy panowała prawdziwa równość.

Buchnęło zimne powietrze, a z nim woń przypominająca zapach surowej jagnięciny. Zwłoki nie zostały jeszcze zabalsamowane. Doktor Hennepin wysunęła blat z ciałem, wzięła z szafki roboczą lampę i zawiesiła ją na uchwycie górnej chłodni. Oświetlenie nie wyglądało może elegancko, ale spełniało swoje zadanie. Przyniosła też pudełko lateksowych rękawiczek. Założyli je oboje. Pani doktor odwinęła białe prześcieradło. W torsie zmarłego widniało duże nacięcie w kształcie litery Y. Skóra wokół rany była sina, przy niej zaś przybierała żółtawobiały odcień. Zamiast szwów, badany obszar zalepiony został białą taśmą klejącą, przez którą poprowadzono nacięcie. Po zakończeniu sekcji rana została zamknięta połączonymi z taśmą zatrzaskami.

- Wystarczy - powiedział McCaskey, kiedy doktor Hennepin zsunęła prześcieradło do bioder. Tętnicę udową już obejrzała, a inne miejsca oddalone od serca go nie interesowały. Najpierw popatrzył w oczy zmarłego. - Mogli mu coś podać zakraplaczem - powiedział. - A w wyniku wymuszonego otwarcia oczu popękaniu uległyby naczynia krwionośne.

- Od oczu kawał drogi do serca - zauważyła pani doktor.

- No tak, ale gdyby zaaplikować końską dawkę koenzymu Q10...

- Co spowodowałoby natychmiastowy zawał - powiedziała pani doktor.

- Poza tym Q10 nie da się wykryć podczas rutynowych badań toksykologicznych - dodał McCaskey.

- Gdzie pan słyszał o tym koenzymie?

- Podczas śledztwa w sprawie pewnego lekarza. Zabił pacjentkę, z którą miał romans - wyjaśnił McCaskey. - Kiedy mieliśmy wystarczająco dużo dowodów poszlakowych, przyznał się i powiedział, jak to zrobił. Ale w tym przypadku oczy wyglądają normalnie.

W dotyku jednak nie wydawały się normalne. Mięśnie oczne stawały opór, gałki były

szttywno osadzone w oczodołach. McCaskey czuł się, jakby dłubał przy manekinie.

- Mogę pożyczyć latarkę? - - spytał.

- Tak - powiedziała i wyjęła z kieszeni kamizelki małą latarkę.

McCaskey lekko odchylił głowę Wilsona do tyłu i poświecił mu do nosa.

Żyłki nosowe były drugim miejscem, w które zabójca mógł coś wstrzyknąć. Skóra jednak wyglądała na nienaruszoną.

- Mam odciągnąć chrząstkę? - spytała pani doktor.

- Nie. Gdyby zrobiono mu tu zastrzyk, zostałby mały strup.

- A skąd pan to wie?

- Dzięki ćpunom - wyjaśnił McCaskey. - Robią sobie zastrzyki w miejsca, w których nie zostają ślady.

- Na przykład między palcami rąk i nóg? Słyszałam o tym - powiedziała pani doktor.

- Akurat tam ślady są widoczne. A jeśli je zobaczymy, mamy prawo do przeprowadzenia rewizji osobistej.

- Fascynujące.

McCaskey zajął się jamą ustną. Obejrzał policzki. Nie było blizn ani na nich, ani na dziąsłach. Zajrzał pod język. Był nabrzmiaty od zatrzymanej w naczyniach krwi, przez co żyły pod nim były doskonale widoczne. Na jednej widniał ślad jak po ukłuciu.

- Proszę zobaczyć - powiedział McCaskey.

Chwycił język kciukiem i palcem wskazującym i poświecił latarką do jamy ustnej. Doktor Hennepin zajrzała do środka.

- Widzę.

Wzięła ze stołu sekcyjnego skalpel i sterylną probówką. Złapała też mały dyktafon. Opisując na głos wykonywane czynności, ostrożnie odcięła płat skóry z interesującego ją miejsca. Kiedy skończyła, wyłączyła dyktafon.

- Od razu zanoszą to do laboratorium. Wyniki powinny być za jakieś dwie godziny.

- Dzięki. Ja jeszcze sprawdzę parę rzeczy, jeśli nie ma pani nic przeciwko.

- Proszę bardzo - powiedziała. - Tylko niech pan niczego już nie rozcina.

McCaskey zapewnił, że nie ma takiego zamiaru.

Pani doktor poszła na górą zamówić analizę tkanki. McCaskey został sam z trupem. Więcej śladów już nie znalazł. Przykrył Wilsona prześcieradłem i wsunął blat z powrotem do chłodni. Zamknął drzwi.

Wilson nie brał narkotyków. Ich obecność zostałaby wykryta w czasie pierwszego badania. Insuliny i innych leków też. Jeśli nie ukłuł się ością na przyjęciu, znaczyło to, że ktoś

prawdopodobnie wstrzyknął mu coś pod język.

Jeśli William Wilson został zamordowany, tropiciele sensacji i spisków zrobią z tego drugie zabójstwo Kennedy'ego. Bóg raczy wiedzieć, jakie teorie tym razem wymyślą.

Wróciła pani doktor. Wzięła od McCaskeya numer komórki i telefonu w pracy, i obiecała, że zadzwoni, jak tylko czegoś się dowie. Podziękował jej za pomoc i poprosił o zachowanie pełnej dyskrecji.

- Wyniki sekcji zostaną utajnione - powiedziała - choć z doświadczenia wiem, że to równoznaczne z przyznaniem, że mamy coś do ukrycia.

- W tym przypadku może tak być - stwierdził McCaskey.

Wychodząc z kliniki, dostrzegł ironią całej sytuacji. Nawet Bob Herbert pewnie miałby z tego ubaw.

Przynajmniej przez najbliższych kilka godzin on, piewca pracy zespołowej, będzie pracował nad tą sprawą sam.

Rozdział 10

Waszyngton Poniedziałek, 11.00

Rzeczniczka prasowa senatora Donalda Orra, dwudziestodwuletnia Katherine „Kat” Lockley, normalnie przychodziła do biura około wpół do ósmej rano i siedziała tam do siódmej-ósmej wieczorem. Nie narzekała. Kochała swoją pracę. Kosztowała ją ona jednak wiele sił, dlatego przerwa na lunch w południe była nie luksusem, lecz koniecznością. Miło było wyskoczyć do pobliskiej Green Pantry na sałatkę i przy jedzeniu rozwiązać krzyżówkę z „New York Timesa”. Czterdzieści pięć minut. Tylko tyle czasu potrzebowała, by naładować akumulatory.

Tego dnia nie miała szans wyrwać się z biura.

William Wilson nie przypadł jej do gustu. Na przyjęciu ledwo co na siebie spojrzeli, zamienili raptem parę słów. Kiedy o szóstej rano, jak co dzień, włączyła wiadomości BBC i dowiedziała się o jego śmierci, przede wszystkim pomyślała o senatorze Orze i o tym, jak to, co się stało, wpłynie na ich plany. Kat, która zawsze głęboko podziwiała senatora, będzie musiała zrobić wszystko, co w jej mocy, by media skoncentrowały się na polityce, nie plotkach. Jako córka jednego z najstarszych przyjaciół Orra, porucznika Scotta Lockleya z jednostki Red Horse, pomagała mu z prawdziwą przyjemnością.

Biorąc prysznic, w myśli ułożyła komunikat dla mediów, ubierając się zrobiła notatki, w drodze do pracy nagrała ostateczną wersję na dyktafon, który po przyjeździe podłączyła do komputera. Program odczytujący mowę spisał jej słowa, a ona zredagowała tekst podczas rozmowy telefonicznej z senatorem. Orr miał za sobą pracowitą noc i kiedy zadzwoniła, jeszcze spał. Wysłuchał ją bez komentarza, co było umiejętnością wykorzystywaną przez dobrych polityków nawet w prywatnych rozmowach. Kat przesłała tekst na jego laptopa. Senator zaaprobował go i o ósmej rano za pośrednictwem poczty elektronicznej krótki komunikat został przekazany prasie.

Choć media podały, że Wilson przebywał w towarzystwie kobiety, którą rzekomo poznał na przyjęciu u senatora, Kat ani Kendra nie wiedziały, kto to mógł być. Oficjalny fotograf przysłał przeszło dwieście zdjęć zrobionych poprzedniego wieczoru. Wilson rozmawiał z wieloma kobietami. Wyszedł sam. O fakcie tym poinformowano w komunikacie.

Na Wydziale Dziennikarstwa Uniwersytetu Columbia nazywano to „przelaniem

pierwszej krwi”. Nie wolno czekać na dziennikarzy. Trzeba samemu się do nich zwrócić i ustalić warunki dialogu. Kat napisała w imieniu senatora: Nigdy nie interesowało mnie życie osobiste zwykłych obywateli, dlatego mówić o tym człowieku mogę tylko na podstawie tego, co o nim wiedziałem: a mianowicie, jego dokonań. Nieprzypadkowo wspomniała o „zwykłych” obywatelach, na wypadek, gdyby kiedyś trzeba było zaatakować sposób prowadzenia się któregoś z polityków. Kat nie chciała, by wyszło na to, że nie interesuje ich moralność urzędników państwowych.

Po rozesłaniu komunikatu do mediów, Kat musiała odbierać telefony od dosłownie wszystkich od A do Z, poczynając od austriackiego radia Modry Dunaj, po telewizję Zimbabwe ZBC One. O wywiad prosiły wszystkie amerykańskie poranne i wieczorne programy informacyjne. Kat odpowiedziała pozytywnie tylko dwóm: CBS Evening News i Nightline. Chodziło o zyskanie kilku godzin, by poznać więcej szczegółów śmierci Wilsona i wypracować stanowisko w tej sprawie. Wysłała tę informację emailem współpracownikom.

Senator Orr siedział w swoim słonecznym, wyłożonym drewnem gabinecie z Kendrą i Kat. Zgodził się z Kat, że nie ma co zmieniać planów na ten dzień. Wilson nie przysłużył się dobrze gospodarce amerykańskiej. Na przyjęcie zaproszony został tylko po to, by najważniejsi waszyngtońscy bankowcy mogli go poznać i spróbować wyperswadować mu jego eurocentryczne plany. To była delikatna sytuacja: jak wyrazić żal po odejściu człowieka, którego wynalazek podniósł jakość życia, ale którego poglądy były agresywnie antyamerykańskie.

- Mimo wszystko ciekaw jestem, kogo mógł poznać na tym przyjęciu - powiedział senator. - Macie jakieś podejrzenia?

- Kazałam fotografowi przysłać zdjęcia - powiedziała Kat. - Rozmawiał z wieloma kobietami, w większości mężatkami.

- Być może to dlatego kamery hotelowe nie uchwyciły jej twarzy - zauważyła Kendra.

- Nie chciała, by ją rozpoznano - powiedział senator. - Cóż, miejmy nadzieję, że od jutra nie będzie to już nasze zmartwienie.

- I dlatego nie pozwoliłam przekazać zdjęć prasie - powiedziała Kat. - Fakt, że Wilson tu był, dowodzi, że próbowałeś być mediatorem. To korzystne. Za to fotki z przyjęcia zostałyby odebrane inaczej.

- W jakim sensie? - spytała Kendra.

- Nazywam to „smrodem nagrody Pulitzera” - odparła Kat. - Jakie jest wasze pierwsze skojarzenie, kiedy słyszycie nazwisko Johna F. Kennedy’ego? Inwazja w Zatoce Świń? Kryzys kubański? Marylin Monroe?

- Film Zaprudera [Amatorski film, na którym uwieczniono moment zamachu na prezydenta Kennedy'ego (przyp. tłum.)] - przyznała Kendra.

- A z czego pamiętamy Dallas?

- Rozumiem - powiedziała Kendra, kiwając głową.

- Śmierć, z przyczyn naturalnych czy nie, odbija się szerokim echem, a zilustrowana zdjęciami robi jeszcze większe wrażenie - powiedziała Kat. - Pearl Harbor, World Trade Center, Challenger czy Columbia... tragedia wypiera wcześniejszą wiedzę. Obrazy potęgują ten efekt.

- My też chcemy coś podkreślić - powiedziała Kendra. - Różnicę między wartościami reprezentowanymi przez Wilsona a tymi, które wyznaje senator i USF. Czy to nie dobra okazja, by to zrobić?

- To byłoby wygodne, owszem, ale niekoniecznie korzystne - powiedziała Kat. - Okoliczności śmierci Wilsona są dość pikantne. Lepiej, żebyśmy trzymali się od tego z dala, zwłaszcza gdyby okazało się, że baraskował z kimś poznanym na przyjęciu.

- Nie moglibyśmy tego wykorzystać do skompromitowania jego i jego poglądów? - spytała Kendra.

- Moim zdaniem, w ten sposób skompromitowalibyśmy sami siebie - odparła Kat.

- Tak, zgadzam się - powiedział senator.

Kendra skinęła głową.

- W porządku. Tak tylko pytałam.

Kat nie zawsze podobała się bezwzględność Kendry, ale przynajmniej dziewczyna nie obrażała się za słowa krytyki. Była tu, by służyć senatorowi Orrowi i USF, nie szukała własnej korzyści.

- Niewykluczone, że za dzień-dwa telewizyjni satyrycy wezmą na warsztat Wilsona i jego kochankę - dodała Kat. - A wtedy być może z nas też zaczną drwić, i to podczas naszej konwencji.

- Znowu masz rację - powiedział Orr.

- To jak wykorzystać dzisiejsze zainteresowanie mediów? - spytała Kendra. - Jeśli senator potępi Wilsona, wyjdzie na człowieka bez serca. Jeśli go pochwali, stracimy wiarygodność. Jeśli wygłosi polityczną mowę, dla wszystkich będzie oczywiste, że wykorzystujemy media. Nie moglibyśmy przełożyć ogłoszenia kandydatury na inny termin?

- Au - jęknęła Kat.

- Co znowu? - spytała Kendra.

- Odtąd śmierć Wilsona zawsze kojarzyłaby się z kandydaturą senatora.

- Moim zdaniem to tak, jak z sadzeniem kwiatów w nawozie - powiedziała Kendra. - Z gówna wyrasta coś pięknego.

Kat zmarszczyła brwi.

- Czy to ważne, że powiążą nas z Wilsonem? - ciągnęła Kendra. - To mogłoby być nawet korzystne. Wilson szkodził Ameryce. USF służy Ameryce.

- Tyle że powiążą nas z jego śmiercią, nie poglądami - powiedziała Kat. - Będziemy postrzegani jako sępy, oportuniści.

- A jeśli senator weźmie udział w jednym z tych programów, będzie inaczej? - spytała Kendra.

- Tak. Będzie postrzegany jako dyplomata. Może powiedzieć coś w stylu: „Pan Wilson miał inny światopogląd od mojego, ale wniósł niezaprzeczalny wkład w rozwój technologii”, czy „Pan Wilson obrał kurs, któremu byłem przeciwny. Jego geniusz leżał w innych dziedzinach”. Zaczynasz od negacji, by wzmocnić wagę wypowiedzi, a potem ją łagodzisz, żeby pokazać wielkoduszność.

- Bo jestem wielkoduszny - zażartował Orr.

Zaśmiały się. To było prawdą. Orr był politykiem, a to na ogół wykluczało idealizm czy filantropię. Filantrop musiał tylko wmówić sobie, że warto jest czymś się zająć, i zacząć działać. Polityk zaś musiał wmówić to innym, a nakazy sumienia i konieczność kompromisu nie zawsze szły ze sobą w parze. Franklin Roosevelt mógł szczerze wierzyć, że trzeba Europę uwolnić od Hitlera. Jednak nie byłoby to możliwe bez ataku na Pearl Harbor. John Kennedy może naprawdę sądził, że dobrze byłoby wysłać ludzi na Księżyc, ale bez zagrożenia ze strony sowieckiego programu kosmicznego nie dostałby odpowiednich funduszy. Na szczęście dla senatora ważniejsza od zwycięstwa w wyborach prezydenckich była możliwość zaprezentowania swoich przekonań.

- Zgadzasz się z Kat - powiedział Orr. - Nie chcę zbyt radośnie tańczyć na jego grobie. Ale podoba mi się też pomysł Kendry, żeby jak najszybciej wydać jakieś oświadczenie. Kat, jakich współpracowników mamy dziś poznać?

- Tylko dwóch - odparła. - Doradcą do spraw wojskowych i specja od gospodarki.

- Ten wojskowy to generał Rodgers, zastępca dyrektora Centrum Szybkiego Reagowania? - spytał Orr.

- Tak, senatorze.

- Zabrał naszych chłopców do Korei Północnej, Indii, Rosji i na Bliski Wschód, żeby zapobiec konfliktom - powiedział Orr. - Świetnie. To dobry kontrpunkt do tego, co reprezentował Wilson. Kat, mogłabyś do niego zadzwonić i spytać, co sądzi o partii i czy jest

coś, co moglibyśmy mu pokazać albo wyjaśnić, żeby poczuł się pewniej?

Kat zapewniła, że zaraz to zrobi.

Na tym skończyli dyskusję o mediach i Kat wyszła od senatora z Kendrą. Wróciła do gabinetu, po drodze jeszcze przypominając współpracownikom, żeby nie rozmawiali o Williamie Wilsonie z dziennikarzami. Członkowie sztabu Orra, trzech mężczyźni i cztery kobiety, mieli dość oleju w głowie, żeby wiedzieć, co im wolno, a co nie, ale waszyngtońscy dziennikarze też byli cwani. Potrafili zadawać podstępne pytania. „Nie wolno mi nic mówić na ten temat” można było przedstawić jako „Taki-a-Taki odmówił komentarza”, inaczej mówiąc: miał coś do ukrycia. Współpracownicy Orra na wszelkie pytania o Wilsona mieli odpowiadać: „Proszę zwrócić się z tym do pani Lockley”.

Tego ranka zgłosiło się do niej z prośbą o rozmowę kilka osób. Postanowiła, że oddzwoni do nich później i powie, że senator nie ma nic do dodania do oficjalnego komunikatu. W tej chwili musiała porozmawiać z Mikiem Rodgersem. Zadzwoiła do niego na komórkę i przedstawiła się. Generał wyraźnie ucieszył się z jej telefonu.

- Dzisiejsze spotkanie z senatorem nadal jest aktualne? - spytał.

- Jak najbardziej, generale Rodgers. Senator już nie może się doczekać. Właśnie prosił, żebym spytała, czy czegoś panu nie potrzeba. Dodatkowych informacji, cygar określonego gatunku, napoju, który szczególnie pan lubi.

- Właściwie mam tylko dwie prośby - powiedział Rodgers.

- Tak? - spytała Kat.

- Chcę poznać człowieka, który ma jasno sprecyzowaną wizję i dość odwagi, by ją wcielić w życie - powiedział Rodgers.

- To mogę panu obiecać.

- Wierzę pani - powiedział Rodgers. - Czytałem trochę o senatorze i cenię wartości, które wyznaje. Druga moja prośba jest taka: chciałbym poznać człowieka otwartego na sugestie ludzi ze swojego otoczenia.

- Generale, właśnie wróciłam ze spotkania z senatorem. I zapewniam, że nie tylko słucha, ale, co najważniejsze, słyszy.

- A zatem już cieszę się na to spotkanie i, miejmy nadzieję, przyszlą współpracę - odparł Rodgers.

- Mogę zadać panu dość osobiste pytanie, generale?

- Oczywiście.

- Jest pan gotów dokonać zmiany w swoim życiu?

- Jeśli będzie to zmiana na lepsze - powiedział Rodgers.

- Cieszę się, generale - odparła Kat. - Już nie możemy się doczekać ponownego spotkania.

Odłożyła słuchawkę i zrelacjonowała senatorowi Orrowi przebieg rozmowy. Senator wyraźnie się ucieszył.

- Taki wojownik nam się przyda - powiedział.

Kat była zadowolona, słysząc entuzjazm w jego głosie. W dniu, kiedy stanęli w obliczu pierwszego poważnego wyzwania na scenie krajowej, dobrze było znaleźć potencjalnego sprzymierzeńca.

Teraz nadszedł czas, by zadzwonić do pozostałych dziennikarzy, którzy chcieli rozmawiać z senatorem. Najpierw jednak zadzwoniła gdzie indziej. To było ważniejsze.

Do Green Pantry. Po kanapkę z indykiem.

Rozdział 11

Waszyngton Poniedziałek, 12.53

W drodze powrotnej do Centrum McCaskey zatrzymał się na stacji benzynowej na lunch. Kupił hot doga i mountain dew. Jedząc pod sklepem, zerknął na stojak z gazetami. „Washington Post”, „USA Today” i nieliczne dostępne tu pisma zagraniczne informowały na pierwszych stronach o przedwczesnej śmierci Williama Wilsona.

Pracując w FBI, McCaskey chodził na zajęcia z taktyki antyterrorystycznej. Wykładowca, psycholog Vic Witherman, był specjalistą od, jak to określał, wyłapywania tykających bomb. Twierdził, że potencjalnych terrorystów da się rozpoznać na kilka minut przed zamachem. Zdradza ich mroczny blask w oczach, pewny krok, dumnie wyprostowane ramiona i podniesiona głowa. Czują się jak półbogowie.

- Wpływ na to mają trzy czynniki - mówił Witherman. - Pierwszy to, rzecz jasna, adrenalina. Drugi to fakt, że po raz pierwszy od wielu miesięcy, może nawet lat, ludzie ci wyszli z ukrycia. Najważniejszy jednak jest czynnik trzeci. Świadomość posiadania czegoś, czego nie ma nikt inny: wiedzy o przyszłości.

McCaskeyowi spostrzeżenie to utkwilo w pamięci. Dziś po raz pierwszy doświadczył podobnego uczucia. Jeśli nie popełnił błędu, wiedział, jak wyglądać będą jutrzejsze nagłówki.

Kiedy wsiadał do samochodu, zadzwoniła jego komórka. Doktor Hennepin.

- Wystarczyło równo piętnaście minut, żeby w laboratorium znaleźli coś, czego człowiek nie powinien mieć w ustach - powiedziała. - Śladowe ilości chlorku potasu.

- Do czego się go stosuje? - spytał McCaskey.

- Do egzekucji. To związek zatrzymujący akcję serca.

- Czy zmarły mógł go przyjąć w sposób naturalny? - spytał McCaskey. Nie używał nazwiska Williama Wilsona, bo linia nie była zabezpieczona przed podsłuchem.

- Tylko gdyby jadł pokarm dla psów lub niektóre batony odchudzające i tabletki z mikroelementami. A w treści żołądka nie znalazłam nic, co mogłoby na to wskazywać. Zresztą, w takim wypadku chlorek potasu zostałby wykryty w połączeniu z cytrynianem lub fosforanem potasu.

- A w tej próbce był czysty.

- Tak.

- Czyli to było morderstwo.

- Chyba że sam sobie to wstrzyknął.

- Co jest mało prawdopodobne - stwierdził McCaskey. - Kogo trzeba o tym powiadomić?

- Muszę wysłać raport szefowi detektywów policji miejskiej, a kopię przekazać do miejskiego zakładu medycyny sądowej - odparła.

- Kiedy?

- Jak tylko go napiszę - powiedziała. - Nie później niż za godzinę.

- A mogłaby pani pisać powoli? - spytał McCaskey. - Muszę wrócić do biura i uprzedzić Scotland Yard. Może chcieliby wziąć pewne osoby pod obserwację, zanim cała sprawa wyjdzie na jaw.

- Dobrze. Każę zrobić badania na obecność innych inhibitorów pracy serca. To powinno potrwać jakąś godzinę.

- Dziękuję, pani doktor - powiedział McCaskey. - Mogłaby pani przesłać mi kopię raportu?

- Jasne.

McCaskey jeszcze raz jej podziękował.

Główny śledczy Centrum Szybkiego Reagowania ruszył w drogę jeszcze w trakcie rozmowy. Nie chciał dzwonić do Centrum czy Scotland Yardu z bezpiecznego telefonu komórkowego w samochodzie. Nie myślał już o poczuciu mocy, jakie dawała wiedza o tym, co wkrótce nastąpi. W tej chwili zastanawiał się, co zrobić, by znaleźć człowieka, który dostał się do pokoju Williama Wilsona i - wszystko na to wskazywało - zamordował go.

Po przyjeździe do Centrum poszedł prosto do swojego gabinetu, zamknął drzwi i zadzwonił do George'a Daily'ego. Wbrew jego oczekiwaniom, nadinspektor nie okazał wielkiego zaskoczenia.

- Szczerze mówiąc, to brzmi bardziej wiarygodnie niż zawał - stwierdził.

- Pójdę do szefa, jak tylko będzie miał wolną chwilę - powiedział McCaskey. - Chcesz, żebym skontaktował się z policją miejską, czy wolisz, żebyśmy to my działali w waszym imieniu?

- Jedno i drugie - powiedział Daily. - Jak tylko prasa dowie się o wszystkim, będą na nas naciski, żebyśmy to my zajęli się sprawą. Na razie byłbym ogromnie zobowiązany, gdybyś zasugerował, od czego powinniśmy zacząć. Lokalna policja z reguły broni dostępu do swoich informatorów i nie dopuszcza ludzi z zewnątrz do przesłuchań.

- Dopilnuję, żeby w śledztwie uczestniczył wasz przedstawiciel, nadinspektorze -

obiecał McCaskey.

- Dużo mamy czasu, zanim to wyjdzie na jaw? - spytał Anglik.

- Lekarz sądowy wysłał uaktualniony raport z sekcji za jakieś półtorej godziny - powiedział McCaskey. - Kwadrans później jego treść będzie znał prawie cały Waszyngton.

Daily westchnął ciężko.

- Wiesz, kiedyś publice wystarczało panem et circenses, chleb i igrzyska. Dziś zastąpiły je telefony komórkowe i Internet. Dzięki nim możemy na żywo delectować się smakiem cudzej krwi i bólu.

- Nie wszyscy - stwierdził McCaskey.

- Ależ tak - oświadczył Daily. - Owszem, nie wszystkim się to podoba, ale większości jak najbardziej. Wychodzi na to, że recydywa jest nie tylko dla kryminalistów. Społeczeństwo cofnęło się do czasów barbarzyńskich.

McCaskey był zaskoczony tak surową oceną. Nie chciał wierzyć, że większość ludzi to w najlepszym razie wścibscy gapie, a w najgorszym - dzikusy bez krzty moralności, niczym nieróżniący się od morderców czy nieuleczalnych pedofilów. Zawsze uważał, że społeczeństwo w gruncie rzeczy funkcjonuje jak należy, i tylko od czasu do czasu musi być lekko podregulowywane przez takich ludzi jak on czy Daily, by nie zboczyć z właściwego kursu.

Nie pora jednak na filozoficzne dysputy. McCaskey zadzwonił do Bugsa Beneta, żeby spytać, czy szef ma dla niego chwilę. Miał. McCaskey powiedział, że zaraz przyjdzie.

Idąc korytarzem, uświadomił sobie, że wiedza o przyszłości ma jeszcze jeden aspekt, o którym Witherman nie wspomniał. Terroryzm to łatwizna. Aby coś zniszczyć, wystarczy chwila podsycanej gniewem determinacji. Aby coś ocalić, potrzeba odwagi i poświęcenia.

Humanizm. To dopiero trudne.

Rozdział 12

Waszyngton Poniedziałek, 13.44

Paul Hood podzwonił po ludziach, by dowiedzieć się, czy w którymś z wydziałów zajmujących się sprawami jawnymi znalazłoby się miejsce dla stazysty. Okazało się, że nie. Lowell Coffey stwierdził, że chętnie by wziął kogoś po prawie. Frankie Hunt nie spełniał tego kryterium. Kevin Custer z wydziału łączności elektronicznej powiedział, że mógłby przyjąć kogoś, kto jest zainteresowany jego dziedziną. Poza tym była to strata czasu. Szefowie innych wydziałów mówili mniej więcej to samo. Hood mógł ich przycisnąć, ale tego nie zrobił. Jeszcze przed pierwszym telefonem postanowił, że nie chce widzieć tego chłopaka w Centrum. Ten, kto pomaga przyjacielowi, jest „dobrym człowiekiem”. Kto pomaga byłej żonie, robi to, by uspokoić sumienie. Za to ten, kto pomaga kochankowi byłej żony, po prostu nie jest mężczyzną.

Praca za kulisami Centrum po latach spędzonych w blasku reflektorów w ratuszu Los Angeles nieco stępiła zdrowy, ale skromny narcyzm Hooda. Nie znaczy to jednak, że stał się masochistą. Za to Sharon obrosła w wyrachowanie i próżność. Nabrała przekonania, że były mąż winien jej był więcej czasu, wysiłku i uwagi, i postanowiła odebrać dług.

Hood zdecydował, że zadzwoni do niej za parę godzin. Tak, żeby sprawić wrażenie, że się starał. Na razie nie miał czasu o tym myśleć. Odbił długą rozmowę z dyrektorem finansowym Colahanem o cięciach budżetowych. Wiadomo było, że ucierpią wszystkie wydziały, bez wyjątku. Sekcja komputerowa Matta Stolla straci sześciu z dwunastu pracowników, Herbert będzie musiał pozbyć się jednego z sześciu analityków, a zespół Mike'a Rodgersa zostanie rozwiązany. Agenci jak David Battat czy Aideen Marley będą werbowani tylko do określonych zadań. Czteroosobowy wydział prawny Lowella straci jednego pracownika. Custer będzie musiał zwolnić jednego z czterech specjalistów od monitoringu elektronicznego. Personel nocnej zmiany też zostanie okrojony. Wyrażając zgodę na kolejne redukcje, Hood wiedział, że wpłyną one nie tylko na los pracowników, ale i na bezpieczeństwo kraju. Centrum wypracowało specyficzne metody działania. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego nie mógł ot, tak przekazać jego uprawnień FBI czy CIA; Hood i jego ludzie cieszyli się zaufaniem agentów Interpolu, rosyjskiego Centrum Szybkiego Reagowania i innych agencji na całym świecie. Utrzymanie tych obopólnie korzystnych

relacji wymagało czasu, personelu i funduszy. Cięcia budżetowe bardzo to utrudnią.

Kiedy Colahan wychodził z laptopem z gabinetu Hooda, wszedł Darrell McCaskey.

- Jak to wszystko znosisz, Paul? - spytał, zamykając drzwi za dyrektorem finansowym.

- Będąc burmistrzem, musiałem obcinać miliardy z budżetu Los Angeles - powiedział Hood. - To było politycznie bolesne, ale sprowadzało się do suchych statystyk. Dziś za każdym wciśnięciem klawisza decydowałem o losie kogoś, kogo znam. - Hood odchylił się na oparcie. McCaskey wydawał się jakiś rozkojarzony. - Słyszałeś o Mike'u Rodgersie?

- Tak. Bob tak się wściekł, że o mało mnie nie rozjechał.

- Do mnie jeszcze się nie odezwał - powiedział Hood.

- Musi ochłonąć - stwierdził McCaskey. - Pewnie potrwa to z tydzień.

Hood uśmiechnął się.

- Co mogę dla ciebie zrobić?

- Jak na ironię, będziesz mnie musiał wypożyczyć na parę dni.

- A co się stało?

- Myślę, że William Wilson został zamordowany.

Uśmiech zniknął z twarzy Hooda.

- Jezu.

- No właśnie. Teraz dopiero się zacznie.

- Czemu zająłeś się tą sprawą?

- Scotland Yard poprosił mnie o weryfikację wyników sekcji - powiedział McCaskey.

- Pojechałem do kliniki w Georgetown obejrzeć zwłoki. Lekarka sądowa nie zauważyła śladu po zastrzyku w nasadzie języka. Wysłaliśmy próbkę do laboratorium. Wykryto w niej chlorek potasu, środek zatrzymujący akcję serca.

- Dobra robota, Darrell.

- Dzięki.

- Poinformowałeś Yard? - spytał Hood.

- Tak - odparł McCaskey. - Chcą za pośrednictwem ambasady włączyć do śledztwa swoich ludzi. Na razie poprosili, żebym trzymał rękę na pulsie.

- Ile ci to zajmie?

- Trzy-cztery dni.

- Wtedy zainteresowanie mediów sięgnie zenitu.

- Wiem. Dobra wiadomość jest taka, że po incydencie w Korei Północnej to dzięki nim dostaliśmy więcej pieniędzy - zauważył McCaskey.

- To były inne czasy. Wtedy jeszcze Kongres nie wierzył bezkrytycznie starym

instytucjom. Znosi się na głośne, publiczne dochodzenie. Jeśli dzień w dzień będą o Centrum mówić w telewizji, komisja do spraw służb może uznać, że to podstępna próba odzyskania funduszy.

- No coś ty. Komisja nie może być aż tak naiwna.

- Naiwna? Nie, Darrell. Podejrzliwa.

- Niby czemu? Przecież wiedzą, że musimy pomagać innym agencjom, jeśli chcemy, żeby one nam pomagały - powiedział McCaskey.

- Przy założeniu, że mamy przetrwać - powiedział Hood. - Komisja i nasi starsi bracia mogą mieć inne plany.

- Pełzająca likwidacja.

- Możliwe.

- No dobra - stwierdził McCaskey. - Założmy, że inne agencje rzeczywiście naciskają na komisję, żeby obciąła nam fundusze...

- Nie muszę tego zakładać - uciął Hood. - Taka jest prawda. Wiem to od senatora Debenporta.

- Skoro tak, nie możemy ulegać syndromowi oblężonej twierdzy - powiedział McCaskey. - Powinniśmy sami zacząć naciskać, podstawić ludziom nasze atuty pod nos. Senator Debenport pewnie chętnie ogrzałby się w blasku naszej sławy. Znasz polityka, który nie chciałby być uważany za nieustraszonego szeryfa?

- Wyszczrzy zęby do kamer i wykorzystaj sytuację do maksimum - przytaknął Hood.

- A kiedy zgasną reflektory, odwróci się do mnie i, podjudzony przez inne agencje, powie, że Centrum za bardzo obrosło w tłuszcz. I zażąda dodatkowych cięć.

- Wyborcy na to nie pójną, zwłaszcza jeśli będziemy prowadzić głośne dochodzenie.

- Żebyś się nie zdziwił - powiedział Hood. - Wyborcy chcą wiedzieć, że agencje rządowe robią, co do nich należy. Naszym zadaniem jest zarządzanie kryzysowe. To policja ma szukać morderców, my jesteśmy od ratowania zakładników i zapobiegania zamachom. Poza tym wyborcy nie lubią, kiedy ludzi bogatych traktuje się lepiej od innych. Kogo obchodzi, kto zabił europejskiego multimiliardera, który chciał zabrać nam pieniądze i miejsca pracy? Zabezpieczenie zabytków i lotnisk jest ważniejsze.

- Nie wierzę, że nasze społeczeństwo stało się aż tak egocentryczne - powiedział McCaskey. - Nie chcę w to wierzyć.

- Ale tak jest - zapewnił go Hood. - Dawniej wszędzie wokół widzieliśmy wspaniałe perspektywy. Nie patrzyliśmy w dół. Taka była amerykańska definicja piękna. Wiesz, jaki los spotyka narcyza, który dochodzi do wniosku, że stracił urodę?

- Uhm. Botoks sobie wstrzykuje.
- Nie. Zaczyna się bać, że straci też całą resztę.
- Mówimy teraz o człowieku czy o Ameryce?
- O jednym i drugim - odparł Hood.

McCaskey lekko posmutniał. Rozmowa przybrała niepokojący obrót. Hood bał się, że za chwilę przyjdzie tu Liz Gordon, by sprawdzić, czy wyładowuje swoje frustracje na innych.

I nie bez powodu.

- Słuchaj, Darrell. Nie proszę cię, żebyś stanął po mojej stronie barykady.
- Wiem, Paul...
- Moje osobiste zmartwienia nie zmieniają faktu, że zagrożenie dla Centrum jest realne - ciągnął Hood. - Straciliśmy dziś piątą część budżetu. Nie możemy nie brać pod uwagę możliwości dalszych cięć.

- Fakt.

- Jednocześnie musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby pomóc kolegom z innych agencji - ciągnął Hood. - Chcę tylko, żebyś starał się latać tak nisko pod radarem, jak to możliwe.

- Tu? W Waszyngtonie?

- Wiem, ciężka sprawa - powiedział Hood z rezygnacją. - Po prostu uważaj, to wszystko. Jeśli twój udział w śledztwie wyjdzie na jaw, nie życzę sobie żadnych wywiadów. Dopilnuj, żeby twój znajomy z Yardu też się za bardzo nie wychylał i ogranicz kontakty z kumplami z Biura do minimum.

Konkurencyjne agencje wywiadu wewnętrznego i organy ścigania na ogół pozostawały w stanie „zimnego pokoju”. W odróżnieniu od agencji działających za granicą, które z reguły potrafiły się ze sobą dogadać.

- Będę uważał - obiecał McCaskey.

- I dobrze. A jak dorwiesz człowieka, który to zrobił, jeszcze raz zastanowimy się, jak rozegrać sprawę z Debenportem i komisją do spraw służb specjalnych.

- Przynieście mi głowę zdrajcy, a potem pogadamy.

- Coś w tym stylu - powiedział Hood.

- Słusznie. Aha, szefie? Wiem, że masz za sobą ciężki ranek. Jeśli byłem trochę za ostry, przepraszam.

- Zadałeś właściwe pytania we właściwym momencie - powiedział Hood. - Gdybym nie potrafił znieść tego jak mężczyzna, nie zasługiwałbym na to, żeby siedzieć za tym biurkiem.

McCaskey uśmiechnął się. Już lepiej.

Po jego wyjściu Hood poinformował Bugsa, że przez pięć minut nie przyjmuje telefonów. Zastanawiał się, co zrobić z Frankiem Huntem. Swojemu synowi, Alexandrowi, staż załatwiłby na pewno. Sharon o tym wie. Domyśli się więc, że były mąż szczególnie się nie starał, by spełnić jej prośbę - jeśli w ogóle. Czy ta odrobina szacunku dla samego siebie, jaką zyska, warta będzie odrobiny szacunku, jaki inni zyskają dzięki niemu?

Z ociąganiem sięgnął po telefon, jak po zwiniętego węża. Zaczął dzwonić po ludziach, przybierając bardziej zdecydowany ton niż wcześniej.

Rozdział 13

Waszyngton Poniedziałek, 14.17

Zadzwoił detektyw Robert Howell z policji miejskiej. Kendra Peterson odebrała w swoim gabinecie. Detektyw poprosił do telefonu senatora. Nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Orr pracował w nasłonecznionej sali z admirałem Linkiem i Kat Lockley. Kendra przełączyła rozmowę na tryb konferencyjny i poszła do nich. Orr włączył głośnik. Miał na szyi poluzowany krawat z flagą amerykańską, rękawy jego koszuli były rozpięte i podwinięte.

- Panie senatorze, zanim usłyszysz o tym całe miasto, chcę panu powiedzieć, że William Wilson został zamordowany.

Howell mówił szybko, do rzeczy, bez emocji. Wrażenie, jakie wywarł, musiało być podobne do reakcji słuchaczy na przemówienie, w którym Roosevelt poinformował o ataku na Pearl Harbor.

- Jak to się stało? - spytał Orr. To on musiał prowadzić tę rozmowę. Jego współpracownicy byli w zbyt głębokim szoku.

- Wygląda na to, że panu Wilsonowi wstrzyknięto środek zatrzymujący akcję serca - odparł Howell.

- Zrobiła to kobieta, z którą spotkał się w hotelu? - spytał Orr.

- Tak przypuszczamy. Musimy przeprowadzić dokładną analizę, wykraczającą poza zakres pierwotnej sekcji, by stwierdzić, jaka substancja dostała się do mięśnia sercowego. Potrwa to kilka dni.

- Detektywie, mówi admirał Ken Link. Czy nowe dowody odkryto już po przeprowadzeniu sekcji?

- Stało się to kilka godzin temu, admirale - powiedział Howell. - Lekarka sądowa wyjaśniła, że ślad po zastrzyku znalazł dżentelmen z Centrum Szybkiego Reagowania, który przyszedł obejrzeć ciało.

- Centrum? Czego oni tam szukali? - spytał Link.

- Tego nie wiem, panie admirale.

- I ten ślad został znaleziony w obecności lekarza sądowego? - naciskał Link.

- Tak. Czemu pan pyta?

- Te agenciki nawet w bingo nie potrafiłyby grać uczciwie - stwierdził pochodzący z

Oregonu oficer.

- „Te agenciki” to znaczy Centrum Szybkiego Reagowania? - spytał Howell.

- Tak jest.

- Ma pan powód, by podejrzewać, że mogli to zaaranżować? - ciągnął Howell.

- Dziś rano zmasakrowano im budżet - odparł Link. - Paul Hood musi coś zrobić, by nie wypaść z gry.

- Posunąłby się do fałszowania dowodów? Tak od razu?

- Improvizowany sabotaż to specjalność agentów - zauważył Link. - Detektywie, o nic Centrum nie oskarżam. Twierdzę tylko, że to dziwny zbieg okoliczności.

Kat wcisnęła guzik wyłączający głos.

- Ken, możemy spytać o to Mike’a Rodgersa, jak przyjdzie.

- Zły pomysł - odparł Link.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, ludzie - powiedział Orr i ponownie włączył dźwięk. - Jak duże kłopoty nas czekają, detektywie Howell?

- Szczerze mówiąc, nie wiem, panie senatorze - powiedział Howell. - Musimy znaleźć tę kobietę. Jeśli Wilson poznał ją w jakimś barze, do którego zajrzał w drodze z przyjęcia, lub zamówił w agencji towarzyskiej, oczywiście jest pan czysty. Jeśli była wśród pańskich gości, obawiam się, że trochę błota na pana prysnie.

- To zrozumiałe - przyznał Orr. - Ma pan listę uczestników przyjęcia.

- Tak, panie senatorze. Właśnie ich przesłuchujemy.

- Jestem głęboko wdzięczny za pański telefon - powiedział Orr. - Jeśli dowiemy się czegoś o tej tajemniczej kobiecie, dam panu znać.

- Dziękują, senatorze. Mogę obiecać to samo.

Orr rozłączył się. Odchylił się na oparcie i skrzyżował szerokie ramiona.

- Kim ona jest? Macie jakieś przypuszczenia, domysły?

Nikt nie odpowiedział. Orra to nie zdziwiło. Kiedy Ken Link pracował w CIA, uważał Centrum za konkurencję. Teraz miał okazję się odgryźć i ją wykorzystał. Co się tyczy reszty, nikt nie chciał powiedzieć czegoś, co mogłoby zostać wykorzystane przez wrogów, którymi w przyszłości mogli okazać się dzisiejsi sojusznicy. Tu, w Waszyngtonie, nawet obcy sobie ludzie mieli wspólnych znajomych. Orr i jego najbliżsi współpracownicy znali wszystkich uczestników przyjęcia, a ci z kolei - praktycznie Wszystkich w stolicy.

- No dobrze - ciągnął senator. - Kat, czy zmienia to naszą taktykę na dzisiejsze wywiady?

- Nie, przynajmniej jeśli chodzi o komentarze na temat Wilsona - odparła Kat.

Przejrzała notatki. - Na pytanie o jego śmierć miałaś odpowiedzieć: „Pan Wilson na zawsze pozostanie zapamiętany jako wynalazca, który pozostawił przyszłym pokoleniom wiele wspaniałych rozwiązań technologicznych”. Dwie wzmianki o jego osiągnięciach naukowych mają dać do zrozumienia, że geniuszem bankowości to on nie był. Nie widzą powodu, by to zmieniać.

- Słusznie, ale na pewno padną pytania o morderstwo - powiedziała Kendra. - Senator będzie musiał się jakoś do nich odnieść.

- Ja rzuciłabym jakąś sztapową uwagę typu „na razie to tylko plotki” albo „pozostawmy tę sprawą policji” - stwierdziła Kat. - Najważniejsze, żeby powiedzieć coś, co ucięłoby temat.

- Czemu? - spytała Kendra.

Kat spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Bo prasa tylko czeka, by wplątać senatora czy jakąkolwiek ważną osobistość w zabójstwo - powiedziała.

- Już jesteśmy w nie wplątani - zauważyła Kendra. - Wilson umarł niecałe dwie godziny po wyjściu z przyjęcia.

- Do czego zmierzasz? - spytał Orr.

- Podstawą programu USF będą oczywiste prawa obywateli amerykańskich, między innymi powszechny dostęp do sądów i domniemanie niewinności. Przejdźmy w związku z tym do ofensywy. Powiesz dziennikarzowi prowadzącemu wywiad, że wszelkie insynuacje są niedopuszczalne, niestosowne i społecznie szkodliwe. Że pogoń za sensacyjnymi nagłówkami jest sprzeczna z poszanowaniem ludzkiej godności, stanowiącym kamień węgielny naszego wymiaru sprawiedliwości.

- To tak, jakby próbować przemówić do rozsądku gepardowi albo zawstydzić węża - powiedziała Kat. - Drapieżca nie potrafi być inny, niż jest.

- A niech sobie syczą. My mamy pokazać, że jesteśmy odważni - powiedziała Kendra.

- Nie możemy bać się mediów, a to dobra okazja, by je zmarginalizować.

- Fakt, warto poruszyć tę kwestię - powiedział senator w zamyśleniu. - Tyle że może nie zaraz po śmierci Wilsona.

- Cały kraj będzie cię słuchał - powiedział Link.

Admirał zwykle włączał się do dyskusji tylko wtedy, gdy była mowa o czymś, co miało dla niego szczególne znaczenie. Orr nie pamiętał, by w najbliższym gronie jego współpracowników kiedykolwiek zarysowały się tak głębokie podziały. Kendra siedziała sztywno, jakby kij połknęła, z napiętym wyrazem twarzy. Kat stuknęła długopisem w notes.

Link nachylił się nad stołem, jakby brał udział w morskiej grze wojennej, a na blacie leżała mapa z modelami pancerników. Orr nie wiedział, czym to tłumaczyć: presją związaną ze zbliżającą się konwencją, szokiem wywołanym wiadomością o śmierci Wilsona, czy jednym i drugim. On sam nie mógł sobie pozwolić na uleganie emocjom. Jako prezydent, którym miał nadzieję zostać, będzie musiał zachować zimną krew w o wiele trudniejszych sytuacjach.

- Ken, nie obawiasz się, że wyjdziemy na zepchniętych do defensywy oportunistów? - spytał Orr.

- Niekoniecznie - odparł Link. - Tylko ci, którzy są pewni siebie, mogą otwarcie mówić prawdę. Co do oportunistów, to media wykorzystują ciebie. Pokazują cię tylko z powodu śmierci Wilsona.

- W oczach widzów media są bezstronne - upierała się Kat. - One są środkiem przekazu. My przekazem.

- Zgadzam się w stu procentach - powiedziała Kendra. - I dlatego musimy stanąć w obronie kobiet, które były na naszym przyjęciu. W przeciwnym razie wyjdzie na to, że żerujemy na ludzkim nieszczęściu, by przydać senatorowi rozgłosu.

- Kendra, żadnego z gości o nic nie oskarżono - zauważyła Kat.

- Ale wszystkimi nimi, z tobą i mną włącznie, interesować się będzie policja i prasa - powiedziała Kendra.

- To ich konstytucyjne prawo - powiedziała Kat. Spojrzała na senatora. - Senatorze, zgadzam się, że my wykorzystujemy media, a media nas. Dlatego dzisiejszy wieczór możemy potraktować jako okazję do zwarcia szyków przed konwencją, a o programie pomówimy w jej trakcie. Gdybyśmy zrobili coś więcej, byłoby to chore.

- To mocne słowa, Kat - stwierdził Link.

- A nie o to właśnie chodzi? O prowokowanie ostrych reakcji?

Orr zorientował się, że jeszcze trochę, a naprawdę skoczą sobie do oczu. Kat zazdrośnie strzegła swoich kompetencji w dziedzinie public relations, a Link i Kendra lubili się do wszystkiego mieszać. Do tej pory jednak jakoś się dogadywali.

Senator spojrział na zegarek.

- Zaraz przyjdzie generał Rodgers. Proponuję, żebyśmy zrobili, co następuje. Zgadzam się z Kat. Nie chcę dziś atakować Wilsona. Ale widzę pewien punkt zaczepienia. Sprawą jego śmierci powinna zająć się policja. Agencja federalna, jaką jest Centrum Szybkiego Reagowania, nie ma tu nic do gadania. Generał Rodgers pracuje w Centrum. Będzie wiedział, co tam się dzieje. W tej kwestii możemy działać ostro.

- Słusznie - powiedziała Kat z podziwem. - A przy okazji media, zamiast interesować

się nami, zaczną snuć jakieś spiskowe teorie.

- To dobre - przyznała Kendra.

- Ken, wiesz coś więcej o tych cięciach budżetowych?

- Nie. Wyczytałem o nich w protokole posiedzenia komisji do spraw służb specjalnych.

- Innym agencjom też coś zabrali? - spytał Orr.

- Nie - odparł Link. - Mało tego, ich budżety wzrosły.

- Czyli Hood nieźle dostał po łapach - powiedział Orr. - Kat, sprawdź Centrum i porozmawiaj z senatorem Debenportem. Jest szefem komisji do spraw służb specjalnych. Spytaj go nieoficjalnie, czemu obcięli budżet Centrum. To może się przydać przed wyborami. Niech Debenport wytłumaczy, dlaczego naraża kraj na niebezpieczeństwo. Ja postaram się wyciągnąć jak najwięcej od Mike'a Rodgersa.

- Senatorze, za pół godziny ekipa CBS przyjdzie rozstawić sprzęt - powiedziała Kat.

- Jestem pewien, że generał Rodgers nie będzie miał nic przeciwko krótkiej przerwie. -

Orr wstał. - Dziękuję wam. To była bardzo inspirująca dyskusja.

Sala konferencyjna szybko opustoszała i senator poszedł do swojego gabinetu. Porządek został przywrócony, ale tym razem towarzyszyła mu doza zdrowego napięcia. Stażyści, asystenci i sekretarki czuli to i pozostawali skoncentrowani. Orr dobrze się czuł w takiej atmosferze. Wszyscy byli skupieni na celu i lekko rozgorączkowani, zdeterminowani, ale nie zdesperowani.

Oczywiście, to może się zmienić. Ale tak czy inaczej, będzie dobrze.

Senator Orr zamknął drzwi. Przyjemnie było siedzieć w ciszy. Delektował się nią przez chwilę, po czym wysłuchał nagranych wiadomości. Oddzwonił tylko do żony. Chciał powiedzieć jej o Williamie Wilsonie, zanim dowie się z telewizji. Valerie Orr większość czasu spędzała w Teksasie, bo nie znosiła cynicznych elit waszyngtońskich. Senator tęsknił za nią, ale w gruncie rzeczy był zadowolony, że wołała ranczo od Waszyngtonu. Gdyby ktoś ośmielił się ją obrażać czy obgadywać, złołby delikwentowi skórę starą dobrą różgą.

Kiedy kolejny, ostatni już raz otworzył akta generała Rodgersa, przypomniały mu się słowa ojca. Gdy na ranczu zaczynało brakować pieniędzy lub wody, Jeremiaś Orr wkładał między policzek a dziąsło nieodłączną prymkę tytoniu do żucia Red Man, spuszczał głowę i mówił do siebie: „Mimo wszystko jesteśmy w lepszej sytuacji niż krowy”.

Cokolwiek się stanie, senator Orr lubił wyzwania. Lubiał wcielać w życie własne pomysły i słuchać pomysłów współpracowników. Nie miał na co narzekać.

Był w o wiele lepszej sytuacji niż William Wilson.

Rozdział 14

Waszyngton Poniedziałek, 14.59

W oczach większości obserwatorów z zewnątrz Kapitol i obsługujące go biurowce były ilustracją określenia „korytarze władzy”. Przez przeszło sto lat to właśnie tu debatowano o ideach, które najpierw odbiły się szerokim echem na całym świecie, by potem go zdominować. W tym gmachu nabierały one ostatecznych kształtów. Jedni prezydenci byli tu upokarzani, inni wypowiadali wojny. W tych murach przyjmowano i unieważniano ustawy, które za pośrednictwem sądów federalnych, stanowych i lokalnych wpływały na życie wszystkich obywateli. Tu też zapadały decyzje o wspieraniu i ograniczaniu wolności wypowiedzi artystów.

Mike Rodgers żadnych korytarzy władzy nie widział. Ile razy musiał tu coś załatwić, co chwała Bogu zdarzało się rzadko, czuł się, jakby wchodził do rzeźni. Na szczęście aż do dziś nie był szczególnie tłustą krową, więc nie miał okazji trafić pod nóż. Co nie zmieniało faktu, że to właśnie tutaj obcina no budżety, niszczone inicjatywy, dobre pomysły okrajano tak, że prawie nic z nich nie zostawało, a mądrych, przyzwoitych ludzi wycinano w pień.

To tu, nie na polu bitwy, została przegrana wojna w Wietnamie.

Kapitol miał tyle wspólnego z władzą, co hokej z jazdą figurową na lodzie. Dużo agresywnych, energicznych ruchów, niewielki przebyty dystans. Dziwna sprawa. Patrząc na ten gmach, Rodgers zauważał nie tyle białą kopułą i kolumny, co skryte wśród nich mroczne zakamarki i cienie.

General miał nadzieję, że senator Orr to zmieni.

Rezerwiści pełniący wartę przed budynkiem zaszalutowali Rodgersowi. Odsalutował i i poszedł do gabinetu Orra na parterze. Nie musiał anonsować swojego przybycia. Kamera nad drzwiami zrobiła to za niego.

Może powinno się mówić „korytarze obłędu”, pomyślał. Spojrzał w głąb holu. Owszem, bezpieczeństwo jest ważne, ale to nie znaczy, że trzeba od razu nad wszystkimi drzwiami instalować kamery. Pieniądze, które poszły na system monitoringowy, lepiej było wydać na jednego czy dwóch dobrych agentów, którzy mogliby namierzyć i usunąć potencjalnych zamachowców.

Rodgers postanowił nie oceniać Donalda Orra na tej podstawie. Nie można potępiać

człowieka za występki bliźnich.

W małej recepcji stało mahoniowe biurko. Energiczna młoda recepcjonistka powitała Rodgersa szerokim uśmiechem i silnym uściskiem dłoni.

- Dziękujemy za przybycie, panie generale. Senator czeka. - Wprowadziła kod na klawiaturze przy sześciopłytowych drzwiach z drewna wiśni, prowadzących do głównego biura. - Napije się pan czegoś? Kawy, coli?

- Może być kawa. Bez cukru.

Poprowadziła go przez krótki labirynt biurek i boksów do zamkniętych drzwi gabinetu senatora. Zapukała i została poproszona do środka. Potężnie zbudowany Teksańczyk wstał od biurka, patrząc w twarz generała.

- Człowiek, który zapobiegł trzeciej wojnie światowej - powiedział senator Orr. - I to dwa razy.

- To za dużo powiedziane, ale dziękuję - odparł Rodgers.

- Skromność, generale jest na Kapitolu zakazana. Zdaje się, że przyjęliśmy ustawę w tej sprawie.

- Jestem tu tylko gościem.

- To nieważne - powiedział Orr, kiedy uścisnęli sobie dłonie. - Dzień w dzień słyszę, jak różne miernoty wyśpiewują peany na swoją cześć. Miło dla odmiany spotkać kogoś, kto na nie zasługuje.

Rodgers wyczuł lekkie zgrubienia na dłoni i palcach senatora. Wiedział, że Orr pochodził z farmerskiej rodziny. To dobrze o nim świadczyło. Nie był bogatym próżniakiem, który jednego dnia w życiu uczciwie nie przepracował.

- Poza tym mam nadzieję, że namówię pana, by tu został - ciągnął senator. - Proszę usiąść - powiedział, wskazując skórzany fotel.

Recepcjonistka przyniosła Rodgersowi kawę. Nawet nie zauważył, kiedy zdążyła po nią pójść. Postawiła ją na szklanym blacie stolika przed fotelem. Para unosiła się z granatowego kubka. Zdobiące go złote logo Camp David było odwrócone w stronę Rodgersa. Aluzja była aż nadto czytelna, ale cóż, mógł się tego spodziewać.

Recepcjonistka wyszła i w drzwiach stanął barczysty mężczyzna. Rodgers pamiętał go z przyjęcia.

- Admirał Link - powiedział, podnosząc się.

- Proszę nie wstawać - odparł admirał. Zamknął za sobą drzwi i podał Rodgersowi rękę. Obrócił fotel tak, by wszyscy trzej siedzieli w kręgu. - Bardzo mi miło. Szkoda, że nie udało nam się porozmawiać wczoraj.

- Nad takimi imprezami trudno zapanować - powiedział, siadając, senator. - Łatwiej poradzić sobie z bydłem.

- Powinien pan rozdawać gościom elektryczne pastuchy - powiedział Rodgers.

- Dawno nie słyszałem lepszego pomysłu - odparł Orr ze szczerym, nieudawanym śmiechem.

- Jadąc tutaj, usłyszałem nowe wieści o Wilsonie - powiedział Rodgers. - Były jakieś reakcje?

- Na razie nie - powiedział Orr. - Ale za dwadzieścia minut mam wystąpić na żywo w CBS Evening News. Wtedy będę mądrzejszy. Mam nadzieję, że zostanie pan, żebyśmy mogli potem kontynuować rozmowę. Nie chcę nic robić w pośpiechu.

- Oczywiście - zapewnił go Rodgers. - Ale szczerze mówiąc, senatorze, nie bardzo wiem, czemu chciał pan ze mną rozmawiać.

- Powołuję do życia nową partię polityczną, chcę tworzyć nową jakość w Waszyngtonie - powiedział Orr. - Nie wątpię, że nieraz już to pan słyszał.

- Tyle razy, że przestałem słuchać.

- Podobnie jak większość Amerykanów, generale, i dlatego trzeba odzyskać ich zainteresowanie. Musimy szybko dokonać dramatycznego nowego otwarcia, nie wolno nam tracić czasu. - Orr wychylił się z fotela. - Wkrótce oficjalnie ogłoszę, że kandyduję na prezydenta. Poproszę admirała, by został kandydatem na wiceprezydenta. To nikogo nie zaskoczy. Jednak moje przemówienie na konwencji nie będzie miało nic wspólnego z typową polityczną retoryką. Zaproponuję gruntowną przebudowę amerykańskiej infrastruktury. Wszystko, od wymiaru sprawiedliwości po system ubezpieczeń społecznych, zostanie zreorganizowane tak, by służyć potrzebującym.

- To będzie wymagało dużej siły przebiccia i pieniędzy - powiedział Rodgers.

- Fundusze będą pochodzić z likwidowanych zbędnych programów. Weźmy taką pomoc zagraniczną. Wydajemy na nią miliardy i nikt nam za to nie dziękuje. To samo dotyczy importowanych towarów - powiedział Orr. - Jeśli inne kraje chcą mieć dostęp do naszych konsumentów, niech płacą cła. Co się tyczy siły przebiccia, zapewnią mi ją obywatele naszego kraju. Zapomnieliśmy o wyborcach, generale Rodgers. W razie potrzeby w najważniejszych sprawach organizować będziemy comiesięczne referenda. Kongresmani, którzy sprzeciwią się życzeniom wyborców, przejdą na emeryturę.

- Ambitny program, trzeba przyznać - powiedział Rodgers.

Orr odchylił się na oparcie.

- Ale?

- Zbyt dużo przeszedłem, żeby brać za dobrą monetę wszystko, co dobrze brzmi. Jestem pesymistą marzycielem.

- Dobrze - stwierdził admirał Link.

- Nie trać nadziei, ale spodziewaj się najgorszego - powiedział Orr.

- Ja powiedziałbym „przewiduj najgorsze” - uściślił Rodgers.

- Sam Houston taki był i proszę, czego dokonał - powiedział Orr. - Założył nowy stan. Rodgers uśmiechnął się szeroko.

- Tyle że on był z Teksasu, a ja jestem z Connecticut.

Orr odwzajemnił uśmiech.

- Teksas to stan ducha, nie termin geograficzny. Trochę się od pana różnimy, generale, admirał i ja. Co do reakcji na nasz program jesteśmy ostrożnymi optymistami. Tak czy inaczej, kiedy kampania ruszy, potrzebny mi będzie doradca do spraw wojskowych, fachowiec. Człowiek, który powąchał prochu i wie, jak funkcjonuje wywiad. Ktoś, kto zostanie sekretarzem obrony w administracji Orra.

- Ma pan wyjątkowe kwalifikacje - dodał Link.

- I jestem trochę zdezorientowany - powiedział Rodgers. - Czy to propozycja?

Senator zaśmiał się. Tym razem sztucznie.

- Jak już mówiłem, Teksas nosi się tu - powiedział, kładąc dłoń na piersi. - Obserwowałem pana, kiedy wchodził pan do mojego biura. Chciałbym, by wszyscy członkowie mojego gabinetu takim właśnie krokiem wchodzili na mównicę.

Rodgers był mile połączony, ale i podejrzliwy. Albo Orr z jakiegoś powodu chce złapać go na haczyk, albo rzeczywiście jest politykiem, który mówi, co myśli.

- Generale, mogę spytać, jak wygląda sytuacja w Centrum Szybkiego Reagowania? - powiedział Link.

- Czemu? - spytał Rodgers. - Coś pan słyszał?

- Niewiele - odparł Link.

- W Waszyngtonie? Nie wierzę - stwierdził Rodgers.

- Ale ci dociął, Ken - rzucił Orr ze śmiechem, tym razem szczerym.

- Fakt - odparł admirał. - Prawdę mówiąc, słyszeliśmy, że Centrum zajęło się sprawą zabójstwa Williama Wilsona.

- Poważnie? - powiedział Rodgers.

Link przyjrzał mu się uważnie.

- Wydaje się pan zaskoczony.

- Bo jestem. Kto prowadzi śledztwo?

- Nie wiem. W każdym razie ktoś dobry - odparł Link. - To on znalazł pod językiem ślad po ukłuciu, którego nie zauważyła lekarka sądowa. Dzięki temu z ataku serca zrobiło się zabójstwo.

- Rozumiem - powiedział Rodgers.

Tym kimś najprawdopodobniej był Darrell McCaskey, to w jego stylu. Centrum musiało zająć się tą sprawą na prośbę Interpolu albo Scotland Yardu.

- Generale, słyszeliśmy, że komisja do spraw służb specjalnych obcięła budżet Centrum - ciągnął Link. - Czemu dyrektor Hood przyjął zlecenie z zewnątrz w sytuacji wymagającej raczej szukania oszczędności i przeprowadzenia restrukturyzacji?

- Musiałby pan jego o to spytać - powiedział Rodgers.

- Oczywiście - powiedział Orr. - Ken, nie możesz wymagać od generała, by ujawnił tajemnice zawodowe...

- Właściwie to nie do końca w tym rzecz - wyjaśnił Rodgers. - Dziś rano dowiedziałem się, że planowane redukcje obejmą też mnie. De facto nie jestem już zastępcą dyrektora.

- Poprosili pana o rezygnację? - spytał Orr ze zdziwieniem.

- Za dwa tygodnie od dziś będę pracował z panem albo Departament Obrony przeniesie mnie na inne stanowisko.

- To się nazywa cios poniżej pasa - powiedział Link. - Pozbywają się autentycznego bohatera, a potem pomagają w śledztwie w sprawie dekadentckiego brytyjskiego miliardera.

Zadzwoił telefon Orra. Senator odebrał i zapewnił rozmówcą, że zaraz przyjdzie.

- Producent Dana RATHERA czeka w sali konferencyjnej, żeby omówić parę spraw w związku z wywiadem - powiedział. - Generale, może pan jeszcze zostać? To nie powinno potrwać dłużej niż kwadrans.

- Oczywiście - odparł Rodgers i wstał razem z senatorem.

Orr wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Rodgers usiadł z powrotem. Link patrzył na niego w milczeniu. Generał napił się kawy.

- Generale Rodgers... mogą ci mówić Mike?... Mógłbym zadać ci pytanie osobiste?

- Proszę bardzo.

- Czy uważasz, że Paul Hood i Centrum cię zdradzili?

- Ja bym tego tak nie ujął - odparł Rodgers.

- A jak?

To pytanie z tezą, pomyślał Rodgers, choć trudno wyczuć, jaką. To już nie była towarzyska pogawędka.

- Nie jestem zadowolony z tego, jak się sprawy ułożyły, ale to było tylko kolejne zadanie w ramach służby - odparł Rodgers. - Z takiego czy innego powodu ten etap się zakończył. Jestem gotów na nowe wyzwania.

- Zdrowe podejście - powiedział Link.

- Dzięki. A teraz ja chciałbym pana o coś spytać, admirale.

- Oczywiście.

- Czy to ważne, co sędzę o Centrum?

- To znaczy, czy to odbije się na naszej ewentualnej współpracy? Nie - powiedział Link. - Chodzi raczej o to, żeby im pomóc.

- Nie rozumiem.

- Paul Hood wprowadza ich na grząski grunt, także z naszego punktu widzenia - powiedział Link.

- Naszego? Dlaczego?

- To kwestia wizerunku - wyjaśnił Link. - Jeśli Centrum nieudolnie poprowadzi dochodzenie, błoto obryzga nas, naszych gości i naszą konwencję.

- Dlaczego zakłada pan, że sobie nie poradzą?

- Bo Centrum zaczyna brakować ludzi - powiedział Link. - Przypuśćmy, że śledztwo przypadnie panu X. Będzie on musiał nadal wykonywać wszystkie swoje dotychczasowe obowiązki plus te, które dojdą mu w wyniku redukcji personelu. Nie muszę przypominać, że w przypadku braków kadrowych w wojsku standardowy sposób działania sprowadza się do strzelania, gdzie popadnie, w nadziei że w końcu trafi się wroga. Jeśli pan X będzie zmuszony do takiego postępowania, my też możemy ucierpieć.

- Niewykluczone. Aleja bym się tego aż tak nie obawiał.

- Kiedy zakłada się nową partię polityczną, każda skaza na wizerunku jest groźna - powiedział Link. - To odstrasza potencjalnych ofiarodawców. Mało tego. Rozmawiałem z paroma osobami z Kapitolu, które obawiają się, że Hood wykorzystuje sytuację, by wzmocnić własną pozycję, innymi słowy, że próbuje podciągnąć udział w międzynarodowych śledztwach pod pojęcie zarządzania kryzysowego. Już raz coś takiego zrobił.

- Mówiąc ściśle, stało się to dlatego, że zapobiegliśmy atakowi rakietowemu na Japonię - powiedział Rodgers. - Prezydent poprosił nas o przyjęcie dodatkowych obowiązków.

- O ile rozumiem, teraz sytuacja jest inna - powiedział Link. - Czasy się zmieniły. Wtedy CIA przechodziła z wywiadu osobowego na elektroniczny. Ważne informacje przepadały w pamięci komputerów. Centrum w porę to wychwyciło. Tym razem Firma na to

nie pozwoli.

- Jeśli tak, czemu mamy się tym przejmować? - spytał Rodgers.

- Bo są przypuszczenia, że Paul Hood mógł zaaranżować całą sytuację - odparł Link.

- Bzdury - warknął Rodgers. Miał nadzieję, że to nie Link rozpuszcza takie plotki. To była zwykła podłość. - Znam ludzi z Centrum. Nie zrobiliby czegoś takiego.

- Nie wszyscy są co do tego przekonani - powiedział Link.

- Kto na przykład?

- Wpływowe osoby - odparł Link. - Ludzie, którzy mają dostęp do prezydenta i komisji do spraw służb specjalnych. Krótko mówiąc, Mike, to dla wszystkich niekorzystna sytuacja.

- No dobrze, jest źle. Czemu akurat mnie pan o tym mówi?

- Porozmawiaj z Hoodem. Powiedz mu, żeby wyciszył sprawę, jeśli chce pomóc Centrum.

- Wyciszyć. To znaczy zatuszować?

- To znaczy zostawić to Angolom, niech załatwią to właściwymi kanałami. To robota dla policji miejskiej.

Policja miejska była skuteczna, taktowna i dyskretna. Oni błota na pewno nie rozbryzną. Nie to, co Centrum. Nawet jeśli Hood nie działał z pobudek przypisywanych mu przez Linka.

- Trzeba wziąć pod uwagę coś jeszcze - ciągnął Link. - Komisja może w każdej chwili rozwiązać Centrum. Wystarczy, że zredukuje jego budżet do zera. Jeśli Hood wkroczy w kompetencje FBI, tak to się może skończyć. Bądź mu przyjacielem. Zasugeruj, żeby zastanowił się, czy warto się w to pakować.

- Przemyślą to - powiedział Rodgers.

Więcej nie poruszyli tego tematu.

Przez chwilę rozmawiali o USF i konwencji. Link pokazał mu listę polityków i biznesmenów, którzy nieoficjalnie zgłosili gotowość poparcia nowej partii. Rodgers był pod wrażeniem. Dostał też od admirała płytą kompaktową z komunikatami prasowymi USF i wewnętrznymi rozporządzeniami, by był na bieżąco.

Wrócił Donald Orr i atmosfera od razu stała się luźniejsza. Senator stwierdził, że wywiad był udany; w jego trakcie zasugerował, by media wstrzymały się ze spekulacjami na temat śmierci człowieka, którego nazwał „darem Wielkiej Brytanii dla Europy”, do czasu wydania oficjalnego komunikatu przez policję. To Kat wymyśliła to określenie, wyjaśnił Orr, a jemu spodobała się jego przewrotna wymowa.

Rodgers zauważył, że przy senatorze czuje się swobodnie, za to Linkowi nie ufa. To nie tak, że odgrywali przed nim role dobrego i złego policjanta. Tacy po prostu byli. Orr przywodził na myśl szeryfa w białym kapeluszu, który w samo południe staje na głównej ulicy oko w oko z rewolwerowcem i pozwala mu pierwszemu wyciągnąć broń. Link zaś był jak jego pomocnik, który czai się w oknie z karabinem, strzela bandycie w ramię, a potem depta mu po ranie dotąd, aż wyciągnie z niego, gdzie jest reszta gangu. Oba podejścia były strategicznie uzasadnione, pod warunkiem że człowiek nie doświadczał ich skutków na własnej skórze. Z Orrem Rodgers wiedział, na czym stoi. Co do Linka nie był tego taki pewien. Istniała subtelna różnica między zatrudnianiem a wykorzystywaniem kogoś. Od charakteru pracodawcy i godności pracownika zależało, czy granica ta nie zostanie przekroczona.

Na odchodnym Rodgers obiecał, że rano da odpowiedź. Chciał pracować z tymi ludźmi. Na samą myśl krew szybciej krążyła mu w żyłach, poza tym byłoby to dla niego nowe doświadczenie. Mimo to był w rozterce. Musiałby porzucić wojsko na rzecz bardzo na razie mglistych perspektyw. Z drugiej strony, czy jest na tym świecie coś pewnego? On sam jeszcze tego ranka był zastępcą dyrektora Centrum Szybkiego Reagowania.

Idąc do samochodu, zauważył, że jest zaskakująco rozgoryczony tym, jak go potraktowano. Czemu Hood zwolnił go, by zaraz potem przydzielić niepodlegające kompetencjom Centrum śledztwo Darrellowi i Bobowi Herbertowi, którzy i bez tego stanowili duże obciążenie dla budżetu? Nie był to może brak lojalności, ale na pewno poważne zaburzenie hierarchii. A podejrzenia, że Hood wykorzysta tę sprawą, by pomóc Centrum? Choć Rodgers nawet przez chwilą nie wierzył, by dowody zostały spreparowane, jak sugerował Link, może Paul rzeczywiście skorzysta z okazji, by przestawić kulejące Centrum na nowe tory.

Dlatego właśnie lepiej być zastępcą szeryfa, uznał generał. Szeryf jest doskonale widocznym symbolem i celem. Musi wyjść na ulicę i stanąć twarzą w twarz z bandytą. Nie może zastrzelić go z ukrycia i nie ma czasu na prowadzenie wojny psychologicznej.

Jak widać, lata spędzone przez Kennetha Linka na stanowisku szefa tajnych operacji CIA nie poszły na marne. Wjeżdżając w strumień samochodów w rdzawym blasku późnego popołudnia, Rodgers postanowił porozmawiać z Paulem Hoodem o śledztwie w sprawie Williama Wilsona.

Rozdział 15

Charlottesville, Wirginia Poniedziałek, 16.18

April Dorrance spędziła dzieciństwo we wsi Sneedville w stanie Tennessee, przy granicy z Wirginią. Jej ojciec zbierał wyrzucone na złom urządzenia AGD, naprawiał je i sprzedawał. W latach siedemdziesiątych takie właśnie rzeczy robić musieli zdolni i przedsiębiorczy Afroamerykanie z Południa, by zapewnić byt rodzinom. Zanim Dorrance senior brał się do naprawy swoich znalezisk, April bawiła się nimi w domu. Lubiła też obserwować ojca przy pracy. Patrzyła jak urzeczona na jego wielkie dłonie manipulujące cienkimi drutami i narzędziami. Zawsze tłumaczył jej, co robi i dlaczego.

- Tatko mnie tego nauczył - powiedział Royal Dorrance pewnego wieczoru, kiedy siedzieli w swoim małym domku z dachem z blachy falistej.

- A on nauczył się tego od swojego ojca? - spytała April.

- Tak jest - odparł.

- A kto pierwszy się tego nauczył?

- Mój dziadek, Walter Emmanuel Dorrance - wyjaśnił Royal. - Walczył w 803. Pułku Saperów w I wojnie światowej. To była duża, segregowana jednostka, co znaczy, że przyjmowali do niej tylko czarnych. We Francji nauczył się wszystkiego o maszynach.

- Chodził do szkoły na wojnie? - spytała April.

- Tak jakby, skarbie - powiedział jej ojciec. - Musiał nauczyć się różnych rzeczy, by przetrwać i ratować przyjaciół.

- To znaczy, że wojna jest dobra?

- Czasami - powiedział. - To wojna przyniosła nam wolność. I gdyby nie ona, nie powstałoby wiele wspaniałych wynalazków.

April nigdy nie zapomniała, że wojna może przyspieszyć postęp.

Kiedy była trochę starsza - miała wtedy niecałe jedenaście lat - sama zaczęła naprawiać niektóre z urządzeń ojca. Zachwycało ją to, jak promieniał dumą, kiedy wracał do domu z furgonetką pełną towaru. Po jego śmierci przejęła rodzinny interes, by zapewnić byt matce i młodszemu bratu. Z pomocą nauczycieli fizyki i wychowania technicznego dostała stypendium na Wydziale Elektroniki Wyższej Szkoły Inżynierskiej Uniwersytetu Tennessee w Knoxville. Była bardzo dobrą studentką i w 1984 roku obroniła doktorat z elektroniki

kwantowej i półprzewodnikowej na Uniwersytecie Cornell. Zaraz potem zwerbowała ją CIA. April przyjęła propozycję Agencji, skuszona nowymi wyzwaniem, perspektywą stałego zatrudnienia i faktem, że jej miejsce pracy miało znajdować się blisko rodzinnego domu. A dokładnie w bunkrze pod uniwersytetem w Richmond. O jego istnieniu wiedzieli tylko rektor uczelni, wybrani członkowie zarządu i szef uniwersyteckiej policji. O tym, co działo się w środku, nie wiedział nikt. I dzięki wpłacanej co rok na konto uczelni okazałej kwocie nikt się tym nie interesował.

A April Dorrance dzięki wojnie mogła się uczyć i rozwijać.

Jedenastoosobowy personel Szkoły, jak ją nazywali, pracował nad nowymi metodami zakłócania elektronicznego, monitoringu i triangulacji, które mogłyby zostać wykorzystane podczas wojny. Uniwersytet był idealnym miejscem na tego rodzaju badania, bo najnowocześniejsze komputery i urządzenia telekomunikacyjne były tu w ciągłym użytku. Zawsze znaleźli się studenci z najnowszymi laptopami, komórkami i innymi gadżetami. Te dzieciaki były wyposażone tak, jak współcześni żołnierze, szpiecy czy terroryści. Nawet lepiej. A pracownikom Szkoły największą frajdę sprawiało testowanie swych wynalazków na niczego niepodejrzewających studentach i wykładowcach. Kiedy patrzyli, jak ci zachodzą w głowę, czemu ich telefony komórkowe nagle mówią do nich w bantu, języku przodków April, czuli się, jakby oglądali Ukrytą kamerę.

Problemem w Szkole był syndrom wypalenia. Pracowało się długo i ciężko w pomieszczeniach bez okien. Nie było czasu na życie towarzyskie. Trudno też było odejść. Byli pracownicy CIA nie mogli nigdzie się zatrudnić bez zgody Agencji. Chodziło o to, by tajne informacje nie wyciekły do sektora prywatnego. Elektromagnetyczny inhibitor, który zniekształcał odczyty wrogich radarów, mógł zostać zamontowany w samochodzie i zakłócać pracę radarów policyjnych. April nie chciała przejść do przedsiębiorstwa państwowego, gdzie musiałaby pracować równie ciężko, ale nie miałaby dostępu do takich funduszy i środków jak w Szkole. Nie pozostawało jej nic innego, jak tylko uczyć. Kupiła dom w Goochland, w połowie drogi między Richmond a Charlottesville. Teraz co rano jeździła trzydzieści kilometrów w kierunku przeciwnym niż do tej pory, by wykładać mikroelektronikę na Uniwersytecie stanu Wirginia.

Ale dawni współpracownicy April nadal często konsultowali się z nią przy różnych projektach, a ona z radością im pomagała. Rząd nadal miał najlepsze zabawki na świecie.

Mimo to ten telefon był dla niej zaskoczeniem.

Mężczyzna nagrał się na jej pocztę głosową. Oddzwoniła z bezpieczniejszego telefonu stacjonarnego w swoim gabinecie. To nie nazwisko rozmówcy tak ją zaskoczyło. Choć nigdy

z nim nie pracowała, kilka razy się spotkali. Zdziwiła ją jego prośba. Broń, o której wspomniał, przechowywana była przez rząd w magazynach wojska i wywiadu na całym świecie. Z drugiej strony, nie każdy jej egzemplarz mógł spełniać przedstawione przez niego wymogi. Wiedziała też, że zakupów czasem trzeba było dokonywać na lewo, bo w systemie pełno było „kretów i dziur”, jak to określił.

Oczywiście April mogła mu dostarczyć to, czego potrzebował. I zrobi to, bo ma zaufanie do swojego rozmówcy i ich wspólnego znajomego.

Poza tym to fajna zabawa. I opłacalna. Zupełnie jak majsterkowanie na starym stole kuchennym w domku w Sneedville.

April została poinformowana, że jeszcze tego wieczoru dostanie wszystkie części i ma złożyć je do następnego ranka, kiedy ktoś przyjedzie po gotowy produkt. Miała aż nadto czasu. Tego rodzaju broń była coraz bardziej popularna. To już nie te czasy, kiedy szeregowy Walter Dorrance tłukł młotkiem w szyny kolejowe, robiąc korby i balast do alianckich haubic Mk4. I to za nieporównanie mniejsze pieniądze. Teraz April będzie mogła kupić mamie nowy samochód.

I może przy okazji zrobi coś dobrego. Bo wojna może zmienić świat na lepsze.

Nawet taka, która kończy się po wybuchu pierwszej bomby.

Rozdział 16

Waszyngton Poniedziałek, 17.22

Pracując w FBI, Darrell McCaskey starał się utrzymywać dobre stosunki z prasą. Nie to, żeby uważał, że opinia publiczna ma prawo wiedzieć o wszystkim, co robią organy ścigania. Dziennikarze jednak mieli informatorów, do których Biuro bez ich pomocy nie uzyskałoby dostępu. Informacje były najcenniejszą walutą i McCaskey często musiał w zamian ujawniać różne poufne dane. Na szczęście, nigdy nikt go na tym nie złapał. Dziennikarstwo opiera się na zaufaniu - bohatera artykułu do jego autora, widzów do stacji telewizyjnych. Przez lata pracy w FBI McCaskey spotkał kilku agentów, którym z takiego czy innego powodu nie ufał. Nigdy jednak nie miał do czynienia z dziennikarzem, który złamałby daną mu obietnicę. Cóż, w walce z przestępczością najważniejsza jest skuteczność.

Lista gości Orra opublikowana w „Washington Post” różniła się od tej, którą McCaskey dostał z policji. Gazeta miała wykaz wszystkich zaproszonych. Na liście policji były osoby, które faktycznie przyszły na przyjęcie, zgodnie z pozostawionymi przy wejściu zaproszeniami.

Na liście zaproszonych były cztery nazwiska, które nie figurowały na liście uczestników przyjęcia. Mike Rodgers był na obu. McCaskey nie miał pojęcia, co on tam robił.

Rodgersa nie było w gabinecie, McCaskey nagrał się więc na jego pocztę głosową. Potem zadzwonił do dziennikarza „Washington Post”, który przygotował relację z przyjęcia. Zamierzał porozmawiać z wszystkimi gośćmi i sprawdzić, ilu ich tak naprawdę było; ktoś mógł wśliznąć się przez kuchnię czy boczne drzwi lub przyjść w charakterze osoby towarzyszącej. McCaskey chciał też dowiedzieć się, z kim rozmawiał Wilson. Dziennikarz na pewno zwrócił na to uwagę.

Bill Tymore, bo tak się nazywał, pracował w dziale finansowym „Post”. Przyszedł na przyjęcie z Kendrą Peterson, asystentką senatora Orra. Zgodził się na rozmowę w zamian za informacje o postępach w śledztwie. Oczywiście, przekazywane nieoficjalnie. McCaskey chętnie przystał na taki układ.

- Uprzedzając pańskie pytania, spotykam się z Kendrą prawie rok, nie piszę na jej zamówienie i wyszedłem pół godziny przed Wilsonem, żeby zdążyć z artykułem do

dzisiejszego numeru - powiedział Tymore.

- Czyli nie wie pan, która z uczestniczek przyjęcia mogła do niego pójść?

- O ile w ogóle którakolwiek - zauważył Tymore. - Jeden z moich ludzi sprawdza agencje towarzyskie. Któraś z dziewczyn mogła zostać po drodze odbita i zastąpiona przez zabójczynię.

- Odbita - powtórzył McCaskey. Coś nowego. - To znaczy, że zapłacono jej kilka stów, żeby strzeliła sobie kawkę, zamiast iść do klienta.

- Zgadza się.

- Czy Wilson był częstym klientem agencji towarzyskich?

- Na to wygląda - odparł Tymore. - Tylko co do tych dziewczyn mógł być pewien, że nie chcą go wykorzystać.

- A jak było wczoraj wieczorem? - spytał McCaskey. - Nie przypomina pan sobie, z kim rozmawiał?

- Zamienił kilka słów z Kendrą i Kat Lockley, obie pracują dla senatora - powiedział. - Rozmawiał też z dwiema kongresmankami, panią senator, córką Kena Linka, Jeanne, Wendy Fayette z „New York Timesa” i jedną z kelnerek, która ma alibi, bo jeszcze sprzątała, kiedy zabójczyni przysłała do hotelu Wilsona. Teraz ja mam do pana pytanie, panie McCaskey.

- Słucham.

- Co tam robił generał Rodgers?

- Nie wiem. Sam byłem zaskoczony. Czemu nie spyta pan Kendry?

- Pytałem, nie chciała powiedzieć. Domyślam się, że chcą go wciągnąć do USF. To możliwe?

- Nie zdziwiłbym się. Niech to zostanie między nami, ale myślę, że szuka nowych wyzwań.

McCaskey czuł, że okłamuje Tymore'a, nie mówiąc mu wszystkiego, co wie, ale byłoby nie w porządku, gdyby zdradził okoliczności odejścia generała. Tylko Rodgers i Hood mieli prawo to zrobić. Zaufanie jest ważne, ale lojalność ważniejsza.

- A teraz, panie McCaskey, proszę mi powiedzieć, czemu Centrum interesuje się tą sprawą? - spytał Tymore.

- Na prośbę Scotland Yardu. Współpracujemy ze sobą jak wiele innych agencji międzynarodowych.

- Dlaczego zwrócili się do was, nie do policji czy FBI?

- Znam ludzi z Yardu z czasów, kiedy pracowałem w Biurze - odparł McCaskey. - To była tylko przysługa. Nie spodziewałem się niczego znaleźć.

- Mogę zacytować pańskie słowa?

- Może pan powołać się na anonimowe źródło z Centrum Szybkiego Reagowania - powiedział McCaskey.

Tymore zgodził się.

McCaskey wziął od niego numery telefonów gości Orra. Choć Tymore dzwonił już do kobiet, które rozmawiały z Wilsonem, McCaskey chciał pomówić z nimi osobiście. Rzecz jasna, wszystkie zaprzeczyły, jakoby widziały się z miliarderem po przyjęciu, ale może jemu powiedzą coś, czego nie były skłonne wyjawiać prasie.

Zanim jednak podniósł słuchawkę, zadzwonił Rodgers. Właśnie wrócił do Centrum i wybierał się do Paula Hooda. Poprosił McCaskeya, by do nich dołączył.

- Jasne - powiedział McCaskey. - Co się dzieje?

- Paul mówił, że prowadzisz śledztwo w sprawie Wilsona - odparł Rodgers.

- No tak...

- Chcę z wami o tym porozmawiać - uciał Rodgers. - To może być pole minowe.

Nic więcej nie dodał. McCaskey nie miał pojęcia, czy to ostrzeżenie, czy groźba. Poszedł do Hooda, by się przekonać.

Rodgers przyszedł chwilę przed nim. Ron Plummer właśnie wychodził. Generał i jego następca przywitali się chłodno i nie zamienili ze sobą ani słowa. Napięcie między nimi było coraz bardziej wyczuwalne. Nigdy nie mieli ze sobą wiele wspólnego - jeden był żołnierzem, drugi dyplomata, ale do tej pory potrafili się jakoś dogadać. Smutne, ale McCaskey spodziewał się, że wkrótce będzie jeszcze gorzej.

- Ron nie chciał tej roboty - powiedział Hood do Rodgersa, kiedy McCaskey zamknął drzwi. - Chcę, żebyś to wiedział.

- Ale ją przyjął?

- Tak, dla dobra Centrum - odparł Hood.

- No jasne. Jacy my wszyscy jesteśmy bezinteresowni - powiedział Rodgers. Skrzyżował ramiona na piersi i spojrzał na McCaskeya. Nie usiedli. - A ty co, w Yardzie teraz pracujesz?

- Zejdź ze mnie, Mike - powiedział McCaskey. - Wiesz, jak jest. Pomagamy sobie nawzajem.

- Tak? - Rodgers rozejrzał się dokoła. - Jakoś nie zauważyłem, żebyście mi podali rękę.

To był inny Mike Rodgers od tego, którego Darrell McCaskey spotkał rano. Najwyraźniej miał czas przemyśleć to, co się stało, i nie poprawiło mu to nastroju.

- Mike, to ja tu podejmuję decyzje - powiedział Hood. - Gdzie przeprowadzić cięcia, kogo przesunąć na inne stanowisko i komu pomóc. Jeśli chcesz na kimsz wyładować złość, to na mnie.

- To nie takie proste, Paul - zauważył Rodgers. - Dostałem propozycję objęcia wysokiego stanowiska w nowej partii senatora Orra. To dochodzenie może nam zaszkodzić. Wam też.

- Nie rozumiem - powiedział McCaskey.

- Ludzie pomyślą, że zajęliście się tym, bo zwietrzyliście szansę dla siebie. Centrum pada ofiarą cięć budżetowych, dyrektor rozszerza zakres jego kompetencji, cięcia zostają cofnięte.

- Mam nadzieję, że sam w to nie wierzysz - powiedział Hood.

- Ja nie, ale inni owszem. Mogą znów was zaatakować.

- A ty podajesz nam rękę? - spytał McCaskey.

- Po części. Chcę też chronić senatora. O śmierci Wilsona już zrobiło się głośno. Policja prowadzi śledztwo. Ludzie tego od niej oczekują. Obawiam się, że kiedy usłyszą że wmixało się w to Centrum, zacnie się gadanie o międzynarodowych spiskach.

- A my uczestnicząc w dochodzeniu, podgrzejemy atmosferę, to chcesz powiedzieć? - spytał McCaskey.

- Otóż to - powiedział Rodgers. - Senator wolałby uniknąć niepożądanego rozgłosu.

McCaskey rozumiał w czym rzecz. Na razie w sprawie zabójstwa Wilsona rozstrząsane były wątki kryminalne i biznesowe. Teraz doszedłby szpiegowski.

- Mike, co senator myśli o śmierci Wilsona? - spytał McCaskey.

Rodgers przeszył go wściekłym wzrokiem.

- Pytasz w ramach śledztwa?

- Nic, o czym mówimy, nie wyjdzie poza ściany tego gabinetu - odparł McCaskey ostrym tonem.

- Senator nic do niego nie miał - powiedział Rodgers. - Nie podobały mu się jego plany inwestycyjne, ale zamierzał zwalczać je środkami politycznymi.

- Podejrzewa kóregoś z uczestników przyjęcia? - naciskał McCaskey.

- Nie wiem, naprawdę. Ja też tam byłem, nie widziałem nic niezwykłego.

- Nie wiedziałem, że cię zaprosili - zdziwił się Hood, autentycznie zaskoczony.

- Chcieli przedstawić mnie różnym ludziom, potem zaproponowali mi pracę - wyjaśnił Rodgers.

- Teraz rozumiem, czemu czujesz się niezręcznie - stwierdził Hood. - Byłbyś cenny

dla każdego zespołu.

- Ale nie możemy się wycofać.

- Dlaczego? To sprawa dla policji.

- Podzielimy się z nimi tym, co mamy, i w ciągu następnych paru dni zrzucimy większość roboty na ich barki. Musimy to zrobić. Darrell ma inne obowiązki. Ale Scotland Yard prosił nas o pomoc. Darrell znalazł dowody. Czy chcemy tego, czy nie, musimy pokazać Londynowi i reszcie świata, że zależy nam na wyjaśnieniu sprawy do końca.

- Po co?

- Żeby nie ucierpiały nasze najważniejsze sojusze. Nie możemy sobie na to pozwolić - stwierdził Hood. - W tych okolicznościach będziemy musieli w większym stopniu korzystać z usług zagranicznych agencji.

- Tyle że im głębiej w to wejście, tym trudniej będzie wam się wycofać - zauważył Rodgers. - Czekają was spory kompetencyjne z policją i będziecie musieli się postawić, żeby nie wyjść na słabych. Ludzie zaczną się zastanawiać, czemu w ogóle się w to pakujecie. Nie rozumieją, że w naszej branży trzeba pomagać innym. Pomyślą, że gracie pod publiczność.

- Może. Mam nadzieję, że jest jakieś trzecie wyjście i że je znajdziemy.

- Wiecie, może da się zadowolić wszystkich bez wielkiego szumu - wtrącił McCaskey.

- Mike, jak myślisz, senator Orr zgodziłby się ze mną spotkać?

- Nie wiem. Po co?

- Żeby okazać dobrą wolę. Dać dowód uznania roli, jaką Centrum odegrało w śledztwie. To byłby nasz efektowny ukłon przed zejściem ze sceny. Potem mógłbym powiedzieć mediom i Scotland Yardowi, że rozmawiałem z tym człowiekiem i nie znalazłem w nim winy - bo zakładam, że tak będzie - i niniejszym oddaję sprawę w ręce policji. Możemy pozostać oczami i uszami Yardu, ale na odległość.

- Senator może i nie miałby nic przeciwko temu, co innego jego współpracownik, admirał Link - odparł Rodgers.

- Czemu? - spytał Hood.

- Zastanawiał się przy mnie, czy cała ta sprawa to nie podstęp mający doprowadzić do cofnięcia cię w naszym... to znaczy waszym budżecie - powiedział Rodgers. - Może uznać, że Centrum po prostu szuka rozgłosu.

- Link jest tam najważniejszy? - spytał Hood.

- Nie - powiedział Rodgers. - Ale długo pracował w CIA i nie chciałbym niepotrzebnie narażać was na odwet.

- Jeśli Link ma coś do nas, wizyta u senatora pewnie nic nie zmieni - powiedział

McCaskey.

- Nie wiadomo - odparł Rodgers. - On nie wygląda na człowieka, który lubi być przypierany do muru.

- A kto lubi? - spytał McCaskey.

- Tyle że Link ma wystarczające wpływy i środki, by się od tego muru odbić.

- Trzeba się będzie z tym liczyć - przyznał Hood. - Ale na razie najważniejsze jest śledztwo.

- Jak to zorganizować, żeby senator Orr nie wyszedł na podejrzanego? - spytał Rodgers.

- Nie chcę go pytać, co robił, tylko co mógł zobaczyć lub usłyszeć - odparł McCaskey.

- Możemy nawet powiedzieć, że to on poprosił nas o spotkanie. Że niby był taki skory do współpracy.

- Zadzwoń do niego - powiedział po chwili namysłu Rodgers. - Kat mówiła, że ma wystąpić w Nightline. To mogłaby być dobra okazja, by wydać takie oświadczenie.

- Tak byłoby najlepiej dla wszystkich - przytaknął McCaskey.

Generał przeprosił ich na chwilę i wyszedł. Hood i McCaskey odetchnęli.

- To było... dziwne - powiedział McCaskey, nie mogąc znaleźć lepszego słowa.

- Uhm.

- Wygląda na to, że staliśmy się wrogami.

- Nie zauważyłem - powiedział Hood.

- Nie? A ja słyszałem poważną groźbę, w którą wplecione zostało nazwisko Kena Linka.

- To była rada - powiedział Hood. - Mike może i czuje się skrzywdzony, ale Centrum zbyt wiele dla niego znaczy. Jeśli chce kogoś załatwić, to tylko mnie.

Czekając na Rodgersa, rozmawiali o innych sprawach dotyczących Centrum. Wreszcie generał wrócił. Miał minę napastnika, który nie zgadza się z decyzją o spalonym, ale wie, że nie może powiedzieć tego głośno.

- Rozmawiałem z senatorem Orrem i admirałem Linkiem - powiedział Rodgers. Spojrzał na Hooda. - Senator nie zgodził się na spotkanie z Darrellem, ale powiedział, że ciebie może przyjąć. Z czystej kurtuazji.

- Kurtuazji? - zdziwił się Hood.

- To śledztwo w sprawie zabójstwa, nie konferencja prasowa - zauważył McCaskey.

- Senator nie chce, by powstało wrażenie, że jest przesłuchiwany - odparł Rodgers. - Stwierdził, że chętnie odpowie na wszelkie pytania Paula dotyczące sprawy, choć ma

niewiele do powiedzenia.

- No tak. A jeśli pójdę do niego, uwaga wszystkich skupi się na nas, nie na nim - powiedział Hood. - Wyjdzie na to, że chcę, by moje nazwisko trafiło na nagłówki, a to wzbudzi wątpliwości co do naszych motywów, wyrażone już przez Linka, i przekreśli cały nasz wysiłek.

- Mike, czegoś nie rozumiem - wtrącił się McCaskey. - Przecież praktycznie zgodziłem się oczyścić senatora i się wycofać. Czemu mu na tym nie zależy?

- Może dlatego, że jest niewinny - powiedział Rodgers.

Hood oparł łokcie na biurku.

- Zdaje się, że to Twain powiedział, że jeśli nie ma innego wyjścia, trzeba robić to, co słuszne. - Podniósł głowę. - Panowie, mieliśmy prawo wziąć tę sprawę i mamy uzasadniony powód, by doprowadzić ją do końca. Mike, proszę, podziękuj senatorowi w naszym imieniu i przekaz mu, że mamy nadzieję, iż na dalszym etapie śledztwa nie będziemy musieli skorzystać z jego wielkodusznej oferty.

Rodgers nie odpowiedział. Spojrzał na McCaskeya, uśmiechnął się półgębkiem i wyszedł.

- To nie było „dziwne” - powiedział McCaskey, kiedy Rodgers zniknął za drzwiami. - Raczej niepokojące. Jak to się stało, że znaleźliśmy się po przeciwnych stronach barykady?

- Nawet nie jestem pewien, kto ją postawił - powiedział Hood.

- Słowo daję, powinienem był udawać, że nie zauważyłem tej cholernej rany pod językiem Wilsona - powiedział McCaskey.

- Nie! - odparł Hood z nutą gniewu w głosie. - To byłoby więcej niż niepokojące, Darrell. Kiedy pragnienie sprawiedliwości stanie się czymś złym, będzie to znak, że wszyscy powinniśmy poszukać sobie innej pracy.

Darrell nie mógł się z tym nie zgodzić. Nie był jednak gotów przyznać, że cel, jakkolwiek szczytny, uświęca środki. Zwłaszcza gdy jednym z nich mogło być rzucenie rękawicy staremu przyjacielowi.

Rozdział 17

Waszyngton Poniedziałek, 19.22

To nie tak miało być. Śmierć Williama Wilsona miała być na czołówkach gazet dzień-dwa, nie dłużej. Za jej przyczynę miano uznać atak serca, nie zabójstwo. Nic z tego jednak nie wyszło, trzeba więc było zmienić priorytety.

Kobieta ubrała się tak jak poprzednio, tyle że tym razem zamiast kapelusza z szerokim rondem włożyła szal. I wielkie ciemne okulary przeciwsłoneczne a la Audrey Hepburn. Każdy, kto chciał modnie wyglądać, nosił je po zmroku. Poszła do innego eleganckiego hotelu, Monarch na M Street NW, w ekskluzywnej dzielnicy na West Endzie. Usiadła przy fontannie na dziedzińcu, odwrócona plecami do wejścia, z torebką i paczką chusteczek higienicznych na kolanach. Pomyślała o śmierci ojca i jak zawsze łzy stanęły jej w oczach. Zaszlochała na próbę w jedną, potem w drugą chusteczkę. Teraz pozostawało tylko czekać. Powiedziała sobie, że nie ma powodu do niepokoju, że wszystko pójdzie jak z płatka.

Podjechała biała limuzyna. Wsiadła z niej para. Kobieta zignorowała ich, a oni ją. Po kilku minutach taksówka przywiozła dwóch mężczyzn. Jeden zaczął ją nagabywać. Był lobbystą na usługach firm nagraniowych. To już coś, ale w sumie szkoda zachodu. Kobieta nie rozplakała się. Nie dała się wciągnąć w rozmowę.

Trzecia limuzyna była długa i czarna. Wsiadł z niej siwy dżentelmen z asystentem. Starszy mężczyzna wyglądał na jakieś sześćdziesiąt lat, miał garnitur od Armaniego. Nosił obrączkę, był mocno opalony. Musiał mieszkać gdzieś, gdzie było dużo słońca. Był wysoki i szczupły, pewnie regularnie ćwiczył.

Kobieta załkała. Starszy mężczyzna zerknął na nią, poprawił spinki do mankietów, przeprosił młodszego towarzysza i podszedł do niej.

- Coś się stało, córuś? - spytał.

Akcent z Południa. Głębokiego Południa. Mężczyzna dotknął jej ramienia. Spojrzała na jego rękę, a potem na niego. Miał gładką dłoń, z lekkim otarciem na kciuku. Pewnie od rękawiczki golfowej i zbyt mocnego trzymania kija. W spince od mankietu tkwiły trzy jednokaratowe brylanty, na nadgarstku miał roleksa.

- Dziękuję, ale... ale nie chcę sprawiać kłopotu - powiedziała.

- Kłopot będzie dopiero, jak tak ładna dziewczyna nie przestanie płakać - odparł.

Uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo pan miły. Ale naprawdę poczuję się lepiej, jak tylko znajdę kogoś, kto da mojemu mężowi nauczki.

- Tam, skąd pochodzę, troska o cześć damy to nie tylko obowiązek, ale wręcz przywilej - powiedział mężczyzna. - Mogę spytać, w czym problem? Może mogę jakoś pomóc.

- Umówiłam się z przyjaciółką na drinka. Siedzę sobie, a tu wchodzi on. Z koleżanką z pracy. Oderwać się od niej nie mogłam. Miał być na konferencji. Nawet mnie nie zauważył. - Znów zaczęła szlochać.

Mężczyzna podał jej chusteczkę z monogramem.

- Jak pani na imię, jeśli wolno spytać?

- Bonnie.

- Ślicznie. Jestem Robert Lawless, dla przyjaciół Bob. Jak chcesz, możemy porozmawiać o tym, co się stało.

- Proszę pana...

- Bob - powiedział cicho.

- Bob. Bardzo jesteś miły, ale chyba jeszcze trochę tu posiedzę i wrócę do domu.

- Do tego łajdaka?

- Na razie - powiedziała. - Rano wystawię mu walizki.

- Wiesz, mam tu sporo znajomych. - Bob poklepał ją po ramieniu. - Może mogę jakoś pomóc. Przyszłaś na drinka, możesz napić się ze mną.

Potrząsnęła głową gwałtownie.

- Nie! On jeszcze tu jest i nie chcę go więcej widzieć...

- No to zapraszam do mojego apartamentu - powiedział Bob. - Będę dżentelmenem.

Kobieta otarła łzy i spojrzała mu w oczy.

- No cóż... nie mam ochoty wracać do domu, a tu jakoś zimno się zrobiło...

- Nic dziwnego, skoro siedzisz przy fontannie - zauważył z uśmiechem. - Woda pryska ci na ramię. Musisz wysuszyć żakiet.

Odwzajemniła uśmiech.

- No dobrze, proszę pana... Bob. Dziękuję. Chętnie się z tobą napiję.

Bob podszedł do asystenta i dokończył przerwana rozmowę. Odprowadził go do limuzyny i wrócił do kobiety. Podał jej ramię. Założyła ciemne okulary - żeby zasłonić przekrwione oczy, wyjaśniła - i wzięła go pod rękę. Niecałe dwie minuty później byli już w jego apartamencie na najwyższym piętrze.

Weszli do salonu. Mężczyzna nalał drinki. Pomógł jej zdjąć wilgotny zakiet. Nie usiadł przy niej, ale przysunął krzesło, by być blisko. Spytała, czym się zajmuje. Powiedział, że jest jednym z największych pośredników w handlu nieruchomościami na terenie Karoliny Północnej i Południowej. Wyjaśnił, że często jeździ do Waszyngtonu, by lobbować na rzecz ulg podatkowych, które pozwoliłyby firmom zostać w Stanach, zamiast przenosić się do Meksyku czy na Daleki Wschód.

Czuła się podle. Bob Lawless byłby w jej typie, gdyby nie to, że ma żonę i najwyraźniej wcale mu to nie przeszkadza. Ale skoro już tu jest i potrzeba ofiary...

Przysunął się bliżej i utkwił w niej swoje jasnyniebieskie oczy. W reakcji na jego „dżentelmeńskie” awanse rozpląkała się, wzięła go za rękę i pozwoliła, by ją objął. Pocałował jej wilgotny policzek. Odwróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję. Przeczesała palcami jego dość długie włosy, a on zaczął całować ją po szyi. Nie odrywając się od niego, wstała i nachyliła się nad nim, nie zwalniając uścisku.

On siedział, ona stała. Musnęła wargami jego ucho, puściła go i przeszła za jego plecy.

- Jesteś wspaniałym mężczyzną - szepnęła, stając za nim.

- A ty piękną kobietą - odparł. - Taką, która nigdy nie powinna zaznać takiego bólu.

- Jesteś taki słodki, taki delikatny.

Pociągnęła nosem na znak, że przestaje płakać. Powoli objęła prawą ręką jego szyję. Delikatnie przesunęła po niej czubkami palców, tak że jej przedramię spoczęło na jego krtani.

- Masz tak silną szyję i ramiona - powiedziała.

- Dużo gram w tenisa i golfa - odparł. - I ćwiczę z trenerem.

- To widać. - Powiodła oczami po jego torsie. - Szerokie ramiona, gibkie ruchy, silne dłonie.

Jej palce powędrowały do jego ucha. Jego podbródek znalazł się na wysokości jej łokcia.

- Lubię sporty uprawiane na powietrzu - powiedziała. - Pod dachem też.

- Tak? Jakie na przykład? - spytał chytrze.

Mocno ścisnęła go za szyję. Zanim zdążył zareagować, położyła dłoń na jego lewej skroni i wcisnęła jego gardło w zgięcie swojego łokcia.

Taki chwyt powodował natychmiastowe i całkowite odcięcie dopływu powietrza. Krew przestawała docierać do mózgu. Ofiara traciła przytomność po niecałych dziesięciu sekundach. To za mało czasu, by na szyi utworzył się siniec.

Bob Lawless bezgłośnie łapał powietrze, rozpaczliwie szarpiąc i drapiąc duszącą go

rękę. Zaczął machać stopami w eleganckich pantoflach Ferragamo. Błyszczące czarne buty poruszały się jak wycieraczki, w przód i w tył, w przód i w tył, aż wreszcie opadły na pluszowy dywan. Ramiona i ręce zwisły bezwładnie, głowa przechyliła się w prawo.

Kobieta ostrożnie zwolniła uścisk. Głowa opadła Bobowi na pierś, jego oddech był ledwo słyszalny.

- Jakie lubię sporty? - spytała kobieta. - Takie, w których to ja ustalę reguły.

Podeszła do lampki i przechyliła abażur tak, by światło padło na twarz Boba. Wyjęła z torebki strzykawkę i chusteczkę, którą jej dał. Chwyliła przez nią jego język, uniosła go i wsunęła pod spód igłę. Wbiła ją w dużą żyłę i wstrzyknęła dziesięć mililitrów chlorku potasu. Cofnęła się. Patrzyła na niego i słuchała, jak jego oddech cichnie.

Schowała chusteczkę i strzykawkę do torebki, wzięła swój żakiet i rozpięła guzik koszuli Boba. Wsunęła pod nią prawą dłoń i położyła ją na jego piersi. Serce nie biło. Wyprostowała się.

- Wybacz, Bob - powiedziała. - Przynajmniej umarłeś za sprawę, w którą wierzyłeś.

Wzięła szal, który wcześniej zdjął jej Bob, i starła nim odciski palców z kieliszka i drewnianych poręczy krzesła. Narzuciła go z powrotem na głowę. Z torebki wyjęła białe rękawiczki i włożyła je, oczy schowała za ciemnymi okularami. Wyszła z pokoju i skierowała się do windy, pamiętając, by nie podnosić oczu. Kamery w windzie zobaczą tylko jej żakiet i czubek głowy.

Tak jak poprzedniego wieczoru.

Miała nadzieję, że nie będzie już więcej zabijania.

Rozdział 18

Waszyngton Poniedziałek, 20.30

Po spotkaniu z Hoodem Darrell McCaskey zajął się do Rodgersa. Zaprosił go na drinka, ale generał odmówił. Powiedział, że chce zostać sam, by przemyśleć propozycję senatora. Tak naprawdę po prostu nie miał ochoty bratać się z kimkolwiek z Centrum. Nie żeby żywił jakieś osobiste urazy, ale wszystko wokół przypominało mu o braku lojalności, z jakim go potraktowano. Miał nadzieję, że to minie. Lubił McCaskeya i Boba Herberta. Na razie jednak musiał się od tego wszystkiego oderwać. Przez parę godzin sprzątał gabinet, kasował osobiste pliki z komputera i kopiował je na dyskietki.

O wpół do ósmej był już w swoim domu w Bethesdzie w stanie Maryland. Zdjął marynarkę i rzucił ją na poręcz sofy. Nalał sobie drinka i usiadł przy małym stole w jadalni. Przeglądając pocztę, sączył małą „lecniczną dawkę” Southern Comfort, jak to określał jego dziadek. Lek na zranioną duszę.

W poczcie były same katalogi i rachunki, żadnych listów. Nie żeby był zaskoczony. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio dostał list. Przypomniało mu się, jak wiele listy znaczyły dla niego w Wietnamie i z jakim przejęciem czytał tamte słowa. Dawały mu one intymne wręcz wrażenie bliskości, tak jakby zaglądał przez ramię komuś, kto odkrywał przed nim serce. Oferta karty kredytowej z zerowym oprocentowaniem czy kupony z lokalnego centrum handlowego to nie to samo.

I wtedy stało się coś, co prawie wynagrodziło mu ten brak. Zadzwoiła Kat Lockley. I to nie w sprawie służbowej.

- Żałuję, że nie udało się spotkać z tobą wcześniej - przyznała. - Cały dzień nie mogliśmy się opędnąć od dziennikarzy. I to jeszcze nie koniec. Niedługo Nightline.

- Rozumiem. Jedziesz z senatorem do studia?

- Tak się składa, że nie. Miałam na mieście spotkanie w sprawie konwencji. Senator wziął ze sobą adwokata, Davida Rico. Dave obawiał się, że Koppel zada za dużo pytań dotyczących śmierci Wilsona, chciał więc z góry ustalić jasne reguły w tej sprawie.

- To zrozumiałe.

- Dlatego skoro jestem wolna i prawdopodobnie będziemy ze sobą współpracować, to pomyślałam sobie, że moglibyśmy zjeść razem kolację czy po prostu coś przekąsić i wypić

drinka - powiedziała.

- Dobry pomysł z tą kolacją - odparł. - Nie miałem czasu zjeść lunchu. Gdzie jesteś?

- W samochodzie, na Delaware Avenue.

Rodgers zastanowił się.

- Co powiesz na Equinox, na 818 Connecticut Avenue NW?

- Super. Uwielbiam amerykańską kuchnię.

- Innej bym nie zaproponował - powiedział Rodgers. - Za trzydzieści pięć - czterdzieści minut?

- Będę przy barze z wódką z martini. Kiedy przyjedziesz, pewnie będzie to już druga.

- Jasne.

Odłożył słuchawkę, zostawił szklankę z niedopitym drinkiem w zlewie, złapał marynarkę i wyszedł. Telefon od Kat pomógł bardziej niż Southern Comfort. Świadomość, że jest częścią zespołu, podniosła go na duchu, tym bardziej że w tych samych barwach występowała kobieta. Zdał sobie sprawę, że nawet nie wie, czy jest zamężna, zaręczona, czy ma kogoś i czy w ogóle jest hetero. W tej chwili bardziej liczyło się poczucie koleżeństwa.

Na drogach do Waszyngtonu ruch był mały, a Connecticut Avenue NW była praktycznie pusta. Rodgers dotarł na miejsce w pół godziny. W ciemnym barze pełno było pracowników pobliskiego Białego Domu i waszyngtońskich ważniaków. Kat siedziała przy końcu kontuaru i rozmawiała ze szczupłą, niezwykle atrakcyjną kobietą, która w lewej dłoni trzymała małą, ozdobioną koralikami torebkę, a w prawej lampkę czerwonego wina.

- Mike, pozwól, że ci przedstawię Lucy O'Connor - powiedziała Kat, kiedy podszedł. W barze było tak głośno, że musiała krzyczeć. Nic dziwnego, że w Waszyngtonie niczego nie dało się utrzymać w tajemnicy.

Kobieta odstawiła kieliszek na kontuar.

- Bardzo mi miło - powiedziała i uściśniła dłoń Rodgersa.

- Lucy pisze o Kongresie w „American Spectator” i prowadzi audycję radiową - wyjaśniła Kat. - Ile stacji ją nadaje?

- Czterdzieści siedem.

- Imponujące - powiedział Rodgers.

- To nic w porównaniu z pańskimi dokonaniem - zrewanżowała się Lucy.

Rodgers wzruszył ramieniem.

- Byłem w niewłaściwych miejscach we właściwym czasie.

- Prawdziwy bohater, małomówny i skromny - stwierdziła Lucy. - Ale skoro szczęśliwym trafem wpadł pan w moje szpony, generale, proszę mi powiedzieć, tak zwięźle,

jak pan sobie życzy, czy Centrum Szybkiego Reagowania próbuje na nowo określić swoją rację bytu?

- Jeśli można tak nazwać cięcia budżetowe na wielką skalę, to odpowiedź brzmi: tak - odparł Rodgers.

- O cięciach słyszałam, ale nie o to mi chodziło. Mam na myśli śledztwo w sprawie Wilsona.

- O rany, rzeczywiście całe miasto o tym mówi, co? - spytał Rodgers.

- W tym mieście mówi się o wszystkim.

- To śledztwo to czysty przypadek.

Rodgers zamówił ciemne piwo. Nie znosił być naciskany, zwłaszcza przez dziennikarzy. Pchali się od frontu, od tyłu, przez okna, a kiedy to nie skutkowało, wczolgiwali się pod werandę i czyhali jak wężę.

- Czy właśnie o tym zamierzacie rozmawiać? - spytała Lucy.

- Dobrze kombinujesz, ale nie - powiedziała Kat.

Lucy zmarszczyła brwi.

- Chyba mi nie powiesz, że to czysto towarzyskie spotkanie.

- Jak najbardziej - powiedział Rodgers, kiedy barman podał mu piwo. - Wczoraj byłem na przyjęciu u senatora. Pani Lockley chciała się ze mną spotkać, więc zadzwoniła. A ja przyszedłem.

- Po co był pan na tym przyjęciu?

- Żeby się najeść za darmo.

Lucy uśmiechnęła się.

- No dobrze, generale. Nie będę naciskać. Ale mam do ciebie prośbę, Kat. Gdyby były jakieś wiadomości, chcę je mieć pół godziny przed wszystkimi. Tak, żebym zdążyła je zamieścić na stronie internetowej.

- I mogła się chwalić, że była pani pierwsza - skomentował Rodgers.

- Tak dziennikarze zdobywają dobrą markę - odparła Lucy. - Pamiętasz te stare dobre czasy, co, Kat?

Kat przytaknęła i zgodziła się dać Lucy znać, gdyby coś się działo. Dziennikarka poszła szukać tematów gdzie indziej, a Kat i Rodgers z piwem w ręku przeszli do restauracji.

- Przepraszam za nią - powiedziała Kat, kiedy usiedli. - Przyszła chwilę przed tobą i nie zdążyłam jej spławić. Mam nadzieję, że cię za bardzo nie wymęczyła.

- Zdefiniuj „za bardzo”.

- Na tyle, żeby zniechęcić cię do współpracy - powiedziała Kat. - Musimy być o wiele

bardziej otwarci niż szefowie Centrum.

- Minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaję, ale jakoś przeżyję. Wystarczy, żebym nadal zgrywał Gary'ego Coopera.

- To może okazać się jeszcze bardziej intrygujące - zauważyła Kat.

- Ale przynajmniej w scenariuszu będę miał tylko dwa słowa - odparł Rodgers. - „Tak” i „nie”. Z tym sobie poradzę. Ale może trzymajmy się tego, co powiedzieliśmy pani O'Connor i nie rozmawiajmy o sprawach zawodowych.

- Słusznie - powiedziała i na jej usta wypłynął uśmiech. Chyba po raz pierwszy, odkąd Rodgers ją znał.

- Masz coś ciekawego w tej torbie? - spytał.

- Prezent i moje niki. Wysokie obcasy są męczące.

- Wyobrażam sobie - stwierdził. - Chcesz się przebrać? Nic nikomu nie powiem.

- Tu nie wypada. Jak wyjdę.

- No to powiedz, jak to się stało, że zaczęłaś pracować dla senatora? - spytał.

- Cóż, jak pewnie domyśliłeś się ze słów Lucy, kiedyś byłam po drugiej stronie - powiedziała. - Skończyłam studia na Columbii i dostałam pracę w waszyngtońskiej redakcji „Wall Street Journal”.

- Twoi rodzice byli dziennikarzami czy politykami?

- Nowojorskimi policjantami. Oboje. Mój starszy brat też. Chcesz wiedzieć, co to znaczy być twardym, musisz poznać rodzinę Lockleyów.

- Naciskali, żebyś poszła w ich ślady?

- Nie bezpośrednio - odparła ze śmiechem. - Chyba żeby naciskiem nazwać to, że chodziłam na zajęcia ze sztuk walki i bezpiecznego posługiwania się bronią, zamiast tańczyć w balecie i bawić się lalkami. Ale nie miałam nic przeciwko temu. Robiliśmy to całą rodziną.

- Zdrowy układ - stwierdził Rodgers.

- Fakt.

- No to skąd zainteresowanie dziennikarstwem?

-?

- Naszą drugą rodzinną rozrywką było oglądanie wiadomości - powiedziała Kat. - W lokalnych serwisach zawsze było dużo materiałów o pracy policji, a mnie najbardziej podobali się reporterzy. Pomyślałam, że to fajnie tak dzień w dzień rozmawiać z policjantami, strażakami i żołnierzami, więc wzięłam kamerę wideo i zaczęłam robić własne serwisy informacyjne i wywiady z rodzicami i ich znajomymi. Świetnie się przy tym bawiłam, no i tak już zostało.

Przyszedł kelner i przejrzeni menu. Postanowili zamówić kilka przystawek i zjeść je do spółki.

- Wracając do tematu - ciągnął Rodgers. - Czy z „Journal” przeszłaś bezpośrednio na stanowisko rzeczniczki prasowej senatora?

- W gruncie rzeczy tak - odparła. - Próbowałam dostać się do telewizji, ale tam trzeba mieć znajomości, pazury albo jedno i drugie. Ja miałam tylko pasję. Senator jest starym znajomym mojego taty. Kiedy wyznaczono mnie do relacjonowania jego ostatniej kampanii, zaproponował mi pracę. Powiedział, że to nie nepotyzm, że po prostu mam „co trzeba”.

- Bo to prawda.

- Może. - Wzruszyła ramionami. - Uznałam, że w najgorszym razie nawiążę parę znajomości.

- Bardzo rozsądnie. Wygląda na to, że wszystko przewidziałaś.

- Nie do końca. Na tak wyeksponowanej pozycji trzeba ciągle uważać, co się mówi i co mówi szef. - Wskazała gestem bar. - Jak sam widziałeś, autocenzura nie ustaje nawet na chwilę, a do tego człowiek kompletnie traci prywatność. Nie przypuszczałam, że w aż takim stopniu.

- Może powinnaś sobie stworzyć alter ego - zasugerował Rodgers. - Kup perukę, ciemne okulary, czarną szminkę.

- Ja to wszystko już mam - powiedziała ze śmiechem. - To moje drugie, gotyckie ja.

- Jakie?

- Gotyckie. No wiesz, wampiry, czarna koronka i skóra, zastrzone pilnikiem zęby, twarz ufarbowana na biał.

- Ludzie robią takie rzeczy? - spytał Rodgers.

Kat skinęła głową.

- To duża i stale rozwijająca się subkultura.

- Nie wiedziałem.

Rodgers uzmysłowił sobie, że jest między nimi dwadzieścia lat różnicy. Dla niego zespół Kiss to wciąż był szczyt ekstrawagancji. Nabral jeszcze większego szacunku do senatora Orra. Ten człowiek był starszy od niego, a mimo to odważył się zatrudnić niespełna trzydziestoletnią dziewczyną z głową pełną świeżych pomysłów. Z drugiej strony, myśl o wyborcach wampirach była trochę niepokojąca.

- Zabawna sprawa - powiedziała Kat, kiedy kelner przyniósł jedzenie. - Niby jestem dziennikarką, a to ty zadajesz pytania.

- Ja nie mam dostępu do twoich akt - zauważył Rodgers.

- Też prawda - odparła i znów się uśmiechnęła.

Potem przez jakiś czas mówili o Rodgersie i problemach związanych z organizacją ogólnokrajowej kampanii. To była otwarta, inteligentna rozmowa. Rodgers nie wiedział, czy było to częścią planu Orra, ale kiedy skończyli, był zdecydowany przyjąć jego propozycję.

Kiedy pili kawę, wróciła Lucy O'Connor. Pisząc coś na palmpilocie, przeszła slalomem przez zatłoczoną restaurację do ich stolika. Utkwiła w Kat roziskrzone oczy.

- Doszło do kolejnego zabójstwa - oznajmiła zdyszana.

- Kto zginął? - spytała Kat. Miała bardzo zaniepokojoną minę. Może przerażała ją myśl o kolejnych rozmowach z dziennikarzami.

- Szycha w handlu nieruchomościami z Południa, niejaki Robert Lawless - powiedziała Lucy, czytając z palmpilota. - Jakaś kobieta dostała się do jego pokoju, tym razem w hotelu Monarch, i wyszła po kilku minutach. W tym czasie wbiła mu strzykawkę pod język. W porównaniu ze sprawą Wilsona jest tylko jedna różnica: zabójczynie wjechała z ofiarą na górę.

- Kamery coś uchwyciły? - spytał Rodgers.

- To samo, co wczoraj - odparła Lucy. - Kobietę z zasłoniętą twarzą, tym razem szalem i ciemnymi okularami.

- Jak się o tym dowiedziałas? - spytała Kat.

- Ktoś z ochrony zobaczył ją w windzie, stwierdził, że wygląda podejrzanie, i postanowił zajrzeć do pana Lawlessa. Ja siedziałam w barze, gadałam z ludźmi i nagle zaczęło się zamieszanie.

- Ale kobiety nie zatrzymali - domyśliła się Kat.

- Byli parę kroków za nią - powiedziała Lucy. - Wysiadła na antresoli, nie w holu głównym, i wyszła bocznymi drzwiami. Dobra wiadomość jest taka, że teraz ludzie pewnie przestaną interesować się tym waszym wieczorkiem. Lawlessa nie było na liście gości.

Kat spojrzała na zegarek i przeprosiła ich na chwilę. Powiedziała, że idzie zadzwonić do senatora. Musiała przekazać mu tę wiadomość przed wywiadem.

- Jestem twoją dłużniczką - rzuciła do Lucy na odchodnym.

- Będę chciała dostać komentarz senatora - odparła Lucy.

Kat skinęła głową i wyszła. Dziennikarka uśmiechnęła się i usiadła naprzeciwko Rodgersa. Wyglądała na trzydzieści parę lat, miała krótkie blond włosy, bladą skórę, cienkie czerwone wargi i wygłodniałe spojrzenie.

W Waszyngtonie żyły różne gatunki wampirów.

- Co za szczęśliwe zrządzenie losu, że pani tam była - zauważył Rodgers.

- W czepku się urodziłam - odparła dziennikarka. - Tak mi mówili rodzice.

- Urocze.

- To jak, generale? To prawda, że Centrum Szybkiego Reagowania ma zostać odsunięte na boczny tor?

- Zasady podziału funduszy ulegają cyklicznym zmianom - odparł. - Budżet Centrum wzrósł przed pięcioma laty, teraz został zredukowany. Mimo to nadal są silniejsi niż byli na początku działalności.

To było dłuższe niż „nie”. Mike Rodgers był z siebie dumny - ale tylko przez chwilę.

- „Oni”?

Co za gafa. Powinien był bardziej uważać.

- Będzie pan pracował dla senatora Orra i USF, generale? - spytała. - Czy to dlatego był pan na wczorajszym przyjęciu?

- Nie.

- Nie? - powtórzyła Lucy, krzywiąc się.

- Nie. - Słowa były dla dziennikarzy jak tlen. Wystarczyło odciąć ich dopływ.

- Panie generale, jestem po pańskiej stronie, po ich stronie. Mogę pomóc. Im więcej informacji zdobędę, tym większa będzie moja wiarygodność i tym lepszą senator będzie miał prasę. Jest pan pewien, że nie ma mi nic do powiedzenia?

- Tak - odparł.

Zasepiła się. Włożyła rękę do pokrowca na palmpilota i podała mu wizytówkę.

- Gdyby chciał pan porozmawiać, proszę najpierw zadzwonić do mnie.

Schowwał ją do kieszeni koszuli. Nic nie powiedział, za to uprzejmie się uśmiechnął.

Wróciła Kat i powiedziała, że senator wie już o wszystkim. Wiadomość dotarła do niego zaraz po wyjeździe.

- Jak? - spytał Rodgers.

- Z Nightline - odparła. - Dali mu znać, że w tych okolicznościach odpuszczają sobie pytania o Wilsona.

Lucy ustąpiła miejsca Kat.

- Cóż, wejdę do Internetu i postaram się wymyślić pseudonim dla naszej seryjnej zabójczyni, zanim zrobi to ktoś inny. Taki na tytuł książki.

Dziennikarka wyszła, a Rodgers i Kat dopili kawę.

- Cóż, to było dziwne zakończenie bardzo niezwykłego dnia.

- Dziwne w jakim sensie?

- Najpierw zaprzeczam, jakoby Centrum mogło dla rozgłosu sfabrykować dowody, a

potem siedzę i myślę, czy dziennikarka mogłaby zabić, by zdobyć materiał na książkę.

Kat parsknęła śmiechem.

- Lucy jest ostra, ale nie sądzę, by była zabójczynią.

- Była wczoraj na przyjęciu?

- Tak. Dlatego zaczepiła mnie przy barze. Żeby zagwarantować sobie możliwość dalszego relacjonowania kampanii USF. To dla niej przepustka na szczyt.

- Zgodziłaś się?

- Powiedziałam, że porozmawiam z senatorem - odparła. - Ale pewnie się zgodzę. W przeciwnym razie dziewczyna rzeczywiście kogoś zabije.

Kat uparła się, że zapłaci rachunek, i postawiła na swoim. Rodgers odprowadził ją do samochodu. Nie zaiskrzyło między nimi, i dobrze. Miał za sobą ciężki dzień. Chciał już tylko obejrzeć Nightline i położyć się spać.

I po raz pierwszy w swoim życiu generał Mike Rodgers uświadomił sobie ze smutkiem, jak wiele prawdy jest w powiedzeniu o starej gwardii, która zawsze trwa na posterunku.

Rozdział 19

Waszyngton Poniedziałek, 22.55

Darrell McCaskey czytał w łóżku i czekał, aż Maria skończy brać prysznic. Prawie cały dzień pomagała Edowi Marchowi badać malajski ślad w prowadzonej przez niego sprawie. March w ramach podziękowania zabrał ją na kolację. McCaskey był zajęty sprawdzaniem gości Orra i nie mógł im towarzyszyć.

Kiedy Maria weszła do sypialni, zadzwonił telefon. Doktor Minnie Hennepin.

- Policja ma przywieźć następnego zamordowanego gościa hotelowego - powiedziała.
- Z taką samą raną kłutą jak u pana Wilsona.

- Co to za jeden? - spytał McCaskey, odkładając książkę na stolik. Wziął pilota i włączył lokalne wiadomości.

- Biznesmen z Południa. Tyle słyszałam.

- Policja wie coś o zabójcy?

- Podobno nie więcej niż poprzednio - powiedziała.

- Dziękują za telefon, pani doktor.

Maria położyła się przy mężu. Pocałował ją i przytulił, jednocześnie sprawdzając wiadomości na komórce. Żadnych nieodebranych telefonów. Zadzwonił na swój numer biurowy, tam też nikt się nie nagrał. To znaczyło, że następny krok będzie ogromnie trudny.

Śmierć biznesmena Roberta Lawlessa była wiadomością numer jeden. Telewizja pokazała wywiad z asystentem ofiary i nagranie z hotelowej kamery, pokazujące kobietę wychodzącą na antresolę. Starannie ukrywała twarz przed kamerą.

- Co ci mówi instynkt? - spytał żonę McCaskey.

- Jest profesjonalistką.

- Uhm. To nie jakaś tam panienka do towarzystwa, która ma uraz do facetów.

- Ale kto mógłby mieć dostęp do strzykawek i prochów?

- Chlorek potasu można zamówić u dostawców środków chemicznych, a strzykawki łatwo kupić.

- Dowiedziałeś się czegoś od gości Orra?

- Jeśli to nie jakaś zмова, to wszystkie kobiety mają alibi.

Podczas ich rozmowy zadzwonił telefon. McCaskey wyłączył dźwięk w telewizorze i

sprawdził numer na wyświetlaczu. Paul Hood.

- Pewnie już słyszałeś - powiedział.

- Tak - odparł McCaskey.

Maria wzięła pilota i pogłodziła telewizor. McCaskey zatkał ucho, by słyszeć Hooda.

- Może to zabrzmie niestosownie, ale co to oznacza dla nas?

- Właśnie o tym myślałem. Zdaje się, że cokolwiek zrobimy, będzie źle - powiedział McCaskey. - Policja nie prosiła nas o współpracę. Jeśli będziemy się z nią narzucać, sprawimy wrażenie, że jesteśmy agresywni, a jeśli tego nie zrobimy, okażemy słabość. Jeśli przeprowadzimy niezależne śledztwo, wszyscy uznają to za dowód naszego osamotnienia i arogancji.

- A jeśli oficjalnie się wycofamy? - spytał Hood.

- To najlepsze rozwiązanie. Scotland Yard będzie protestował, ale pewnie nikt ich nie usłyszy. Pytanie tylko, jak to sprzedać opinii publicznej?

Maria szturchnęła go w bok.

- Nie możecie się wycofać.

McCaskey zmarszczył brwi.

- Prędzej znajdziecie zabójczynię niż policja - ciągnęła Maria.

- Czekaj, Paul - powiedział McCaskey. Odwrócił się do żony. - Czemu tak uważasz?

- Bo to profesjonalistka.

- Skoro tak, po co miałyby zabijać bogatego, ale stosunkowo mało ważnego biznesmena jak Lawless?

- No właśnie.

- Nie chwytam.

- W odróżnieniu od zabójstwa Wilsona, to morderstwo było niezaplanowane - powiedziała Maria. - Ktoś chciał pozbyć się Wilsona, więc wynajął świetnego fachowca, który tak wszystko urządził, by uznano, że facet umarł śmiercią naturalną. W ogóle miało nie być mowy o morderstwie. W przeciwnym razie wystarczyłoby wynająć snajpera, który zastrzeliłby Wilsona z Lafayette Park. Kiedy pokrzyżowałaś te plany, zleceniodawca musiał znaleźć następną ofiarę, by wytworzyć wrażenie, że w mieście grasuje seryjna zabójczyni, która poluje na bogatych biznesmenów. Padło na Lawlessa.

- Czemu uważasz, że Lawless był przypadkową ofiarą? - spytał McCaskey.

- Zwróć uwagę na różnice między oboma zabójstwami - powiedziała była agentka Interpolu. - William Wilson miał ochroniarzy. Zabójczyni musiała podać się za jego kochankę, by ją przepuścili i nie przeszkadzali. A ponieważ umówiła się z niebyle kim, tylko

z człowiekiem z pierwszych stron gazet, personel hotelu udawał, że nic nie widzi. Przyszła do hotelu, zrobiła swoje i wyszła, praktycznie niezauważona. Dziś było inaczej. Posłuchaj tych wywiadów - powiedziała, wskazując telewizor. - Podejrzana rozmawiała na hotelowym dziedzińcu z jakimś mężczyzną, ale nawet na niego nie spojrzała. Asystent ofiary widział ją, ale ukrywała przed nim twarz. Była bardzo ostrożna.

- Zgadza się. Nie chciała, by ją rozpoznano, bo czekała na Lawlessa - powiedział jej mąż.

- Nie. Po zabójstwie wysiadła z windy na antresoli - powiedziała Maria. - Wcześniej dokładnie obejrzała hotel, wiedziała, jak wyjść niezauważona. Po co więc miałyby siedzieć na dziedzińcu na oczach wszystkich? Gdyby Lawless od początku był jej celem, mogła podać się za jego żonę czy córkę i poczekać na niego w pokoju. Mogła napaść na sprzątaczkę i zabrać jej klucz uniwersalny. Mogła poczekać, aż ofiara wejdzie do pokoju, i zapukać. Kto nie wpuściłby młodej kobiety? Mogła wstrzyknąć kwas solny do zamka i go rozpuścić. Nie wybrała żadnego z łatwiejszych rozwiązań, bo nie planowała, że to Lawless będzie ofiarą, aż do chwili, kiedy wyciągnęła z niego, że mieszka w hotelu sam i jest dość bogaty, by pasować do historyjki z seryjną zabójczynią, którą wymyśliła ona albo jej zleceniodawca.

McCiskey w milczeniu przemyślał jej słowa.

- Czyli twoim zdaniem próba wywołania wrażenia, że morderca trzyma się schematu, dowodzi, że pierwsze zabójstwo miało być jedynym - powiedział.

- Tak to widzę - odparła Maria.

- Tak mogło być - mruknął po długiej, długiej chwili. - Tak, zdecydowanie. Brawo, kochana.

Uśmiechnęła się do niego.

- Paul, słyszałeś coś z tego, o czym mówiliśmy?

- Tak, Darrell, i jeszcze nie mogę tego ogarnąć - odparł Hood. - Ale powiedz Marii, że odwaliła kawał dobrej roboty.

- Dziękuję! - powiedziała spod pachy męża Maria.

- Wygląda więc na to, że musimy to ciągnąć - powiedział Hood.

- Może nawet bardziej intensywnie niż do tej pory - dodał McCiskey.

Jeśli przecucie Marii nie myliło, nie mieli do czynienia z szukającą zemsty paniąką do towarzystwa czy aktem szpiegostwa przemysłowego, lecz z akcją bardzo przypominającą tak zwany „zaimprovizowany scenariusz operacyjny”, jak to określano w FBI. Chodziło o sytuację, w której starannie przygotowane plany brały w łeb i trzeba było znaleźć szybkie i skuteczne rozwiązanie.

A operacje takie zwykle prowadzili doświadczeni pracownicy wywiadu.

Rozdział 20

Waszyngton Wtorek, 7.13

Paul Hood pojechał do domu, wyspał się, wziął prysznic i wrócił do pracy. Był zmęczony po całym dniu rozmów z Ronem Plummerem o restrukturyzacji Centrum. Śledztwo też dało mu w kość. Nie była to już zwykła partia szachów, lecz taka, którą rozgrywa się na wielu poziomach. Zbyt intensywne zaangażowanie w pomoc dla Scotland Yardu mogło popsuć relacje z miejską policją. Ustępstwa na rzecz policji mogły podważyć wiarygodność Hooda w oczach nie tylko Yardu, ale i innych agencji wywiadu. Z kolei wydając pieniądze na niepriorytetową operację mógł utracić poparcie komisji do spraw służb specjalnych i pracowników Centrum, którzy i bez tego mieli na głowie masę obowiązków. Z jednej strony, było to nie lada wyzwanie. Z drugiej, kosztowało go dużo zdrowia.

Poprzedniego dnia był tak zapracowany, że nie miał okazji zadzwonić do byłej żony. Kiedy wreszcie znalazł dla niej czas, była już prawie jedenasta. Sharon pewnie spała albo była z Jimem Huntem. Tak czy inaczej, wolał z nią porozmawiać, kiedy odpocznie. Może wtedy łatwiej mu będzie znieść jej żądania czy wyrzuty.

Jak na ironię, kiedy już sięgał po telefon, zadzwonił Matt Stoli. Powiedział, że rozumie potrzebę cięć budżetowych i że z konserwacją sprzętu i robotą papierkową jakoś sobie poradzi, ale przydałaby mu się co najmniej jedna para rąk do pomocy. Tanich rąk. „Może być nawet tresowana małpa” - stwierdził.

To określenie rozbawiło Hooda. Znał jednego szympansa, który szukał pracy.

Może był zbyt złośliwy, ale cóż, wciąż nosił w sercu ranę, która nieprędko się zagoi. Wystarczy, żeby nie okazywał tego Sharon, a będzie dobrze.

Sharon spieszyła się, jak zawsze, kiedy dzwonił. Miała iść ćwiczyć, a jej trener - kolejna nowość w jej życiu - nie lubił, kiedy się spóźniała. Była uprzejma, ale chłodna, do czego Hood zdążył się przyzwyczaić. Szybko wyrzucił z siebie, o co chodzi. Zanim zdążył się rozmyślić.

- Będzie pracował z Mattem Stollem - powiedział Hood. - Zajmie się najprostszymi sprawami, inwentaryzacją i zawiadomieniami o nowych wersjach sprzętu i oprogramowania.

- Super - powiedziała Sharon. - Dzięki.

Wydawała się naprawdę wdzięczna. Hood poczuł się niezręcznie. Sharon cieszyła się,

bo pomógł swojemu pieprzonemu następcy. Po przekroczeniu pewnej granicy dobry żołnierz stawał się idiotą. Tak jak on w tej chwili.

- Przyślij mi mailem jego zamiary - powiedział, świadom, że jest za późno, by się wycofać. - Każę prześwietlić go w przyspieszonym trybie i zobaczymy.

- Jasne. Frankie to dobry chłopak.

- Nie wątpię - odparł uprzejmie. To był banał, ale nic innego nie przyszło mu do głowy. To znaczy, nic dyplomatycznego.

Jako że dzieci poszły już do szkoły, rozmowa zakończyła się beznamytnym pożegnaniem. Hood przez chwilę siedział w bezruchu i patrzył na telefon. Miał ochotę rąbnąć go pięścią, ale tego nie zrobił. To nie telefon, lecz on sam był swoim najgorszym wrogiem. Człowiek kompromisu, mediator, miły gość.

Idiota.

Podobnie jak po wczorajszej rozmowie z senatorem Debenportem, czuł się jak chłopiec na posyłki. Miał nadzieję, że nie wejdzie mu to w krew. Mógłby stracić pewność siebie, a w sytuacjach kryzysowych z ludzi niezdecydowanych nie ma żadnego pożytku. Jednocześnie nie mógł pozwolić sobie na zbytnią brawurę i wciąganie Centrum głębiej w sprawy, które nie podlegały jego kompetencjom.

Jego postanowienie zostało poddane próbie zaraz po przyjeździe Darrella McCaskeya, który chciał z nim porozmawiać o czymś, co od rana nie dawało mu spokoju: chodziło o nazwisko jedyne go człowieka, który odpowiadał portretowi psychologicznemu sporządzonemu naprędce przez Marię.

- Admirał Kenneth Link - oznajmił McCaskey. - Były szef tajnych operacji CIA, ma antyeuropejskie poglądy, wiedział, w którym hotelu zatrzymał się William Wilson.

- No dobrze, założmy, że nie podobały mu się plany Wilsona. Co zyskałby, usuwając go?

- Nie jestem pewien - przyznał McCaskey. - Ale nie mogę wykluczyć tej możliwości.

- Niech ci będzie. Rozwiń myśl.

- Sławny Angol umiera za granicą po nocy spędzonej z kobietą. Gratka dla brytyjskich tabloidów. W konsekwencji śmierci Wilsona jego nowa inicjatywa zostaje wstrzymana, być może na dobre, akcje jego firmy idą w dół. Kiedy na jaw wychodzą pikantne szczegóły, ich wartość spada jeszcze bardziej. Krótko mówiąc, śmierć Wilsona usuwa potencjalne zagrożenie dla amerykańskiej gospodarki.

- No dobrze - odparł Hood. - Ale czy nie byłoby to bardziej na rękę obecnej administracji niż senatorowi Orrowi?

- Wprost przeciwnie. Jeśli potwierdzą się plotki, Orr opowie się za prowadzeniem polityki ściśle izolacjonistycznej. Śmierć Wilsona daje mu wygodny, eurocentryczny cel ataków, kogoś, o kim kandydat namaszczony przez prezydenta nie może złego słowa powiedzieć.

- Bo tak jak my, prezydent musi chronić zagraniczne sojusze.

McCaskey skinął głową.

- Orrowi jest wszystko jedno. Dla niego liczą się tylko amerykańscy wyborcy.

- I to może niepokoić któregoś z jego rywali - powiedział Hood. - Ktoś może chcieć wrobić Linka i zapobiec realnemu zagrożeniu dla dwupartyjnego systemu.

- Też możliwe - przyznał McCaskey.

Hood pokręcił głową.

- Jedyne kłopot z twoją teorią, Darrell, jest taki, że Wilson za życia byłby równie dobrym celem. Ba, gdyby żył, jego działania w Europie mogłyby zapewnić Donowi Orrowi jeszcze większe poparcie.

- Ale nie mówimy teraz o senatorze - przypomniał mu McCaskey - tylko o admirałe Linku.

- Rozumiem, ale nadal nie jestem pewien, co miałby na tym zyskać. Czemu miałby chcieć ograniczyć Orrowi pole manewru, eliminując Williama Wilsona?

- I to właśnie jest kluczowe pytanie.

- Tyle że nie wiem, czy to Centrum powinno na nie odpowiedzieć - stwierdził Hood. - Zgodziliśmy się w to wdepnąć na prośbę Scotland Yardu. Im więcej o tym myślę, tym bardziej dochodzę do wniosku, że nie jest to sytuacja kryzysowa.

- To zależy od definicji kryzysu - powiedział McCaskey. - Ja tu widzę jedną lub więcej osób, które były w stanie podjąć błyskawiczne działanie, kiedy nie udało im się zatuszować zabójstwa. Wskazuje to na istnienie tajnego spisku, w który zamieszany może być senator Stanów Zjednoczonych. Daj mi jeszcze trochę czasu, Paul. Chciałbym przyjrzeć się uważniej Kennethowi Linkowi i członkom sztabu Orra.

- A co z Mikiem? - spytał Hood. - Wciągniesz go w to?

- Nie jestem pewien - powiedział McCaskey.

Nie powiedzieli na głos tego, co obu im chodziło po głowie. Czy Mike będzie lojalny wobec byłych czy nowych współpracowników? Czy uczciwie jest w ogóle stawiać go w takiej sytuacji?

Partia szachów na wielu poziomach, pomyślał Hood.

Hood zadzwonił do Liz Gordon. Nie było jej jeszcze w pracy, więc zostawił

wiadomość, żeby po przyjeździe zajrzała do niego. Chciał, by sporządziła wstępny portret psychologiczny Linka. Odwrócił się do komputera i wszedł na zabezpieczoną stronę senatu. Lista pracowników była dostępna tylko dla urzędników państwowych. Hood sprawdził personel biura Orra. Admirala Linka tam nie znalazł. I nic dziwnego, był tylko działaczem partii United States First.

- Wiemy coś o Katherine Lockley i Kendrze Peterson? - spytał Hood.

- Trochę - odparł McCaskey. Nachylił się nad nim, wpisał swoje hasło i otworzył plik z informacjami o współpracownikach senatora Orra. - Lockley wcześniej była dziennikarką - powiedział McCaskey, patrząc na swoje zapiski. - Sprawdziłem jej artykuły, dokumenty ze studiów. Wszystko się zgadza. Peterson jest dzieckiem wojny w Wietnamie, ojciec służył w marines, w dzieciństwie przeniosła się do Stanów. Uprawiała gimnastykę, w wieku kilkunastu lat zdobyła mistrzostwo kraju, ale nie pojechała na olimpiadę, bo dostała zapalenia ścięgien w palcach. Wstąpiła do marines i pozytywnie przeszła badania, ale nawrót choroby spowodował, że trafiła do Camp Pendleton, gdzie pracowała przy programie DANTES.

- To znaczy?

- To tylko brzmi groźnie - powiedział McCaskey. - Chodzi o program wsparcia kształcenia nietradycyjnego. Czysto papierkowa robota mająca pomóc wykwalifikowanym marines w znalezieniu pracy w sektorze cywilnym.

- I tylko tym się zajmowała?

- Przynajmniej oficjalnie - powiedział McCaskey. - Po zakończeniu służby wykorzystwała znajomości z DANTES, by załatwić sobie posadę sekretarza Ambasady Amerykańskiej w Japonii. To często stosowana przykrywka dla szpiegów.

- Czemu wybrała Japonię?

- Tak zdecydowało Wojskowe Biuro Reorientacji Zawodowej - wyjaśnił McCaskey.

- Na pierwszy rzut oka wszystko gra - stwierdził Hood. - Kto jeszcze pracuje dla Orra? McCaskey przeczytał resztę listy i informacje na temat każdej z osób. Nikt niczym się nie wyróżniał.

Hood westchnął. McCaskey przeszedł z powrotem na drugą stronę biurka.

- No nie wiem, Darrell. Udowodniłeś mi, że Link byłby w stanie to zorganizować, ale nie przedstawiłeś ani jednego powodu, dla którego miałby to zrobić.

- Po co Wilson poszedł na to przyjęcie?

- Według mediów, chodziło o to, by znajomi Orra poznali go i spróbowali utemperować jego zapędy - powiedział Hood.

- Czy brzmi to bardziej wiarygodnie niż przypuszczenie, że został po prostu

wystawiony na strzał? - spytał McCaskey.

- Szczerze mówiąc, tak. Nie bardzo widzę, jak powiązać Linka ze śmiercią Wilsona. Senator Orr jest bogaty, ma bardzo bogatych przyjaciół. Mogli wystąpić z programem konkurencyjnym wobec programu Wilsona. Więcej, byłby to świetny motyw przewodni kampanii. Nawet gdyby Link chciał z jakiegoś powodu zaszkodzić Orrowi, wrobić go w zabójstwo, po co miałby zabijać drugiego biznesmena? Nie. Nie widzę związku.

- No dobra. To ja ci przedstawię powód, dla którego Link mógł chcieć śmierci Wilsona - powiedział McCaskey. - Zapewnienie Orrowi rozgłosu. Skazany przez opinię publiczną, oczyszczony z zarzutów dzięki drugiemu zabójstwu.

- Możliwe.

- Albo Link jest socjopata, któremu brakuje emocji związanych z tajnymi operacjami - powiedział McCaskey. - Tak jak mnie.

- Ty zapobiegałeś przestępstwom, nie zlecałeś ich - zauważył Hood.

- Niebezpieczeństwo to silny narkotyk, bez względu na to, w jakiej postaci je przyjmujesz. Słuchaj, Paul. Nie wiem, czemu Link miałby zrobić coś takiego. Mam tylko przeczucie, że coś w tym jest.

- Ile potrzeba ci czasu na weryfikację tego przeczucia?

- Czterdzieści osiem godzin?

Hood zmarszczył brwi.

- Masz dzień, zobaczymy, czego się dowiesz. Nic więcej nie mogę ci obiecać.

- Zgoda.

- Musisz też zdecydować, co z Mikiem - ciągnął Hood. - Dopóki nie złożysz rezygnacji, pracuje u nas.

- A co twoim zdaniem powinniśmy zrobić?

- Ciężka sprawa. Jeśli dowie się o wszystkim, pomyśli, że mu nie zaufaliśmy. No i poczuje się zobligowany, by powiedzieć Linkowi, co i jak. Lepiej na razie nie mówić mu za wiele, w razie czego będzie mógł się wszystkiego wyprzeć.

- Słusznie. Opowiem Marii o wszystkim. Może ona będzie miała jakiś pomysł.

- Warto spróbować - powiedział Hood. Zamyślił się na chwilę. - Mike jest człowiekiem honoru. Może nie podobać mu się to, co robimy, ale jeśli wyczuje, że coś jest nie tak, zacznie działać.

McCaskey uśmiechnął się.

- Coś mi umknęło? - spytał Hood.

- Chodzi o to, że się uśmiecham? Tak. Nigdy nie zostawiasz nas na lodzie.

- Nie rozumiem.

- Powiedziałeś, że Mike'owi może nie podobać się to, co robimy. „My” - wyjaśnił McCaskey, kierując się do wyjścia. - Nie uchylasz się od odpowiedzialności.

Hood nawet nie zauważył, że coś takiego powiedział.

Po wyjściu McCaskeya otworzył skrzynkę emailową. Wbił wzrok w monitor. Właśnie po raz kolejny usłyszał, że jest dobrym i odpowiedzialnym człowiekiem. Skoro tak, to jakim cudem znalazł się w takiej sytuacji? Reglamentował czas McCaskeya jak wodę na pustyni, robił za chłopca na posyłki Sharon, zamiast atakować, dał się zepchnąć do defensywy i w sprawie cięć budżetowych, i w śledztwie dotyczącym Wilsona. Kiedy był burmistrzem Los Angeles, uważał, że remis w starciu z radą miejską czy którymś z urzędników to za mało. Teraz uznaliby za sukces nawet pat.

- Puk, puk.

Hood podniósł głowę. W drzwiach stała Liz Gordon. Miała krótkie brązowe włosy, duże, mądre oczy osadzone w szerokiej, otwartej twarzy, która z miejsca budziła zaufanie.

- Proszę - powiedział.

Liz weszła.

- Znasz admirała Kennetha Linka, byłego szefa tajnych operacji CIA? - spytał.

- Nie - odparła. - Byłego? To co robi teraz?

- Pomaga senatorowi Donaldowi Orrowi rozkręcić nową partię, USF.

- To ta, dla której ma pracować Mike, zgadza się?

Hood parsknął śmiechem.

- Cieszę się, że cięcia budżetowe nie zaszkodziły poczcie pantoflowej Centrum.

- Bo zapewnia tanie, nielimitowane rozmowy - zażartowała Liz.

- Widziałem w wiadomościach, że Orr zwołał konferencję prasową, już powinna się zacząć - powiedział Hood, patrząc na zegarek. - Link, który ma zostać kandydatem na wiceprezydenta, zdaniem Darrella mógł maczać palce w zabójstwie Williama Wilsona i tego drugiego biznesmena, Roberta Lawlessa. Chcę jak najszybciej mieć jego wstępny portret psychologiczny.

- Nie ma sprawy, w zasadzie mogę to zrobić od ręki. Jak długo prowadził tajne operacje?

Hood zajrzał do akt.

- Dwanaście lat.

- Długo - stwierdziła. - Potem od razu przeszedł do Orra?

- Po kilku miesiącach.

- Klasyka. Jak często słyszy się o byłych prezydentach, generałach, gwiazdach futbolu i szefach firm, którzy przeszli na emeryturę i grają w golfa?

- Nie wiem... choć to całkiem niezły pomysł - przyznał Hood.

- A widzisz. Osoby, które w stresujących okolicznościach kierują zespołami funkcjonującymi na najwyższych obrotach, z czasem się wypalają - powiedziała Liz. - Rzadko wracają do podobnej działalności. Bardzo możliwe, że jeśli admirał Link wycofał się z branży, to nie po to, by od razu do niej wrócić. Czy w zabójstwach mógł być element wyboru?

- To znaczy, czy ofiarą musiał być Wilson i czy akurat teraz?

Skinęła głową.

- Nie jesteśmy pewni. A czy Linkowi po odejściu z wywiadu mogło brakować ryzyka? Zdaniem Darrella, to może być ważne.

- Samo to, że zdecydował się wyjść zza kurtyny CIA na środek sceny podczas ogólnokrajowej kampanii wyborczej, wiąże się z dużym ryzykiem.

I tak dochodzimy do czynnika X.

- To znaczy?

- Media i opinia publiczna patrzają politykom na ręce. Wsadzają nos, gdzie tylko zechcą, a Orr i Link nie są im w stanie tego zabronić. Dlatego ktoś, kto wie, jak to jest rządzić innymi, może chcieć zorganizować na boku coś, co będzie mógł kontrolować, tylko po to, żeby poczuć się pewniej.

- Nawet coś tak zuchwałego?

- No cóż... to wielka niewiadoma - odparła Liz. - Przejrzę akta Linka, ale niczego nie obiecuję. Podwójne zabójstwo to chyba trochę za dużo jak na kogoś, kto dopiero co odszedł z organizacji, gdzie takie działania były co najmniej tolerowane, jeśli nie zalecane.

Hood powiedział, że wysłał jej akta emailem. Na odchodnym spytała, czy wszystko w porządku.

- Jasne, a co? - odparł, choć znał odpowiedź.

- Chodzi o tę sprawę z Mikiem - powiedziała.

- Nie było lekko - przyznał Hood. - Ale zatrudnianie i zwalnianie pracowników należy do moich obowiązków.

- Wie, że sprawdzasz jego nowego współpracownika?

- Nie. Przynajmniej nikt mu o tym nie powiedział. Nie wiem, co by o tym pomyślał.

- Czyli wszystko jest pod kontrolą - powiedziała.

Hood wziął do ręki przycisk do papieru, który Alexander zrobił w pierwszej klasie

podstawówki. Była to niebieskobiała glazurowana bryła z gliny, która miała przedstawiać Ziemię. Ścisnął ją w pięści.

- Mam w ręku cały świat, Liz.

- Jak Atlas - odparła.

- On trzymał go na barkach - uściślił Hood.

- Jak Atlas - powtórzyła.

Hood przemyślał jej słowa i uśmiechnął się. Trafiła w sedno. Odłożył przycisk.

- Co robić, kiedy człowiek ma wrażenie, że jego życie i kariera zawodowa zmierzają w złym kierunku?

- Zależy - odparła Liz. Zamknęła drzwi. - Jeśli masz dość cierpliwości, potraktuj to jak wędrówkę wokół tej kuli. Zbieraj po drodze doświadczenia, podziwiaj widoki, w końcu wrócisz do punktu wyjścia.

- A jeśli zabraknie mi paliwa?

- Szybuj na wietrze.

- Tak właśnie robię - powiedział Hood.

- No i? - Psycholog podeszła do biurka. - Mów dalej, Paul.

Hood zawahał się. Nie czuł się pewnie w takich sytuacjach. Nie lubił skarżyć się ani szukać pomocy. Liz jednak musiała wyczuć, że coś nie gra. Prowadziła psychologiczne akta personelu i w tych sprawach obdarzona była szóstym zmysłem. Decyzje, które tu zapadały, mogły mieć wpływ na miliony ludzi. Gdyby Liz uznała, że któryś z pracowników funkcjonuje w zbyt dużym stresie, mogła wysłać go na przymusowy urlop. Tak postąpiła z Mikiem Rodgersem po tym, jak Striker został zdziesiątkowany w Indiach.

- Szczerze, Liz? Czuję się, jakby te wiatry miotają mną na wszystkie strony, oddalając mnie od celu.

- A wiesz, gdzie on jest?

- Na pewno nie tu - odparł. - Nie w miejscu, gdzie muszę zwalniać pracowników i wycofywać się z zadań. I jeszcze płaszczyć się przed innymi.

- To definicja negatywna - odparła ostrożnym, neutralnym tonem. - Nie możesz określać tego, co powinienesz robić, poprzez to, czego nie robisz. - Nachyliła się nad biurkiem tak, że ich oczy znalazły się na jednej wysokości. - Najpierw wyjaśnij mi, Paul, czy mówimy teraz o twojej sytuacji rodzinnej, czy o Centrum?

- O jednym i drugim - wyznał.

- Czyli masz wrażenie, że staczasz się i tu, i tu.

- Uhm. Z tą samą prędkością. I dopiero się rozpędzam.

- Chciałbyś wrócić do Sharon?

- Nie - odparł bez wahania.

- Przeszkadza ci to, że na nowo układasz sobie życie?

Liz była terapeutką Harleigh, więc Hood nie był zaskoczony, że o tym wiedziała.

- Nie - powiedział zgodnie z prawdą.

- Mówiłeś, że płaszczysz się przed innymi. Miałeś na myśli Sharon?

Hood skinął głową.

- Ja, komisję do spraw służb, Scotland Yard, a kiedy wyjdiesz, pewnie będę miał poczucie, że płaszczyłem się przed tobą.

- No to każ mi wyjść.

Hood zawahał się.

- Żeby przestać się staczać, trzeba zaprzeć się nogami w ziemię. - Wstała. - Zrób to, Paul.

- No dobra. Koniec rozmowy - powiedział.

- To nie wystarczy. To nie było zakończenie. To było neutralne.

- Nie widzę różnicy - wyznał.

- Jeszcze tu jestem i gadam, nie?

Hood wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Won - powiedział ostrym tonem. - Ale to już - dodał.

Liz uśmiechnęła się.

- Jeszcze słówko - powiedziała.

Hood nie wiedział, czy to pułapka.

- Ale tylko jedno - powiedział zdecydowanym tonem.

- Wszyscy są zagubieni i szukają oszczędności - powiedziała Liz. - Sharon, agencje wywiadowcze, cały naród. Jesteś poddawany presji, ale nie z powodu czyichś osobistych urazów; po części winien jest strach, a po części poczucie, że coś zaczyna się od nowa.

Zapikał interkom na linii łączącej go z Bugsem Benetem.

Liz ruszyła do wyjścia.

- Nie bój się stawiać oporu - powiedziała. - Lepiej dać upust agresji niż ją tłumić.

- Czy nie od tego zaczynają się wojny? - spytał, kiedy interkom zapikał znowu.

- Nie. Czy rewolucja amerykańska wybuchła z powodu herbaty? A wojna domowa z powodu niewolnictwa?

- Po części...

- Otóż to. Wojny nigdy nie mają tylko jednej przyczyny - powiedziała. - Zaczyna się

od jednej sprawy, którą odkłada się na później, więc robią się z niej dwie, a potem trzy, aż w końcu następuje wybuch.

Miała rację.

- Dzięki, Liz - powiedział Hood, podnosząc słuchawkę.

- Do usług - odparła.

Hood skinął głową z wdzięcznością.

- Co się stało, Bugs? - rzucił do słuchawki.

- Szefie, właśnie dzwonił z Białego Domu - powiedział Bugs. - Prezydent chce się z panem spotkać za dwie godziny.

- Mówił, o co chodzi?

- Nie.

Nie pierwszy raz wzywano go do prezydenta. Jednak jeśli miał jakiegokolwiek wątpliwości co do słuszności rad Liz, to wyzbył się ich, kiedy spytał, kto jeszcze będzie na spotkaniu.

- Senator Debenport - odparł Bugs.

Rozdział 21

Waszyngton Wtorek, 7.30

Na tle flag Teksasu i Stanów Zjednoczonych, rozdzielonych kopułą Kapitolu, z oczami błyszczącymi w blasku porannego słońca, senator Donald Orr ogłosił, że będzie kandydował na stanowisko prezydenta. Grupa dwudziestu kilku zwolenników zgotowała mu owację. Kilkunastu dziennikarzy uwieczniło tę chwilę.

Mike Rodgers stał na uboczu z Kat Lockley. Zadzwoił wczesnym rankiem, by powiedzieć jej, że przyjmuje propozycję senatora, a ona odparła, że Orr byłby zobowiązany, gdyby generał mógł przyjść na oficjalne ogłoszenie jego kandydatury. Rodgers ucieszył się z zaproszenia. Admirał Link stał z Kendrą Peterson wśród zwolenników Orra. Żeby nie musieć wyjaśniać, co robią tu Rodgers i Link, Kat z góry zapowiedziała dziennikarzom, że senator nie odpowie na żadne pytania. Mówiąc to, patrzyła na Lucy O'Connor. Rodgers nie miał na sobie munduru i było mało prawdopodobne, by ktokolwiek rozpoznał w nim zastępcę dyrektora Centrum czy dowódcę akcji w siedzibie ONZ i w Indiach. Na pierwszym planie było wówczas Centrum, nie on. Rodgers przyszedł, by zobaczyć, jak jego przyszły szef radzi sobie na forum publicznym. Na razie był pod wrażeniem występu Orra w telewizji. Generał regularnie nagrywał wywiady z Evening News i Nightline. Senator po mistrzowsku wykorzystywał kamery. Mówił jasno i na temat. Kiedy milczał, wyrażał swoje zdanie poprzez przymrużenie oka, uniesienie brwi, lekkie wyduęcie warg czy przechylenie głowy. Wiedział, na czym polega różnica między wyrażaniem myśli a napaścią słowną.

- Nie będzie to zwykła kampania - obiecał Orr po ogłoszeniu swojej kandydatury. - Zostanie zainaugurowana... użyłem tego słowa nieprzypadkowo, z myślą o przyszłości - powiedział i mrugnął do swoich zwolenników, którzy zareagowali aplauzem. - Zostanie zainaugurowana pod sztandarem nowej partii z nową wizją przyszłości naszego kraju. Partii United States First, działającej na rzecz nowej niezależności.

Zwolennicy zaczęli głośno wiwatować i bić brawo.

Kat nachyliła się do ucha Rodgersa.

- To hasło kampanii - powiedziała.

- Domyśliłem się - odparł. - Dobrze. Twoje?

Skinęła głową i odwróciła się z powrotem do Orra.

- Nasza niezależność oprze się na istniejących fundamentach, stale podkopywanych przez Kongres i grupy nacisku: Kodeksie Praw Obywatelskich i konstytucji. Inne państwa nie rozumieją czci, jaką otaczamy te dokumenty. Nie pojmują naszego umiłowania zagwarantowanych w nich swobód. Przyzwyczajone są do władzy królów, carów czy wodzów. My zrzuciliśmy z siebie jarzmo zamorskiego tyrana. Nie damy sobie narzucić dyktatu z zagranicy. Nie będziemy przedkładać potrzeb innych krajów nad nasze potrzeby. Nie będziemy dłużej uczestniczyć w procesie globalizacji, który stoi w sprzeczności z naszymi wartościami i naszym stylem życia.

Znów rozległy się wiwaty, kilka zaciśniętych pięści powędrowało w górę. Oczywiście, byli tu tylko zdeklarowani zwolennicy senatora. Mimo to Rodgersowi przemówienie się podobało. Mogłaby się pod nim podpisać większość wyborców.

- Pierwsza konwencja naszej partii odbędzie się pod koniec tygodnia w San Diego - ciągnął Orr. - Jako że USF nie jest zwyczajną partią, także nasza konwencja nie będzie typową konwencją. Drzwi będą otwarte dla wszystkich. Każdy, kto przyjdzie, otrzyma prawo głosu. Tak to się robi w Ameryce.

Rozległ się gromki aplauz.

Rodgers nachylił się do Kat.

- Zakładam, że macie pomysł, jak zapełnić centrum kongresowe - powiedział. - Ile tam jest, dziesięć tysięcy miejsc?

- Dwanaście tysięcy - powiedziała. - Z samego Teksasu autobusy przywiozą cztery tysiące ludzi. Mamy wielu zwolenników w okręgu Orange, niecałą godzinę od centrum kongresowego...

- To ziemia Johna Wayne'a.

- No właśnie. Lokalni działacze zorganizowali Konwój Wolności do San Diego. To powinno dać nam następne trzy tysiące ludzi. Zapowiedziały się też mniejsze grupy z innych części kraju, poza tym wierzymy, że sporo osób przyjdzie tylko po to, by wziąć udział w czymś nowym i ekscytującym.

- Media uwielbiają pokazywać korowody zwykłych ludzi - zauważył Rodgers.

Kat uśmiechnęła się. Jak prawdziwy kot, pomyślał generał.

Orr kontynuował przemówienie. Rodgers dopiero teraz zauważył, że prawie nie zagląda do notatek. Nauczył się całego tekstu na pamięć. W przerwach dla nabrania tchu patrzył po twarzach słuchaczy.

- Być może niektórzy wyborcy z mojego rodzinnego stanu myślą, że porzucam ich, zmieniając partyjne barwy - ciągnął Orr. - Chciałbym ich zapewnić, że jedyne, co się

zmieniło, to fasada. Teksańczyk zawsze pozostanie Teksańczykiem. Don Orr wciąż jest tym samym człowiekiem. Nadal bronić będzie młodych ludzi, którzy chcą pracować, i starszych, którzy nie chcą przejść na emeryturę. Nadal wierzy, że służba krajowi, jego przemysłowi i gospodarce, powinna być traktowana z należytą czcią. Amerykanów, którzy mnie jeszcze nie znają, proszę o jedno: wysłuchajcie tego, co będziemy mieli do powiedzenia w nadchodzących dniach, tygodniach, miesiącach. Nie jesteśmy próżnymi politykami, których interesuje władza, ani marionetkami w rękach grup nacisku. Jesteśmy dumnymi Amerykanami, którzy chcą przywrócić naszej ojczyźnie dawną świetność. Pragniemy, by była krajem mądrych i dzielnych ludzi. Krajem obfitującym nie tylko w żywność i surowce, ale i idee. Krajem wyjątkowych ludzi stawiających przed sobą niezwykle, nowe cele. Krajem sprawiedliwości i równości dla bogatych i biednych, zdrowych i chorych, dla wszystkich, bez względu na wiek.

- Każdy głos jest na wagę złota - szepnął Rodgers do Kat.

- Może i tak, ale to nie są puste slogany, generale - odparła. - Senator mówi, co myśli.

- Wierzę. Co więcej, liczę na to. - To było za mało powiedziane. Słowa Orra naprawdę do niego trafiały. Czy sprawiła to sytuacja w Centrum, czy ogólne rozczarowanie biurokracją, polityką i sporami dotyczącymi żywotnych interesów kraju, po raz pierwszy od lat budził się w nim entuzjazm.

- Na koniec kilka słów do naszych przyjaciół za granicą - powiedział Orr. - To, że stawiamy Stany Zjednoczone na pierwszym miejscu, nie znaczy, że o was zapomnimy. Wierzimy, że silna i prężna Ameryka jest niezbędna dla światowego dobrobytu. Sądzymy jednak, że powinniśmy być światłem przewodnim, nie bankiem. Będziemy wytyczać szlak, nie niańczyć. Świat potrzebuje Stanów Zjednoczonych, które będą nie podporą, lecz fundamentem, mocnym i niewzruszonym. To właśnie jest program naszej partii, która służyć będzie szlachetnym obywatelom naszego kraju. Panie i panowie, dziękuję serdecznie za uwagę dziś i w nadchodzących dniach. Niech Bóg was błogosławi i niech Bóg błogosławi Amerykę.

Kiedy rozległy się brawa, Kendra wyprowadziła senatora zza podium, omijając dziennikarzy szerokim łukiem. Padły pytania o Williama Wilsona, ale zostały zignorowane. Kat zapisała w palmpilocie, kto je zadawał. Ci dziennikarze prawdopodobnie będą mieli ograniczony dostęp do senatora, dopóki sprawa nie przycichnie.

Link czekał już w samochodzie. Kendra pomogła senatorowi wsiąść do czarnej limuzyny i wśliznęła się za nim na tylne siedzenie. Kiedy odjechali, Rodgers poszedł za Kat do stołu, na którym stały napoje i przekąski. Zdążyli wziąć kawę przed dziennikarzami i

powoli ruszyli przez trawnik na tyłach Kapitolu.

- Wiesz, gdyby to wszystko powiedział kandydat któregoś z dużych partii, nazwano by to pustą retoryką - zauważył Rodgers.

- Na tym polega różnica między senatorem Orrem i całą resztą - odparła. - Nie zgodzisz się?

- Jak najbardziej. To było bardzo budujące.

- Poważnie?

- Uhm. Zwłaszcza fragment o ludziach, którzy nie chcą przejść na emeryturę.

Kat uśmiechnęła się.

- Wiesz, nawet nie wpadło mi to do głowy.

- Jedno mnie zastanawia. Czemu to Kendra wyprowadziła senatora, nie ty?

- Chcieliśmy sprawić wrażenie, że obawiamy się o jego bezpieczeństwo, a nie że unikamy dziennikarzy - wyjaśniła.

- To brzmi rozsądnie - zgodził się Rodgers. Przynajmniej dla kogoś z typowo waszyngtońską obsesją na punkcie wizerunku, dodał w duchu. - A co słyhać w sprawie Wilsona?

- Chodzi ci o to, czy to drugie zabójstwo nas odciążało? - spytała. - Trochę, choć kilku dziennikarzy skrycie zastanawia się, czy w nim też nie maczaliśmy palców.

- A maczaliście?

- No pewnie - odparła Kat z ironią. - Cała ta historia jest jak wiersz o domku Tomka. Oto kandydat, który zlecił zabójstwo biznesmena, aby zatuszować morderstwo, które dodało rozgłosu kampanii, którą prowadzi Kat. - Potrząsnęła głową. - Reporterzy i komentatorzy dzielą się na tych, którzy uważają, że mamy coś na sumieniu, tych, którzy wierzą w naszą niewinność, i tych, dla których cała ta sprawa to tylko temat zastępczy. Tak to już jest. Żeby zachować szansę na wygraną, potrzebne nam są tylko te dwie ostatnie grupy - Z punktu widzenia public relations - powiedział Rodgers.

- No właśnie. Gorzej, jeśli człowiek naprawdę ma coś na sumieniu.

Dogoniła ich zasapana Lucy O'Connor. Rodgers zauważył, że w jej dyktafonie pali się czerwone światełko. Nadal nagrywała.

- Dzień dobry - powiedziała. - Wspaniałe przemówienie.

- Dzięki. Przekażę to senatorowi - odparła Kat.

- Jest coś nowego, oficjalnie lub nie? - spytała Lucy. Spojrzała na Rodgersa, a on na nią. Powtórzyła pytanie oczami.

- Oprócz tego, że senator kandyduje na prezydenta Stanów Zjednoczonych? Nie -

odparła Kat. - A słyszałaś coś?

- Ogólne potępienie wczorajszych, pochopnie wydawanych osądów - odparła Lucy.

- Ludzie naprawdę wierzyli, że senator Orr stał za tym zabójstwem? - spytał Rodgers.

- Nazwałabym to raczej perwersyjną nadzieją - powiedziała Lucy.

Rodgers pokręcił głową.

- „Perwersyjna” to trafne określenie.

- Takie historie, jak ta o Hotelowej Osie, gwarantują wysokie wierszówki i korzystne umowy wydawnicze - dodała Lucy. - A propos, generale, może mi już pan powiedzieć, co pan tu robi?

- We właściwym czasie wydamy komunikat - oświadczyła Kat. - Oczywiście, dostaniesz go z wyprzedzeniem.

- Wiadomo coś o kandydacie na wiceprezydenta? - spytała Lucy. - Zauważyłam, że był tu Kenneth Link.

- Wszystkiego dowiesz się na konwencji - odparła Kat.

- Kat, no nie bądź taka. To zostanie między nami. Obiecuję.

- Przykro mi.

Lucy odwróciła się do Rodgersa.

- A co z dochodzeniem, które prowadzi Centrum, generale?

- To znaczy?

- Słyszałam, że dżentelmen nazwiskiem Darrell McCaskey chce rozmawiać z admirałem Linkiem. Podobno jest już w drodze.

- Co takiego? - powiedziała Kat. Zatrzymała się, wyjęła komórkę i wybrała numer admirała.

- Skąd pani to wie? - spytał Rodgers.

- Rozmawiał z nim mój znajomy ze straży pocztowej. McCaskey nie chciał powiedzieć, o co chodzi. Ed myślał, że może ja wiem. - Lucy uśmiechnęła się. - Chciał pomóc.

Kat odwróciła się do nich plecami. Po kilku sekundach rozmowy złożyła telefon.

- Na razie - rzuciła do Rodgersa i Lucy i pospiesznie odeszła.

- Katherine, nie bądź taka - powiedziała Lucy, biegnąc za nią. - Ja ci tu takie informacje przynoszę...

- Wiem i jestem wdzięczna.

- Okaż to!

- Jak tylko będę mogła - obiecała Kat.

To Lucy nie usatysfakcjonowało. Szarpnęła za ramię Rodgersa, który ruszył za Kat.

- Generale, mogę panu pomóc - nie ustępowała.

- Dzięki.

- To nie wystarczy - powiedziała i szarpnęła go znowu. - W zamian pan musi pomóc mnie.

Rodgers się jej wyrwał i zaczął iść za Kat. Lucy ruszyła za nim. Nie miał jej za złe, że jest tak uparta. Taką miała pracę. Zdenerwowało go co innego. Aż mu się w żołądku kotłowało ze złości.

- Generale, niech pan zaczeka. Proszę tylko powiedzieć, co pan robi u senatora Orra. Pracuje pan dla niego czy dla Centrum Szybkiego Reagowania?

- A jak pani myśli?

- Myślę, że gdyby pracował pan dla Centrum, Kat wiedziałaby, że Darrell McCaskey chce przesłuchać admirała.

- To logiczne - stwierdził.

- Wiem. To już coś, ale na artykuł nie wystarczy. Proszę dać mi coś, co mogłabym wykorzystać. Cokolwiek. Trop, nieoficjalne spostrzeżenie, cytaty, który przypiszę anonimowemu źródłu...

- Hotelowa Osa - powiedział Rodgers.

- Słucham?

- Taki pseudonim jej pani wymyśliła?

- Tak - przyznała Lucy. - Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Dobry jest - stwierdził.

- Dzięki. No to co pan powie na moją propozycję? Niech mi pan pomoże.

Rodgers zatrzymał się.

- Wie pani co? Dość już mam pomagania. Proszę nie brać tego do siebie, ale pomogłem Japonii, pomogłem Narodom Zjednoczonym, pomogłem całemu subkontynentowi indyjskiemu i wie pani, co mi to dało?

- Na pewno nie rozgłos.

- Na nim mi nie zależy - stwierdził. Zaraz spali za sobą wszystkie mosty, ale miał to gdzieś. - Otóż okazało się, że jestem już niepotrzebny.

- Odszedł pan z Centrum?

- Nie. Zostałem zwolniony, Lucy.

- O rany. Tak mi przykro, generale. Mogę pana zacytować?

- Czemu nie? Może też pani napisać, że moim zdaniem lojalność jest w stanie zaniku,

podobnie jak prawość i honor. Nie tylko w Centrum Szybkiego Reagowania, ale i w całym społeczeństwie. Za prawdziwe zasługi płaci się pusto brzmiącymi słowami, decyzje podejmowane są przez oportunistów. Senator zaprosił mnie do swojego zespołu, bym spróbował zmienić ten stan rzeczy. Zamierzam przyjąć jego propozycję, bo wierzę, że obywatele Stanów Zjednoczonych potrafią odróżnić karierowiczów od ludzi honoru. Koniec cytatu - dodał.

- Nie ma pan nic przeciwko temu, że poproszę Paula Hooda o komentarz?

- Nie - powiedział Rodgers. - Ale...

- Tak?

Zawahał się. Chciał poprosić ją, żeby w swoim artykule nie zrobiła z niego zgorzkniałego frustrata. Z drugiej strony, nie wiedział, jak to powiedzieć, nie przyznając, że faktycznie nim jest.

Dziennikarka zdawała się czytać mu w myślach.

- Proszę się nie martwić - powiedziała. - Napiszę tak, żeby było dobrze.

Rodgers uśmiechnął się ciepło.

Lucy podziękowała mu i poszła. Rodgers przez chwilę stał w miejscu, niepewny, co właściwie czuje. Nie zamierzał powiedzieć jej tego wszystkiego, z drugiej strony, nie przewidział też, że zostanie zwolniony. Ani że straci Strikera. Jak to powiedział Trocki? Im dłużej przygotowujesz plany, tym więcej błędów popelnisz. Cóż, zrobił, co podyktowało mu serce.

Pobiegł za Kat. Chciał powiedzieć jej, co się stało, choć nie sądził, by miała czynić mu wyrzuty. Jego wypowiedź dotyczyła nie Orra, lecz Mike'a Rodgersa i Centrum Szybkiego Reagowania. Poza tym to, co zrobił, miało też swoją dobrą stronę.

Teraz już był z Orrem na dobre.

Rozdział 22

Fallbrook, Kalifornia Wtorek, 5.45

Thomowi Mandorowi chodziło tylko o pieniądze. Dla Wayne'a Richmonda też były ważne, owszem, ale bardziej pociągało go niebezpieczeństwo. Dlatego właśnie pojechał na Alaskę, by zostać kierowcą ciężarówki.

I dlatego wrócił, by pracować jako oprych do wynajęcia.

O piątej rano wyszedł z domku i skierował się na wschód, ku zimnym, spowitym w mroku wzgórzom. Robił to regularnie raz, dwa razy w tygodniu późną wiosną, latem i wczesną jesienią. To właśnie wtedy na szczycie czyhało największe niebezpieczeństwo, a Richmond mógł do woli stawiać mu czoła. Narzązał się bardziej niż trzeba tylko po to, by poddać się próbie. Życie powinno być nieprzerwaną serią prób. Tylko tak człowiek mógł się rozwijać, żyć naprawdę, zamiast tylko udawać. Panować nad przeciwnikami, a tym samym, do pewnego stopnia, nad własnym życiem.

W wysokich brązowych kowbojkach, ze starannie wyostrzonym nożem myśliwskim w ręku, Richmond szedł w ciemnościach pod wiatr. Miał na sobie grubą dzinsową kurtkę i czarne skórzane rękawice, mające chronić go od zimna. Temperatura wynosiła nieco ponad zero stopni. Tu, na wysokości tysiąca metrów, gdzieś zalegał jeszcze mokry śnieg. Podchodząc do półki skalnej, zobaczył w dole skąpane w bladej poświacie białe obłoki. W górze wciąż były tylko gwiazdy i granatowe niebo. Kiedy zza ostrej, wygiętej w łuk grani wreszcie wyłoniło się słońce i jego promienie ogrzały występ skalny, obudziło się też niebezpieczeństwo. Żył tu bowiem grzechotniki diamentowe.

Miały gniazdo wśród głazów na krawędzi urwiska. Każdego roku były ich tu setki. Pierwsze promienie słońca budziły je ze snu, podnosząc temperaturę ich krwi do poziomu temperatury powietrza. Wówczas te węże o trójkątnych głowach, pojedynczo lub w grupach po dwa-trzy, wyruszały na poszukiwanie myszy polnych, zajęcy, ptaków czy innych małych zwierząt, którymi się żywiły. Nie musiały widzieć swoich ofiar, dlatego też mogły zaczynać łowy, zanim słońce do końca wyłoniło się zza horyzontu. Jamkami w głowach wyczuwały ciepło żywej istoty, a wyciągniętymi językami - niesiony powietrzem jej smak; było to dla nich tym, czym zapachy z kuchni dla Richmonda. Dzięki temu mogły namierzyć ofiarę z zabójczą precyzją. Przeciętny dorosły grzechotnik diamentowy miał metr-półtora metra

długości i potrafił dać susa na prawie równą odległość.

Węże w kolorze ziemi były niewidoczne, dopóki nie rozległ się charakterystyczny grzechot, mający odstraszyć napastników. Brzmiało to jak bzyczenie dużego szerszenia, chyba że grzechotnik zwijał się i podnosił, by zapewnić sobie większe pole rażenia. Wówczas grzechotka odrywała się od ziemi i wydawany przez nią odgłos bardziej przypominał chrobot młynka do pieprzu. W takiej pozycji wąż mógł przejść do ataku w dwie-trzy sekundy.

Grzechotniki jednak wolały się bronić. Zwykle pilnowały swojego nosa i starały się nie wchodzić w drogę większym drapieżnikom, jak rysie, kojoty i ludzie.

Dlatego Richmond musiał najpierw dźgnąć upatrzonego węża czubkiem dwudziestocentymetrowego ostrza. Nie pozwalał mu uniknąć walki. Najczęściej dotykał ogona ofiary. Zaczepione w ten sposób węże na ogół się wycofywały. Jeśli tak było, podchodził do nich od przodu i stawał na drodze ich ucieczki. Zmuszał, by się zwinęły, a to pozwalało mu stoczyć upragnioną walkę.

Tego ranka, siedząc na kamieniu i patrząc na wschód słońca, zobaczył dwa węże wyłaniające się spomiędzy głazów. Pierwszy był dorosły, drugi miał jakieś dwadzieścia kilka centymetrów długości. Matka i syn. Mniejszy wąż zatrzymał się za kamieniem i zwinął w ciasną spiralę. Najwyraźniej nie odpowiadał mu zimny wiatr. Drugi wąż odpelzał coraz dalej od gniazda.

Grzechotniki diamentowe rodzą się żywe; Richmond oceniał, że ten mniejszy ma około dwóch tygodni. Pewnie w gnieździe było ich więcej. Żywiły się prawdopodobnie insektami, głównie chrząszczami. Richmond postanowił zabić oba, poczynając od młodego.

Odsunął się od dużego zimnego głazu. Na takie wyprawy nie zabierał telefonu komórkowego. Jeśli będzie na tyle nieostrożny, by dać się ukąsić, będzie to znaczyło, że zasługuje na śmierć. Zresztą i tak nie byłoby sensu wzywać pogotowia. Zanim dotarłaby tu karetka czy śmigłowiec, już dawno by nie żył. Jad spowodowałby natychmiastową hemolizę, czyli zniszczenie czerwonych krwinek, co uniemożliwiłoby natlenienie tkanek. Zaraz potem przestałyby funkcjonować najważniejsze narządy. Umarłby w dziesięć-piętnaście minut.

Mniejszy wąż wyczuł jego obecność. Rozwinął się i uciekł za drugi bok głazu. Był to kamień o kształcie względnie płaskiej piramidy, wysokości jakichś trzydziestu centymetrów. Richmond z uśmiechem postawił na nim prawą nogę. Zaczekał, aż ogon węża zniknie i wtedy przewrócił głaz, przygważdżając ofiarę do ziemi. Młody grzechotnik wystawił język i zaczął wywijać ogonem na wszystkie strony, ale nic to nie dało. Richmond rozejrzał się za jego towarzyszem. Starszy wąż właśnie zsuwał się z występu skalnego, jego skóra lśniła w pierwszych promieniach słońca. Pożywienie było ważniejsze od losu potomstwa. Richmond

stał na kamieniu całym ciężarem, by upewnić się, że młody grzechotnik został unieruchomiony na dobre. Podszedł do niego od przodu, kucnął i wbił nóż w przewężenie za jego głowę. Głowa opadła, język drgał jeszcze przez chwilę, krew wsiąkała w czarną ziemię.

Richmond wytarł w nią ostrze. Wstał i poszedł do drugiego węża.

I wtedy to usłyszał. Odwrócił się plecami do występu. Kucnął i nadstawił uszu.

Na wschód od niego biegła wąska, zryta wyłobionymi przez deszcz koleinami droga ewakuacyjna, którą mógł się stąd wydostać w razie, gdyby pożar uniemożliwił przejazd jedyną utwardzoną szosą. Jakieś sześćset metrów niżej znajdowało się osiedle mieszkaniowe. Od czasu do czasu ludzie wchodzili na szczyt, by podziwiać widok doliny. Rzadko zjawiali się tu dość wcześnie, by obejrzeć wschód słońca, bo musieliby rozpocząć wędrówkę w ciemnościach. Jednak zdarzało się, że przyjeżdżali samochodami. A Richmond właśnie usłyszał warkot silnika.

Ruszył w stronę drogi ewakuacyjnej. Na poboczu stał dziup. Czarny, ze złotą gwiazdą na drzwiach. W środku siedziała jedna osoba, zastępca szeryfa. Pewnie wracał z nocnej zmiany i zatrzymał się tu w drodze do domu. Właśnie otwierał termos.

Czyli będzie tu jeszcze co najmniej kilka minut. To dobrze. Richmond miał pewien pomysł. Wrócił na skraj urwiska, schował nóż do skórzanej pochwy przytroczonej do pasa i zdjął kurtkę. Minął martwego węża, leżącego na ziemi wilgotnej od krwi. Poszedł po jego większego towarzysza. Rozglądał się uważnie. Szczególną uwagę zwracał na kamienie i krzaki.

Wąż leżał w wąskim rowie powstałym w wyniku erozji i wypełnionym kamieniami wymytymi ze zbocza. Wśród nich ukryta była jama susła. Wąż zamierzał wygrzewać się na głazach i zaczekać, aż śniadanie samo do niego przyjdzie. Przynajmniej taki miał plan. Richmond postanowił mu w tym przeszkodzić. Poszedł kawałek dalej i rzucił kurtkę na kamienie. Zawiązał oba rękawy na końcach, rozłożył je i wrócił do węża. Podniósł z ziemi garść kamyków i zaczął w niego rzucać. Trafił w ogon i korpus. Poobijany wąż ruszył naprzód, grzechocząc. Richmond nie odstępował go na krok i nadal ciskał kamieniami, przeganiając go w stronę kurtki. Zgodnie z jego przewidywaniami, grzechotnik wpełzł do jednego z rękawów, tylko tam bowiem mógł się schować. Kiedy zniknął w środku, Richmond szybko ścisnął rękaw pod pachą. Wąż próbował się zwinąć i utknął na dobre. Richmond ostrożnie okręcił go kurtką, by mu się nie wysliznął. Chwycił rękaw lewą dłonią i przesunął ją w górę, ku głowie węża. Musiał mocno ścisnąć, bo grzechotnik rozpaczliwie wił się na wszystkie strony. Wreszcie się uspokoił. Richmond prawą ręką rozwiązał supeł na rękawie. Teraz trzymał węża tylko za głowę. Prawą dłonią ścisnął grzechotkę. Grzechotnik stał się jego

niemym więźniem. Richmond przycisnął kurtkę do brzucha i ruszył naprzód. Niosąc węża, czuł się, jakby miał w rękach karabin. To była równie groźna i przerażająca broń. A jeszcze lepsze było to, uprzytomnił sobie Richmond, że to grzechotnika obarczą winą za zabójstwo.

Dotarł na skalisty występ. Słońce wisiało już nad górami. W oddali trzy jastrzębie wypatrywały małych zwierząt na zboczach wzgórz. Richmond mógł bez końca patrzeć, jak unoszą się nad ziemią na zmiennych prądach termicznych, korygując lot skrzydłami i piórami w ogonie. Kiedy jeden z nich dostrzegał potencjalną ofiarę, przywoływał pozostałe, składał skrzydła i spadał jak strzała. W odróżnieniu od nastawionych na obronę węży, agresywne ptaki były najdoskonalszymi maszynami do zabijania stworzonymi przez naturę.

Obrona i atak, pomyślał Richmond. Coś, co na brudnej ziemi wydaje się z natury niebezpieczne, niebezpieczne nie jest. Coś, co na tle błękitu nieba wydaje się piękne, pełne gracji, niesie śmierć. Wygląd zewnętrzny rzadko bywa właściwym kryterium oceny zagrożenia.

Richmond ruszył drogą ewakuacyjną w stronę dżipa. Okno od strony kierowcy było otwarte.

- Dzień dobry, panie władzo - powiedział.

Policjant zerknął w boczne lusterko.

- Dzień dobry panu. - Przyjrzał się Richmondowi uważniej. - Wszystko w porządku?

- Tak, czemu pan pyta?

- Ma pan obowiązaną rękę.

- A, zbieram jaja do ptaszarni - powiedział z uśmiechem. Mówił cicho, łagodnie.

Zastawianie pułapki było częścią zabawy.

- Jaja pan zbiera... z nożem myśliwskim? - spytał zastępca szeryfa.

- To na węże - powiedział Richmond, podchodząc do okna.

- Tak myślałem, ale następnym razem lepiej niech pan weźmie broń palną. Posiadanie noża większego od scyzoryka jest karalne.

- Ale pistolet nosić można? - powiedział Richmond.

- Tak jest.

- Niech Bóg błogosławi Krajowy Związek Myślistwa Sportowego - stwierdził Richmond.

Policjant napił się kawy i zakręcił termos. Miał na palcu obrączkę. Wyglądał na nie więcej niż dwadzieścia sześć lat. Richmond był ciekaw, czy leniuchował tu sobie po kryjomu, czy kontemplował wszechświat. Może zastanawiał się, czy zostawić żonę, albo wspominał z nostalgią wieczory, kiedy przyjeżdżał tu z nią na macanko? Richmond próbował zgadnąć, jak

daleko ten młody człowiek wybiegał myślą w przyszłość. Do jutra? Do następnego awansu? Do narodzin pierwszego albo drugiego dziecka?

- A propos, nazywam się Wayne Richmond - powiedział.

- Andy Belmont - przedstawił się zastępca szeryfa. Wyciągnął rękę i zaraz ją cofnął, przypomniawszy sobie o zawiniątku z jajami. - Miło mi pana poznać.

- I nawzajem - odparł Richmond. - Często chodzę tu na spacer, ale pana spotykam pierwszy raz.

- W zeszłym tygodniu przenieśli mnie tu z komisariatu Southwest - wyjaśnił zastępca szeryfa Belmont. - Pomyślałem, że dobrze byłoby zapoznać się z okolicą na wypadek, gdyby kiedyś mnie tu wezwano.

- Słusznie. To początek czy koniec pańskiej zmiany?

- Koniec - odparł zastępca szeryfa. - Rano pilnuję dziecka, żeby żona mogła iść do pracy. Potem przychodzi teściowa, a ja wreszcie mogę się przespać.

- Poważnie? Musi być wam ciężko, skoro pracujecie o różnych porach. Policjant uśmiechnął się.

- Sam nie wiem. Dzięki temu bardziej doceniamy chwile, które spędzamy razem.

- Coś w tym jest - powiedział Richmond. Spojrzał na jego kolana. Wystarczyłoby opróżnić rękaw kurtki i zabrać krótkofalówkę z lewego ramienia młodego policjanta. Była w zasięgu ręki, przy oknie. Zastępca szeryfa Belmont umarłby na miejscu.

Policjant włożył termos do schowka na napoje między siedzeniami. Włączył światła.

- Życzę miłego dnia i proszę pamiętać o tym nożu.

Richmond wyprostował się tak, że jego biodra znalazły się na wysokości okna.

- Dziękuję, na pewno nie zapomnę.

Cofnął się o krok. Zastępca szeryfa pomachał mu i ruszył drogą w dół. Richmond skinął mu głową. Jednocześnie ścisnął w palcach szyję węża i przekręcił ją o sto osiemdziesiąt stopni. Grzechotnik, który znów zaczął się wić, zadrżał i znieruchomiał. Richmond lekko potrząsnął rękawem. Żadnej reakcji. Puścił węża i odskoczył do tyłu.

Grzechotnik spadł na ziemię. Nie ruszał się. Był martwy. Richmond zostawił go krukom na pożarcie, odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę skalnej półki.

Ten dzień zaczął się lepiej, niż tego oczekiwał. Zabił dwa węże i darował życie jednemu policjantowi. Miał w swoich rękach los trzech żywych istot. Pięciu, jeśli liczyć żonę i dziecko zastępcy szeryfa.

Ryzykować, nie ryzykować, zabić, nie zabić. Wybór to podstawa kontroli, kontrola daje władzę, a władza jest kluczem do pomyślności. Wayne Richmond nie wiedział, jak

pomyślnie ułoży się jego życie. Ale przynajmniej ten dzień zaczął się bardzo dobrze.

Rozdział 23

Waszyngton Wtorek, 9.44

Darrell nie był, jak określiliby to jego współpracownicy z FBI, „obciążony odznaką”. Nie tyranizował podejrzanych, podwładnych ani nikogo innego. Jednak kiedy na czymś mu zależało, potrafił dopiąć swego. Poważnie traktował swoją pracę. Dawał to do zrozumienia swoimi wyprostowanymi ramionami, hardo patrzącymi oczami i władczym sposobem bycia.

Tego dnia zamiast nieodłącznej tweedowej marynarki włożył znoszoną skórzaną kurtkę. Uznał, że będzie w niej wyglądał groźniej. Przyjechał do Russell Senate Office Building i wylegitymował się młodej strażniczce. Poleciał, by nie anonsowała jego przybycia. Chciał dać admirałowi do zrozumienia, że to ma być śledztwo, a nie zabawa w policjantów i złodziei. W czasie przesłuchania będzie zachowywał się z kurtuazją i szacunkiem, ale bez popadania w służalczość. W Biurze nazywali takie podejście taktyką legalistyczną. Podejrzani mieli określone prawa. Policja i FBI też.

Szybko poszedł do biura senatora. Recepcjonistka skierowała go do sali konferencyjnej. Niezasiadający w Kongresie przedstawiciele partii politycznych nie mieli prawa pracować na terenie należącym do władz federalnych. Żadne przepisy nie regulowały kwestii niezależnych doradców.

Admirał Link właśnie wrócił z konferencji prasowej i sprawdzał emaile na laptopie. Wyglądał na lekko podenerwowanego.

- Nie traci pan czasu - powiedział, nie podnosząc głowy znad komputera.
- Podatnicy nie płacą mi za bezczynność - odparł McCaskey.
- Prawdziwie obywatelska postawa. Szkoda, że to wyjątek od reguły. Napije się pan kawy lub herbaty, panie...?

- McCaskey. Nie, dziękuję - przerwał mu McCaskey. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął notes. - Chciałbym zadać panu kilka pytań dotyczących pańskiej pracy w Firmie.

Link uśmiechnął się.

- Mam panu do powiedzenia dwie rzeczy. Po pierwsze, doskonale pan wie, że nie wolno mi rozmawiać o mojej pracy, nawet z pracownikami służb wywiadowczych.

- Z formalnego punktu widzenia nie jest to prawdą.

Link wreszcie podniósł głowę.

- Jak to?

- Standardowa umowa o pracę w CIA zawiera klauzulę zakazującą byłym pracownikom ujawniania informacji mogących zagrozić trwającym operacjom - powiedział McCaskey. - Pan podpisał taką umowę, bez załączników. Sprawdziłem. Moje pytania dotyczą osób, z którymi mógł pan pracować, ale które albo nie pracują już w CIA, albo zostały przeniesione do Waszyngtonu.

- Narusza pan domniemanie poufności tego rodzaju danych, panie McCaskey.

- Gorsze rzeczy już o sobie słyszałem, czasem nawet po angielsku. Co jeszcze chciał mi pan powiedzieć?

- Pomijając kwestię, czy pan lub ktokolwiek inny ma uzasadnione powody, by domagać się tej rozmowy, ciekaw jestem... - powiedział Link -...kto dał Centrum Szybkiego Reagowania uprawnienia do przesłuchania mnie?

- Ustawa o międzynarodowej współpracy wywiadowczej, przyjęta w 2002 roku - odparł McCaskey, siadając naprzeciw niego. - Zmarł obywatel brytyjski, Scotland Yard poprosił nas o przeprowadzenie śledztwa. Zgodnie z prawem mogę zadawać pytania potencjalnym świadkom przestępstwa lub poprzedzających je wydarzeń. Senator zgodził się na rozmowę z dyrektorem Hoodem, co wskazuje, że nie kwestionuje zasadności przepisów ustawy. Czy ma pan coś przeciwko temu, bym pana przesłuchał?

- Tak, nie zgadzam się też z pańską interpretacją przepisów. Ale pójdę panu na rękę. Na razie.

- Dziękuję. Czy osobiście przyjął pan kogoś do partii United States First, admirał?

- Nie.

- Czy udzielił pan komuś rekomendacji na jakiekolwiek stanowisko w partii, w charakterze pełnoetatowego pracownika lub stażysty?

- Ericowi Stone'owi, młodemu człowiekowi, który prowadzi przygotowania do konwencji - odparł Link. - Eric, pisane przez „c”.

- Skąd go pan zna? - spytał McCaskey, zapisując to nazwisko w notatniku.

- Był moim asystentem w CIA. Jest świetnym organizatorem.

- Służył w terenie?

- Jako biegły księgowy. W chicagowskim oddziale.

- Czy oprócz niego zatrudnił pan bądź polecił kogoś jeszcze?

- Jak dotąd, nie.

- A spośród pracowników sztabu senatora?

- Ściągnąłem Kendrą Peterson.

- Skąd pan ją zna?
- Była agentką w Japonii, ale zajmowała się Tajwanem i Koreą Północną.
- Pracowała dla was?
- Tak. Tylko jako obserwator.

McCaskey wiedział jednak, że nawet bierni agenci czasem uczestniczyli w operacjach. Przykładem była akcja w Rosji w 1979 roku. Agent CIA Genson Blimline został wystawiony przez sowieckiego kreta. Zamiast wywieźć go za granicę, CIA wysłała na miejsce człowieka, który miał obserwować ludzi śledzących Blimline'a. Kiedy próbowali go zgarnąć, on ich uprzedził. Potem razem z Blimline'em zdołali przedostać się do bezpiecznej kryjówki w Moskwie.

- Kiedy byliśmy tam ze Strikerem, pani Peterson wymieniana była jako jeden z potencjalnych kontaktów - powiedział głośno zza pleców McCaskeya. - Mogę dać ci te akta.

McCaskey odwrócił się. W drzwiach sali konferencyjnej stał Mike Rodgers.

- Mogą wejść? - spytał Linka.
- Jak najbardziej - odparł admirał.

Rodgers wszedł. Jego oczy były utkwione w twarzy McCaskeya.

- Jak wam idzie polowanie na czarownice?
- Tak bym tego nie nazwał - odparł McCaskey.

Rodgers nie odpowiedział.

- Panie McCaskey, jeśli ma pan jeszcze jakieś pytania, mógłby pan do nich przejść? - powiedział Link. - Ja tu pracuję, w odróżnieniu od niektórych.

Jego pewność siebie zaczynała wkurzać McCaskeya.

- To poważna sprawa, admirał - powiedział McCaskey. - Błędem byłoby ją lekceważyć.

- To pan uważa, że jest poważna - uściślił Link. - Z drugiej strony, w jednym mam nad panem przewagę.

- To znaczy?

- Ja wiem, że nie zrobiłem nic złego i do niczego nie przyłożyłem ręki. A teraz proszę o następne pytanie.

Choć Link działał mu na nerwy, McCaskey przypomniał sobie, że przyszedł tu, by zdobyć informacje, nie nowego przyjaciela.

- Czy zna pan kogoś, kto posiadałby umiejętności niezbędne do tego, by dostać się do cudzego pokoju hotelowego, zabić zastrzykiem pod język i wyjść praktycznie niezauważonym? - spytał McCaskey.

- Chodzi o kobietę, tak?

- Albo mężczyznę, który ją wyszkolił.

Link skinął głową na znak, że taką możliwość też uznaje.

- Tylko Kendra pasuje do tego opisu.

- Cóż za wszechstronnie utalentowana kobieta. Gdzie przeszła szkolenie? - spytał McCaskey.

- W marines - powiedział Link. - Przez kilka miesięcy służyła jako 91W, specjalistka od opieki medycznej. Potem przenieśli ją na inne stanowisko z powodu kłopotów z czynnościami ruchowymi.

- Związanych z zapaleniem ścięgien?

- Nie wiem - odparł Link. - Chce pan ją o to zapytać?

- Nie w tej chwili. - Chciał wcześniej przejrzeć akta Kendry.

- Następnej okazji może już nie być - uprzedził go Link.

- Czemu?

- Bo kiedy pan stąd wyjdzie, zamierzam wydać polecenie, by więcej nie wpuszczano tu ani pana, ani nikogo innego z Centrum.

- To brzmi jak groźba i wskazuje, że ma pan nieczyste sumienie.

- Tylko według grupki mocno zdesperowanych pracowników wywiadu - powiedział Link. - Paul Hood ma już kłopoty z komisją do spraw służb. Senator Orr może przysporzyć mu następnych.

- Ach tak? Na mocy jakich uprawnień?

- Nękanie zwykłych obywateli jest przestępstwem. Panie McCaskey, proszę posłuchać. Nie chcę utrudniać panu życia. Jesteśmy po jednej stronie. Zamordowano dwóch biznesmenów i chciałbym, by sprawca został odnaleziony i ukarany. Żywi pan jednak względem mojej osoby dziwne podejrzenia, niepoparte dowodami. A teraz jeszcze wysuwa pan jakieś niejasne sugestie na temat Kendry Peterson. Wezwę ją, by okazać naszą gotowość do współpracy, choć nie wierzę, by miała w tej sprawie dużo do powiedzenia. Na pana miejscu skorzystałbym z tej okazji, póki wykazuję dobrą wolę.

McCaskey przeniósł wzrok z Linka na Rodgersa.

- Nie, admirale. Jeśli będę czegoś chciał od pani Peterson, dam znać.

Link zaśmiał się.

- Nie wiem, czy jest pan pewny siebie, dumny czy tępy, panie McCaskey. Na pewno wierzy pan w swoją nieomylność. Jeśli nie wyraziłem się jasno, powtarzam: pańska noga więcej tu nie postanie.

McCaskey wstał.

- Dziękuję, że poświęcił mi pan czas, admirale. - Spojrzał na Rodgersa. - Przykro mi, że tak wyszło, Mike.

Zacięta twarz Rodgersa wystarczyła za wszelką odpowiedź.

McCaskey odwrócił się do Linka. Admirał już siedział z nosem utkwionym w laptopie.

- Jeszcze jedno, admirale - powiedział McCaskey.

- Słucham. - Nie podniósł głowy.

- Co pan czuje w związku ze śmiercią pana Wilsona?

- To kłopotliwa sprawa. Jestem rozdarty - odparł Link bez wahania. - Ten człowiek był gościem senatora, wrócił do hotelu i został zamordowany. Był to smutny, bezprawny, niczym nieuzasadniony akt. Z drugiej strony, jego poglądy gospodarcze były szkodliwe dla naszego kraju. Rozumie pan mój dylemat.

- Niektórzy nazwaliby to inaczej: motywem.

- Gdyby świat był czarnobiałą - powiedział Link - ludzie tacy, jak pan, byłiby konferansjerami, zamiast sprzątać po słońcach. Powtarzam po raz ostatni, panie McCaskey. Jest pan na złym tropie i szkodzi sobie i swojej organizacji.

McCaskey wyszedł z biura senatora. Był ciekaw, czy Link mówił szczerze. Miał twarz wytrawnego pokerzysty, skutek wielu lat pracy w CIA. I bardzo szczegółowo opowiadał o przeszłości Kendry. Gdyby miał coś na sumieniu, pewnie nie byłby tak wylewny. McCaskey zaczął się zastanawiać, czy on sam nie był zbyt uparty - „tępy”, jak to ujął Link - kiedy odmówił przesłuchania Kendry Peterson. Stwierdził, że nie. Chciał obejrzeć fotografie z przyjęcia i z jej akt, i porównać je z niewyraźnymi zdjęciami z kamer hotelowych. Jeśli nie znajdzie podobieństw, być może nie będzie miał powodu z nią rozmawiać. Zresztą, nawet gdyby zgodził się, by ją wezwano, musiałby improwizować. No i ustępując Linkowi, de facto zrzekłby się uprawnień Centrum w tej sprawie. Albo mieli prawo zbierać informacje, albo nie. Jeśli jeden telefon od senatora Orra wystarczy, by ich powstrzymać, to równie dobrze może sobie od razu dać z tym wszystkim spokój.

Były agent FBI postanowił na razie nie zwracać sobie tym głowy i przeanalizował zebrane informacje. Wśród ludzi senatora Orra było trzech byłych pracowników CIA. Admirał Link spędził w CIA kilka lat. Znał kilku dobrych fachowców. Może to wszystko. Jednak co najmniej dwie osoby z najbliższego otoczenia Orra, Link i Kendra, miały odpowiednie umiejętności, sposobność i prawdopodobnie środki, by wciągnąć w pułapkę i zabić Williama Wilsona i Roberta Lawlessa. Choć sam Link z oburzeniem temu zaprzeczył,

mógł obawiać się planów Wilsona na tyle, by go zabić. McCaskey znał co najmniej dwa przypadki zorganizowanych przez CIA zabójstw, za którymi kryły się względy gospodarcze. Patrice Lumumba, pierwszy demokratycznie wybrany przywódca Kongo, zginął w 1961 roku, bo zagrażał amerykańskim i belgijskim interesom handlowym. Z kolei w roku 1979 prezydent Korei Południowej, Park Chung Hee, został zastrzelony przez wspieranych przez CIA zamachowców, którzy obawiali się, że w następstwie boomu gospodarczego kraj popada w zbyt duże zadłużenie wobec japońskich wierzycieli.

Może William Wilson zamierzał wpłacić dużą kwotę na konto któregoś z rywali USF. Scotland Yard będzie mógł to sprawdzić. Jeśli tak, za jednym zamachem usunięto potencjalne zagrożenie i dla partii Orra, i dla gospodarki amerykańskiej.

McCaskey nie zdobył wielu informacji, ale wiedział więcej niż przed przyjściem. Mimo całej fanfaronady Linka, przesłuchanie było udane. Nie przewidział tylko, że będzie w nim uczestniczył Mike Rodgers. Wiele razem przeszli i miał nadzieję, że jakoś uda im się puścić to, co się stało, w niepamięć.

Jeśli nie, McCaskey będzie żył dalej. Był tylko wykonawcą poleceń, nie wydawał ich.

To Paul Hood znalazł się na celowniku.

Rozdział 24

Waszyngton Wtorek, 10.00

Był ciepły, słoneczny dzień, wokół dominowała biel i błękit. Hood przeniósł wzrok z błyszczących pomników górujących nad panoramą Waszyngtonu na bezchmurne niebo. Większość najbardziej znanych budowli w mieście była widoczna z Białego Domu, co potęgowało i bez tego silne wrażenie, że człowiek znajduje się w samym centrum świata.

Hood wjechał na ogrodzony potężnymi barierami parking po północnej stronie Białego Domu. Fakt, że był na powietrzu, w ciepłych promieniach słońca, powinien przyprawić go o doskonałe samopoczucie. Tak jednak nie było. Prezydent Lawrence i senator Debenport należeli do jednej partii, a w jej ramach do tej samej centrowej frakcji. Do spółki sprawowali kontrolę nad statutem i finansami Centrum Szybkiego Reagowania. Jeśli coś razem knuli, Hood nie miał się do kogo odwołać. Nie wiedział tylko, czy wezwali go tu, by wprowadzić dalsze cięcia w budżecie Centrum, czy żeby wciągnąć w jakąś partyjną intrygę.

W sumie nie miało to znaczenia. Czy chodziło o rozbój, czy o upokorzenie, i tak będzie bolało.

Przeszedł przez stanowisko ochrony przy bramie zachodniej. Ponieważ nie miał nic przy sobie, strażnik sprawdził go ręcznym wykrywaczem. W holu czekał już agent Secret Service, który zaprowadził go do biura sekretarki prezydenta. Senator Debenport był w Gabinetcie Ovalnym. Sekretarka kazała Hoodowi od razu wejść do środka.

Debenport stał ze skrzyżowanymi ramionami. Prezydent Michael Lawrence, jak podczas większości spotkań, siedział na skraju biurka, niegdyś należącego do Teddy'ego Roosevelta. Jako że miał przeszło metr dziewięćdziesiąt wzrostu, pozwalało mu to patrzeć prosto w oczy większości wchodzących gości. Odwrócił się od Debenporta w stronę drzwi, w których stanął Hood. Ucieszył się na jego widok. Zawsze się lubili. Więż, która ich łączyła, została wzmocniona przed rokiem, kiedy Centrum zapobiegło próbie zamachu stanu. Niestety, w polityce obowiązywała tylko jedna reguła: „Co możesz dla mnie zrobić w tej chwili?” Jeśli Hood i Centrum staną się obciążeniem, nawet prezydent nie będzie skłonny im pomóc.

- Dzięki, że przyszedłeś, Paul - powiedział prezydent, wyciągając do niego rękę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - dyplomatycznie odparł Hood. W końcu czy

chciał, czy nie, przyjść musiał. Odwrócił się do Dana Debenporta. - Dzień dobry, senatorze.

- Witaj, Paul.

Debenport był przygarbionym mężczyzną o średniej budowie ciała. Miał rzednące jasne włosy i często się uśmiechał. Ale nie tym razem.

Prezydent wskazał krzesło. Gdy Hood usiadł, znów przycupnął na skraju biurka. Debenport stał.

- Przekaż panu McCaskeyowi, że odwalił kawał dobrej roboty, znajdując tę ranę pod językiem Williama Wilsona - powiedział prezydent.

- Nie omieszkam. Dziękuję, panie prezydencie.

- Pogratuluj mu też ode mnie, Paul - dodał Debenport. - Jakież nowe wieści?

- To zostanie między nami? - spytał Hood. Kusiło go, by spytać Debenporta, czy on i komisja są pod wystarczająco dużym wrażeniem, by cofnąć cięcia budżetowe. Miał jednak instynkt polityka, a poza tym był tu z innego powodu.

- Wszystko, co powiemy od tej pory, nie wyjdzie poza te ściany - zapewnił go prezydent.

- Cóż, sporządziliśmy bardzo wstępny portret psychologiczny osoby, która mogła za tym stać - powiedział Hood. - W pewnym stopniu pasuje do admirała Kennetha Linka. Darrell w tej chwili z nim rozmawia.

- Przesłuchanie z zaskoczenia? - spytał Debenport.

- Mniej więcej. Prawdopodobnie mamy mało czasu, a Darrell chciał uprzedzić wszelkie próby obstrukcji.

- Słusznie - powiedział prezydent.

Dwa komplementy pod rząd. Hood nabrał pewności, że prezydent czegoś chce.

- To, że przesłuchujecie Linka, brzmi obiecująco - powiedział Debenport. - Czy jest coś, co wskazuje, że senator Orr mógł być w to zamieszany?

- Panie senatorze, na razie nie jesteśmy pewni, w co miałby być zamieszany.

- No to chyba musicie to sprawdzić - odparł Debenport.

Tego Hood się nie spodziewał. Stanowiło to potencjalne naruszenie przepisów dotyczących ochrony prywatności.

- Jeśli to okaże się konieczne i jeśli Centrum będzie miało dość ludzi - zastrzegł.

- O to właśnie chodzi - powiedział Debenport. - Zakres śledztwa musi zostać rozszerzony.

- Na jakiej podstawie? - spytał Hood. Ta rozmowa przestawała mu się podobać. - Ma pan jakieś nowe informacje?

- Właściwie nie - odparł Debenport.

- No to... nie rozumiem.

Debenport chwilę chodził po gabinecie, zanim odpowiedział.

- Dziś rano Don Orr ogłosił, że kandyduje na prezydenta z ramienia partii United States First. Słyszałeś jego przemówienie?

- Nie.

- Zamierza propagować skrajny izolacjonizm - ciągnął Debenport. - Wyborcom może się to spodobać, ale krajowi ogromnie zaszkodzi.

- Stany Zjednoczone nie mogą odciąć się od gospodarki światowej i importowanych surowców - powiedział prezydent. - Nawet gdybyśmy chcieli zastąpić ropę energią jądrową czy słoneczną i produkować części do komputerów i samochodów w kraju, minęłoby wiele lat, zanim przestawilibyśmy się na nowe rozwiązania.

- I wymagałoby to ogromnych nakładów finansowych - dodał Debenport. - Robotnicy związkowi i fabryki swoje kosztują.

- No dobrze - powiedział Hood. - Senator Orr nie zna się na rzeczy. Nadal nie bardzo rozumiem, co Centrum do tego.

- Paul, senator nie tylko nie zna się na rzeczy, ale jest wprost niebezpieczny - stwierdził Debenport. - Wyborcy, niech Bóg im błogosławi, przychylnie reagują na idee protekcjonistyczne, choćby były zupełnie nierealistyczne.

- To ich święte prawo, niech Bóg im błogosławi - zauważył Hood. - Wykorzystywanie oficjalnego śledztwa do obrzucania ludzi błotem też jest niebezpieczne.

- I tak dochodzimy do kwestii: prawo kontra odpowiedzialność - odparł Debenport. - Dobry adwokat może zmanipulować ławę przysięgłych i dlatego sędzia ma prawo odrzucić jej werdykt. Podobnie jest z dobrym politykiem: potrafi on sprzedać ludziom nawet najbardziej katastrofalne pomysły. A my musimy podjąć radykalne działania, by temu zapobiec.

- A debaty nie wystarczą?

- Sam byłeś politykiem - powiedział Debenport. - Wiesz, że trudno dyskutować z kimś, kto sprzedaje cudowne lekarstwa zapakowane we flagę narodową, przyznaje sobie wyłączność na patriotyzm i apeluje do serc wyborców, bo nie chce, by kierowali się rozsądkiem.

- Słuchaj, Paul - wtrącił się prezydent. - Nie sądzimy, by partia United States First mogła wygrać wybory. Senator Orr może jednak pociągnąć za sobą związki zawodowe, bezrobotnych i sporą część klasy średniej, i zebrać dwadzieścia pięć do trzydziestu procent

głosów. Ani ja, ani wiceprezydent nie kandydujemy. To znaczy, że prezydentem zostanie ktoś nowy, kto w dodatku prawdopodobnie nie będzie miał większości w Kongresie. A senator Orr będzie mu tkwił cierniem w boku i forsował swoje pomysły.

- Zamierza pan kandydować, senatorze? - spytał Hood.

- Nie podjąłem jeszcze decyzji - odparł Debenport.

Każda odpowiedź niebędąca jednoznacznym „nie” oznaczała „tak”, a nawet wtedy można ją jeszcze było zmienić.

Hood pokręcił głową.

- Panie senatorze, panie prezydencie... usilnie staracie się mi wmówić, że coś, co jest nie w porządku, jest słuszne. A jeśli się nie zgodzę?

- Znajdziemy kogoś, kto się zgodzi - odparł Debenport beznamiętnym tonem. - Nie bierz tego do siebie, Paul.

- O dziwo, wierzę panu - powiedział Hood.

- Poza tym zdecydowanie nie zgadzam się z twoją opinią, że prosimy cię o coś niestosownego - rzekł prezydent. - To Orr postępuje niemoralnie. Wykorzystuje flagę jako broń w walce o władzę. My nie chcemy dopuścić, by naruszył korzystną równowagę gospodarczą w kraju i na świecie. Znasz mnie, Paul. Ktokolwiek wygra, wróć do American Sense. Nie angażowałbym się w coś, czego nie uważam za słuszne.

American Sense był waszyngtońskim instytutem badawczym, założonym przez prezydenta w przerwie między kadencjami. Ta ponadpartyjna fundacja była ogólnie poważanym źródłem wiedzy o geopolityce.

- Jedno mnie ciekawi, senatorze - powiedział Hood. - Czy pańska komisja obciąła nam budżet po to, by skłonić nas do przyjęcia tego zadania?

- Tak sądzisz? - spytał Debenport. - Jeśli tak, to cokolwiek powiem, i tak nie zmienisz zdania.

Hood parsknął śmiechem.

- To stara sztuczka, senatorze. Zaprotestować, że pytanie było niestosowne i w ten sposób wymigać się od odpowiedzi.

- Nastąpił splot wielu okoliczności - odparł Debenport. - To było jedno z możliwych rozwiązań.

- Cóż, lepiej być oportunistą niż spiskowcem - powiedział Hood.

- Tylko bez wycieczek osobistych, Paul - upomniął go prezydent. - Senator Debenport powiedział już, że nie chce ci sprawiać kłopotów. Przedstawiliśmy propozycję. Albo ją przyjmiesz, albo odrzucisz. Tak czy inaczej, nikt się nie obrazi.

- To znaczy, panie prezydencie, że mógłbym przejść do pańskiego instytutu badawczego?

- Bardzo byś się nam przydał.

- Spójrz na to z innej strony, Paul - powiedział senator. - Jeśli całe przedsięwzięcie zakończy się sukcesem, nowy prezydent mógłby rozważyć przeniesienie cię na inne stanowisko. Na przykład ambasadora.

Powinien był się tego spodziewać. Ambasady były polityczną walutą, nagrodą dla sprzymierzeńców, szczytem marzeń każdego urzędnika - a Hood bez wątplenia urzędnikiem był. Mimo to, kiedy usłyszał tę propozycję - jej hipotetyczny charakter brał się z tego, że było to dopiero zaproszenie do negocjacji - wszystko się zmieniło. Wbrew jego woli, oburzenie mu przeszło. Już nie postrzegał współpracy jako kapitulacji. W tej branży po prostu nie dało się jej uniknąć.

Najważniejsze były interesy.

- Porozmawiam z Darrellem, kiedy wróci - powiedział cicho, pojednawczym tonem. - Zobaczę, czego się dowiedział i co jego zdaniem da się z tym zrobić. Potem zadzwonię do pana, senatorze.

- To znaczy, że doszliśmy do porozumienia? - spytał Debenport z nadzieją.

Hood nie chciał odpowiedzieć „tak”.

- Zrozumieliśmy się - odparł.

- Na razie to wystarczy - wtrącił prezydent. - Kiedy z nim porozmawiasz?

- Zaraz do niego zadzwonię. Jeśli już skończył przesłuchanie, skontaktuję się z senatorem.

- Dobry pomysł - powiedział prezydent. Podał Hoodowi rękę. - Paul, wiem, że nie jest ci łatwo. Ale wierzę, że wszyscy pragniemy tego samego. Dostatnich i bezpiecznych Stanów Zjednoczonych Ameryki.

- To prawda - powiedział Hood. Miał ochotę dodać: „Z nienaruszoną konstytucją”. Ale tego nie zrobił. I w tej chwili dotarło do niego, że faktycznie zgodził się im pomóc.

Wyszedł z Gabinetu Ovalnego lekko oszołomiony. Debenport miał rację. Zawarli porozumienie. Nie co do tego, że ich plan jest doskonały czy zgodny z prawem, lecz że zostanie wprowadzony w życie. Może z początku będzie posuwał się naprzód powoli, krok po kroku, ale nie da się go powstrzymać, a sprawiał to brak jasno określonych reguł gry.

W doskonałym świecie z ideami walczyłyby się przy użyciu innych idei, powiedział sobie w duchu. Ale ten świat był daleki od doskonałości. Trzeba było wykorzystać każdą broń w społecznopolitycznym arsenale.

Z samousprawiedliwieniem się włącznie?

Czy to właśnie robił?

Z jednej strony senator i prezydent prosili go, by złamał zasady. Miał poszerzyć zakres legalnego, ale dopiero co rozpoczętego śledztwa. Chcieli, by nafaszerował je insynuacjami, zajął się rozpuszczaniem plotek, a nie szukaniem sprawiedliwości. Z drugiej strony, choć kierowali się pobudkami politycznymi, nie mylili się. Nie miało znaczenia, czy wizja Donalda Orra płynie prosto z serca, czy też służy manipulacji. Była w najlepszym razie niepraktyczna, w najgorszym niebezpieczna.

Hood podszedł do samochodu. Wnętrze było rozgrzane od słońca. W pewnym sensie pasowało do jego sytuacji. W końcu właśnie zawarł pakt z diabłem.

Uległ pokusie intelektualnej i zawodowej. I choć miał do siebie o to pretensje, tak naprawdę wcale go to nie zdziwiło. Tak długo czuł się odcięty od Centrum, od przyjaciół, od rodziny, że miło było dla odmiany w czymś aktywnie uczestniczyć.

I było coś jeszcze, coś, czego ten niegdyś złoty chłopak, który został burmistrzem Los Angeles, nie chciał przed sobą przyznać. Idealizm był wspaniały w teorii, w praktyce zaś okazywał się nieporęczny. Koniec końców, Hood był, jak cały świat, jednym wielkim kompromisem, z pomalowaną piękną, spragnioną słońca zielenią i nęcącym błękitem powierzchnią, która skrywała rozpalone, brudne wnętrze. Usobieniem niedoskonałego paradoksu.

Włączył silnik, podkręcił klimatyzację i włożył bezpieczny telefon komórkowy do schowka w desce rozdzielczej. Wcisnął słuchawkę do ucha i wybrał numer Darrella McCaskeya. Wyjeżdżając z parkingu, zrobił coś jeszcze.

Pomodlił się, by McCaskey znalazł choć jeden powód, by kontynuować śledztwo.

Rozdział 25

Waszyngton Wtorek, 10.44

Jak poszło, Darrell?

Wstukawszy numer, Hood wyjął z przenośnej lodówki puszkę coli. Colę woził ze sobą zawsze, na wszelki wypadek. Kładł ją obok wymienianego co rano worka z lodem. Kofeina pomagała mu zebrać myśli. Z lodu też czasem korzystał. Przydawał się na spotkania, które były zbyt długie, zbyt głośne i do niczego nie prowadziły. Nie to, co rozmowy z prezydentem.

- W porządku - powiedział McCaskey. - Był tam Mike, zrobiło się nieprzyjemnie. Szczęśliwy to on nie jest.

- Jak my wszyscy - odparł Hood. W tej chwili nie mógł zawracać sobie głowy Mikiem Rodgersem. - A Link?

- Był bardzo wylewny, trzeba przyznać. W telegraficznym skrócie: nie lubił Williama Wilsona i nie przejął się jego śmiercią.

- To nie jest zaskakujące, ale i nie przesądza o jego winie. - Wziął duży łyk coli. Motywy mogły być nieuchwytnie, mylące. Wolał trzymać się faktów. - Są jakieś dowody, że Link miał odpowiednie środki, by zorganizować taką akcję?

- Dowody? Nie. Czy mógł to zrobić? Tak. Wśród współpracowników Linka są dwaj byli pracownicy Firmy. Jeden nazywa się Eric Stone, prowadzi przygotowania do konwencji. Był asystentem Linka, podobno jest bardzo dobrym organizatorem. Drugą osobą z przeszłością w wywiadzie jest asystentka senatora, Kendra Peterson. Okazuje się, że przeszła szkolenie medyczne w marines.

- Tego chyba nie ma w jej aktach, co? - powiedział Hood. Myślami wciąż był w Gabinetcie Ovalnym, przy decyzji, którą musiał podjąć. Dane z akt bezładnie kotłowały mu się w głowie. Wziął następny łyk coli.

- Nie. Kendra pracowała kilka miesięcy w wojskowej służbie zdrowia, ale odeszła, bo dostała zapalenia ścięgien w dłoniach. Prawdopodobnie nie było przewlekłe. Gdyby odnotowano to w aktach, mogłaby mieć kłopoty ze znalezieniem pracy i w wojsku, i po przejściu do cywila. Sierżant pewnie zgodził się na przeniesienie bez wydania opinii o przebiegu służby. Zresztą, była tam bardzo krótko.

- Albo wszelkie dokumenty dotyczące tamtego okresu zostały usunięte przez dobrego

organizatora, który miał do nich dostęp - zauważył Hood.

- Możliwe. Rzecz w tym, że jedną z pierwszych rzeczy, jakich Kendra musiała się tam nauczyć, było robienie zastrzyków.

- Każę Mattowi Stollowi porównać zdjęcia z kamery hotelowej z tymi, które zostały zrobione na dzisiejszej konferencji prasowej - powiedział Hood. - Wtedy być może przekonamy się, czy trzeba wpisać panią Peterson na listę podejrzanych. A jakie wrażenie zrobił na tobie Link?

- Jest bardzo pewny siebie, próbował mnie straszyć. Dał też do zrozumienia, że nasze śledztwo jest mu wybitnie nie na rękę. Trudno powiedzieć, czy to dlatego, że jest winny, czy po prostu niezadowolony, że zwracamy mu głowę.

- A może ma uraz do Centrum - powiedział Hood. NSA i Centrum Szybkiego Reagowania starły się ze sobą kilka razy, między innymi w sprawie Rona Fridaya, który okazał się podwójnym agentem. - Gdybyś miał zgadywać, co byś wybrał?

- Trudno powiedzieć, Paul. Jedno jest pewne: Link uważa, że to śledztwo ma podłoże polityczne. Jest przekonany, że Centrum wykorzystuje sytuację, by doprowadzić do cofnięcia cięć budżetowych. Prawdę mówiąc, pewnie usłyszymy to jeszcze nieraz, dopóki będziemy zajmować się zabójstwem Wilsona.

- A od kiedy to przejmujemy się tym, co myślą ludzie? - Mimo wszystko to zakrawało na ironię. Mogło się okazać, że Link miał rację, tyle że z niewłaściwych powodów. - Pójdę do Matta Stolla porównać te zdjęcia. Jakie są kody plików z fotografiami z hotelu?

- WW1 i RL1 - odparł McCaskey. - Zadzwońię do Boba Herberta, zobaczę, co on o tym wszystkim myśli, potem skoczę do ambasady brytyjskiej. Dzwoniłem do George'a Daily'ego. Organizuje telekonferencję z miejscowym szefem ich służb bezpieczeństwa. Chce sprawdzić w brytyjskich aktach, czy nie było zgłoszeń, że ktoś śledził Wilsona albo mu groził.

- Dobry pomysł. O szczegółach porozmawiamy, jak wrócisz.

Hood rozłączył się i zadzwonił do Bugsa Beneta. Poprosił go, by wszedł na stronę internetową ze zdjęciami z agencji prasowych. Chciał mieć fotografie Kendry Peterson, w tym te z porannej konferencji prasowej. Powinny już być dostępne w sieci. Powiedział Bugsowi, żeby przesłał je Stollowi wraz z plikami Darrella zawierającymi zdjęcia z akt śledztwa w sprawie zabójstw Wilsona i Lawlessa. Po powrocie do biura poszedł prosto do Matta Stolla.

Na korytarzach było niezwykle cicho. Rzecz jasna, było mniej ludzi niż zwykle, a ci, których widział, starali się unikać jego wzroku. Może tak mu się tylko wydawało. A może to

było tak, jak z dziećmi w podstawówce, które wierzą, że jeśli nie będą patrzeć na nauczyciela, to nie zostaną wezwane do tablicy. Jeśli nie spojrzą na szefa, nie wylecą z pracy.

Biuro Matta Stolla różniło się od innych w tym skrzydle budynku. Spec od komputerów zajął na potrzeby działu komputerowo-technicznego małą salę konferencyjną. Zanim Hood zdążył znaleźć mu inne pomieszczenie, Stoli nawstawiał do niej biurka, stojaków i komputerów. A że Centrum w coraz szerszym zakresie polegało na komputerach, to i bałagan był coraz większy. Po kilku miesiącach Hood uznał, że przeniesienie tego wszystkiego byłoby stratą czasu.

W tej chwili w prostokątnym pokoju pracowały cztery osoby. Stoli i jego kolega ze studiów, Stephen Viens, ekspert od obrazowania, siedzieli na środku, plecami do siebie. Viens wcześniej przygotowywał w Narodowym Biurze Zwiadowczym harmonogramy korzystania z satelitów szpiegowskich. Każda agencja wojskowa lub wywiadowcza, która chciała zdobyć zdjęcia wykonane z kosmosu, zwracała się z tym do niego. Po tym, jak stał się kozłem ofiarnym w aferze związanej z nielegalnym finansowaniem operacji, Hood przyjął go do siebie.

Do poniedziałku pracowały tu jeszcze trzy osoby: Mae Won, Jefferson Jefferson i Patricia Arroyo. Oprócz tego w sąsiednim pomieszczeniu urzędowało siedmiu techników. Stoli dostał polecenie, by zwolnić pięciu z nich i kogoś z trójki Won, Jefferson, Arroyo. Wybrał Patricję Arroyo, która była najniższą rangą. Wszyscy wynieśli się w ciągu pół godziny. To była standardowa procedura w agencjach rządowych. W przeciwnym razie niezadowoleni pracownicy mogliby uszkodzić sprzęt, oprogramowanie albo wynieść tajne materiały. Hood zrobił wyjątek dla Mike'a Rodgersa. W przypadku pozostałych nie mógł pozwolić sobie na takie ryzyko.

Hood przywitał się z posępnymi komputerowcami i wyjaśnił, co go do nich sprowadza. Stoli nie czekał, aż Bugs przyśle mu zdjęcia. Wszedł na uaktualnianą na bieżąco stronę jednej z sieci telewizyjnych, ściągnął zdjęcia z konferencji prasowej i zaznaczył na nich Kendrę Peterson. Otworzył pliki Darrella z fotografiami z kamery hotelowej i przeniósł je do swojego pliku 3D ACE. ACE był programem graficznym napisanym przez samego Stolla, pozwalającym tworzyć trójwymiarowe obrazy nawet na podstawie bardzo małej ilości danych. Choć nie był w stanie odtworzyć całej twarzy na podstawie nosa, mógł pokazać nos ze wszystkich stron. A takie obrazy można już było porównać z dostępnymi fotografiami.

Na jedynych wyraźnych zdjęciach zabójczym widać było dłonie w rękawiczkach, podbródek i kawałek ucha. Wszystko poza tym było schowane pod kapeluszem, szalem, butami i luźnym ubraniem. Nawet kolor skóry trudno było rozpoznać. Kendra była Azjatką o

bardzo jasnej karnacji. Kobieta z windy miała ciemny podbródek, ale może po prostu padał na niego cień kapelusza.

- Panienska zna się na rzeczy - powiedział Viens, kiedy stanął za nimi i spojrzał na ekran.

- Darrell przypuszcza, że przed akcją dokładnie obejrzała każdy z hoteli - powiedział Hood.

- Nie sędzę. Przynajmniej nie w tym sensie, o jakim myślisz.

- Dlaczego?

- Wiedziała, gdzie są kamery i, prawdopodobnie, w jakie obiektywy są wyposażone - stwierdził Viens. - I raczej nie stwierdziła tego naocznie, bo, jak sędzę, były schowane za lustrem weneckim.

- A jakie właściwie są te obiektywy? - spytał Hood.

- Ten w windzie w Hay-Adams jest trzydziestosiedmiomilimetrowy, szerokokątny. Przedstawia w skróconej perspektywie środek obrazu i zniekształca obrzeża, co daje pole widzenia obejmujące sto osiemdziesiąt stopni.

- Rybie oko.

- To nazwa potoczna - odparł Viens. - W windach stosuje się na ogół obiektywy standardowe lub szerokokątne, w zależności od wielkości kabiny, oświetlenia w kątach i tego, czy przestępcy zwykle atakują w drzwiach, czy po wejściu do środka. Przy rozmieszczaniu kamer trzeba też uwzględnić ochronę prywatności. W niektórych okręgach obowiązuje przepis, że wolno filmować tylko czubek głowy. To, jak ta panienska stoi, jak opuściła rondo kapelusza... chodzi o to, by kamera zobaczyła jak najmniej.

- Nadal nie rozumiem - powiedział Hood. - To znaczy, że gdyby obiektyw był inny, stałaby inaczej?

- Tak - odparł Viens. - W standardowym obiektywie rondo kapelusza nie byłoby spłaszczone i nie zasłaniałoby tak nosa. Bardzo możliwe, że zabójczynie wcześniej widziała obrazy z tej kamery.

Podczas ich rozmowy Mae Won gdzieś zadzwoniła.

- I najprawdopodobniej nie była to Kendra Peterson - oświadczył Stoli. Trójwymiarowe obrazy zostały nałożone na zdjęcia. Było ich dwadzieścia kilka. Stoli włączył opcję pokazu slajdów. - Zgodność ze zdjęciami z kamery hotelowej, pokazującymi siedem procent powierzchni ciała, wynosi sześć procent.

- To znaczy, że mamy za mało danych czy że to nie ona? - spytał Hood.

- To nie ona - stwierdził Stoli. - Mamy tu punkty orientacyjne. - Kursorem zaznaczył

widoczne części twarzy. - Małe wybrzuszenia kości, chrząstek, skóry, nawet drobne zmarszczki. Niektóre widzimy, niektórych możemy się domyślać na podstawie ułożenia cieni. Te dwie twarze różnią się w dziewięćdziesięciu czterech procentach, i to tylko na niewielkim obszarze, jaki widzimy. Jeśli kobieta z windy nie miała operacji plastycznej, to nie może być panią Peterson. A ona takowej na pewno nie przeszła, bo porównałem kilka starych zdjęć przysłanych przez Bugsa z tymi z dzisiejszej konferencji prasowej. Nic się nie zmieniła.

- Panie Hood? - powiedziała Mae Won.

- Tak?

- Ochrona Hay-Adamsa mówi, że zdjęcia z kamer przechowywane są tylko przez dwa dni - powiedziała, odkładając słuchawkę. - Porównywali je już na własną rękę. Pomyślałam, że gdybyśmy przejrzyli wszystkie, jakie mają, moglibyśmy zobaczyć, która z kobiet wcześniej była w hotelu.

- A nie można by sprawdzić, kto zaglądał do biura ochrony? - spytał Stoli. - Politycy organizują imprezy dobroczynne w hotelowej sali balowej. Na pewno ich asystenci przedtem sprawdzają kamery.

- Darrell już się tym zajął - powiedział Hood. - Hay-Adams nie odnotowuje w dokumentacji wizyt pracowników biur kongresmanów. Nawet gdyby to robili, mogłoby nam to nic nie dać. W przekazywaniu informacji zabójczyni mógł uczestniczyć cały łańcuszek osób.

- W tym pani Peterson, jeśli odpowiada za bezpieczeństwo senatora - zauważył Stoli.

- Fakt - przytaknął Hood.

Zadzwoił telefon. Odebrała Mae Won.

- Do pana - powiedziała do Hooda. - Bugs.

- Powiedz mu, że zaraz przyjdę. Matt, musimy jakoś zidentyfikować kobietę ze zdjęć.

Czy można jakoś odtworzyć twarz w oparciu o to, co mamy?

Zrekonstruować strukturę kości na podstawie podbródka, układ szczęki, w ogóle cokolwiek?

Stoli pokręcił głową.

- Nie przy użyciu programów, które mam.

- A zdjęcia aresztowanych by nie pomogły? - spytał Viens. - FBI udostępnia je w sieci. Można by nałożyć na nie zdjęcie podbródka tej kobiety.

- Można, choć nie sądzę, by ta kobieta była płatnym zabójcą - powiedział Hood.

- Czemu? - spytał Viens.

- Bo tacy są za sprytni, by dać się sfilmować. I pewnie nigdy nie trafiają na komisariat.

- Co za nędza - dobiegł głos zza ich pleców.

Hood odwrócił się. W drzwiach stał Bob Herbert.

- Co masz na myśli, Bob? - spytał Hood przyjaznym tonem. Nie pora na kłótnie. Herbert wciąż jeszcze był w wojowniczym nastroju, a oni mieli sprawę do rozwiązania.

- Siedzę tu i słucham, jak bawicie się w detektywów. - Herbert wjechał wózkiem do środka. - Powinniście byli wciągnąć w to szefa waszego wywiadu, ludzie. Znałem dziwki, które były dość bystre, by nie dać się uchwycić kamerom monitoringowym. To nie znaczy, że były potencjalnymi zawodowymi zabójczyniami.

- Szef naszego wywiadu wczoraj wyłączył się z obiegu - stwierdził Hood. - Pomyślałem, że najlepiej będzie poczekać, aż sam wróci. Cieszę się, że to zrobił. No to co o tym wszystkim sądzisz?

- Właśnie rozmawiałem z Darrellem, moim zdaniem sprawa jest prosta - powiedział Herbert. - Zabójca musi spełnić dwa kryteria. W przeciwnym razie nie jest zabójcą. Po pierwsze, kto skorzysta na śmierci Wilsona? Po drugie, kto byłby w stanie zorganizować zabójstwo? Na razie jedyną taką osobą, o której wiemy, jest Link. Mamy więc dwie możliwości. Pierwsza: tracimy czas i pieniądze na szukanie innych osób spełniających kryteria. Druga: bierzemy się za Linka na całego, może uda się coś z niego wycisnąć. Jak nie, szukamy dalej.

- Jak chciałbyś się za niego wziąć? - spytał Hood.

- Miło, że pytasz. Musimy postąpić z nim tak, jak z domniemanymi kretami i podwójnymi agentami. Idziemy do delikwenta i mówimy: „Wiemy, że jesteś szczurem. Nie damy ci spokoju, dopóki nie pęknie”. Wtedy gość na ogół stara się odwrócić od siebie uwagę. Moim zdaniem, dlatego właśnie zginął Robert Lawless. Jeśli przyciśniemy Linka, albo znów zrobi coś podobnego, albo zwinie interes. Tak czy inaczej, będzie musiał skontaktować się ze współnikami. A wtedy ich dopadniemy.

W pokoju zapadła wiele mówiąca cisza.

- Kto do niego zadzwonił? - spytał Hood.

- Darrell właśnie to zrobił - odparł Herbert. - Dlatego Bugs dzwonił do ciebie. Żeby ci powiedzieć, że masz Darrella na linii.

- To była słuszna decyzja.

- Wiedział, że tak powiesz.

- Co na to Link?

- Że jesteś zdesperowany i to właśnie jest tego dowodem - odparł Herbert. - Darrell powiedział Linkowi, że się myli. Typowa wymiana uprzejmości, jak w Organizacji Narodów

Zjednoczonych. Najważniejsze rzeczy dzieć się będą za kulisami. Darrell poprosił Marię o pomoc, jest już w drodze. Matt tymczasem szuka w komputerze informacji o Stonie.

- Słusznie.

- Uhm. Dzięki. Dam znać, jak coś znajdziemy - powiedział Herbert.

Odwrócił się i zniknął za drzwiami. Hood bez słowa odprowadził go wzrokiem. Cisza stała się jeszcze bardziej głęboka. Przerwał ją Hood. Podziękował współpracownikom i wyszedł. Stoli pospiesznie ruszył za nim.

- Szefie? - powiedział.

Hood odwrócił się.

- Tak, Matt?

- Boba trochę poniosło. Dobrze z tego wybrnąłeś.

- Dzięki.

- Ale prawda jest taka, że dochodzą do nas sprzeczne informacje o Centrum i komisji do spraw służb.

- Od kogo?

- To znaczy, może „dochodzą” to złe słowo. Właściwie to wyciągamy je z wewnętrznych emaili Firmy i FBI.

- Powinni byli zainstalować firewalle pana Wilsona - zauważył Hood.

- I zainstalowali.

- A ty je złamałeś?

- Nie do końca - odparł Stoli. - MasterLock ma poważną wadę, której wykorzystanie trzeba jednak zaplanować z wyprzedzeniem. Dwa lata temu wysłałem do wszystkich agencji maila z wirusem. Bombą zegarową. Jej działanie polega na tym, że ukrywa się w oprogramowaniu i na moje polecenie przywraca wcześniejsze ustawienia systemu. To tak, jakby komputer cofał się w czasie na tak długo, jak tego potrzebuję, a potem wracał do aktualnie działających programów. Nawet gdyby ktoś akurat przy nim pracował, najprawdopodobniej niczego by nie zauważył.

- Matt, to genialne.

- Dzięki. Uznałem, że najlepszym sposobem na ominięcie coraz bardziej wyrafinowanych firewalli jest penetracja systemu przed ich zainstalowaniem. W każdym razie z tych wewnętrznych emaili wynika, że jedni uważają, że zajmując się sprawą Wilsona, tylko prażymy muskuły, a inni, że to nasze ostatnie podrygi i chcemy zwrócić na siebie uwagę.

- Ani jedno, ani drugie nie jest prawdą.

- A co jest?

- Obcięto nam budżet. Koniec, kropka - odparł Hood. - W tej chwili staram się odzyskać choć część środków.

- Tak? A jakie są na to szanse?

- Całkiem przyzwoite. Kiedy będą miał więcej informacji, dam szefom wydziałów znać.

- Super. Przydałoby się coś, co dodałoby nam otuchy.

Hood poklepał młodszego kolegą po ramieniu i wrócił do swojego gabinetu. Jeszcze nigdy nie czuł się tak rozdarty. Człowiek na jego stanowisku nie mógł liczyć na to, że będą do niego docierać plotki krążące wśród podwładnych, a tym bardziej wśród pracowników innych biur. Poza tym personel Centrum nigdy dotąd nie miał powodów do narzekania. Owszem, przeżyli trochę smutnych chwil i porażek, ale zawsze wiązało się to z wykonywanymi zadaniami. Jeszcze nigdy nie musieli obawiać się o los całej instytucji. A z całą pewnością nikt nie przypuszczał, że nagle staną się obiektem ataków komisji do spraw służb specjalnych i pozostałych agencji rządowych. Podobnie jak Paul Hood, Centrum Szybkiego Reagowania było cudownym dzieckiem wywiadu.

Tak im się przynajmniej wydawało.

Hood wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Zatrzymał się i wbił wzrok w biurko. Jeśli przyjmie propozycję prezydenta, stanie się częścią politycznej sytuacji, którą zawsze zwalczał. Zamiast robić to, co słuszne, będzie robił to, co korzystne dla Centrum. Nie będzie już Papieżem, jak Herbert i inni czasem nazywali go w żartach, lecz Apostatą.

Ale czy nadal wszystko jest tak jednoznaczne? To nieważne, czy prezydent miał rację co do zagrożenia ze strony senatora Orra. To była tylko psychologiczna manipulacja. Liczyło się to, by zatrzymać przy sobie ludzi takich, jak Matt Stoli i Darrell McCaskey. Nie wszystkie zadania, które zostaną zlecone Centrum, będą odpowiadać Hoodowi. Ale tu już nie chodziło o poczucie komfortu, tylko o ocalenie Centrum w stopniu umożliwiającym dalsze sprawowanie jego najważniejszej misji, jaką było zarządzanie kryzysowe.

Hood podszedł do telefonu, by zadzwonić do senatora Debenporta. Przystanie na warunki przedstawione przez niego i przez prezydenta. W zamian poprosi nie o posadę ambasadora, lecz o utrzymanie obecnego stanu osobowego Centrum.

Podpisze cyrograf z diabłem.

Rozdział 26

Waszyngton Wtorek, 11.50

Kenneth Link siedział sam w sali konferencyjnej i oglądał na komputerze projekt wystroju centrum kongresowego. Eric Stone przysłał emailem propozycję zmiany ustawienia podium. Jego zdaniem, powinno się je przesunąć piętnaście metrów na północ, by mówcy byli bardziej na prawo względem osób wchodzących głównym wejściem. Link uznał, że to efekciarstwo i odrzucił propozycję.

A może po prostu się czepiał. Sam nie wiedział. Rozmowa z Darrellem McCaskeyem popsula mu nastrój. Nie przebiegła tak, jak liczył. Admirał myślał, że mówiąc otwarcie o swoich ludziach i niechęci wobec Wilsona, przekona McCaskeya o swojej niewinności. A tymczasem coś sprawiło, że Centrum usztywniło swoje stanowisko. Link był oficerem marynarki i byłym szefem tajnych operacji CIA. Nie pozwoli, by jakiś tam były burmistrz Los Angeles węszył wokół niego, czy, co gorsza, go osądzał.

W toku całej kariery zawodowej ciężko mu było pogodzić wymogi sytuacji z przepisami prawa, względy praktyczne z powściągliwością. Dobro i zło to kategorie subiektywne. Prawo jest obiektywne. Kiedy dojdzie między nimi do konfliktu, po której stronie się opowiedzieć? Zwłaszcza kiedy zło czynione w majestacie prawa może naprawić niezliczone szkody moralne.

Link zawsze stawiał suwerenność ponad przepisami prawa; innymi słowy, to, co słuszne, było dla niego ważniejsze od tego, co legalne. A właściwie to za mało powiedziane. Praca na rzecz bezpieczeństwa narodowego nie jest dla tchórzy. Ani ludzi nieprzygotowanych. Trzeba dysponować odpowiednimi środkami. Link, na szczęście, je miał. Był lojalny wobec innych, a inni wobec niego.

Sprawa Williama Wilsona nie powinna była stać się tak dużym problemem. Wszystko zostało załatwione, jak należy, w słusznej sprawie. Lekarz sądowy zgodnie z procedurą musiał zajrzeć pod język zmarłego, ale mała igła nie zostawiała widocznego śladu w miękkiej, ukrwionej tkance. Zauważyć go mógł tylko ktoś, kto znał się na budowie tej części ciała. O śmierci Wilsona powinno być głośno przez dwa dni. Potem przez jeden, dwa numery temat drążyłyby jeszcze tygodniki i miesięczniki finansowe. Co ważniejsze, jego plany poszłyby w zapomnienie. W ich miejsce mogłyby pojawić się inne propozycje dla

inwestorów. Propozycje płynące z kraju, będące częścią programu USF, zachęcającego do inwestowania w amerykańską technologię, wytwórczość i przemysł wydobywczy. Programu, który wspomógłby gospodarkę dużym zastrzykiem finansowym i dał obywatelom znaczne ulgi podatkowe.

Programu, który pozwoliłby partii United States First zająć stałe miejsce na arenie politycznej.

Kiedy snuli swoje plany, do głowy im nie przyszło, że sprawą zajmie się wywiad. Jeszcze tego ranka Link myślał, że dzień, dwa i Centrum sobie odpuści. Był przekonany, że zniechęci ich, zatrudniając Mike'a Rodgersa, a pogłoski o ich rzekomym oportunizmie narobią im wstydu. Jak widać, nie docenił Paula Hooda. Co mogło nim kierować? Jego legendarny idealizm, nabyty w Hollywood narcyzm, czy jedno i drugie? Tak czy inaczej, admirał nie mógł pozwolić, by to dochodzenie stanęło mu na przeszkodzie. Było jeszcze wiele do zrobienia, a Centrum mogło namieszać.

W operacjach wywiadowczych i wojskowych następuje moment, kiedy dalsze utrzymywanie ich w tajemnicy traci sens. Jeśli nie powiedzie się skrytobójczy zamach, trzeba zmienić strategię i uderzyć na całego, jak w Zatoce Świń - tyle że skutecznie. Kiedy tak zwana „grupa architektów” uzna, że moment ten nadszedł, to, czy podejrzenie padnie na ciebie, przestaje mieć znaczenie. Liczy się tylko to, czy są dowody.

Kenneth Link podszedł do szafki stojącej w kącie sali. W środku był sejf. Otworzył go i wyjął STU3, bezpieczny telefon trzeciej generacji. Podłączył go do gniazdka za zwyczajnym telefonem stojącym na stole. STU3 wyglądał jak normalny aparat telefoniczny, ale wyposażony był w klucz szyfrujący, zabezpieczający przed podsłuchem. Ten model pozwalał łączyć się z kompatybilnymi telefonami komórkowymi i na taki właśnie telefon zadzwonił Link.

Trzeba było podjąć śmiałe działania. Działania, które zostaną potępione, ale przy tym zniechęcą śledczych do węszenia wokół Linka. Policja zacznie szukać Hotelowej Osy, jak ochrzciły ją media, gdzie indziej. Wkrótce śledztwo umrze śmiercią naturalną. Zabójczyni nie zostanie odnaleziona. Opinia publiczna przestanie interesować się sprawą.

Poza tym pojawią się inne, ciekawsze wiadomości.

Rozdział 27

Waszyngton Wtorek, 12.10

Mike Rodgers czuł się jak Philip Nolan w Człowieku bez ojczyzny. Gdy jednak bohater opowiadania Edwarda Everetta Hale'a został skazany na banicję za współudział w zdradzieckiej działalności Aarona Burra, Rodgers czuł się jak wygnaniec, który padł ofiarą niefortunnego splotu okoliczności. Wciąż był zatrudniony w Centrum, które sprzeniewierzyło się swojemu statutowi. Uważał, że Paul Hood, jak to się mówiło w wojsku, prowadził „działania interesowne”. Określało się tak akcje podejmowane pod płaszczykiem patriotyzmu, a korzystne dla samej armii, jak na przykład wszczynanie wojen w celu wypróbowania nowych rodzajów broni czy zużycia starych zapasów. Centrum niby miało prawo zająć się śmiercią Wilsona, ale pod bardzo naciągany pretekst. Teraz z premedytacją wykraczało poza swoje uprawnienia. Jak na ironię, Rodgers był to w stanie zrozumieć. Hoodowi nie było lekko poprosić go o rezygnację. Chciał zapobiec dalszym zwolnieniom. Ale Mike Rodgers miał zarazem ochotę pójść do niego i dać mu w pysk za to, że obrzuca błotem jego nowego pracodawcę.

Zamiast tego razem z Kat Lockley i Kendrą Peterson przeglądał plany konwencji i programu senatora Orra. Obie od czasu do czasu pytały go o zdanie i z zainteresowaniem przyjmowały jego propozycje. Do tej pory wszystkie ich pomysły były wałkowane w tym samym gronie, cieszyły się więc, że mają pod ręką kogoś o świeżym spojrzeniu. Rodgersowi odpowiadała ta sytuacja. To miłe, że ktoś go wreszcie słuchał.

Po spotkaniu zaprosił Kat Lockley na lunch. Mogła się wyrwać za jakieś pół godziny, więc miał poczekać na nią na Delaware Avenue. To jeszcze bardziej podniosło go na duchu. W Centrum, jako zastępca dyrektora, musiał zachowywać dystans wobec współpracownic. Nie chciał wiązać się z kimś, kogo być może będzie zmuszony posłać na pole bitwy albo wskazać miejsce w szyku. Przyjemnie było rozmawiać z młodymi, energicznymi kobietami, które miały głowy pełne pomysłów. No i, oczywiście, niesamowite uśmiechy. Bob Herbert kiedyś nazwał spotkanie z dziewczynami z jakiegoś koła studenckiego „politycznie przyjemnym”.

Dzisiejsze spotkanie też takie było.

Wychodząc, Rodgers natknął się na admirała Linka. Przyszły kandydat na

wiceprezydenta nie miał zadowolonej miny.

- Ten twój znajomy McCaskey zawsze jest taki uparty? - spytał. - Nawet nie chodzi o tę rozmowę, przy której byłeś. Potem zadzwonił, żeby powiedzieć, że śledztwo nabiera impetu.

- Że co? To zupełnie nie w jego stylu. Ktoś musiał go przycisnąć.

- Hood normalnie jest taki bezczelny? - spytał Link.

Rodgers zdecydowanie potrząsnął głową.

- Pewnie jeszcze jest w szoku po tych cięciach. Chcesz, żebym z nim porozmawiał?

- Nie sądzę...

- Nie mam nic przeciwko temu. I tak zamierzałem tam skoczyć i zrobić zadymę.

- Nie. Hood i tak zrobi, co będzie chciał. I proszę bardzo. Po co toczyć bitwę, którą i tak wygramy?

- Bo mam w wyrzutni rakiety i już je odbezpieczyłem - powiedział Rodgers.

Link uśmiechnął się.

- Proszę zachować je na kampanię, generale. Na razie to cyrk, nic więcej.

Rodgers niechętnie ustąpił. Czasami wołał po prostu ruszyć do ataku. Link podziękował mu za wsparcie i poszedł do Kendry. Rodgers skierował się na Delaware Avenue i usiadł na zalanej słońcem ławce. To niesamowite, jak bardzo to samo słońce różni się w różnych częściach świata. Na pustyniach Południowego Zachodu, gdzie kiedyś szkolił brygadę zmechanizowaną, prażyło niemiłosiernie, w Himalajach było słabe, a w wilgotnych Górach Diamentowych w Korei Północnej zdawało się lepić do skóry. Na równinach południowoamerykańskich dostarczało ciepła i witamin, na Bliskim Wschodzie stawało się wrogiem, a tu przynosiło ulgę, jak świeżo zaparzona herbata. Podobnie było z ludźmi i instytucjami. Wszystko zależało od miejsca, czasu i okoliczności.

Centrum Szybkiego Reagowania też kiedyś dodawało Rodgersowi energii.

Sprawdził wiadomości na komórce. Na pocztę głosową nagrała się Liz Gordon - spytała, jak się miewa - i Paul Hood z prośbą o jak najszybszy telefon. W jego głosie brzmiała irytacja. Rodgers uśmiechnął się. Domyślał się, o co chodzi. Wyglądało na to, że mimo wszystko dojdzie do konfrontacji, na której mu zależało.

- „Lojalność jest w stanie zaniku, podobnie jak prawość i honor” - rzucił Hood ze złością, bez żadnego wstępu. - Mike, powiedziałaś coś takiego dziennikarce nazwiskiem Lucy O'Connor?

- Tak.

- Czemu?

- Bo to prawda. I nie bierz tego za bardzo do siebie, Paul. Powiedziałem, że tak jest wszędzie, nie tylko w Centrum.

- Czy wezmę to do siebie, nie ma żadnego znaczenia. Ważne jest, jak odbierze to reszta zespołu. Mike, wydawało mi się, że rozmawialiśmy o okolicznościach obciążenia budżetu, że rozumiałeś...

- Paul, tu nie chodzi o to, że wyleciałem na bruk - powiedział Rodgers - tylko o całe to cuchnące śledztwo w sprawie admirała Linka.

- Cuchnące w jakim sensie?

- Nękanie go dla własnej korzyści.

- Przecież nas znasz, do cholery, wiesz, że nie zrobilibyśmy czegoś takiego.

- Znam Darrella - przyznał Rodgers. - Co do ciebie nie mam takiej pewności, a nie wierzę, by zrobił cokolwiek bez twojego przyzwolenia.

- Tak, dałem mu zgodę - potwierdził Hood. - Nawet go zachęcałem i miałem po temu dobry powód. Ale to nie ja zasugerowałem, by podkreślił tempo. Nie powinienem ci tego mówić, ale to był pomysł Boba Herberta.

- Boba?

- Tak.

To było dla Rodgersa zaskoczeniem. Poczul się nagi. Rozejrzał się powoli, czujnie. Jego wzrok powędrował w głąb ulicy, do zaparkowanych przy niej samochodów i ku oknom okolicznych biurowców. Rodgers znał wszystkich obserwatorów zatrudnianych przez Centrum. Wręcz spodziewał się, że zobaczy, jak któryś z nich przygląda mu się znad hamburgera czy książki. Ta niepokojąca myśl przypomniła mu, jak łatwo sprzymierzeniec może stać się wrogiem.

- Słuchaj, nie chcę się kłócić za pośrednictwem prasy - ciągnął Hood. - Powiedziałem pani O'Connor, że nie podzielam twojego zdania i na tym poprzestałem. Ale chcę ci przypomnieć, że Centrum jest dla mnie najważniejsze...

- Dzięki, pamiętam. Pokazałeś to, zwalniając mnie - przerwał mu Rodgers.

- Myślałem, że rozumiesz, co się stało.

- Bo rozumiem. A ja myślałem, że rozumiesz, że mnie się to nie podoba.

Obaj zamilkli. Cisza w słuchawce była uciążliwa, ale nie bolesna. Rodgers szczerze wierzył, że Hood postąpił niesłusznie. Siedząc, wciąż wypatrywał znajomych twarzy. Aideen Marley, Marii Comeja McCaskey, Davida Battata i paru innych osób, które sam przeszkolił. Serce bolało go na myśl o tym, co muszą czuć.

- Mike, obu nam zależy na tym samym - powiedział Hood. - Żeby, cokolwiek się

stanie, jak najszybciej zakończyć tę sprawę. Dlatego chcę cię poprosić, żebyś poszedł nam na rękę i pozwolił ludziom Boba pracować...

- Chryste, nie musisz mnie o to prosić. Wiem, co i jak. Tylko nie napuszczaj ich na mnie.

- Oczywiście - odparł Hood wyraźnie dotknięty.

Cóż, mówi się trudno.

Rodgers rozłączył się. Stwierdził, że nie jest zły na Boba Herberta. Tak, szef komórki wywiadowczej robił tylko to, co do niego należało. Co jednak ważniejsze, Rodgers był przekonany, że Herbert, zgodnie ze słowami Hooda, zaangażował się w to dochodzenie, by je uziemić. W odróżnieniu od swojego szefa, miał na uwadze dobro przyjaciela.

Rodgers schował komórkę do kieszeni. Jako że formalnie nie był na służbie, nie miał na sobie munduru. W kurtce czuł się dziwnie, a zarazem swobodnie. Mike Rodgers i generał Mike Rodgers tak długo byli jedną i tą samą osobą, że już nie mógł się doczekać, kiedy zobaczy, jak to jest być cywilem. Teraz miał prawo otwarcie wygarnąć dowódcy, który go zdradził, co o nim myśli.

Przestał wypatrywać szpiegów. Odprężył się i kiedy wreszcie przyszła Kat, zdyszana, ale uśmiechnięta, nabrał przekonania, że na lunchu też będzie miło. Poszli do kawiarni z ogródkiem, zapisali się na listę oczekujących i zaczęli rozmawiać o pracy. Rodgers pozwolił jej się „odgazować”, jak to niezbyt romantycznie określali w wojsku. Kazał jej jednak obiecać, że jak już usiądą, nie będą rozmawiać o kampanii, śledztwie czy w ogóle o czymkolwiek, co dotyczyło senatora Orra. Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o niej.

Zgodziła się.

Miło być cywilem, ale jeszcze przyjemniej czuć się mężczyzną. Hood oddał mu przysługę. Rodgers starał się nie myśleć o przyszłości, w której senator Orr zostanie prezydentem, on sam sekretarzem obrony, a kandydat wysunięty przez ich partię przejmie od senatora Debenporta stery komisji do spraw służb specjalnych. Przyszłości, w której pierwszą decyzją nowego przewodniczącego będzie zwrócenie się do Paula Hooda z prośbą o ustąpienie ze stanowiska.

Rodgers odpędzał od siebie takie myśli, bo zemsta nie jest dobrym motywem działania. Powoduje, że człowiek podejmuje pochopne decyzje, często o skutkach przeciwnych do zamierzonych, jak bokser, który usiłuje znokautować znieawidzonego rywala w pierwszej rundzie i traci siły.

Rodgers będzie postępował w sposób bardziej wyważony.

Zemsta nie będzie przypominała wybuchu bomby atomowej, lecz opad

promieniotwórczy.

Rozdział 28

Herndon, Wirginia Wtorek, 12.11

Przez przeszło sto lat kolej Washington & Old Dominion obsługiwała główny szlak komunikacyjny wiodący do stolicy. Pociąg, nazywany Wirgińskim Ślimakiem - bo raczej pełzł, niż jechał - kursował na północny zachód przez Wirginię do odległych miast. Tory nadal przecinają centrum miasta w miejscu, gdzie niedaleko muzeum W&OD znajduje się podziemny garaż. Ma on sześćdziesiąt metrów długości, dwadzieścia pięć metrów szerokości i pięć metrów wysokości. Dawniej biegły nad nim tory, teraz została tylko wysoka trawa, falująca na wietrze. Garaż, kiedyś zakrywany drewnianymi listwami, pozwalał mechanikom wchodzić pod wagony i dokonywać napraw.

Dziś służy do innych celów. Mieści się w nim warsztat Arta Van Wezela. Ten pracownik CIA pracuje tu nad trzema kluczowymi aspektami infrastruktury czarnych operacji, którymi są, jak on sam mawia: „sposoby, środki i jasno sprecyzowane cele”.

Zajęty przez OSS podczas II wojny światowej i zakryty betonem, Garaż - taki uzyskał oficjalny kryptonim - początkowo był tajnym stanowiskiem nasłuchowym. Dywersanci działający w Waszyngtonie i okolicach często spotykali się za miastem z innymi agentami lub kontaktowali przez radio z oczekującymi okrętami podwodnymi. Ponieważ wszystkie niezbędne przewody były już na miejscu, przy linii kolejowej, OSS nie musiała stawiać nowych anten. Tory pozwalały jeździć pociągami i drezynami po całej okolicy, co umożliwiało dyskretne prowadzenie działań kontrwywiadowczych. Po wojnie Garaż przerobiony został na magazyn sprzętu używanego przez następczynię OSS, nowo utworzoną Centralną Agencję Wywiadowczą. W czasie zimnej wojny szefowie CIA przechowywali tam niewzględnioną w żadnych wykazach broń i związki chemiczne, produkowane wyłącznie na potrzeby agentów działających w terenie. Całe to oficjalnie nieistniejące uzbrojenie trafiało do Garażu. W latach osiemdziesiątych CIA urządziła w nim skład sprzętu używanego w tajnych operacjach. Pracowało w nim dwóch byłych oficerów marynarki: Jason Harper i Art Van Wezel. Kiedy Harper przeszedł na emeryturę, Van Wezel został sam.

I był tam do dziś.

Kiedy Kenneth Link był szefem tajnych operacji CIA, spędzał w Garażu wiele czasu. Po pierwsze, uczynił zeń świetnie wyposażony skład nowego i wyspecjalizowanego

uzbrojenia. Przeniósł tam też wycofany z użytku sprzęt z Centrum Zasobów Obronnych w Richmond w Wirginii. Jako admirał miał dostęp do wszystkiego, co marynarce nie było już potrzebne, w tym wielu prototypów, które albo zostały odrzucone, albo weszły do produkcji. Van Wezel utrzymywał wszystkie w stanie używalności. Dopilnował też, by większość tej broni została uznana za zniszczoną. Link podpisywał się na jego raportach. I zachowywał je.

Zatrzymał też Van Wezela. Troszczył się o to, by regularnie przyznawano mu podwyżki. Dał mu przyjaźń i pewność zatrudnienia w świecie, w którym nie było nic pewnego.

Pod rządami Linka Garaż coraz rzadziej pojawiał się w wewnętrznych notatkach służbowych CIA. Z czasem stał się prywatnym magazynem i bazą wypadową admirała.

Pięćdziesięcioletni Van Wezel był mu całkowicie oddany. Razem zorganizowali siatkę nieoficjalnych agentów kontrwywiadu, nazywanych mechanikami. Większość z nich stanowili byli komandosi SEAL, lojalni wobec emerytowanego admirała. Obecnie pozostawali na tajnej liście płac Firmy, ale nadal przyjmowali zlecenia od swojego przyjaciela i mentora. Wiedzieli, że jest stuprocentowym patriotą o czystym sercu. Byli przekonani, że nie poprosiłby ich o coś, co byłoby wbrew interesom kraju.

Jedną z tych osób była Jacquie Colmer, była kapitan ze sztabu admirała. Ta trzydziestosześcioletnia kobieta nie wiedziała co to strach. Kiedy Link przeszedł do CIA, wystarał się dla niej o stanowisko nowego łącznika między marynarką wojenną a Garażem. Raz w tygodniu spotykała się z Van Wezelem i robili inwentaryzację. Linkowi wysyłali aktualny spis sprzętu, z miejscami pobytu mechaników. Jacquie przyjmowała też od admirała nieliczne zlecenia do załatwienia w Waszyngtonie. Najczęściej chodziło o obserwację. Czasem były to sprawy wymagające większego zaangażowania.

Link powiedział Van Wezelowi i Jacquie o zaplanowanej przez siebie operacji. Była ryzykowna i drastyczna. Dwójka weteranów Garażu miała opory co do wyznaczonego celu. Czytali jednak gazety. Wiedzieli, o jaką stawką toczy się gra.

Zrobią, o co poprosił.

Van Wezel pełnił w Garażu jeszcze dwie funkcje. Jedną z nich, z którą rozmyślnie się obnosił, było utrzymywanie małego parku niepozornie wyglądających samochodów. To były „środki”. Ciężarówki i furgonetki należały do Herndon Road Services Company, spółki pozostającej pod kontrolą CIA. Aby zapewnić sobie przykrywkę, HRSC wypożyczała wozy lokalnym firmom. Van Wezel nosił biały kombinezon i często widziano go, jak mył i naprawiał swoje samochody, machając do przechodzących osób z sąsiedztwa.

Trzecim jego zadaniem było ułatwianie agentom pracy. W tym celu prowadził

obszerną komputerową bazą danych zawierającą logo zakładów użyteczności publicznej i lokalnych firm. Wykorzystywał je do wyrobu plakietek identyfikacyjnych. Zgromadził ich już tyle, że bez względu na charakter zadania można było liczyć na to, iż odpowiednia plakietka jest już gotowa. Regularnie zaglądał na strony internetowe firm, by sprawdzić, czy nie zmieniły logo.

Do tego zadania potrzebna była odznaka Country-Fresh Water Corporation. CFWC zdobyła kontrakt na dostawy wody do automatów w siedzibach wszystkich agencji rządowych. Van Wezel zadzwonił do firmy, podając się za klienta, by upewnić się, że na ten dzień nie zaplanowano żadnych dostaw. Byłoby fatalnie, gdyby faktyczny dostawca pojawił się na miejscu w czasie, kiedy będzie tam Jacquie. Następnie zadzwonił do klienta, by umówić się na dostawę. Plakietka identyfikacyjna była już gotowa. Prosta sprawa było umieszczenie na niej zdjęcia Jacquie. Pozostawało jeszcze tylko przykleić na drzwiach furgonetki małe logo CFWC. Gdyby ktoś pytał, wóz został wypożyczony na czas naprawy firmowej ciężarówki.

Van Wezel był pewny, że podjął właściwe decyzje co do metod i środków działania. Najważniejszym elementem układanki była jednak udoskonalona przez siły powietrzne broń, która z założenia miała być zrzucona na elektrownie. Pozwoli ona osiągnąć cel admirała przy minimalnych stratach wśród sojuszników. Mimo dzielących go z nimi różnic, pracownicy Centrum byli przede wszystkim Amerykanami. Link nie chciał zrobić im krzywdy. Miał tylko jeden cel: powstrzymać ich.

Rozdział 29

Waszyngton Wtorek, 12.25

Podobnie jak wczorajsza kolacja, lunch z Kat przyniósł mile widzianą ulgę od gorzkich myśli. Była obytą w świecie młodą kobietą, patrzącą w przyszłość, ale i zdolną do krytycznej oceny przeszłości. Nie dość, że wychowała się w rodzinie policjantów, to jeszcze praca w mediach pozwoliła jej poznać politykę od podszewki. Kat Lockley wiedziała, jak funkcjonuje system. Co ważniejsze, potrafiła to wykorzystać.

- Skoro jesteście z Nowego Jorku, to jak poznaliście senatora? - spytał Rodgers. - Mówiłaś, że był starym znajomym twojego ojca...

- Z wojska. Później ich drogi się rozeszły, ale nie na długo. Pracując w policji, tata pomagał w organizacji programu pod nazwą Wymiana Wakacyjna, w ramach którego dzieci z miasta jeździły na wieś i vice versa - powiedziała Kat. - Razem z innym kumplem z wojska, Makiem Crowne'em, dentystą z Park Avenue, kilka razy w roku zabierali dzieciaki na rancho Orra. Różnili się pod każdym względem i pewnie dlatego tak lubili.

- A ty tam byłaś?

- Parę razy. Przydało mi się to.

- W jakim sensie?

- Senator Orr twierdzi, że nie potrafiłby do końca zaufać człowiekowi, który nie umie obchodzić się z końmi - odparła.

- Admirał nie wygląda mi najeźdźca.

- Bo nim nie jest. Ale będąc nastolatkiem, polował na kaszaloty w Nowej Fundlandii, zanim to zostało zakazane. To, jak twierdzi, zrobiło z niego prawdziwego mężczyznę.

- Mam nadzieję, że senator wie, że nie mogę się pochwalić podobnymi...

- Ależ możesz - skwitowała Kat. - Czołgi to też wielkie, trudne do ujarznienia bestie. Ich walka to dla senatora coś jak średniowieczny turniej. Zajęcie dla prawdziwych mężczyzn.

- Rozumiem.

Dobrze było mieć po swojej stronie kogoś takiego jak Kat. Tak doświadczonego, pełnego entuzjazmu i energii. Nie chodziło jednak tylko o nią. Cała ta rozmowa sprawiała mu przyjemność. Obfitowała w błyskotliwe spostrzeżenia i komplementy, była serdeczna, dawała nadzieję. Po jej zakończeniu Rodgers postanowił wrócić do Centrum i uprzątnąć biurko. Choć

formalnie nadal tam pracował, nie zamierzał mieć już z tą instytucją nic wspólnego.

Nie chciał dłużej podsycać w sobie gniewu na Hooda. Pożegna się z tymi, którzy zechcą go wysłuchać, a potem postąpi tak jak Kat Lockley: wykorzysta swoje duże doświadczenie, by popatrzeć w przyszłość. Nie wyobrażał sobie, by przez następnych kilka dni Paul Hood mógł cokolwiek od niego chcieć.

Odprowadził Kat do biura i pojechał do bazy lotniczej Andrews - prawdopodobnie po raz ostatni. Mike Rodgers raczej nie był sentymentalny, a mimo to zaczął się zastanawiać, czy, ogólnie rzecz biorąc, praca w Centrum była dla niego pozytywnym doświadczeniem. Zrobili tak wiele dobrego, ale zapłacili za to wysoką cenę. Żał po tych, którzy odeszli, prawdopodobnie przyćmi w jego pamięci wszelkie sukcesy. Przez cały czas, od chwili powstania Centrum, wierzył, że byłby lepszym szefem od Hooda. Nie posunąłby się do stwierdzenia, że wszystko, co dobre, wydarzyło się bez udziału dyrektora. Powiedziała by jednak, że na jego miejscu byłby zdecydowanie bardziej aktywny.

Cholera jasna, przecież to ja sam siebie wysłałem z misją do Korei Północnej.

W przeciwnym razie Hood, by nie narazić się komisji do spraw służb specjalnych, mógłby nie pozwolić Strikerowi na tak zdecydowane działania, a wtedy grad rakiet Nodong zmiotłby Tokio z powierzchni ziemi. Nieustannie czekając na zezwolenia i zmiany w statucie, można stworzyć legalną i czystą, ale niekoniecznie skuteczną organizację. To tak, jakby żołnierze przed każdym manewrem musieli pytać o zgodę prezydenta lub sekretarza obrony. Rodgers zawsze uważał, że lepiej jest prosić o wybaczenie niż o zezwolenie.

Wartowniczką stojącą przy windzie zaszalutowała sprężyste. Nic w jej spojrzeniu nie wskazywało, że wie, co dzieje się piętro niżej. Może nie wiedziała. Plotki z Centrum na ogół nie wychodziły nad ziemię.

Początkowe zakłopotanie współpracowników Rodgersa zniknęło bez śladu. Przywitali go ciepło. Generał poinformował Liz Gordon i Lowella Coffeya, że postanowił przyjąć propozycję senatora Orra i pomóc mu w kampanii. Oboje życzyli mu powodzenia. Rodgers nie wiedział, jak zareaguje na widok Hooda. Swojego następcę, Rona Plummera, mógł - i zamierzał - ignorować. Ten łącznik polityczny nie wywalczył sobie tego stanowiska, dostał je z braku innych kandydatów. Nie był więc ani wrogiem, ani rywalem, po prostu znalazł się we właściwym miejscu we właściwym momencie. Co innego Paul Hood. To on podjął decyzję. Rodgers wyobrażał sobie różne reakcje na jego widok, poczynając od całkowitej obojętności, a kończąc na złapaniu go za lekko wykrochmaloną białą koszulę, rzuceniu nim o ścianę i napluciu w jego szeroko otwarte, przerażone oko. Tym, co go powstrzymało, kiedy w końcu się spotkali, była nagła myśl, że przecież Hood wreszcie postępował tak, jak zdaniem

Rodgersa powinien był postępować od dawna: powiedział komisji do spraw służb, gdzie ma sobie wsadzić swoje zasady, i robił to, co uważał za korzystne dla Centrum. Szkoda tylko, że swoją nowo odkrytą odwagę okazywał kosztem admirała Linka.

Hood rozmawiał z Bobem Herbertem w gabinecie szefa komórki wywiadowczej. Drzwi były otwarte. Rodgers rzucił tylko okiem do środka. Patrz w przyszłość, przypomniał sobie. W gruncie rzeczy byłoby to doskonałe hasło kampanii.

Nie zawołali go, nie wyszli za nim na korytarz. Na chwilę zrobiło mu się lżej na sercu. Nie dojdzie do starcia z Hoodem. Nie będzie musiał wysłuchiwać tłumaczeń Herberta, dlaczego przyłączył się do ataku. Nagle jednak poczuł się urażony. Za kogo oni się mają, żeby mnie ignorować?

Powinien był znać Papieża na tyle, by wiedzieć, że na tym się nie skończy. Facet był dyplomatą, a dyplomaci nie pozostawiają nierozwiązanych problemów. Nawet bez błogosławieństwa swoich rządów zwykle starają się rozładować napięcie nieoficjalnymi kanałami. Może dlatego, że czują potrzebę czynienia dobra. A może lubią wtykać nos w nie swoje sprawy czy chcą być kochani. Ich motywy były zbyt złożone, by Rodgers mógł je pojąć. Znał się tylko na wojowaniu. Zanim przyszedł do Centrum, niczego poza tym od niego nie wymagano. Kiedy rozmowy nie przynosiły skutku lub zapewniały jedynie chwilowe odprężenie, tylko przelana krew mogła naoliwić tryby cywilizacji.

Hood zapukał do otwartych drzwi. Rodgers właśnie zdejmował ze ściany dyplomy i fotografie.

- Chciałbym zmienić datę oficjalnej rezygnacji ze wszystkich funkcji w Centrum - powiedział Rodgers, nie patrząc na Hooda.

- Kiedy chcesz odejść?

- Dziś. Teraz. - Rodgers położył oprawione zdjęcia i dokumenty na biurku i wyjął z małej szafy pod tylną ścianą dwie torby na ramię. Ostrożnie schował do nich pamiątki. Zrobił to bez sentymentów czy nostalgii. Żołnierz powinien żyć na walizkach. Jediną pamiątką z Centrum było zdjęcie z podpułkownikiem Charliem Squiresem i ludźmi ze Strikera. Zostało zrobione po sformowaniu oddziału, jakieś dwa miesiące przed wyjazdem do Korei Północnej.

- Chcesz, żeby tak się to skończyło, Mike? - spytał Hood.

- To znaczy, bez defilady i salwy z dwudziestu jeden dział?

- Chodzi mi o tą barierę między nami. Chcą dać ci tą salwą, Mike. Nie tylko dlatego, że na nią zasługujesz, ale dlatego, że Charlie kiedyś wyjaśnił mi, jaka jest jej geneza. Strzelano z dział po to, by pokazać, że wojsko zapewnia bezpieczny przejazd zaufanemu gościowi.

- Ja mu to powiedziałem - odparł Rodgers ze smutkiem. Dokładnie pamiętał ten moment; siedzieli wtedy na brzegu basenu i odpoczywali po musztrze, kiedy w oddali rozległa się salwa. - Dział jest dwadzieścia jeden, bo tyle było stanów, kiedy marynarka wojenna wprowadziła ten zwyczaj. Stara wojskowa tradycja, podobnie jak ta, o której przypomniałeś mi wczoraj, bo zupełnie wyleciała mi z głowy.

- To znaczy jaka?

- W Wietnamie nazywaliśmy to „zasadą wiary i kuli”. Politycy zasługują tylko na jedno albo drugie.

- Wiesz, Mike, łatwiej ustalić taktykę, kiedy cele są jasne, kiedy wiesz, jakie wzgórze czy miasto musisz zająć i jakimi środkami dysponujesz. Polityka to wojna bez reguł walki i bezpośredniego ostrzału. Czasem dopiero po kilku dniach dowiadujesz się, że dostałeś. Albo kiedy wyczytasz o tym w gazecie.

- Czyli powinienem być wdzięczny mojemu katowi, że pociągając za spust, patrzył mi w oczy.

- Tego nie powiedziałem - nie ustępował Hood.

- No to czegoś tu nie rozumiem. Rozmawiamy teraz o nas czy toczymy filozoficzną dysputę o, jak to mawiał mój dziadek, „politryprze”?

- Usiłuję cię przeprosić.

- Za co? Za to, że mnie zwolniłeś? Że wzięłeś mojego nowego szefa pod lupę?

- Ani za jedno, ani za drugie. Już o tym rozmawialiśmy. Przykro mi, że nie mogę nic w związku z tym zrobić.

Rodgers zapiął pierwszą torbę. Zanim zabrał się do pakowania drugiej, spojrzał na Hooda.

- To kolejna różnica między żołnierzami a politykami - powiedział. - W naszym słowniku nie ma słowa „niemożliwe”. Ani „kapitulacja”.

- Może i tak - zgodził się Hood. W jego głosie zabrzmiała stalowa nuta. - Coś ci jednak powiem, Mike. Gdybym chciał postawić na swoim w sprawach, które tak ranią twój honor, stalibyśmy po biodra w trupach. A ja i tak przegrałbym bitwę. - Hood wyciągnął do niego dłoń. - Nie obrażę się, jeśli nie podasz mi ręki. Ale będzie mi przykro.

Rodgers dopiero teraz zaczął wkładać pamiątki do drugiej torby.

- Nie mogę - powiedział.

- To znaczy, nie chcesz.

Rodgers parsknął śmiechem.

- Politycy lubią łapać za słówka. - Uniósł prawą dłoń. - To znaczy, że ta dłoń właśnie

zdjęła ze ściany fotografię człowieka, który oddał życie za tę instytucję. I nie mogę, nie chcę podać jej człowiekowi, który boi się stracić pracę. Jeszcze jedno, Paul. Zasłane trupami pole bitwy to nie to samo, co rynek pracy, który musi wchłonąć kilku biurokratów. Nie rób takich porównań.

- Nie robię. Próbowałem tylko znaleźć z tobą wspólny język.

- Nie udało ci się.

- Widzę. - Hood opuścił dłoń. - Gdybyś zmienił zdanie, moja ręka pozostaje wyciągnięta.

- Doceniam to.

- I naprawdę dobrze ci życzę - dodał Hood.

- To też doceniam - powiedział Rodgers nieco bardziej oficjalnym tonem.

Hood wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Rodgers rozejrzał się po pokoju. Nagie ściany powodowały, że gabinet wydawał się większy i mniejszy zarazem. Ludzie są mali, ale ich czyny wielkie.

Rodgers nie żałował tego, co przed chwilą zrobił. W odróżnieniu od Hooda, jemu nawet nie było przykro. Czuł tylko dumę, że podźwignął się z pola bitwy i walczy dalej. Skończył pakować drugą torbę, podszedł do biurka i zabrał nieliczne osobiste rzeczy, które tam zostały. Skórzaną zakładkę z logo NATO, nożyk do otwierania listów, który dostał od króla Hiszpanii w podziękowaniu za zapobieżenie wybuchowi wojny domowej.

Kartę pamiątkową z pogrzebu Bassa Moore'a, pierwszego poległego żołnierza Strikera.

Rodgers był przekonany, że postąpił słusznie, nie podając Hoodowi ręki. Kiedy wychodził ze swojego byłego gabinetu, coś jeszcze stało się dla niego jasne. Że chyba nic na tym świecie nie będzie go w stanie skłonić do zmiany decyzji.

Rozdział 30

Waszyngton Wtorek, 14.18

Choć żandarmeria wojskowa za nic tego nie przyzna, bezpieczeństwo opiera się na dwóch p: przygotowaniu i portretach psychologicznych. Innego wyjścia nie ma. Dzieciakom pełniącym wartę przy bramach i punktach kontrolnych w bazach na całym świecie brakuje cwaniactwa i doświadczenia. Potrzebne im są szczegółowe wytyczne.

Jacquie Colmer w niczym nie przypominała terrorystki. Miała jasną karnację, no i była kobietą. Nie mogła więc być religijną ekstremistką ani rasistką. Poza tym zachowywała się rozbrajająco. Często się uśmiechała, a u terrorystów to raczej niezwykle. Większość z nich to znerwicowani młodzi amatorzy, obawiający się, że zostaną schwytani i zawiodą swoich zleceniodawców. Jacquie nie była nowicjuską. Kluczem do udanego spenetrowania nieprzyjacielskiego obiektu było coś, co zawsze nazywała „czynnikiem uwodzicielskim”. Jej zadanie polegało nie na tym, by zmusić ludzi do uległości siłą, ale ich do tego skłonić. Osiągała to dzięki swojej kobiecości, komplementom, towarzyskim rozmowom i zaraźliwemu entuzjazmowi. „Ach, proszę spojrzeć, jakie piękne niebo!” - mówiła, albo: „Czuje pan zapach deszczu?” Zwracała uwagę na chwilę obecną, by ukryć to, co miało stać się wkrótce.

Choć Country-Fresh Water Corporation zwykle nie korzystała z usług Herndon Road Services Company, Jacquie miała wszystkie niezbędne dokumenty. Wartownik bazy Andrews punkt po punkcie przeleciał listę czynności kontrolnych, którą znał na pamięć. Z tyłu były tylko pojemniki z wodą, a na obejrzanym w lusterku podwoziu nie było nic podejrzanego. Z kamienną twarzą poświecił pod maskę latarką. Zobaczył tylko silnik.

Jacquie mogła jechać dalej.

Zaparkowała furgonetkę poza zasięgiem wzroku wartownika. Wyjęła ciężką, dwudziestolitrową butlę i zarzuciła ją sobie na prawe ramię. Zauważyła przez szybę z przydymionego szkła, że wartownia w holu znajduje się po lewej stronie. Jak na razie, wszystko szło zgodnie z planem. Z wartownikiem przy windzie nie będzie większych kłopotów. Kto zatrzymałby kobietę z dużym plastikowym baniakiem? W dodatku zabarwionym na ciemnoniebieski kolor, tak by woda wyglądała kusząco.

A także by ukryć to, co było w szyjce. Czego nie zamaskował barwnik, zasłaniała rękawiczka Jacquie i szyjka butli.

Wartownicza była krzepką kobietą w stopniu kaprała. Na plakietce identyfikacyjnej widniało nazwisko Vosa.

- Kapral Vosa, wiedziała pani, że automaty z wodą zużywają rocznie cztery miliardy kilowatogodzin energii, co powoduje takie zanieczyszczenie środowiska, jak spaliny z siedmuset pięćdziesięciu tysięcy samochodów? - spytała wartowniczkę.

- Nie wiedziałam, proszę pani - powiedziała kapral.

Odstawianie przemądrzałego nudziarza też było dobrą taktyką, kiedy chciało się szybko coś załatwić. Nikt nie lubił gadułów, zwłaszcza takich, które zwracały się do rozmówcy po nazwisku. To jeszcze bardziej naruszało poczucie prywatności.

Wartownicza szybko sprawdziła dokumenty.

- Tu jest napisane, że przywiozła pani jedenaście butli - powiedziała. - Ma pani tylko jedną.

- Przy sobie - odparła Jacquie. - Na wózku mieści się tylko dziesięć. Pomyślałam, że tę przyniosę najpierw, a potem wrócę po resztę. Zawsze mawiam, że najpierw trzeba robić to, co łatwiejsze.

Kapral Vosa zadzwoniła do Maca McCalliego z biura Eda Colahana. Wydział finansowy był odpowiedzialny za stan zapasów i plany dostaw. McCallie potwierdził, że spodziewają się wizyty CFWC. Wartownicza pilotem wezwała windę.

- Te cztery miliardy kilowatogodzin rocznie daje trzysta tysięcy w rachunkach za prąd - dodała Jacquie. - Powinna pani wspomnieć o tym przełożonym. Nie to, że chcę, żeby ci tam tracili zamówienia, aleja też płacę podatki. Może gdyby zrezygnować z automatów na wodę, zmniejszyłyby się wydatki na wojsko.

- Pomysł godny rozważenia - powiedziała wartownicza dyplomatycznie. Wypisała przepustkę. Jacquie przykleiła ją sobie do kombinezonu Herndon Road Services.

Gdy drzwi windy otworzyły się, Jacquie niedbale zsalutowała lewą ręką i weszła do środka.

- Do zobaczenia za kilka minut - powiedziała.

Na dole czekał na nią McCallie. Były marine, sądząc z postury. Nikt nie potrafił stać tak prosto, jak chłopaki z piechoty morskiej. zaproponował, że poniesie butlę - taka rycerskość też była typowa dla marines. Podziękowała. Zaprowadził ją do automatu, nie zostawiając jej samej nawet na chwilę. Postawiła butlę przy automacie i poszła po pozostałe.

Oczywiście wcale nie zamierzała ich przynosić.

Wróciła do furgonetki i odjechała. Po drodze pomachała wartownikowi. Chłopak nie dowiódł się, że nie zrealizowała zamówienia.

Nie zatrzymując wozu, ściągnęła z głowy blond perukę. Długie czarne włosy spłynęły kaskadą na jej plecy. Za niecałą minutę schowany w nakrętce butli czasomierz wielkości zegarka na rękę włączy kompresor strumienia, umieszczony przez Arta Van Wezela w długiej szyjce. Kompresor składał się z wypełnionej materiałem wybuchowym rurki schowanej wewnątrz nieco większej miedzianej cewki indukcyjnej, która, zasilana przez baterię kondensatorów, wytworzy pole magnetyczne. Pięć sekund później czasomierz zdetonuje materiały wybuchowe. Rozerwana rurka zetknie się z cewką i nastąpi krótkie spięcie. Pole magnetyczne zostanie ściśnięte, zmniejszy się indukcyjność cewki. Skutkiem tego będzie wstrząs elektryczny, który potrwa tylko kilka mikrosekund, ale w tym czasie wytworzy prąd rzędu dziesiątków milionów amperów.

W wyniku tego powstanie impuls elektromagnetyczny, w porównaniu z którym błyskawica jest jak żarówka. Centrum zmieni się w elektroniczne cementarzysko. Po wizycie Jacquie nie będzie śladu, jako że wymazane zostaną wszystkie nagrania z kamer monitoringowych. Żandarmeria i FBI będą szukać gadatliwej, niebieskookiej blondynki. Jacquie wyjęła z oczu kolorowe soczewki i schowała je do kieszeni kombinezону.

Półtora kilometra od bazy skręciła w wąską uliczkę przy Allentown Road. Od obwodnicy Waszyngtonu dzieliło ją ledwie kilkaset metrów. Musiała dostać się tam najszybciej, jak to możliwe. Jednak zostało jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

Zdjęła z bocznych drzwi furgonetki logo firmy dostarczającej wodę. Zastąpiła je naklejkami wyjętymi spod dywanika po stronie kierowcy. Widniał na nich napis Dobra Nowina dla ludzi wszystkich wyznań. Zawiązała we włosach wstążkę i położyła Biblię na fotelu pasażera. Zmieniła tylną rejestrację. Policji do głowy nie przyjdzie, by ją zatrzymać. Ani nikomu innemu.

Wiał silny wiatr i Jacquie nie usłyszała wybuchu. Wiedziała jednak, że ebomba eksplodowała. Błękitne niebo nad bazą lotniczą Andrews rozjarzyło się białym blaskiem. Świetlisty łuk wyrósł wśród drzew niczym sztuczna zorza polarna, która najpierw przybrała żółtą barwę, potem zieloną i na koniec niebieską, po czym zniknęła.

Jacquie z uśmiechem wsiadła do wozu. Pojechała w stronę autostrady, nie przekraczając dozwolonej prędkości. Teraz odwiezie wóz do Hemdon i przez kilka najbliższych dni nie będzie wychodzić z domu. Powie, że ma grypę i zaczeka, aż policja przedstawi portret pamięciowy terrorystki, która zaatakowała Centrum Szybkiego Reagowania. Przez ten czas będzie na diecie. Jeśli nawet kobieta z portretu jakimś cudem miałaby okazać się do niej podobna, po „kuracji” na pewno już tak nie będzie.

Jak na ironię, to, co zrobiła, pod jednym względem będzie dla rządu korzystne.

Znacznie zmniejszą się wydatki na automaty na wodę.

Rozdział 31

Waszyngton Wtorek, 14.37

Zabrzmiało to tak, jakby ktoś przebił bardzo duży balon. Hood w pierwszej chwili pomyślał, że wybuchł jeden z awaryjnych generatorów.

Siedział za biurkiem, drzwi gabinetu były zamknięte. Wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w tapetę na monitorze komputera, rysunek ratusza w Los Angeles, który zrobiła Harleigh, kiedy miała cztery lata. Odtwarzał w pamięci rozmowę z Mikiem Rodgersem i zastanawiał się, czy mogłaby potoczyć się inaczej, kiedy nagle z głębi korytarza dobiegł huk. Był tak głośny, że Hood drgnął i na chwilę zatkał uszy. Jarzeniówki zaczęły jasno świecić. Tapeta zniknęła z monitora i na jej miejsce pojawiła się dziwna, mleczna poświata.

Powoli wstał. Kiedy odzyskał słuch, usłyszał za drzwiami kaszel i okrzyki. Słysząc było tylko ludzi, nic poza tym. Ani szumu pracującego komputera, ani warkotu klimatyzacji, ani nawet cichego elektrycznego bzyczenia ekspresu do kawy. Poczł ciepło na lewym nadgarstku. Spojrzał na zegarek. Wyświetlacz zgasł. Telefon komórkowy też wysiadł. Hood zdjął zegarek. Cienkie smużki dymu wydobywały się ze schowka na baterie i z telefonu.

- O nie. - Zaczął podejrzewać, że nie chodziło o przepalony generator czy przerwę w dostawie prądu.

Podbiegł do drzwi i otworzył je. Korytarz za boksem Bugsa wypełniony był rzadkim, żółtawym dymem. W powietrzu wisiał gryzący zapach ozonu zmieszany ze swędem spalonego plastiku. Później dowiedział się, że to ze zwęglonych gniazdek, kabli elektrycznych i przewodów telefonicznych.

Bugs stał na korytarzu i rozpędzał dym, wyteżając wzrok. Obejrzał się na Hooda.

- Co się stało? - spytał Hood.

- Zdaje się, że coś wybuchło w barku. Próbowałem zadzwonić na bramę, żeby zamknęli wyjścia, ale telefony szlag trafił.

- Zasilanie awaryjne też siadło? - spytał Hood.

- Jak wszystko.

- Są jakieś ofiary?

- Nie wiem.

- Dobrze się czujesz?

- Tak.
- Zaczynij wyprowadzać ludzi.
- Mike już się tym zajął.
- Pomóż mu.
- Jasne. Niech pan uważa na siebie.

Rodgers i Ron Plummer byli szefami zespołu odpowiedzialnego za ewakuację. Na myśl o tym, że będą działać wspólnie, Hood poczuł nie nadzieję, lecz dumę i szacunek. Kiedy wymagała tego sytuacja, Amerykanie zawsze potrafili przezwyciężyć dzielące ich różnice.

Hood klepnął Bugsa w plecy, by dodać mu otuchy. Z mgły wyłonił się Matt Stoli. Szedł w stronę, z której dobiegł huk eksplozji. Hood ruszył za nim.

- Wiesz, co się stało? - spytał.
- Zostaliśmy wypaleni - powiedział Stoli ze złością.
- Słucham?
- Przegrzali nas. Z tego, co wiem, tylko ebomba mogła tak zadziałać.
- Jesteś pewien?
- Jasno świecące światła, monitory... to jak odcisk palca. Nie mogło tego spowodować nic innego.
- Była w środku czy na zewnątrz?
- W środku. Zajrzałem do Akwarium, tam wszystko gra. Zostawiłem tam Jeffersona, żeby wezwał pomoc. Udało mu się otworzyć główną bramę, co znaczy, że na górze nic się nie stało.

Całe Centrum było dobrze zabezpieczone, ale Akwarium było czymś w rodzaju elektronicznego schronu. Ta sala konferencyjna była chroniona przed podsłuchem, hakerami i wszelkiego rodzaju próbami ataku, w tym przy użyciu impulsu elektromagnetycznego. Stoli zaprojektował ją tak, by była klatką Faradaya w dużej skali, przewodnikiem rurowym, który rozprowadza ładunek po zewnętrznej powłoce, nie wytwarzając pola elektrycznego w środku. Jak na ironię, Hood był przekonany, że jedyną sytuacją, w której mogliby być narażeni na wybuch ebomby, byłby nieudany test przeprowadzony przez siły powietrzne na terenie bazy Andrews.

Aż do tej chwili.

Im bardziej zbliżali się do barku, tym dym stawał się gęstszy i bardziej cuchnący. Stoli zasłonił usta chusteczką, Hood nie. Dym nie był aż tak gryzący, a on nie chciał okazać słabości. W sytuacjach kryzysowych należało tego unikać. Skręcili za róg i weszli do barku.

Żółtoszary dym wypełniał małe pomieszczenie. Ponieważ nie działała wentylacja,

wisiał nieruchomo, przesłaniając wszystko.

- Jest tu kto? - krzyknął Hood.

Nie było odpowiedzi.

- Dym wziął się z ładunku wybuchowego, który spowodował powstanie impulsu elektromagnetycznego - wyjaśnił Stoli. Tęgi komputerowiec ruszył przed siebie, szurając nogami po posadzce, by się o coś nie potknąć. Wszedłszy głębiej, zaczął rozpędzać dym lewą ręką. - Wybuch był bardzo słaby.

- Skąd wiesz? - Hood szedł za nim, wymachując obiema rękami i wypatrując ofiar.

- Po pierwsze, nie musiał być silny, żeby wyzwolić impuls. Po drugie, widzą podstawą automatu do wody. Lewy bok zniknął. Bomba musiała być umieszczona przy nim.

Ktoś leżał na podłodze. Hood ukląkł i nachylił się. Mężczyzna. W jego piersi tkwiły paskudne, powykrzywiane fragmenty podstawy automatu. Niebieska koszula była poplamiona krwią. Nie oddychał.

- Kto to? - spytał Stoli.

- Mac McCallie. - Hood poszedł w miejsce, gdzie powinny stać automaty ze słodyczami i napojami. Rozpędził dym. Automaty były uszkodzone, ale tylko lekko. Po omacku obszukał resztę pomieszczenia. Stoły i krzesła były powywracane, ich nogi wykrzywiły się, w blatach tkwiły odłamki. Od spodu. Obmacał je od wierzchu. Wyczuł plamy krwi. To znaczyło, że stały jeszcze, kiedy McCallie dostał. Stoli miał rację. Bomba musiała zostać umieszczona obok automatu na wodę. Mac pewnie przyjmował zaplanowaną dostawę. Informacje o pieprzonych kontraktach rządowych były publicznie dostępne. Każdy mógł je zdobyć. Hood wziął z umywalki lekko osmaloną ścierkę do naczyń i przykrył nią twarz zmarłego.

- To miało nas powstrzymać, nie zabić - stwierdził Stoli.

- Powiedz to Macowi.

- Przykro mi, szefie. Miał pecha. Ale ten, kto to zorganizował, chciał tylko wyłączyć Centrum z obiegu.

Spośród rzedniejącego dymu wyłonił się Jefferson Jefferson.

- Baza zamknięta, ekipa ratownicza już jedzie.

- Dzięki. Idź na górę i zaczekaj na nich - rozkazał Hood. - Przyślij ich tutaj.

- Tak jest - odparł chłopak. Przez chwilę stał nieruchomo, wpatrzony w ciało na podłodze.

- Idź - powiedział Hood.

Jefferson odwrócił się i poszedł. Hood słyszał jego oddalające się kroki. Oprócz

odległych głosów i ciężkiego oddechu Matta, nie dochodziły go żadne inne dźwięki. Centrum wydawało się tak martwe, jak nieszczęsny Mac. Dziwna sprawa. O jego śmierci mógł na razie myśleć na chłodno. To była tragedia, ale czas, by go opłakiwać, tak jak Charliego Squiresa, Marthę Mackall i zbyt wielu innych, przyjdzie później. W tej chwili o wiele trudniej było pogodzić się z myślą, że Centrum zmieniło się w pogrążony w głuchoj ciszy grobowiec. Ta instytucja nadała życiu Hooda sens, wskazywała mu kierunek. Bez niej czuł się martwy jak Mac. Tyle że jeszcze oddychał.

Mike stwierdziłby, że to znaczy, że jest jeszcze nadzieja, pomyślał. Może i on z czasem nauczy się tak to postrzegać. Na razie czuł tylko graniczącą ze strachem bezradność. Wiedział, że musi nad tym zapanować. Skupić się.

Podszedł do Stolla. Spec od komputerów przykucnął przy poszarpanych szczątkach automatu z wodą i walających się wokół odłamkach. Z kieszeni koszuli wyjął małą latarkę zabraną z kompletu przyborów przechowywanych w Akwariium na wypadek awarii. Uważnie oglądał podłogę, niczego nie dotykając. Wyglądał jak chłopiec obserwujący mrowisko.

- Coś ci to mówi? - spytał Hood.

- Bomba nie była domowej roboty.

- Skąd wiesz?

- Ten, kto ją skonstruował, użył miedzianego drutu grubości osiemnastu milimetrów - powiedział przez chusteczkę Stoli, wskazując go latarką. - To pozwala wytworzyć większy impuls niż w przypadku standardowego drutu ze złota i miedzi o przekroju dwunastu milimetrów. Ale tylko pod warunkiem, że miedź jest wolna od zanieczyszczeń. Konstruktor bomby musiał dysponować nowoczesną aparaturą termograficzną i harmoniczną, żeby to sprawdzić.

- Zakładam, że wojsko ma takie możliwości. Kto jeszcze?

- Laboratoria uniwersyteckie, producenci samolotów i sprzętu gospodarstwa domowego, wiele fabryk. Ale tu oczywiście nasuwa się pytanie, kto, oprócz środków technicznych, miałby odpowiednie logistyczne możliwości, by umieścić ebombę w butli z wodą?

- I motyw - pomyślał na Hood.

- Uhm. Nie sądzę, żeby Chrysler czy Boeing coś do nas mieli.

W tej chwili zjawili się ratownicy, snopy światła z ich latarek przecięły zamglone powietrze. Dym rozrzedził się na tyle, że było już co nieco widać. Pierwszy w drzwiach stanął Mike Rodgers. Na jego widok Hood poczuł się pewniej.

- Uważajcie, gdzie stawiacie nogi - powiedział Rodgers. - To miejsce zbrodni.

Czterej mężczyźni, których przyprowadził, oświetlili latarkami podłogę. Ostrożnie podeszli do Maca McCalliego i próbowali go reanimować.

- Nic wam nie jest? - spytał Rodgers Hooda i Stolla.

Hood pokręcił głową.

- Wszyscy wyszli?

- Tak - odparł Rodgers. - Bob marudził, ale po wybuchu szlag trafił całą elektronikę w jego wózku, więc nie miał wyjścia. Ma zablokowane koła, bo mechanizmy się usmażyły.

- Jezus, a co z Ronem Plummerem? - zaniepokoił się Hood. - Ma rozrusznik serca...

- Nic mu się nie stało - wyjaśnił Rodgers. - Wyprowadziliśmy go na górę z Bobem. Sanitariusze się nim zajęli.

- Dzięki Bogu. Dziwnie się czuł, dziękując Bogu w tych okolicznościach. Ale był wdzięczny za tę jedną dobrą wiadomość.

Hood, Rodgers i Stoli odsunęli się na bok i dwaj ratownicy wynieśli Maca na noszach. Spieszyli się, choć nie było takiej potrzeby. Dwaj, którzy zostali, weszli w głąb Centrum, by poszukać innych rannych lub osób, które dusiły się od dymu.

- Dowódca bazy kazał swoim ludziom spróbować uruchomić generator - powiedział Rodgers.

- Matt, ile mamy czasu, zanim zgasną monitory i jarzeniówki? - spytał Hood.

- Wypełniający je gaz rozładuje się za jakieś dziesięć-piętnaście minut - wyjaśnił Stoli.

- Może lepiej stąd chodźmy, dajmy chłopakom usunąć dym - zaproponował Rodgers.

Hood skinął głową. Odpowiedzialni za uprzątnięcie szkód członkowie grupy ratowniczej byli wyposażeni w duże oczyszczalniki powietrza z nadmanganianem potasu. Te spore, dwudziestokilowe urządzenia oczyszczały dwadzieścia metrów sześciennych powietrza na minutę.

Ruszyli w stronę schodów. Zalane mlecznym blaskiem gasnących jarzeniówek i monitorów, Centrum wyglądało upiornie.

- Matt, domyślam się, że nie ocalało żadne z urządzeń spoza Akwarium - rzekł Hood.

Stoli kiwnął głową.

- Mamy zapasowe kopie większości plików, więc przynajmniej dane są bezpieczne. Ale wymiana sprzętu będzie nas sporo kosztować. Poszły komputery, telefony, palmpiloty, stacje dysków CD i DVD. Ekspresy do kawy i minilodówki też. Kurde, no i mamy do wyrzucenia co najmniej tysiąc żarówek.

- Ale nadal masz swój zespół - stwierdził Rodgers. - Włącznie ze mną, Paul. Nie zdążyłem zmienić daty swojej rezygnacji.

Hood nie był sentymentalny, ale na te słowa poczuł ucisk w gardle. Podziękował generałowi, choć zabrzmiało to bardziej, jakby się zakrztusił.

- Wróćmy do kwestii, kto miał środki, by zrobić coś takiego - powiedział Stoli. - Muszę spytać, czy nie przychodzą wam do głowy żadne nazwiska.

Obaj milczeli.

- To znaczy, może nie jest to najbardziej taktowne pytanie, ale czy nie mogły stać za tym osoby, którymi się ostatnio interesujemy?

- To mógł być każdy - powiedział Hood. - Może to zemsta Nowych Jakobinów z Tuluzy.

- Jeszcze raz proszę o wybaczenie, ale to byłoby bez sensu - ciągnął Stoli. Jak zawsze jego dążenie do poznania prawdy brało górę nad poczuciem taktu. - Jak już mówiłem, można to było tak zorganizować, by zginęło o wiele więcej osób. Nowi Jakobini z radością zmieniliby nas w bity. I nie tylko oni.

- Matt ma rację - wtrącił Rodgers. - Wiem, co to znaczy stracić człowieka, Paul, ale ten zamach miał obezwładnić, nie zabić. Ktoś chciał nas oślepić.

- Kto? - spytał dyplomatycznie Hood.

Generał nie odpowiedział. Uznał, że to retoryczne, nie podchwytliwe pytanie. Weszli na wąską klatkę schodową. Ruszyli w górę jeden za drugim, Stoli pierwszy, Rodgers za nim.

- Powinniśmy możliwie najszybciej spotkać się w Akwarium - ciągnął Hood. - Wyłożyć na stół wszystkie możliwe warianty i porównać je ze sposobem działania znanych grup.

- Dziś raczej już tam nie wejdziemy - powiedział Rodgers. - I dobrze, bo chcę trochę powęszyc.

- Potrzeba ci pomocy? - spytał Hood.

- Nie - odparł Rodgers zdecydowanym tonem.

Na tym stanęło. To, co przemilczeli, było o wiele ważniejsze od tego, co powiedzieli. Rodgers zamierzał sprawdzić, czy prowadzone przez Centrum dochodzenie dotyczące admirała Linka nie trafiło w czuły punkt.

Weszli na parking po południowej stronie budynku. Był tam mały placzyk ze stolikami. Pracownicy Centrum stali i siedzieli przy nich, samotnie i w małych grupkach. Kilku paliło papierosy, nieliczni rozmawiali ze sobą. Dziwnie wyglądali bez telefonów komórkowych i laptopów. Wszystkie zostały zniszczone. W samochodach stojących najbliżej budynku wisiały mgliste obłoki unoszące się ze spalonych elektronicznych podzespołów.

Większość spojrzeń zwróciła się w stronę Hooda. Wszyscy intuicyjnie wiedzieli, że on

wyjdzie ostatni.

Hood wszedł między ludzi i skierował się do Boba Herberta. Chciał upewnić się, że wszystko z nim w porządku. Herbert stwierdził, że jak najbardziej. Powiedział to bez emocji, wręcz obojętnie. Ale przynajmniej w jego głosie nie było złości. To już postęp. Wtedy Hood powiedział swoim ludziom o tym, co spotkało Maca McCalliego. Rozległy się okrzyki niedowierzania i ciche przekleństwa. Mac potrafił być upierdliwy, czasem wydawało się, że nawet zszywki ma dokładnie skatalogowane. Ale przede wszystkim był ciężko pracującym profesjonalistą. Jeśli inni pracownicy potrzebowali czegoś, by wykonać swoje zadania, załatwiał im to najszybciej, jak się dało. Hood obiecał, że znajdą tego, kto przeniknął do ich budynku i podłożył bombę.

Przyjechały ambulanse 89. Grupy Medycznej z Andrews. Zjawił się też dowódca bazy, generał brygady Bill Chrysler. Hood wyszedł mu na powitanie.

Właśnie zaczynało do niego docierać, że w jego budynku wybuchła ebomba. Centrum zostało praktycznie zniszczone. Hood czuł się zhańbiony, przytłoczony i przygnębiony. Paradoksalnie, zaczęła go też ogarniać, jak to kiedyś określiła Liz Gordon, „bezsilna złość”, pragnienie wyżycia się na kimkolwiek z braku określonego celu. Co gorsza, wiedział, że musi zdusić te wszystkie uczucia. Jeśli jemu i jego ludziom nie dopisze wielkie szczęście, nieprędko wrócą do równowagi. I nie chodziło tylko o to, by wykryć sprawcę. Musiał też dopilnować, by komisja do spraw służb specjalnych i media nie przedstawiły tego zamachu jako chwytu reklamowego czy próby wyłudzenia dodatkowych funduszy. No i nie mógł dopuścić, by komisja uznała, że łatwiej będzie zlikwidować Centrum, niż je odbudować. Zaraz po - miał nadzieję - krótkiej rozmowie z Chryslerem zadzwoni do Debenporta i da mu znać, że Centrum energicznie prowadzi śledztwo w sprawie partii USF.

W końcu teraz mieli coś, czego nie mieli wcześniej: bardzo osobisty powód.

Rozdział 32

Langley, Wirginia Wtorek, 15.44

Darrell McCaskey bezproduktywnie spędził kilka godzin w ambasadzie brytyjskiej, a potem w kwaterze głównej FBI. Szukał utajnionych akt dotyczących wszystkich osób powiązanych ze sprawą Wilsona. Najbardziej interesowało go to, czy któraś z nich w przeszłości handlowała narkotykami bądź je brała. Ktoś taki mógłby wiedzieć, jak wstrzyknąć truciznę pod język. Nie znalazł nic.

Zniechęcony, jechał do głównej siedziby Centralnej Agencji Wywiadowczej w Langley, kiedy zadzwoniła Maria, by przekazać mu wiadomość o wybuchu w bazie Andrews.

- Są jakieś szczegóły? - spytał.

- Tylko że świadkowie widzieli błysk nad północno-zachodnią częścią bazy.

- Tam jest Centrum.

- Właśnie dlatego dzwonię - odparła. - Próbowałam złapać Boba Herberta i Paula, ale słychać tylko komunikat, że abonent jest niedostępny.

McCaskey podziękował jej i sam spróbował się do nich dodzwonić. Bezskutecznie. Zadzwonił do biura generała Chryslera i tam powiedziano mu, że doszło do wybuchu i że zamachowcy prawdopodobnie użyli broni emitującej impuls elektromagnetyczny. Wszyscy wciąż byli w bazie, z wyjątkiem Rodgersa. McCaskey postanowił tam nie wracać. Jeśli to spisek przeciwko Centrum, lepiej nie zbierać się w jednym miejscu. A jeśli chodziło o to, by przeszkodzić w śledztwie, McCaskey nie zamierzał do tego dopuścić. Sarah Hubbard, znajoma z Centrum Zwalczania Przeszłości i Narkotyków CIA, była mu winna przysługę i teraz to wykorzystał. Poprosił, by załatwiła mu spotkanie z dyrektorem sekcji naukowo-technicznej do spraw medycznych. Coś w tej sprawie nie dawało mu spokoju. Hubbard poleciła mu doktora Scotta P. Allana. Umówiła ich na czwartą po południu.

McCaskey zaparkował wóz i poszedł do głównego wejścia do nowej siedziby CIA, z majestatyczną białą fasadą z cegły, zwieńczoną wysokim, wspinałym łukiem o dachu z kuloodpornych szyb. W porównaniu z tym pałacem Centrum było wręcz przytulne. McCaskey przeszedł przez stanowisko ochrony, gdzie dostał oznaczoną kolorami dzienną przepustkę, którą przypiął do klapy. Zaczekał, aż ktoś po niego przyjdzie. Były agent FBI poczuł ukłucie w sercu, widząc słońce wpadające przez szyby. Białe kamień lśnił, po

korytarzach kręcili się zaabsorbowani pracą ludzie. Pomyślał o Centrum i o tym, jak duże straty w sprzęcie i ludziach musiało ponieść. Dobrze zrobił, nie jadąc prosto do bazy Andrews. Potrzeba mu było czasu, by oswoić się ze świadomością, że miejsce, które przez ostatnich sześć lat było jego domem, zostało zaatakowane i zniszczone.

Przyszedł schludny młody człowiek, który miał zaprowadzić go do gabinetu doktora Allana. Idąc surowymi, białymi korytarzami nie zamienili ani słowa. To była Centralna Agencja Wywiadowcza. Tu ludzie mieli słuchać, nie mówić.

Zastawiony książkami gabinet doktora Allana znajdował się w głębi skrzydła, w którym mieściło się kilka laboratoriów, pracowni komputerowych i biur. Zdobiły go pamiątki sportowe, poupychane między ustawionymi na półkach tomami i wiszące na ścianie wśród dyplomów. Wystroju dopełniały rodzinne zdjęcia w ręcznie malowanych ramach, pewnie wykonanych przed laty przez syna lub córkę doktora. W porównaniu z norą Matta Stolla to był Olimp.

Doktor Allan był barczystym, wylewnym mężczyzną pod sześćdziesiątką. Miał długą siwą hiszpańską bródką podkreślającą pociągłą twarz, białe, krzaczaste brwi i dość długie siwe włosy. Jego brązowe oczy patrzyły z mroczną determinacją. Wyglądał jak Wuj Sam w białym kitlu z czerwonymi plamami na rękawach. Symbol Ameryki zbrukany krwią.

- To toluidyna - powiedział przepaszająco, gdy zauważył, co zwróciło uwagę McCaskeya. - Pracuję nad czerwonym barwnikiem. - Nie powiedział, po co; to była CIA. Wskazał McCaskeyowi krzesło, zamknął drzwi i usiadł za biurkiem. - Mam mało czasu, ale nasza wspólna znajoma powiedziała, że to pilne.

- Tak, doktorze. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną spotkać.

- Nie miałem wyboru. Pani Hubbard jest tu bardzo wpływową osobą.

- Poważnie?

- Rozdziela bilety na mecze Redskins - powiedział Allan z uśmiechem. - Nikt nie chce jej podpaść.

- Zawsze potrafiła się urządzić.

- Po to właśnie pracuje się dla rządu - stwierdził Allan. - Dla dojsć i władzy. No dobrze, w czym mogą panu pomóc?

- Pani Hubbard zapewne przekazała panu potwierdzenie mojego certyfikatu bezpieczeństwa.

- Tak jest. Powiedziała też, że prowadzi pan z ramienia Centrum Szybkiego Reagowania śledztwo w sprawie zabójstwa Williama Wilsona.

- Zgadza się.

- Spytam wprost: czemu chciał się pan ze mną zobaczyć? Podejrzewa pan, że ktoś stąd jest w to zamieszany?

- Nie chodzi o żadną z osób zatrudnionych tu obecnie.

- To dobrze. Nie rozmawiam o współpracownikach bez ich wiedzy, zwłaszcza z ludźmi z zewnątrz.

- Jesteśmy po tej samej stronie - przypomniał mu McCaskey.

Allan tylko się uśmiechnął.

- Panie doktorze, swego czasu czytałem białą księgą o wytycznych w kwestii zabójstw politycznych, obowiązujących w CIA w latach sześćdziesiątych - ciągnął McCaskey. - Była w niej mowa o dwudziestopięcioletnim moratorium wprowadzonym po nieudanych próbach zamachu na Fidela Castro przy użyciu zatrutego cygara i trucizny wprowadzonej do jego brody.

- To powszechnie znana sprawa - zauważył doktor Allan.

- Tak. Znalazłem tam jednak pewien przypis, który wydał mi się interesujący. Napisano w nim, że we wszystkich zamachach przeprowadzonych przy użyciu broni chemicznej CIA wykorzystywała związki cyjanku. Ciekaw jestem, czy to prawda.

Doktor Allan nagle zeszywniał.

- Panie McCaskey, Redskins mają w tym roku szansę na finał.

- Słucham?

- Nie chcę stracić możliwości obejrzenia go na żywo. Dodam tylko, że poruszył pan bardzo drażliwy temat.

- Panie doktorze, wiem, że to bardzo trudne pytanie...

- Trudne? Wymaga pan ode mnie, żebym powiedział, co mogę i czego nie mogę zrobić, by pomóc w popełnieniu zabójstwa - powiedział doktor Allan. - Rutynowe pytanie to nie jest.

- Doskonale rozumiem, ale sprawa jest naprawdę pilna. Ktoś właśnie zaatakował Centrum Szybkiego Reagowania...

- Jak to, zaatakował?

- Podłożono tam bombę. Nie udało mi się skontaktować ze współpracownikami, nie znam więc szczegółów. Domyślam się, że ma to związek z prowadzonym przeze mnie dochodzeniem i muszę znaleźć sprawców. Wszelkie informacje, jakich mi pan udzieli, mogą bardzo w tym pomóc.

Doktor Allan przez długą chwilę nerwowo bębnił palcami w biurko. Wreszcie złożył dłonie.

- Naprawdę wolałbym, żeby nie zrzucał pan tego na moje barki.

- Przykro mi, panie doktorze. Stało się.

- Rzeczywiście - powiedział Allan. Znow się zamyślił. - A co tam. Jesteśmy po jednej stronie, a jeśli kiedykolwiek powoła się pan na mnie, wszystkiego się wyprę. Myślę, że jest pan na złym tropie.

- Dlaczego?

- Media podały, że pan Wilson zginął od zastrzyku z trucizną, zgadza się? Otóż chlorek potasu nie jest związkiem, którego używamy do interesujących pana celów.

- Teraz czy w ogóle?

- Jedno i drugie - odparł doktor Allan. - Nawet nie mamy go na swoim radarze. Chlorek potasu jest po prostu zbyt niepewny. Różni ludzie różnie na niego reagują. Dawka, która zabiłaby jedną osobę, inną mogłaby przyprawić co najwyżej o lekką arytmie serca.

- Skoro tak, to czemu ktoś podał go Williamowi Wilsonowi? - spytał McCaskey.

- Z trzech powodów. Po pierwsze, związek ten można bez trudu zamówić przez Internet. Lekarze rutynowo zapisują go jako środek zapobiegający niedoborowi potasu wywołanemu przez leki na nadciśnienie. Odnalezienie nabywcy i dostawcy, krajowego lub zagranicznego, będzie praktycznie niemożliwe. Po drugie, jak sam pan stwierdził, o wiele trudniej jest wykryć chlorek potasu niż cyjanek. Po trzecie, zabójca miał czas, by sprawdzić, czy środek zadziałał, jak należy.

- Jak pan sądzi, czy sanitariusz wojskowy mógłby znać jego możliwe zastosowania? - spytał McCaskey.

- Prawie na pewno.

- A może wie pan, doktorze Allan, w które miejsca agentom każe się wstrzykiwać truciznę?

- W mięśnie - powiedział.

- Nie w żyły?

Allan potrząsnął głową.

- Dlaczego?

- Tkanka mięśniowa jest bogato ukrwiona i dostarcza środek do organizmu w raptem kilka minut - wyjaśnił doktor. - Ślad po ukłuciu jest wyraźnie widoczny, ale taka jest cena szybkiego, skutecznego działania. To kolejny powód, dla którego nie sądzę, by ta pańska zabójczynią była wychowanką Agencji.

- Nie rozumiem.

- Większość osób, które wysyłamy w teren, to specjaliści od survivalu. Nie naukowcy

czy lekarze. Uczy się ich możliwie najbardziej uproszczonych technik, by oszczędzić im kłopotów. Łatwiej jest zrobić komuś zastrzyk w pośladek czy udo niż w ramię czy bardziej egzotyczne miejsca, jak choćby naskórek między palcami u nogi. Zastrzyk w nasadę języka wymaga sporej precyzji, nie wspominając o tym, że trzeba go robić praktycznie po omacku, w śliskie miejsce. Nowicjusz by nie dał rady. W tym przypadku powinien pan raczej szukać kogoś, kto przeszedł szkolenie dentystyczne. Pod językiem wstrzykuje się wiele środków stosowanych w chirurgii stomatologicznej.

- Już to zrobiłem - odparł McCaskey. - A propos nowicjuszy, CIA w przeszłości korzystała z usług płatnych zabójców. Trucizna w okuciu łaski niewidomego, formalina w kanapce, nawet te nieudane zamachy na Castro...

- Owszem, i to właśnie z ich powodu dzisiaj zabójstwa zleca się ludziom z zewnątrz. Zawodowi zabójcy mogą dostać miliony dolarów za jedną fuchę. Po co mieliby pracować na etacie, z perspektywą niskiej emerytury?

- Ku chwale ojczyzny?

- Bóg i ojczyzna nie wystarczą, by pokonać chciwość - odparł Allan. - Kiedy prowadzimy akcje tego typu, muszą one kończyć się sukcesem. Często też, jak sam pan wie, trzeba zapewnić sobie wiarygodną przykrywkę. Kiedy nie chcemy ubrudzić sobie rąk, wynajmujemy, kogo trzeba.

McCaskey nie miał więcej pytań. Jednak coś w słowach doktora go zaintrygowało. Wstał. Allan zrobił to samo.

- Dziękuję za wszystkie rady - powiedział McCaskey.

Uścisnęli sobie dłonie nad biurkiem.

- Naprawdę mi przykro, że nie mogło być ich więcej.

- Niepotrzebnie. Bardzo mi pan pomógł, choć muszę pana jeszcze o coś spytać, panie doktorze, by zaspokoić swoją ciekawość. Co jest dla pana motywacją? Patriotyzm czy chciwość?

- Ani jedno, ani drugie. Jestem tu z powodu różnicy spójników.

- Nie rozumiem.

- Przez lata zadawałem sobie to samo pytanie - wyjaśnił Allan, kiedy ruszyli do drzwi.

- Wmówiłem sobie, że przyszedłem tu pracować z poczucia obywatelskiego obowiązku. Potem zrozumiałem, że w gruncie rzeczy chodzi o to, iż mam większą władzę niż wszyscy znani mi lekarze. Decyduję o życiu i śmierci. „I”, proszę pana. Nie „lub”.

Różnica spójników.

McCaskey wyszedł od lekarza z ulgą. Gabinet, który początkowo wydawał mu się

ciepły, intymny, teraz był jak spowity całunem, panował w nim ledwo wyczuwalny chłód, niczym w przedsiönku rzeźni. Tu z bezdusznym wyrachowaniem opracowywano plany zbrodni.

Młody asystent czekał pod drzwiami, by odprowadzić go do holu głównego. Szli w milczeniu. W głowie McCaskeya jednak kotłowały się myśli. Odtwarzał w pamięci co ciekawsze wypowiedzi Linka i pozostałych rozmówców. Prowadził w myślach monolog, który miał mu pomóc wyłowić najważniejsze tropy.

Zmierzył się z wadami swojego podejścia do pracy śledczej.

Maria zawsze zarzucała mu, że jest naiwny. W pewnym sensie tak było. Zawsze był idealistycznym, ofiarnym agentem. W tym przypadku może miała trochę racji. Każdą zbrodnię można próbować rozgryźć na dwa sposoby: przy wykorzystaniu faktów bądź filozofii. McCaskey zajmował się głównie faktami. To było pozytywne, ale zawężało pole widzenia. Dobry dowódca potrafi zatrzeć swoje ślady, jak zabójczyni Wilsona, ale nie swoją filozofię.

Chciwość kontra patriotyzm kontra władza. Każdy z tych motywów mógł być tym właściwym, ba, w grę mogły wchodzić wszystkie naraz, ale do jakiego stopnia i w jakich proporcjach?

McCaskey dużo myślał o możliwych powodach zabójstwa Wilsona. Mogła to być przestroga dla inwestorów, by korzystali z amerykańskich banków. A może prawda była o wiele bardziej złożona.

Mike Rodgers obracał się w towarzystwie tych ludzi. Link był wojskowym. Jeśli admirał rzeczywiście jest winny, Rodgers mógł żywić jakieś przypuszczenia co do jego motywów. McCaskey musiał skontaktować się z nim i z senatorem.

Kiedy zadzwonił na komórkę generała, usłyszał komunikat, że abonent jest niedostępny, w domu zaś nikt nie odbierał. Zostawało do sprawdzenia jeszcze jedno miejsce.

Wśliznął się do samochodu i pojechał do Waszyngtonu. Postanowił nie uprzedzać ludzi Orra o swoim przybyciu. Rodgersowi może się to nie spodoba, a senatorowi tym bardziej. Cóż, jeśli tak, McCaskey będzie miał dla nich tylko jedno słowo, słowo, na poparcie którego sam gotów był dać pokaz chciwości i władzy.

„Szkoda”.

Rozdział 33

Waszyngton Wtorek, 16.10

Mike Rodgers wiedział, że definitywnie zerwał już więź łączącą go z Centrum Szybkiego Reagowania. Od poniedziałkowego spotkania z Hoodem nie myślał o sprawach, których nie zdążył doprowadzić do końca, planowanych przyszłych działaniach i statusie podlegających mu agentów.

Jednak po zamachu zaczął podejrzewać coś jeszcze: że wygasły w nim także wszelkie uczucia związane z tym miejscem. Współczuł członkom zespołu, pracowitym i sumiennym ludziom, i rzecz jasna rodzinie Maca. Sam jednak nie był wstrząśnięty tym, co się stało. Przynajmniej jak dotąd. Może była to strategia obronna jego psychiki. Zignorować ból, rozwiązać problem. A może zamach był zewnętrznym wyrazem tego, co Rodgers zrobił już w duchu. Ciskał gromy na Centrum, wypalił z serca wszelkie ślady związanych z nim sentymentów. Tak radził sobie z każdą stratą. Było to bezduszne, ale skuteczne.

Nie znaczyło to, że aprobował tę oburzającą napaść. I na tym właśnie polegał jego problem. Jeśli za zamachem stał ktoś z Centrum, była to odrażająca próba politycznej manipulacji. Rodgers nie wierzył, by Hood czy którykolwiek z jego ludzi mógł się do tego posunąć. Jeśli bombę podłożył ktoś z zewnątrz, jakaś agencja krajowa lub zagraniczna, sprawca zostanie wykryty. Ktoś zacznie mówić. W Waszyngtonie funkcjonuje bardzo sprawna poczta pantoflowa. Tajemnic dochowuje się tu równie gorliwie i starannie, jak przysięgi małżeńskiej.

A jeśli okaże się, że odpowiadał za to ktoś powiązany z admirałem Linkiem lub USF?

Generałowi nie chciało się w to wierzyć. Gdyby jednak tak było, dopilnuje, by sprawcy przekonali się, że prawda i sprawiedliwość zawsze zwyciężają. Przynajmniej kiedy on ma w tej sprawie coś do powiedzenia.

Rodgers nie został na parkingu z Paulem Hoodem i całą resztą. Po krótkiej rozmowie z dowódcą bazy i Hoodem pożyczył dżipa i pojechał do Waszyngtonu. Jego samochód był wśród tych, które zostały zniszczone w zamachu. Przeszedł go dreszcz, kiedy pomyślał o tym, co się stało. Broń wykorzystująca impuls elektromagnetyczny była dopiero na etapie testów. Dotychczas wyprodukowane bomby były małe, o ograniczonym zasięgu. Największym problemem konstruktorów było wygenerowanie wystarczająco intensywnego impulsu, zanim

wybuchowy wyzwalacz zniszczy cały mechanizm. Sukces jednak był już blisko i w Pentagonie liczone, że w ciągu roku pierwsze bomby elektromagnetyczne znajdą się w wyposażeniu wojska. Marynarka wojenna będzie wykorzystywać silne mikrofalowe impulsy ebomb do strącania rakiet przeciwokrętowych; armia zamontuje generatory impulsu w pociskach artyleryjskich w celu neutralizacji zmechanizowanych jednostek, kwater polowych i łączności wroga; lotnictwo zaś umieści broń elektromagnetyczną w bombowcach, myśliwcach, rakietach i samolotach bezzałogowych, co pozwoli im paralizować infrastrukturę miast nieprzyjaciela i strącać wrogie maszyny. Zwłaszcza w tym drugim przypadku zniszczenia mogły być ogromne. W odróżnieniu od konwencjonalnych materiałów wybuchowych, niszczących samolot w powietrzu, ebomba spowodowałaby wyłączenie silnika i maszyna, z całym paliwem i przewożonymi bombami, runęłaby na ziemię. Startujący nieprzyjacielski bombowiec mógł zostać wykorzystany do zbombardowania własnej bazy. Taktycznych ebomb można by też używać do walk w powietrzu. Jeden myśliwiec mógłby niszczyć całe dywizjony, wraz z przewożonym przez nie uzbrojeniem. Z kolei miniaturowe ebomby, mniejsze od tej, jakiej użyto w Centrum, mogły być skutecznym orężem w walce z terroryzmem. W odpowiednio zabezpieczonej elektrowni jądrowej, wodnej czy na pokładzie samolotu pasażerskiego, za pomocą impulsu elektromagnetycznego można byłoby wyłączyć zegar podłożonej tam bomby i tym samym ją unieszkodliwić.

Oczywiście, mogło to też działać w drugą stronę. Za pomocą ebomb można byłoby atakować amerykańskie cele wojskowe i cywilne, tak jak to stało się tego dnia w Centrum Szybkiego Reagowania. Do wojny nuklearnej w gruncie rzeczy nie miało prawa dojść. Konflikt z użyciem broni elektromagnetycznej, wojna przeciwko bitom, prawdopodobnie była nieunikniona.

I może to właśnie była pierwsza stoczona w niej bitwa. W dodatku bratobójcza. Było w tym coś nieprzyjemnie biblijnego. Żyli w nowym, niekoniecznie wspaniałym świecie. Wkrótce walkę będzie się toczyć przed monitorami, za pośrednictwem sieci energetycznych, nie twarzą w twarz czy lufa w lufę z wrogiem. Może będzie to zdrowsze, może żołnierze dzięki temu będą mieli mniej kłopotów z psychiką. Szok pourazowy ograniczy się do rozczarowania, jakie czuje się, przegrywając w grze komputerowej.

Był ciekaw, czy ludzie senatora słyszeli już o tym, co się stało. Nie żeby to miało znaczenie. Ich pierwsza reakcja nie powie mu, czy mieli z tym coś wspólnego. Ważniejsze dla niego było, by tam pójść, rzucić się w wir popołudniowych zajęć i obserwować otoczenie. Będzie wypatrywał spojrzeń wymienianych ukradkiem na wspomnienie o zamachu czy prowadzonych szeptem rozmów telefonicznych. Dochodził do tego jeszcze najlepszy sposób

uzyskiwania informacji: bezpośrednie pytanie. To, co było powiedziane, często znaczyło mniej od tego, co zostało przemilczane. Dowodem na to była jego niedawna rozmowa z Paulem Hoodem. Szef Centrum doskonale wiedział, dokąd Rodgers się wybiera, ale nie udzielił mu żadnych wskazówek. Jego milczenie było wyrazem zaufania, ostrożności, nadziei, a nawet wdzięczności.

W biurze senatora na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Kendra Peterson stała pod swoim gabinetem i rozmawiała z asystentką. Na widok Rodgersa zamilkła i podeszła do niego. Z jej szczupłej twarzy wyczynała troska.

- Słyszał pan, co się stało w Centrum Szybkiego Reagowania, generale? - spytała.

- Byłem tam - odparł Rodgers.

- Słodki Jezu.

- Skąd się o tym dowiedzieliście? - spytał.

Kendra wzięła go za łokieć i zaprowadziła do kąta, z dala od stażystów.

- Dzwonił Dan Debenport z komisji do spraw służb specjalnych.

- Po co senator Debenport miałby tu dzwonić?

- Żeby uprzedzić, że zamierza zgłosić wniosek o przyznanie Centrum nadzwyczajnych funduszy na dalsze funkcjonowanie - odparła. - Senator Orr jest przewodniczącym senackiej podkomisji do spraw doraźnej pomocy finansowej.

- To ma sens. - Z drugiej strony, mogło to też być ostrzeżenie, że śledztwo w sprawie Williama Wilsona będzie kontynuowane. Nie miał pojęcia, czemu Debenportowi miałoby na tym zależeć. Może to tylko zakulisowe rozgrywki, które na chwilę znalazły się w świetle reflektorów. - Jest admirał?

- Akurat teraz nie. Pojechał na spotkanie z producentami telewizyjnymi w sprawie transmisji z konwencji. Chce pan z nim porozmawiać? Ma włączoną komórkę.

- Nie, złapię go później. A Kat?

- Jest. Jak dobrze znał pan tego człowieka, który zginął?

- Średnio. Był dobrym człowiekiem i sumiennym pracownikiem.

- Epitafium godne pozazdroszczenia - stwierdziła Kendra. - Czy pan albo dyrektor Hood domyślacie się, kto to mógł zrobić?

- Ja nie, a jeśli Paul Hood kogoś podejrzewa, nie powiedział mi o tym - odparł Rodgers.

- Czy miałby powód, by tego nie zrobić?

- Był zajęty czym innym. - Nie chciał rozmawiać z nią o zamachu. A nuż maczała w nim palce. - A ty? Czy ty albo senator słyszeliście coś więcej?

Kendra pokręciła głową.

- Należy się spodziewać, że takie rzeczy będą się zdarzać coraz częściej - powiedziała poważnym tonem. - Senator planuje utworzyć nowy wydział Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, koncentrujący się wyłącznie na sektorze technologicznym. Po tym, co stało się dziś, raczej nie będzie miał kłopotów ze zdobyciem niezbędnych funduszy.

Nie miał pojęcia, czy Kendra wymigała się od odpowiedzi, czy po prostu odruchowo i niewinnie przeszła na ton zarezerwowany dla wyborców. Sprzedawać uprzednio zaakceptowane idee, nic więcej. Jeśli będziesz trzymać się scenariusza, nie narobisz sobie kłopotów.

- Cóż, tak jest zawsze, nie? - spytał Rodgers. - Najpierw daj się postrzelić, potem zadawaj pytania.

Kendra uśmiechnęła się.

- To dobre.

- A propos, jakie senator ma plany?

- Dziś wieczorem leci swoim samolotem na konwencję.

- Kogo bierze ze sobą?

- Ależ pan ciekawski - odparła. - Mnie. Kat z admirałem polecą samolotem pasażerskim jutro rano. - Zawahała się. - Mieliliśmy nadzieję, że dołączy pan do nas w San Diego. Czy w tych okolicznościach będzie to możliwe?

- Nie wiem - odparł generał.

- Nie bierze pan udziału w śledztwie, co? - Po chwili dodała: - To znaczy, w sprawie zamachu.

- Nie.

Jego odpowiedź była równie szczegółowa, jak jej pytanie. Kendra spojrzała na niego. Zdawała się czekać, aż powie coś więcej, wyjaśni, że nie uczestniczy w żadnym śledztwie. Nie chciał kłamać, więc milczał. Jednak i tym razem milczenie było prawdopodobnie aż nadto wymowne.

Kendra uśmiechnęła się cierpko, znacząco, i zostawiła go samego. Rodgers poszedł porozmawiać z Kat. Był zły na siebie. Czuł się jak ostatni oferma, który sam się wystawia na strzał. Był ciekaw, czy Darrell lub Bob rozegraliby to inaczej.

Cóż, teraz już tego nie cofniesz. Pozostaje tylko iść naprzód.

Kat była w swoim gabinecie, rozmawiała przez telefon. Uśmiechnęła się na widok Rodgersa i zaprosiła go gestem do środka. Rodgers zamknął drzwi i usiadł na małej sofie. Kat po chwili odłożyła słuchawkę. Odetchnęła głęboko.

- To była Lucy O'Connor...

- Niech zgadnę - powiedział Rodgers. - Chciała wiedzieć, czy senator ma coś do powiedzenia w związku z zamachem na Centrum.

Kat skinęła głową.

- A ma?

- Uważa, że to paskudna sprawa, jak my wszyscy. - Kat ciepło spojrzała mu w oczy. - Byłeś tam, kiedy to się stało?

Rodgers skinął głową.

- Przykro mi. Wszystko w porządku?

- O dziwo, tak. Straciłem samochód, służbową komórkę, karty kredytowe pewnie też trafił szlag, ale wszystko to da się zastąpić.

- Dla Hooda i jego ludzi to musiał być wstrząs.

- Funkcjonują na autopilocie, ale dojdą do siebie - odparł Rodgers. - Mnie bardziej interesuje, kto za tym stał.

- Oczywiście. I jak myślisz, kto?

Wychylił się do przodu. Teraz, kiedy i tak już wzbudził podejrzenia Kendry, nie było sensu owijać w bawełną.

- Muszą cię o coś spytać, Kat, i chciałbym, żeby to zostało między nami. Czy jest możliwe, by zamieszany w to był admirał Link?

Wydawała się zupełnie niezdziwiona jego pytaniem.

- Czy to możliwe? Pewnie. Czy prawdopodobne? Nie. Pomyśl, ile miałby do stracenia, gdyby to wyszło na jaw.

- Co? Współdział w zamachu na Centrum czy w zabójstwie Williama Wilsona?

Zabrzmiało to bardziej jak zarzut niż pytanie. Tym razem Kat nie ukrywała dezaprobaty.

- Chyba nie sądzisz, że admirał był zamieszany w którąkolwiek z tych spraw - powiedziała.

- Chcą w to wierzyć - powiedział zgodnie z prawdą.

Zapikał telefon Kat. Odebrała. Przez chwilę słuchała, po czym powiedziała, że zaraz przyjdzie i rozłączyła się.

- Recepcja - powiedziała. - Przyszedł twój znajomy, McCaskey. Żąda spotkania z senatorem.

- Pogadam z nim.

- Pójdziemy razem - odparła Kat chłodnym tonem.

Atmosfera zrobiła się mroźna, napięta. Wyszli razem przez biuro. Choć była już prawie piąta, praca trwała w najlepsze. Kilku członków sztabu senatora zamawiało przez telefon pizzą. Wszyscy zatrudnieni tu młodzi ludzie byli ożywieni, pełni energii, z ich twarzy bił entuzjazm. A Rodgers otwierał nowy rozdział w swoim życiu i próbował dojść, kto podłożył bombę w jego poprzednim miejscu pracy. Mimo to nie potrafił wykrzesać z siebie tyle zapału, co jego nowi współpracownicy. Nie wynikało to z różnicy wieku, lecz z nastawienia. Po raz pierwszy w życiu nie wiedział, po której stronie barykady stoi.

McCaskey chodził w tą i z powrotem po wyłożonej dywanem recepcji. To było niezwykle. Na ogół był uosobieniem cierpliwości.

- Cześć, Mike - powiedział gardłowym głosem. - Chciałbym z tobą porozmawiać. - Spojrzał na Kat. - Z senatorem też.

- To niemożliwe - odparła. - Nie ma go.

- To pójdą tam, gdzie jest.

- Szkoda pańskiego czasu - stwierdziła. - Senator Orr powiedział już, że gotów jest rozmawiać wyłącznie z pańskim przełożonym, i to tylko przez grzeczność.

- Biuro mojego przełożonego poszło z dymem... - przypomniał McCaskey.

- Bardzo nam przykro z tego powodu.

- Przekażą to Paulowi, kiedy go zobaczą. Tymczasem chciałbym porozmawiać z senatorem o zamachu.

- W jakim kontekście? A w ogóle to jakim prawem przychodzi pan tu i stawia takie żądania?

- Na mocy paragrafu 611 regulaminu wewnętrznego Centrum Szybkiego Reagowania - odparł McCaskey. - Cytują: „Jeśli przebieg operacji zostaje zakłócony w wyniku ataku taktycznego, Centrum Szybkiego Reagowania ma obowiązek i prawo przeprowadzić dochodzenie w sprawie osoby lub osób będących celami wyżej wspomnianej operacji”. Wspomnianą operacją jest śledztwo w sprawie zabójstwa Williama Wilsona. Wspomnianym celem jest senator Orr. Jako najwyższy rangą oficer śledczy Centrum, mam obowiązek z nim porozmawiać.

- Od samego początku uważałam, że to śledztwo ma podłoże polityczne - powiedziała Kat. Przeniosła wzrok z byłego oficera FBI na Rodgersa. - Generale, nadal jest pan przełożonym tego człowieka. Czy mógłby pan z łaski swojej zaproponować mu mniej niedogodny i bardziej subtelny sposób nękania senatora?

- Nie o to chodzi - upierał się McCaskey.

- Przynajmniej nie panu - odparła Kat. - Wierzą, że jest pan sumiennym

pracownikiem, skoczkiem przesuwającym po szachownicy, pewnym swoich racji, ale ślepy na ostateczny cel gry. Ktoś, kto nie chce, by senator został prezydentem, próbuje wplątać go w całe to zamieszanie, najpierw ze śmiercią Wilsona, teraz z zamachem na Centrum. O to właśnie chodzi. Mam pomysł, może przesłucha pan Lucy O'Connor? To bardzo pomogłoby jej dziennikarskiej karierze.

- Nie wydaje mi się, że bym to ja tu musiał przejrzeć na oczy...

- Chwila, Darrell - powiedział Rodgers.

- Nie, Mike. Ktoś nas zaatakował. Mam obowiązek i prawo przesłuchać osoby, które mogą coś o tym wiedzieć.

- Senator gościł Williama Wilsona na przyjęciu! - krzyknęła Kat. - To cały jego związek ze sprawą!

- Wilson był gościem senatora na kilka godzin przed tym, jak został zamordowany przez kogoś, kto zna się na prowadzeniu tajnych operacji. To czyni admirała Linka jednym z głównych podejrzanych i rzuca cień na senatora Orra - powiedział McCaskey. - Bardziej zwięźle tego nie ujmę, proszę pani.

- Będzie pan musiał - odparła Kat. - Senator jasno dał do zrozumienia, że nie chce się z panem widzieć.

- Może zostawisz to mnie, Darrell? - wtrącił się Rodgers.

- Co mam ci zostawić? Śledztwo czy wprowadzenie mnie do senatora?

- Nie ma czego zostawiać - powiedziała Kat. - Nic z tego nie będzie, panie McCaskey. Nie przesłucha pan senatora i tyle. - Odwróciła się, by odejść.

- Jestem gotów poprosić naszego prawnika, by złożył Wniosek o wydanie nakazu mandamus. Senator Orr będzie wówczas musiał zgodzić się na rozmowę - stwierdził McCaskey. - Jeśli nakaz zostanie wydany, nie będzie mu wolno opuścić Dystryktu Kolumbii, dopóki go nie przesłucham.

- My też mamy prawników - rzuciła przez ramię Kat.

- Mówię ci, zostaw to mnie, Darrell - powtórzył Rodgers.

- No coś ty? Gdybyś pomógł nam wcześniej, może Centrum byłoby całe.

Rodgers pchnął McCaskeya do kąta, z dala od recepcjonistki.

- To nie fair - powiedział generał.

- A tam, pieprzenie. Obraziłeś się, bo Paul Hood zranił twoje uczucia, i dałeś dyla.

- Jesteś w stresie, Darrell. Nerwica frontowa przez ciebie przemawia...

- Nie. To właśnie powinienem był robić od samego początku. Naciskać. Może wtedy nie doszłoby do tego zamachu.

- Już nigdy się tego nie dowiemy. Słuchaj, pojedę do San Diego z senatorem i jego ludźmi. Jeśli maczali w tym palce, dowiem się tego.

- Być może.

- Zgoda, być może - przytaknął Rodgers. - Ale naciski w Waszyngtonie mogą nic nie dać. Lowell jest świetnym fachowcem, ale senator ma znajomości i wpływy. To przeważą.

McCaskey wypuścił powietrze nosem.

- Nigdy nie bawiłem się w dobrego i złego glinę, Mike. Nie lubię manipulować ludźmi ani przepisami.

- Nie robimy tego. Przestrzegamy reguł, według których funkcjonuje system.

McCaskey nachylił się ku niemu.

- Myślisz, że mieli z tym coś wspólnego?

- Nie wiem. Wyznaję zasadę domniemania niewinności.

- Co ci mówi instynkt, Mike? Mój mówi, że są winni. A twój?

Rodgers zajrzał do biura. Kat pomagała Kendrze porządkować pliki komputerowe przed wyjazdem. Nie miał pojęcia, czy go obserwuje. To właśnie w wojsku było najlepsze. Człowiek wiedział, kto jest wrogiem.

- Instynkt mówi mi to samo, co do tej pory - powiedział Rodgers. - Działać ostrożnie, ale działać. Chcę dorwać tych, którzy zaatakowali Centrum, tak bardzo jak ty, Darrell. Jeśli stali za tym ci tutaj, dowiem się o tym. Daję ci słowo.

- A gdybym pojechał z tobą? - spytał McCaskey.

- To byłaby przesada. Tu potrzeba finezji.

McCaskey znów westchnął. Wydawało się, że nieco ochłonął.

- Mogłeś kazać mi zostawić tę sprawę. Nie zrobiłeś tego.

- I nie zrobię.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Kendra leci dzisiaj z senatorem i chce, żebym dołączył do nich jutro rano z Linkiem i jego ludźmi - powiedział Rodgers. - To mi pasuje. Do tego czasu będę mógł udobruchać Kat.

- No dobrze, Mike. Tak czy siak, powinienem pojechać do Centrum. Wiesz może, jakie ponieśliśmy straty?

Rodgers powiedział mu. McCaskeyowi było przykro z powodu śmierci Maca, ale z ulgą - i zaskoczeniem - przyjął wiadomość, że nie było więcej ofiar.

Kiedy wyszedł, Rodgers postanowił do kogoś zadzwonić. Uznał, że lepiej będzie skorzystać z automatu niż z telefonu w biurze senatora. Nie chciał, by ta rozmowa znalazła się w billingu. Nie czuł się już jak „człowiek bez ojczyzny”, tylko gorzej - jak zbłąkany apostoł.

„Nie można dwóm panom służyć”, przypomniał sobie. A mimo to, choć nade wszystko cenił lojalność, zamierzał szpiegować swoich przyszłych współpracowników. Pocieszenie przyniósł mu inny cytat z Biblii: „Sprawiedliwy - wyrwany z udręki, zamiast niego wpada w nią nieprawy”*.

Rodgers postanowił w to uwierzyć. To było łatwe.

Nie miał innego wyjścia.

Rozdział 34

Camp Pendleton, Kalifornia Wtorek, 14.21

Dwugwiazdkowy generał marines Jack Breen odsłuchiwał pocztę głosową, kiedy usłyszał nazwisko znane mu z dawnych lat. Uśmiechnął się.

Pamiętał to nazwisko, o tak. Pamiętał dzień, kiedy usłyszał je po raz pierwszy. Osiemnastego lutego 1991 roku.

I doskonale pamiętał, gdzie wtedy był.

Do ich pierwszego spotkania doszło w wyniku bardzo niezwyklej akcji bojowej w czasie pierwszej wojny w Iraku. Breen, wówczas pułkownik, był dowódcą dziesięcioosobowego oddziału komandosów. Na sześć dni przed zaplanowaną inwazją lądową zrzucono ich do Iraku. Na szczycie góry wznoszącej się tysiąc dwieście metrów na północny wschód od miasta Ad Nadżaf stała wieża nadawcza. Zadaniem Breena było zainstalowanie tam satelitarnego interfejsu, umożliwiającego nasłuch irackiego systemu łączności. Przed wejściem 2. Dywizji Marines dowództwo chciało wiedzieć, w których wioskach i podziemnych tunelach mogą kryć się nieprzyjacielskie wojska. Miejsca te miały zostać zbombardowane lub, jeśli to możliwe, ominięte.

Ich oddział znalazł jedną z wrogich band. Czy raczej, to iracka banda znalazła ich.

Zdarzyło się to na przedgórzu, o północy, wkrótce po lądowaniu. Noc była chłodna, kilkanaście stopni, od szczytu wiał suchy wiatr. Jego świst w hełmach powodował, że ciężko było cokolwiek usłyszeć, za to z widocznością kłopotów nie było. Wszyscy mieli na sobie mundury maskujące w kolorze khaki i noktowizory. Czterej marines zakopali spadochrony. Pozostała szóstka zajęła się rozpoznaniem i zabezpieczeniem terenu. Wylądowali na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na całą okolicę. Nad głowami mieli niskie urwiska i skały. Przed wymarszem trzeba je było sprawdzić i zabezpieczyć. Ich cel znajdował się na przeciwległym zboczu. Prowadziła do niego wąska ścieżka, okalająca szczyt na wysokości sześciuset metrów. Na zdjęciach satelitarnych widać było, że na jej końcu, przy samej wieży, jest jaskinia. Komandosi musieli dotrzeć tam przed wschodem słońca. Po zmroku mieli opuścić kryjówkę i ustawić małą antenę satelitarną. Na koniec mieli wrócić po swoich śladach, skontaktować się przez radio z bazą w Kuwejcie i zaczekać na apache'a, który miał ich stamtąd zabrać.

Siły powietrzne Stanów Zjednoczonych zmusiły ich do zmiany planów.

Dwadzieścia siedem minut po północy teren był zabezpieczony. Mogli spokojnie wejść na szczyt, zamiast się wdrapywać, i przyjęli względnie zwartą formację znaną jako klucz gęsi. Człowiek na szpicy wypatrywał min, dwaj idący za nim patrzyli przed siebie, dwaj następni - na boki, a trzecia para - w niebo. Za nimi szli dwaj komandosi osłaniający całą grupę. Orszak zamykał żołnierz zabezpieczający flankę. Gdyby zostali zaatakowani, padliby na ziemię i rozpełzli się w przeciwnych kierunkach, by poszerzyć klin. Gdyby pozostali blisko siebie, nieprzyjacielowi łatwiej byłoby ich zdjąć.

Szli ścieżką, kiedy Breen nagle usłyszał świst. Zabrzmiało to jak podmuch wiatru. W rzeczywistości źródłem dźwięku był Suchoj Su7, jednomiejscowy samolot do ataku celów naziemnych, przez prawie czterdzieści lat wykorzystywany w sowieckich siłach powietrznych jako myśliwiec bombardujący. Saddam miał ich trzydzieści, każdy uzbrojony w dwa trzydziestomilimetrowe działka NR30 na siedemdziesiąt pocisków. Na wspornikach pod skrzydłami mieściły się dwie siedemsetczterdziestodwukilogramowe lub czterystadziewięćdziesięciopięciokilogramowe bomby lub rakiety podwieszane.

Samolot, który zobaczyli, miał za zadanie patrolować obszar nazwany później południową strefą zakazu lotów, teraz jednak spadał z wyciem silników w blasku płomieni. Trafił go amerykański F15E Strike Eagle. F15E szukał przenośnych wyrzutni scudów i nie został poinformowany o obecności marines w tej okolicy. Breen wydał komendę „padnij!” Ledwie zdążyli to zrobić, ognista kula wbiła się w zbocze. Uderzyła dobre kilkaset metrów na północ od nich, ale płonące szczątki i kamienie zasypały ścieżką. Co gorsza, huk musiał ściągnąć w to miejsce irackie wojska.

Breen posłał dwóch ludzi na zwiad, by sprawdzili, czy można jakoś ominąć wrak. Okazało się, że owszem, tyle że trzeba by zejść z powrotem na dół i okrążyć górą. Na podstawie mapy topograficznej ocenili, że zajęłoby im to dwa razy więcej czasu. Musieliby iść w dzień.

Breen mimo to postanowił spróbować wykonać zadanie.

W tym miejscu zbocze było strome, cofnęli się więc pół kilometra, tam bowiem według mapy można było bezpiecznie zejść na dół. Breen kazał ludziom przyspieszyć kroku, cały czas utrzymując formację klina. U stóp wzgórza zwolnili tempo marszu, po części po to, by oszczędzać siły, a po części, by wypatrywać pasterzy czy rolników, którzy mogli wcześniej wyjść w pole. Niestety, zatrzymało ich coś, czego się nie spodziewali: znaleźli przenośną wyrzutnię scudów, której szukał F15E. Stała pod skałą, jakieś trzysta metrów w dole. Ciągnik schowany był pod płachtą maskującą. Iraccy żołnierze pospiesznie zakrywali ją chrustem,

chcąc zdążyć przed wschodem słońca.

Breen kazał ludziom zatrzymać się. Nie wzięli na akcję ładunków wybuchowych, ale mieli dziewięćmilimetrowe pistolety M9 i lekki karabin maszynowy M249. Na ich korzyść przemawiał też element zaskoczenia. Mogliby zdobyć scuda i podpalić zbiornik paliwa. Z drugiej strony, Irakijczycy mogliby zdążyć wezwać posiłki. Gdyby marines musieli uciekać, nie zdołaliby wykonać wyznaczonego im zadania, a zarazem mogłoby się to źle skończyć dla nich samych.

Breen niechętnie postanowił trzymać się pierwotnego planu. Przerwał jednak ciszę radiową, by zgłosić położenie wyrzutni. Dowództwo zgodziło się zaczekać z atakiem do czasu, aż komandosi się ewakuują.

Niestety, nic z tego nie wyszło. Irakijczycy przechwycili sygnał. Ich dowódca nie miał pojęcia, co zostało powiedziane, ale mógł się domyślić, o co chodziło. Postanowił przenieść się w inne miejsce i wezwał osłonę lotniczą.

Centralne Dowództwo wołało uniknąć potyczki na ziemi połączonej z walką powietrzną. To mogło doprowadzić do wybuchu wojny, zanim koalicja zdąży rozlokować wszystkie siły. Komandosom kazano kontynuować misję. Scudem miała zająć się zmechanizowana jednostka, przebywająca już na terenie Iraku. Była to mała grupa czołgów, nazwana na cześć dowódcy Wesołymi Rodgersami, której zadaniem było udzielenie pomocy 2. Brygadzie w ataku na strefę kontrolowaną przez iracką 29. Brygadę Zmechanizowaną. Czołgiści dysponowali łącznością satelitarną i odpowiednim zasięgiem ognia, by namierzyć i zdjąć wyrzutnię.

Breen i jego ludzie skierowali się w stronę celu. Wszystko szło po ich myśli do czasu, kiedy ruszyli w drogę powrotną. Do jaskini dotarli wczesnym popołudniem i zaszyli się tam do zachodu słońca. O zmroku podeszli do wieży nadawczej, podłączyli urządzenie nasłuchowe i wrócili tą samą drogą którą przyszli. Musieli ominąć szerokim łukiem wciąż dymiące szczątki Su7, ale Irakijczycy ich nie zauważyli.

Niestety, nieoczekiwana burza piaskowa uziemiła wszystkie apache. Komandosi mieli dwie możliwości. Zaczekać we wzgórzach, aż warunki się poprawią, albo zabrać się czołgiem, który miał poprowadzić w głąb terytorium Iraku szarżę, wspomaganą przez Wesółych Rodgersów.

Breen nie chciał wracać ze szczurami lądowymi, ale mieli za sobą męczący marsz, kończyły im się zapasy i trudno było przewidzieć, kiedy burza piaskowa przejdzie. Uznał, że bezpieczeństwo jego ludzi jest ważniejsze od dumy. Marines przystali na zaproponowane miejsce zbiórki i wyruszyli po zachodzie słońca. Do spotkania doszło o północy, czterdzieści

osiem godzin po lądowaniu w Iraku.

Człowiekiem, który zabrał komandosów, był Mike Rodgers, wówczas pułkownik. Marines zabrali się czołgiem M1 A1 Abrams. Podróż w kłębach kurzu trwała sześć godzin. Przez cały czas niemiłosiernie trzęsło. Komandosi to siadali, to kładli się na brzuchu na tylnej części wieżyczki i przednim panczerzu, nad zbiornikiem paliwa. Każdy z nich miał manierkę i zawinięty w folię kawałek suszonego mięsa indyczego. Jeszcze gorsze od warunków podróży było jednak to, że pułkownik Rodgers był dżentelmenem w każdym calu. Nie nabijał się z marines, że dali się podwieźć czołgistom. Więcej, pochwalił ich za to, że trzymali się pierwotnego planu, zamiast próbować zdobyć scuda.

- Ocaliliście wiele istnień ludzkich - stwierdził na koniec.

W bazie w Arabii Saudyjskiej czekała już ciężarówka transportowa marines. Pułkownik Rodgers odprowadził ich do niej.

- Do zobaczenia po wszystkim - powiedział, salutując dowódcy oddziału marines, i uścisnął jego dłoń. - Gdzie mogę cię znaleźć?

- W Pendleton - odparł Breen. Uśmiechnął się szeroko, a jego ludzie zaczęli wsiadać do ciężarówki. - Pewnie będę u kręgarza. Cały jestem połamany.

I wtedy Rodgers pozwolił sobie na jedyny przytyk pod adresem marines.

- Tacy jesteście dumni, że potraficie na okręcie ustać. Ja zawsze uważałem, że w wojsku bardziej przydaje się twardy tyłek.

- Będziemy to musieli kiedyś sprawdzić - odparł Breen. - A ty? Dokąd się wybierasz?

- Przesiedziałem za granicą pół życia. Chciałbym znaleźć coś w kraju.

- Jak już znajdziesz, daj znać - powiedział Breen. - Następnym razem stawiam kolację.

- Nie kolację. Broń Boże. Jestem jak Don Corleone. Przysługa za przysługa - Stoi - odparł Breen.

I rzeczywiście, spotkali się po wojnie, wkrótce po tym, jak Rodgers został zastępcą dyrektora nowo utworzonego Centrum Szybkiego Reagowania. Balowali wtedy w Waszyngtonie całą noc z jednym z nowych współpracowników Rodgersa, Bobem Herbertem. Na koszt Centrum. Rodgers słowem nie wspomniał o długu.

Aż do dziś.

W wiadomości nagranej na poczcie głosowej nie podał szczegółów. Stwierdził tylko, że być może będzie potrzebował pomocy przy zbieraniu informacji w San Diego. O cokolwiek chodzi, Breen mu to zapewni. A kiedy ta mała przygoda się skończy, zrobi coś, na co czekał piętnaście lat: zabierze Rodgersa na przejażdżkę najbardziej chybotliwym i mokrym pontonem, jaki znajdzie.

Rozdział 35

Waszyngton Wtorek, 17.43

Sypialnia Alexandre Hooda była w tej chwili nowocześnie wyposażona od większej części Centrum. Paul Hood popadł w wielkie przygnębienie na tę myśl. Dobrze przynajmniej, że w sumie nie musieli zaczynać od zera.

Wyjątkiem było Akwarium. Hood był tam w tej chwili. Nie pomagał w przywracaniu siedziby Centrum do stanu choćby minimalnej funkcjonalności. Nie uczestniczył w prowadzonych przez grupę saperów z Andrews poszukiwaniach innych ładunków wybuchowych. Odbierał telefony od przyjaciół i przedstawicieli władz. Dzwonił prezydent, potem senator Debenport. Senator spytał, czy zdaniem Hooda za zamachem stała USF. Hood przyznał, że ta możliwość brana jest pod uwagę. Debenport poinformował go, że komisja do spraw służb specjalnych postanowiła przyznać mu dodatkowe fundusze na usunięcie szkód. Hood podziękował, choć wiedział, dlaczego dostaje te pieniądze.

Zamienił kilka słów z dziennikarzem z „Washington Post” - był to jedyny wywiad, jakiego udzielił - i z Daphne Connors, z którą spotykał się od czasu do czasu. Teraz rozmawiał z Sharon. Jego była żona dowiedziała się o zamachu od znajomej z Pentagonu. Zadzwoiła, by upewnić się, że Paulowi nic się nie stało.

- Straciliśmy jednego człowieka i większość elektroniki - powiedział Hood.

- Przykro mi. Będziecie w stanie dalej robić swoje?

- Właśnie to sprawdzamy - odparł Hood. - Jak się ma dość pieniędzy, wszystko da się naprawić. - Zawiesił głos. Oprócz naszego małżeństwa, dodał w duchu. Był ciekaw, czy Sharon domyśliła się, czemu tak nagle zamilkł. Pewnie tak. Wciąż znała go jak nikt inny.

- Mogę jakoś pomóc? - spytała Sharon.

- Powiedz dzieciom, co się stało - odparł. - Spróbuję zadzwonić później. - Tego też nie powinien był mówić. Za często żegnał się z nią tymi słowami, kiedy byli małżeństwem. Poczul się, jakby wróciły dawne czasy. Nie było to przyjemne. - Chyba najgorsze w tym wszystkim jest to, że zobaczyłem przyszłość i to mnie przeraziło - dodał pospiesznie. - Nawet sobie nie wyobrażam, z jakimi lękami będą żyć nasze dzieci.

- Będziesz musiał, jeśli chcesz je zminimalizować - odparła Sharon.

Coś nowego. Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Hood wyraził wątpliwości co do sensu

swoich działań, a Sharon zachęciła go do wytężonej pracy. Świat stanął na głowie.

- Powiem dzieciom, że nic ci nie jest - ciągnęła Sharon. - I dam znać Frankiemu, że być może będzie musiał zmienić plany.

Przez chwilę Hood nie kojarzył, kto to jest Frankie. A, ten stażysta. Syn jego następcy.

- Nie, nie musisz - powiedział Hood. - Jeśli ma sprawny samochód i jest gotów robić za chłopca na posyłki, przyda się tu od zaraz.

- Na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu.

Hood podziękował jej za telefon i powiedział, że skontaktuje się z Frankiem, jak tylko będzie mógł. Wśród elektronicznego chaosu miło było poczuć oparcie w ludziach. Jak na ironię, ten fakt potwierdzał coś, co Mike Rodgers i Bob Herbert powtarzali od lat. W życiu, jak w operacjach wywiadu, za bardzo polega się na elektronice, a za mało na ludziach.

Hood zapisał numer komórki Frankiego w oprawnym w skórę notesie, który nosił w kieszeni koszuli. Dostał go przed kilkoma laty od Harleigh na Dzień Ojca. Zawartych w nim danych nie przeniósł do komputera, bo mu się nie chciało. Kolejny przykład ironii losu. Ciężko byłoby mu wygrzebać numer swego rosyjskiego odpowiednika, Siergieja Orłowa, ze składowiska danych, które Matt Stoli zebrał w Akwarium. Pod ręką miał za to numer stażysty Frankiego Hunta.

Z drugiej strony, ostatnio tak świetnie sobie radzisz z kryzysami, że może powinienes chłopakowi oddać klucze do królestwa. Na pewno nie poszłoby mu gorzej. Ciekawe, co by się stało, gdyby na dzień, dwa oddać władzę żółtodziobom. Czy wyzwoliłoby to w nich najlepsze czy najgorsze instynkty? Czy władza zabiłaby ich niewinność, czy też wiedzieliby intuicyjnie, że trzeba z nią bardzo uważać? Czy łamaliby ludzi i kariery tylko dlatego, że mieliby taką możliwość i byłoby to wygodniejsze, szybsze od otwartej dyskusji, czy też ich aniołowie Stróże poprowadziliby ich ku wyższym celom?

Zadzwoił do Frankiego, który powiedział, że może przyjechać jeszcze tego wieczoru. Hood odparł, że wystarczy, by był w Centrum następnego ranka. Frankie Hunt tryskał entuzjazmem. Nie spytał, czy niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Zwracał się nawet do swojego szefa per „panie dyrektorze”. Może Hoodowi nie będzie aż tak trudno nie winić go za „grzechy” ojca, jak się spodziewał.

W trakcie jego rozmowy z Frankiem przyszedł McCaskey. Hood zaprosił go gestem do środka. Łącznik z FBI najwyraźniej obszedł cały budynek. Już wcześniej wyglądał na wyczerpanego ciężką pracą. Teraz wydawało się, że był o krok od kapitulacji.

- Na mój honor, Paul, nie chcę, by okazało się, że to Amerykanie zrobili to Amerykanom - powiedział McCaskey. - Nie toczy my wojen domowych. Już nie.

- Jak to nie? Politycy dzień w dzień kásają się nawzajem - zauważył Hood.

- Tu zginął człowiek. Jest różnica.

- Wiem i nie chcę tego bagatelizować. Ale tak właśnie sobie siedziałem i myślałem, że wszyscy w tym mieście jesteśmy zabójcami. Co do jednego. Tyle że tak tego nie nazywamy. Mówimy, że to polityka.

- Wybacz, Paul, ale to zwykle pieprzenie. Wierzę, że jesteśmy po właściwej stronie, Centrum i większość Amerykanów. Reagujemy, kiedy dzieje się coś złego.

- Złego według jakiego kryterium?

- Tego - odparł McCaskey, kładąc rękę na piersi.

Hood spojrział na niego ze smutkiem. Nie chciał już teraz rozmawiać z pracownikami o nowej sytuacji. Ale może to był właściwy moment. Zamknął drzwi Akwarium i wrócił do stołu konferencyjnego. Usiadł obok McCaskeya.

- A gdybym ci powiedział, że kryteria się zmieniły? - spytał.

- W jakim sensie?

- A jeśli jedynym sposobem na przetrwanie Centrum jest służba partyjnym interesom? Nie tylko rozwiązywanie sytuacji kryzysowych, jak do tej pory, ale i prowadzenie brudnych operacji w kraju?

- Paul, o czym ty, do cholery, mówisz? Stało się coś, o czym nie wiem?

- Trafiła nas jeszcze jedna bomba - odparł Hood. - Prezydent i senator Debenport uznali, że USF stanowi zagrożenie dla kraju. Poprosili, żebyśmy wykorzystali zasoby Centrum i nasze śledztwo do powstrzymania senatora Orra.

- Zwariowali? - wybuchnął McCaskey. - Nie żyjemy w latach pięćdziesiątych. Wolałbym trzasnąć drzwiami niż...

- Niż co, Darrell? Szpiegować Amerykanów? FBI i CIA robią to na co dzień.

- To nie to samo. Najpierw trzeba mieć uzasadnione podejrzenia. Nie możemy pod pretekstem śledztwa zakłócać konstytucyjnie chronionego procesu.

- Rzecz w tym, że możemy - odparł Hood. - Prowadzimy zgodne z prawem dochodzenie...

- W sprawie zabójstwa. Ty proponujesz zupełnie co innego. To nieetyczne, Paul.

- Powiedz mi, co jest bardziej etyczne - spytał Hood. - Dać się trochę przycisnąć, by dalej móc czynić dobro? Czy unieść się dumą, zwinąć manatki i patrzeć, jak kolejne kryzysy uchodzą uwagi Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego?

- To argument stary jak świat, Paul. Czy dowódca może poświęcić jednego człowieka, by ocalić dziesięciu? Co wolno zrobić dla dobra ogółu?

- Argument jest stary, bo nie można tego jednoznacznie rozstrzygnąć - powiedział Hood.

- Oczywiście, że można. Jeśli człowiek szuka usprawiedliwienia, to znaczy, że najprawdopodobniej zrobił coś złego.

- Nieprawda - nie ustępował Hood. - Czasem trzeba pomyśleć o tym, co się robi, by w pierwszym odruchu nie uciec. To właśnie byłby strach.

- To wymówka.

- Nie, to rzeczywistość - odparował Hood. - Rzeczywistość, w której Amerykanie walczą z Amerykanami, czy się nam to podoba, czy nie. Powiedz, gdzie wylądaje Darrell McCaskey, kiedy stąd odejdzie albo kiedy komisja do spraw służb nas zlikwiduje? Wróci do Biura? Pójdzie do CIA, gdzie bezpieczeństwo narodowe jest najważniejsze, a etyka to tylko kwiatek do kożucha? Gdziekolwiek trafiłbyś, zaginąłbyś w systemie. Korupcja istniałaby nadal. Ty po prostu byś jej nie widział.

McCaskey nie odpowiedział.

- Dobrze nam szło - powiedział Hood. - Może za dobrze, by to mogło trwać.

- Moglibyśmy się nie zgodzić.

- Pewnie. I myślisz, że Debenport dałby nam pieniądze na wymianę zniszczonego sprzętu?

McCaskey wbił wzrok w swojego starego przyjaciela.

- Rozumiem, w czym rzecz, Paul, ale, wybaczone, nadal jest to dla mnie czysta sofistyka. To przykre, że prezydent w ogóle postawił cię w takiej sytuacji, po wszystkim, co dla niego zrobiłeś.

- On też ma szefów. Gdziekolwiek pracujesz, czasem musisz sprzątać gówno. My przynajmniej będziemy mogli robić swoje. Może nawet lepiej niż do tej pory, bo dostaniemy więcej pieniędzy.

- Ale za jaką cenę? - spytał McCaskey.

- Kompromisu.

McCaskey potrząsnął głową.

- Nie, nie mogę się na to zgodzić.

- To twój wybór - powiedział Hood. Był zasmucony, ale nie zaskoczony jego słowami. - Przynajmniej teraz łatwiej zrozumieć to, co przedtem mówiłem o umieraniu. Kiedy rano byłem w Białym Domu, długo słuchałem senatora Debenporta. Wyszedłem, przemyślałem wszystko, podjąłem decyzję. Ale drogo mnie to kosztowało, Darrell. Coś we mnie umarło jeszcze przed wybuchem tej elektromagnetycznej bomby.

McCaskey wyglądał, jakby przeszedł ostatni krok dzielący go od kapitulacji. Nie tak zaplanował swoje życie, nie tak je wiódł.

- Mogę coś zaproponować? - spytał Hood.

- Proszę bardzo.

- Rób to, co do tej pory, z powodów, dla których to robiłeś. Resztą będziemy martwić się później.

- Oszukiwałbym tylko samego siebie.

- Będzie ci lżej, jeśli zabójca i być może terrorysta pozostanie na wolności? - spytał Hood szorstkim, uszczypliwym tonem.

- Ale mi dałeś wybór - powiedział McCaskey cicho, patrząc na niego bez wyrazu.

- Może to dlatego, że jestem stary, ale nie przypominam sobie, by dokonywanie wyborów kiedykolwiek było łatwe.

McCaskey pokiwał głową z posępną miną.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy.

- To mi wystarczy - powiedział Hood z cieniem uśmiechu na ustach.

- Nie rozumiem tylko, Paul, jak to się stało, że znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Mike odszedł, budynek został wypatroszony, nasza uczciwość stanęła pod znakiem zapytania. Nawet ty musisz to przyznać.

- Przyznaję - odparł Hood ze smutkiem.

Centrum zawsze szczyliło się uczciwością. Tak samo Paul Hood. Teraz, choćby owinął sobie szyję albatrosem i zachwalał cnotę jak Stary Żeglarz z poematu Coleridge'a, już nigdy nie będzie miał czystego sumienia. Jeszcze gorsze od tego, że zawarł układ z Debenportem, było to, że nie przewidział, iż tak się to skończy. Myślał, że jest mądrzejszy.

- Później porozmawiamy o tym, jak to się stało - powiedział Hood. - Na razie bardziej mnie interesuje, dokąd zmierzamy i z kim. Mogę na ciebie liczyć?

- Dokończę, co zacząłem.

- To mi wystarczy. Dzięki.

McCaskey ruszył do drzwi.

- Powiedziałem Mike'owi, że zaczekam, aż się ze mną skontaktuje, zanim przycisnę Orra i Linka - powiedział. - Na razie sprawdzę, czy policja coś ma. Skupili się przede wszystkim na drugim zabójstwie.

Hood skinął głową.

- Jeszcze raz dziękuję - dodał.

- Nie ma sprawy.

Były agent FBI wyszedł i Hood znów został sam w Akwarium, mózgu Centrum zamkniętym w elektromagnetycznie chronionej czaszce. Sam, podczas gdy jego ludzie starali się przywrócić do życia pozostałe organy. Jednego chyba nie zdołają uratować. Tego, którego potrzebowali prawie tak bardzo, jak mózgu: serca.

Rozdział 36

Waszyngton Wtorek, 18.31

Darrell McCaskey zrobił dwa przystanki w drodze na policję. Pierwszy, by kupić cheeseburgera. Drugi, by zabrać żonę.

Maria nie prosiła o to, by włączyć ją do śledztwa. McCaskey wiedział jednak, że lubiła brudzić sobie ręce, a trudno o brudniejszą sprawę. Polityka i zbrodnia. Historia stara jak Księga Rodzaju. Nie powiedział jej o rozmowie Hooda z Debenportem. Zależało mu na tym, by obiektywnie przedstawić fakty. Chciał dowiedzieć się, co myśli o sprawie, a nie o jego osobistych odczuciach.

Śledztwo w sprawie obu zabójstw prowadziła specjalna komórka z komisariatu Pierwszego Dystryktu na 500 E Street SW, złożona z czterech sierżantów wypożyczonych z wydziału zabójstw. Na jej czele stał porucznik Robert Howell.

McCaskey przedził telefonicznie o swoim przybyciu. Howell powiedział, że będzie w komisariacie. Przyjął McCaskeyów w małym, schludnym gabinecie na piętrze. McCaskey rozmawiał z nim przez telefon dzień wcześniej, po tym, jak komendant Charlie Alterman zgodził się, by Centrum prowadziło dochodzenie w sprawie Wilsona. Dzięki temu Howell mógł nadal w nim uczestniczyć, w przeciwnym razie bowiem przejąłby je wydział zabójstw. A skoro powołano już specjalną komórkę, to automatycznie przydzielono jej też śledztwo w sprawie śmierci Lawlessa.

Na ścianie gabinetu wisiały zdjęcia Howeila i jego rodziców, i oprawione dyplomy z Wydziału Kryminologii uniwersytetu stanowego Florydy. McCaskey nie był tym zaskoczony. Trzydziestoparoletni porucznik wyglądał na „studenciaka”, jak takich nazywali w FBI. Był szczupłym, zadbanym sztywniakiem o krótkich rudych włosach i głęboko osadzonych oczach. Mówił z lekkim południowym akcentem. Jego biała koszula była mocno wykrochmalona, tak by się nie gnioła. Zagniecenia powstawały od potu, a pot był oznaką niepokoju i niepewności; na szkoleniach wpajano detektywom, że takich uczuć okazywać nie wolno. Howell stał, dopóki Maria nie usiadła. Był dobrze wychowany. To nie znaczyło jednak, że będzie skory do współpracy. McCaskey ośmieszył jego ludzi i zabrał im śledztwo.

Kiedy wszyscy usiedli, Howell zapewnił, że jest zaniepokojony i autentycznie wstrząśnięty tym, co stało się w Centrum.

- Oficjalnie czy nie, jesteśmy do waszej dyspozycji - dodał.

Te słowa dały McCaskeyowi cień nadziei. Ludzie o daleko sprzecznych interesach w obliczu tragedii mimo wszystko potrafili znaleźć wspólny język. Może inne ich zachowania - walka o władzę, polityczne rozgrywki, zawierane układy i łamane obietnice - nie były na tyle ważne, by się nimi przejmować.

- Dziękuję - powiedział McCaskey. - Właściwie to przyszedłem dlatego, że nie chciałem, by pomyślał pan, iż zamach przeszkodzi nam w śledztwie w sprawie Wilsona. Opiera się ono głównie na pracy w terenie, a ta jest kontynuowana.

- Poczyniliście postępy?

- Być może. Za kilka godzin skontaktuję się z jednym z moich ludzi. - Wolał nie mówić detektywowi, że Mike Rodgers zamierza przycisnąć ludzi Orra. Policja miejska miała za zadanie służyć obywatelom, faktycznie jednak służyła tylko szychom z rządu. To Kongres zatwierdzał jej budżet. Dlatego policjantom raczej nie przypadłyby do gustu bardziej bezpośrednie metody stosowane przez Centrum. - Macie coś nowego?

- Próbkę lakieru do paznokci i włókien z drugiego miejsca zbrodni - odparł Howell. - Ale to niewiele daje, bo po pierwsze, mogą pochodzić spoza hotelu, i po drugie, nie mamy podejrzanych.

- To znaczy, że próbek nie ma z czym porównać. Gdzie je znaleźliście?

- W srebrnej bransoletce zegarka Lawlessa. Mógł zaczepić o rękaw albo klapę żakietu zabójczym, próbując się bronić.

- Macie szczegółowe dane?

Howell skinął głową i podszedł do komputera. Otworzył wyniki badań laboratoryjnych.

- Lakier do paznokci to jedwabisty beż, produkowany przez Niles Polish, firmę z Chicago. Jest dostępny w całym kraju, więc ciężko ustalić, kto go ostatnio kupował. Porównaliśmy listę osób, które płaciły za niego kartą, z listą gości senatora Orra, ale nic to nie dało.

- Pewnie zapłaciła gotówką - stwierdził McCaskey.

- To po pierwsze, a po drugie, mogła go dostać w każdym sklepie z kosmetykami na terenie kraju. Co się tyczy włókien, pochodzą z granatowej satyny, takiej samej, z jakiej uszyta była suknia, którą widać na nagraniu z hotelowej kamery. Barwnik wyprodukowała Korporacja Chemiczna Fuchun z Chin, co nic nam nie mówi o samej sukni.

- Jeden z tych śladów nie pochodzi od zabójczyni - zauważyła Maria. - Chyba że ma okropny gust.

- To samo pomyśleliśmy. Lawless mógł zabrudzić się lakierem do paznokci, ściskając komuś dłoń lub biorąc zakupy od ekspedientki. Zdobyc strzykawkę to żaden problem. Sprawdzamy osoby, które mają odpowiednie kwalifikacje, by robić zastrzyki w jamie ustnej, no ale w samym mieście pracuje przeszło trzysta dentystek i higienistek. Do tego dochodzą tysiące lekarek, pielęgniarek, że o weterynarzach nie wspomnę. Zresztą, nawet nie wiadomo, czy zabójczyni jest stąd.

- Moim zdaniem tak - wtrącił McCaskey. - Myślę, że zabójstwo Roberta Lawlessa zostało zaplanowane na poczekaniu, by odwrócić uwagę od prawdziwych przyczyn śmierci Wilsona. Jeśli tak było, zabójczyni musiała nadal być w tej okolicy.

- To ma sens - powiedział Howell, odwracając bladą, nieprzeniknioną twarz od monitora. - Czy możliwy postęp w śledztwie, o którym pan wspominał, wiąże się jakoś z senatorem Orrem?

- Chcielibyśmy wykazać, że jest niewinny, jeśli to możliwe - odparł McCaskey.

- To znaczy, że on albo ktoś z jego biura jest podejrzany? - naciskał Howell.

- Nie. - Gdyby powiedział „tak”, Howell poinformowałby o tym podlegających mu detektywów, a ci przekazaliby tę wiadomość dalej. McCaskey nie chciał rozpuszczać plotek. - Detektywie, na pewno ma pan jakieś plany na wieczór, więc nie chciałbym zatrzymywać pana dłużej niż to konieczne. Czy macie inne ślady oprócz lakieru do paznokci i włókna satyny?

Howell potrząsnął głową.

- Ciężko było ruszyć z punktu wyjścia. Na zdjęciach z kamery monitoringowej niewiele widać, nie zgłosili się żadni świadkowie, a nasz psycholog ma za mało informacji, by sporządzić portret psychologiczny.

- Czy lekarz sądowy znalazł coś niezwykłego podczas sekcji Lawlessa? - spytał McCaskey.

- Nie. Przyczyna śmierci była dokładnie ta sama, co u Wilsona.

- Czy na którymś z miejsc zbrodni znaleziono włosy? - spytała Maria.

- I to dużo. Blond, ciemne, czarne, rude, siwe, nawet zielone. Pokoje hotelowe są sprzątane, ale nie aż tak dokładnie. Mamy trzydzieści siedem różnych kosmyków. Sześć z nich pochodzi od sprzątaczek. Sprawdzamy poprzednich gości, którzy nocowali w tym pokoju. To potrwa. Jeśli zabójczyni nosiła perukę, możliwe, że w ogóle nic z tego nie będzie.

McCaskeyowi nagle błysnęła pewna myśl. Że też nie wpadł na to wcześniej. Miał ochotę palnąć się w łeb.

- Wie pan co, detektywie, rzeczywiście jest coś, co moglibyście dla mnie zrobić. Jest tu komputer, z którego mógłbym skorzystać?

- Oczywiście. Na przykład mój. - Howell odwrócił się do klawiatury. - Co mam sprawdzić?

- Pan wybaczy, ale muszą to zrobić sam. Takie mamy przepisy w Centrum, rozumie pan.

- Tak, oczywiście.

- Jeśli chce pan iść do domu, zamkniemy gabinet...

- Nie, nie da rady. Też mamy swoje przepisy. Ale zaczekam na zewnątrz.

- Dzięki. Nie powinno to zająć więcej niż pięć minut.

Detektyw wyszedł, nie zamykając drzwi. McCaskey usiadł za jego biurkiem.

- Zamknąć? - spytała Maria, wskazując drzwi.

- Nie - odparł mąż. Wszedł na stronę Centrum, której awaryjna kopia zachowała się w Akwariium. Dzięki programowi napisanemu przez Stolla żaden z adresów, jakie wprowadzi, nie zachowa się w pamięci policyjnego komputera. Otworzył akta personalne z Dystryktu Kolumbii. Agencje wywiadowcze miały do nich dostęp, by w razie sytuacji kryzysowej móc przeprowadzić szybką kontrolę.

Maria stanęła za nim.

- Co jest takiego ważnego, że musisz to zrobić już teraz? - spytała.

- Zapomniałem o jeszcze jednej kobiecie. Minnie Hennepin, ta lekarka sądowa. Po pierwsze, umie robić zastrzyki, po drugie, w razie czego mogłaby przymknąć oko na ślad po ukłuciu.

- Mogłaby też być dyletantką, która załatwiła sobie dobrze płatną pracę po... jak to się mówi?

- Protekcji - dokończył McCaskey. - Nie można tego wykluczyć. Będziemy mądrzejsi, jak sprawdzimy jej przeszłość. - Wszedł do akt lekarki sądowej i przeczytał jej życiorys. - Znak ostrzegawczy numer jeden - powiedział. - Skończyła medycynę na uniwersytecie stanowym w Teksasie.

- Podobnie jak tysiące innych ludzi - zauważyła Maria. - To jeszcze o niczym nie świadczy.

- Mogę cię o coś prosić, skarbie? Nie rób na razie za adwokata diabła - poprosił McCaskey tak słodko, jak tylko potrafił.

- Czemu? Sam mówiłeś, że co dwie głowy, to nie jedna.

- Zgadza się. Ale to nie znaczy, że masz z miejsca odrzucać wszystko, co mówię.

- To nie było wszystko, tylko jeden szczegół.

- No dobrze. Przepraszam. Zostawmy to.

- Czy jeśli powiem coś wbrew tobie, uznasz, że bronię tej kobiety? Czy wtedy też stanę się podejrzana?

- Nie przesadzaj - powiedział McCaskey, patrząc na żonę. - Tak tylko głośno myślałem. Po prostu nie chcę być kneblowany, ledwo otworzę usta. Zresztą, zapomnij, że w ogóle coś mówiłem.

- To ty przesadzasz. Ja tylko powiedziałam, że fakt, iż ktoś pochodzi z Teksasu, może nic nie znaczyć. Każdy z wyższych rangą współpracowników senatora Orra pochodzi z jakiegoś stanu. To też znak ostrzegawczy?

McCaskey odwrócił się do monitora. Nie zamierzał drażnić tego tematu, miał nadzieję, że ona też nie. Nie chciało mu się tłumaczyć Hiszpance, że Teksaszczyków łączy wyjątkowa więź, że pomagają sobie nawzajem i że nie zdziwiłby się, gdyby senator Orr w podziękowaniu za oddaną przysługę zaproponował doktor Hennepin stanowisko ministra zdrowia. Tak, to było naciągane. Ale na tym polega praca detektywa.

McCaskey słyszał, jak Maria ciężko oddycha przez nos. Czytał dalej, próbując na nią nie zważać. Po odbyciu stażu w klinice w Cambridge w stanie Minnesota, doktor Hennepin dostała pracę na oddziale badań klinicznych Szpitala Wojskowego imienia Waltera Reeda. Z czasem awansowała na stanowisko zastępcy ordynatora i stanęła na czele zespołu nadzorującego badania na ludziach i zwierzętach oraz prace laboratoryjne. Kiedy nie wybrano jej szefem oddziału, uznała to za przejaw dyskryminacji i złożyła skargę w dyrekcji szpitala i komisji do spraw równouprawnienia. Po trzech tygodniach została zastępcą lekarza sądowego. Nie minął rok, a zajęła jego miejsce. Nic nie wskazywało, by ktokolwiek, z senatorem Orrem włącznie, jej w tym pomógł. Inna sprawa, że tego rodzaju informacje zostałyby usunięte, gdyby doktor Hennepin postanowiła zostać zawodową zabójczynią.

- No i jak? Znalazłeś inne symbole ostrzegawcze? - spytała Maria.

- Znaki. Nie jestem pewien.

- Ja też umiem robić zastrzyki - powiedziała cierpkim tonem. - Moja młodsza siostra Penelope ma cukrzycę.

- Wczoraj wieczorem byłaś ze mną. Słuchaj, skarbie, przecież przeprosiłem. Możemy zmienić temat?

- Z przyjemnością.

Sądząc z jej tonu, nadal była obrażona. Ta kłótnia nie umrze śmiercią naturalną, musiał przebić ją osinowym kołkiem i tyle. Zresztą, może tak naprawdę wina leży po jego stronie. Sugestie Marii jak dotąd były bardzo pożyteczne. Zamknął stronę Centrum, odwrócił się do żony i wziął ją za rękę.

- Maria, naprawdę potrzebuję pomocy, twojej pomocy - powiedział. - Dla ciebie znaczy to co innego niż dla mnie, ale to ja się myliłem. Powinienem być cię posłuchać.

- Tak tylko mówisz.

- Nie. Jestem zbyt rozdrażniony. Cała ta sytuacja, cały ten cholerny tydzień, to koszmar. Wybaczysz mi?

Przez chwilę wahała się, ale nie tak długo, jak wahałaby się, gdyby była naprawdę zła.

- No dobrze - powiedziała. - To pozwól, że zapytam cię o coś, co chodzi mi po głowie.

- Wal.

- Jesteś pewien, że zabójca był kobietą? - spytała.

- To znaczy, czy mógł to być mężczyzna w kobiecym stroju?

- Tak.

- Od razu przyszło mi to do głowy. Pytałem nadinspektora Daily'ego, czy Wilson miał takie skłonności. Scotland Yard sprawdza wysoko postawione osoby pod tym kątem, by zapobiec ewentualnym próbom szantażu, które mogłyby być niekorzystne dla gospodarki. Chcą też zaoszczędzić królowej skandalu, jakim byłoby nadanie tytułu szlacheckiego komuś, kto rozpowszechnia pornografię. W każdym razie Yard twierdzi, że Wilson był hetero.

- Wilson mógł nie wiedzieć, że umówił się z mężczyzną - odparła Maria. - Niektóre z „kobiet” bawiących się w Los Pantalones Para Vestir a Club w Madrycie są bardzo przekonujące.

- Jest taka możliwość - przytaknął jej mąż, wyglądając na korytarz. Detektyw Howell kręcił się przy drzwiach jak boja na wzburzonym morzu. - Chodź - powiedział, wciąż trzymając Marię za rękę. - Napijemy się kawy i pomyślimy, co dalej.

- Ja już mam pewien pomysł, jeśli wolno.

- Zamieniam się w słuch - odparł, kiedy wyszli z gabinetu. Podziękował detektywowi Howellowi i powiedział, że będzie w kontakcie.

Maria zatrzymała się, zanim Howell zdążył wejść do gabinetu.

- Detektywie, moglibyśmy skorzystać z waszego laboratorium, gdyby zaszła taka potrzeba?

- Oczywiście. - Policjant wszedł do gabinetu, zapisał numer telefonu na kartce i dał ją Marii.

- Dziękują. Nie wiem, czy się przyda, ale dobrze to mieć na wszelki wypadek.

McCaskeyowie ruszyli w stronę schodów.

- Co ty knujesz? - spytał Darrell.

- Suknia to klucz - powiedziała Maria, kiedy zaczęli schodzić betonowymi schodami

na dół.

- Zgadzam się. Dlatego właśnie wysłałem zdjęcia z kamer monitoringowych do okolicznych projektantów, żeby sprawdzić, czy rozpoznają...

- Nie dowiemy się, kto ją kupił - powiedziała, kręcąc głową. - To tak, jak z tym lakierem do paznokci. Chodzi mi o to, że musimy ją znaleźć.

- Zajął się tym jeden z moich ludzi. Kazał przeczesać pojemniki ze śmieciami, fontanny, a nawet staw obok Hay-Adamsa.

- Nie wyrzuciła jej.

- Skąd wiesz?

- Wiadomo było, że tam będziecie szukać najpierw. Nasza zabójczym...

- Jest doświadczona. Słusznie. Z drugiej strony, mogła wrzucić suknię do kominka albo do pieca.

- W piecu mogłaby nie spalić się doszczętnie - powiedziała. - Ale rzeczywiście, kominek by się nadawał. Kto z potencjalnych podejrzanych go ma?

- Nie wiem - odparł. - Nawet jeśli się tego dowiemy, będziemy musieli mieć powód, by zażądać nakazu rewizji. „Bo ma kominek” nie wystarczy.

- Nakaz może nie być potrzebny. Być może nawet nie będziemy musieli wchodzić do środka. Jeszcze nie.

- Nie rozumiem.

- Wiem - powiedziała z uśmiechem Maria. - Patrz i się ucz.

- Au.

- Wracajmy do domu. Musimy sprawdzić parę rzeczy, a potem znów ruszymy w miasto.

McCaskey przystał na jej plan, ale nie tylko dlatego, że dyskusja nie miałaby sensu, czy dlatego, że jego żona była świetnie wyszkoloną agentką - o czym zapomniał, tak był zmęczony i zdenerwowany. Wystarczyło pomyśleć logicznie. Kobieta zapędziła mężczyznę ze Scotland Yardu, Centrum Szybkiego Reagowania i policji w ślepy zaułek.

Może inna kobieta będzie w stanie ich stamtąd wyprowadzić.

Rozdział 37

San Diego, Kalifornia Środa, 7.01

Niski, krępy Eric Stone zawsze miał mieszane uczucia wobec historii.

Nie można było jej zmienić, a jeśli w jakikolwiek sposób wpływała na terażniejszość, to i tak nic się nie dało z tym zrobić. Co więcej, nie wierzył, by ludzie mogli się z niej czegokolwiek nauczyć ani by z powodu jej nieznamośności skazani byli na popełnianie tych samych błędów. Zawsze były pewne niuanse, które sprawiały, że nic nie zdarzało się dwa razy. Cezar nie był Napoleonem, Napoleon nie był Hitlerem, a Hitler nie był Stalinem. Zresztą, co było istotne dawniej, teraz nie miało znaczenia. Ilu ludzi, starych czy młodych, potrafiło wymienić choć jedno z dokonań Calvina Coolidge'a? Czy choćby powiedzieć, kim był?

Podczas gdy turyści i goście konwencji zbierali się w San Diego, Stone robił swoje. Sprawdził stoiska, na których uczestnicy dostawali identyfikatory, upewnił się, że dziennikarze przyjechali i rozstawili sprzęt, ustalił, że autobusów jest dosyć, by przywieźć delegatów z pobliskich hoteli. Nie obchodziło go, że przed dwudziestoma tysiącami lat plemiona łowieckie z południowowschodniej Azji przeszły po lodowym moście Beringa i powędrowały na południe, by polować na karibu, bizona i mamuty. Nie miało dla niego znaczenia to, że pierwszym Europejczykiem w tych stronach był Juan Rodríguez Cabrillo, który w 1542 roku przyплыł do Zatoki San Diego z Meksyku i w imieniu Hiszpanii objął władanie nad tą ziemią. Nieistotne było to, że przybyły tu sześćdziesiąt lat później, również z Meksyku, Sebastian Vizcaino, nazwał ten region na cześć hiszpańskiego świętego San Diego de Alcalá. Czy tubylcy polowali na ptaki dodo, czy Hiszpanie tak naprawdę byli Francuzkami, nic z tego się nie liczyło. Trzydziestoletni Stone koncentrował się na chwili obecnej i nie miał z tego powodu wyrzutów sumienia. Było to konsekwencją czasu spędzonego w Indianapolis u boku pięćdziesięcioletniego ojca, Phila, umierającego na stwardnienie zanikowe boczne. Chorobę Lou Gehriga. Nie tylko umierał, ale wręcz rozpadał się w oczach. Jego ręce i nogi kurczyły się, mięśnie zanikały, narządy przestawały funkcjonować. W przeblysku świadomości na krótko przed tym, jak zaczął rozkładać się żywcem, Stone senior powiedział jednemu synowi, jak wielu rzeczy w swoim życiu żałuje. Tego, że został mechanikiem, nie malarzem. Że nie spędzał więcej czasu z Erikiem, zamiast

chodzić na kręgle i pić z kumplami.

- Przecież miałem kumpla - szepnął. - Najlepszego na świecie. - Dotknął głowy osiemnastoletniego Erika dłonią, której palców nie mógł już w pełni wyprostować. - Mogłem mieć lepsze życie.

Były to jego ostatnie słowa przed tym, jak mięśnie jego twarzy przestały działać. Przez ostatni miesiąc życia leżał z opadniętą szczęką i oczami wlepionymi w aluminiową poręcz łóżka. Nie zostało mu nic, oprócz nielicznych wspomnień, jakie przebijały się do jego otumanionej lekami świadomości. Eric Stone postanowił wtedy już nigdy niczego nie żałować. Żyć chwilą. Innymi słowy, zdobyć władzę.

Choroba Stone'a seniora pochłonęła wszystkie oszczędności rodziny i uniemożliwiła Ericowi osiągnięcie dobrych wyników w szkole. Jediną szansą na zdobycie wyższego wykształcenia było zaciągnięcie się do wojska. Ponieważ całe życie spędził wśród pól w spichlerzu Ameryki, wstąpił do marynarki, gdzie wpadł w oko kontradmirałowi Linkowi. To było w San Diego, po wojnie w Zatoce Perskiej. W ośrodku badań nad bronią kosmiczną i morską urządzono przyjęcie dla wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Ośrodek ten dostarczył przeszło połowę taktycznych i nietaktycznych środków zarządzania informacjami zastosowanych przez marynarkę wojenną podczas wojny.

Aby mieć czym opłacić rachunki, Eric zatrudnił się jako kelner w firmie cateringowej. Przydzielono go do obsługi tamtego przyjęcia, odbywającego się na świeżym powietrzu. Coś w jego zachowaniu zwróciło uwagę Linka. Może jego skupienie. Niósł tacę tak ostrożnie, jakby miał na niej nitroglicerynę. Choć jego galowy mundur falował na wietrze, nie uronił ani kropli szampana.

Eric Stone żył chwilą.

Link polecił przenieść go do prowadzonego przez siebie wydziału ukierunkowanego na zamiary i gromadzenia danych. Pod tym określeniem kryło się zbieranie informacji przy użyciu środków fotograficznych, elektromagnetycznych, akustycznych, sejsmicznych, węchowych, wizualnych i innych. Wykorzystywano w tym celu wszystko - od satelitów przez samoloty po układy rozmieszczonych w ziemi czujników. Stone podjął pracę w dziale księgowości. Na prośbę Linka zdołał skłonić dostawców sprzętu do obniżki cen, dzięki czemu wydział zyskał więcej środków na inne wydatki. Żadnych łapówek, lewych faktur, tajnych funduszy, wszystko legalne. Chodziło tylko o usprawnienie funkcjonowania instytucji. Link dopilnował, by Stone nauczył się wszystkiego, co trzeba. Przez trzy lata, które spędzili razem, był jego mentorem.

Ośrodek badawczy był dla Linka trampoliną do CIA. Zanim przyjął propozycję

objęcia stanowiska szefa sekcji dalekowschodniej, poprosił swego podopiecznego, by skontaktował się z nim po zakończeniu służby. Stone tak też postąpił i dostał pracę w biurze inspektora generalnego. Akurat był wakat na stanowisku audytora systemów informacyjnych. W zakres jego obowiązków wchodziła analiza skuteczności programów i działań Agencji. Jednocześnie chodził na zajęcia z księgowości, prowadzone na Uniwersytecie Wirginii Północnej. Po trzech latach obronił pracę magisterską. W tym samym roku wszedł do grona najbliższych współpracowników Linka, ze stosownie wysokim zaszczerowaniem i certyfikatem bezpieczeństwa dającym dostęp do wszystkich tajemnic państwowych. Jego pierwszym zadaniem było dopilnowanie, by agenci w Azji, który to obszar podlegał odpowiedzialności Linka, dostali wszystkie przeznaczone dla nich pieniądze. Dwa lata później był już asystentem admirała. Nie spotykali się towarzysko poza biurem. W pracy jednak byli jak ojciec i syn, chronili się nawzajem w cieniu bezwzględnej i złożonej biurokracji i starali się, by sekcja sprawnie funkcjonowała.

Stone nigdy nie wyobrażał sobie admirała w roli działacza politycznego. Jak jego młodszy współpracownik, Link zdawał się być całkowicie skupiony na chwili obecnej, na zadaniu, które akurat miał do wykonania. Tym większy był szok Stone'a, kiedy przed sześcioma miesiącami szef wezwał go do siebie i zamknął drzwi.

- Senator Donald Orr zamierza utworzyć nową partię polityczną i kandydować na prezydenta - powiedział wtedy Link. - Chcę z nim współpracować.

- Czemu? - spytał Stone.

Odpowiedź była dla niego zaskoczeniem.

- By go powstrzymać.

Link poznał senatora kilka miesięcy wcześniej, na zebraniu kongresowej komisji do spraw planowania działań wywiadowczych. Orr był pod wrażeniem przedstawionej przez admirała wnikliwej analizy zagrożenia ze strony komórek terrorystycznych przenoszących się z Filipin, Malezji i Indonezji do Chin. Między jej wierszami wyczytać można było tezę, że jeśli Pekin obejmie kontrolę nad międzynarodowym terroryzmem, Chiny zyskają potężną broń w walce z agresją Zachodu. W zebraniu uczestniczył też Paul Hood z Centrum Szybkiego Reagowania, który przedstawił raport na temat najnowszych prób powstrzymania chińskiej ekspansji na rynku handlu diamentami w Afryce Południowej. Link zaproponował wszczęcie „cichej wojny” przeciwko Pekinowi; miała ona polegać na podsycaniu niepokoju wśród studentów i wspieraniu separatystycznych tendencji w prowincjach przygranicznych. Jeśli Chińczycy zajmą się tłumieniem rozruchów wewnętrznych, nie będą mieli czasu zawracać sobie głowy Stanami Zjednoczonymi i Europą.

„Cicha wojna” została zaaprobowana i przydzielono fundusze na jej prowadzenie. Po zebraniu Orr wziął Linka na stronę. Powiedział, że chce pójść krok dalej. Zaproponował, by szkolić agentów CIA w dokonywaniu aktów terroru w stolicach obcych państw. Nazwał to „opcją ataków przeciwko cywilom”. Akcje te, wymierzone w infrastrukturę, miałyby wyrządzać większe szkody niż wszelkie dotychczasowe zamachy terrorystyczne. Na następnym zebraniu Link dowiedział się, że połowa członków komisji odrzuciła propozycję Orra z oburzeniem. Druga połowa zaś uznała, że pomysł nie jest zły i powołała złożoną z sześciu kongresmanów podkomisję, która miała go przeanalizować.

Link był wstrząśnięty. Obserwować terrorystów, podejmować działania wyprzedzające to jedno, ale wykorzystywać służby bezpieczeństwa do wspierania polityki, jak ją określił Orr, „agresywnego izolacjonizmu”, to zupełnie co innego. Link był jednak zbyt dobrym oficerem wywiadu i zbyt doświadczonym biurokratą, by powiedzieć Orrowi, co myśli. Wręcz przeciwnie. Zachęcił go do mówienia. Trzeba wiedzieć, co myśli potencjalny przeciwnik. Postanowił nic nie robić w związku z jego propozycją, dopóki podkomisja nie wyda w związku z nią jakichś zaleceń.

Do tego jednak nie doszło. Podkomisja uznała, że plan jest zbyt ryzykowny; gdyby coś poszło nie tak, mogłoby wyjść na jaw, że Kongres wydał zgodę na ataki przeciwko celom cywilnym. Link był zaniepokojony tym, że w uzasadnieniu decyzji słowem nie wspomniano o względach moralnych. Chodziło tylko o zachowanie stołków.

Orr pogodził się z porażką z właściwym sobie teksańskim wdziękiem, ale nie porzucił swoich planów. Opanowała go obsesja na punkcie „akcji przeciwko cywilom” i agresywnego izolacjonizmu. Nieoficjalnie wciągnął admirała Linka do swojej krucjaty, zakładał bowiem, że żołnierz i szef wywiadu uzna jego poczynania za słuszne.

Link wyznał Stone’owi, że to założenie jest mylne. Admirał trzyma się blisko Donalda Orra, bo chce poznać jego plany. Był przekonany, że Orr jest niebezpiecznym człowiekiem: takim, który ma złe pomysły i na tyle duży urok osobisty, by wcisnąć je ludziom.

Poranek był rześki, jak to zwykle nad Zatoką San Diego. Kręcone blond włosy tańczyły na czole Stone’a. Słona bryza niosła słaby zapach dieslowskiego paliwa. Unikalna woń benzyny i stali, fetor czekającej w uśpieniu wojny nadciągał znad bazy marynarki wojennej położonej na południowy wschód od centrum konferencyjnego. Warkot samochodów na zakorkowanej Harbor Drive mieszał się z okrzykami mew i rykiem samolotów lądujących co kilka minut na oddalonym o parę kilometrów lotnisku. Jego zmysły były atakowane ze wszystkich stron, ale Stone’owi to nie przeszkadzało. Był oazą spokoju wśród politycznej i ekologicznej anarchii. Sytuacja tego wymagała. To, co stanie się wkrótce,

zmieni historię świata.

To się nazywa złośliwość losu. Jeszcze niedawno nie chciał mieć z historią nic wspólnego. Teraz zależało mu tylko na osiągnięciu celów wytyczonych przez Kennetha Linka. Cele te były niezwykle i wymagały zastosowania nadzwyczajnych środków. Ale wszystko pójdzie dobrze.

Nie ma innego wyjścia.

Okazał strażnikowi przepustkę i wszedł do centrum konferencyjnego. Na południowej ścianie wisiała flaga USA, na północnej zaś sztandar USF. Właśnie je prasowano. Potem zostaną zwinięte. Załopoczą znowu dopiero na oficjalnym otwarciu konwencji. W dole ustawiano krzesła, których oparcia nakryte były złotoniebieskimi narzutami. Były to oficjalne barwy konwencji, symbolizujące świt na bezchmurnym niebie. Hasło konwencji brzmiało: „Nowy dzień dla Ameryki”.

Tak, to będzie nowy dzień. Ale nie taki, jakiego oczekiwał Don Orr.

Stone wszedł na mównicę, by sprawdzić, jak postępują prace nad systemem nagłośnienia. Zastał tam kongresmankę z Teksasu, Nicolet Murat, która czekała na próbę mikrofonu. Następnego dnia miała wygłosić mowę programową. Pochodziła z rodziny, która zbiła fortunę na ropie, i była przymierzana do stanowiska sekretarza skarbu w administracji Orra. Stone z krzywym uśmiechem przywitał się z kongresmanką i jej asystentką. To niesamowite uczucie być częścią wielkiej maszyny, której wszystkie tryby i trybiki są już prawie gotowe do uruchomienia. I to nie w sposób przewidziany przez jej projektanta.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Czym jest martwa historia w porównaniu z bujnym, burzliwym życiem?

Rozdział 38

Waszyngton Środa, 11.33

W domu McCaskeyowie niewiele zrobili. Usiedli na łóżku, położyli laptopa między sobą i przejrzyli listę podejrzanych: Kendra Peterson, Kat Lockley, doktor Hennepin. Mike Rodgers przypomniał o dziennikarce, Lucy O'Connor, która pisała relacje z Kongresu. Była na obu miejscach zbrodni wkrótce po zabójstwach. McCaskeyowie sprawdzili jej przeszłość. Życiorysy wszystkich osób posiadających przepustki na Kapitol były zamieszczane na stronie internetowej Kongresu, w jej niedostępnej dla ogółu części. O'Connor pracowała w „American Spectator” i prowadziła dość popularny radiowy talkshow. Pochodziła z Pittsburgha, skończyła komunikację społeczną na Uniwersytecie Camegie-Mellon.

- Chodziła też na zajęcia z łączności międzyplanetarnej i zaliczyła kilka kursów w instytucie robotyki na Wydziale Informatycznym - zauważył McCaskey.

- I co ci to mówi? - spytała Maria.

- Lubi poszerzać horyzonty.

Wrócili na komisariat. Ludzie Howella przeprowadzili już część niezbędnych rutynowych czynności; ustalili adresy, numery rejestracyjne i marki samochodów należących do podejrzanych. Zlokalizowali też kamery monitoringowe zainstalowane najbliżej ich miejsc zamieszkania: w podziemnych parkingach, holach apartamentowców, sklepach spożywczych, bankach, na stacjach benzynowych i skrzyżowaniach. Te ostatnie miały wyłapywać kierowców przekraczających prędkość i potencjalnych terrorystów. McCaskeyowie zamierzali odwiedzić wszystkie te miejsca, pożyczyc taśmy z nagraniami i poszukać na nich jednej z podejrzanych.

A zamiast tego zasnęli. Lata, kiedy mogli zasuwać dwadzieścia cztery godziny na dobę, bezpowrotnie minęły. Teraz potrzeba im było odpoczynku.

Maria wstała o wpół do szóstej. Wzięła prysznic, zaparzyła kawę i obudziła męża. McCaskey był niezadowolony, że poprzedniego wieczoru tak go ścięło z nóg. O wpół do siódmej przyszedł do kuchni. Wypili kawę i zjedli razowe grzanki. O siódmej byli już w drodze.

McCaskey ostami raz pełnił służbę patrolową, kiedy był jeszcze debiutantem - jak w żargonie FBI określano pierwszorocznego agenta. Już zapomniał, jakie to męczące. A może

aż tak się postarzał. Gdyby nie to, byłaby to całkiem przyjemna robota. Maria podchodziła do niej wręcz z entuzjazmem. Uwielbiała uczestniczyć w śledztwach i była spostrzegawcza jak mało kto. Stwierdziła, że zabójczynie prawdopodobnie wracała z miejsc zbrodni samochodem. Samotna kobieta idąca pieszo po zmroku na pewno rzuciłaby się w oczy. Mogliby to zauważyć klienci barów czy restauracji lub przejeżdżający kierowcy. To pomogłoby policji ustalić, dokąd poszła. Gdyby pojechała metrem, uchwyciłaby ją kamera. O taksówce czy limuzynie w ogóle nie mogło być mowy. Szoferzy zwracali uwagę na pasażerów po części ze strachu, a po części, by mieć się czym pochwalić kumplom, gdyby do wozu wsiadł ktoś sławny.

Jeśli zabójczynie rzeczywiście prowadziła samochód, musiała jechać powoli. Nie mogła ryzykować, że zatrzyma ją policja. Mogliby spytać, gdzie była. Jeśli wypijała drinka z Wilsonem, policjanci mogli poczuć od niej alkohol i zrobić jej badanie trzeźwości.

Ta wersja wypadków opierała się głównie na przypuszczeniach, ale doświadczenie, dedukcja i instynkt bywały równie istotne jak fakty, zwłaszcza przy braku mocnych dowodów, jak w tym przypadku. McCaskey myślał o tym, kiedy jeździli z miejsca na miejsce. Legitymacja Centrum Szybkiego Reagowania dała mu dostęp do kaset wideo i nagrań cyfrowych. Nic ciekawego na nich jednak nie znaleźli. Kamery nie uchwyciły żadnego z interesujących ich samochodów.

Maria siedziała za kierownicą, McCaskey patrzył na mijane znajome witryny sklepowe i okna biur. Przyszła mu do głowy niepokojąca myśl. W ubiegłym stuleciu największym zagrożeniem dla tych księgi, barów, kancelarii adwokackich, urzędów i banków byłby pożar. Dziś zniszczyć mógł je ogień innego rodzaju. Ten sam, którego ofiarą padło Centrum. Był ciekaw, czy nadejdą kiedyś czasy, w których ludzie nie będą musieli bać się życia tak bardzo, jak boją się śmierci.

Nieprędko, jeśli niczego nie zmienimy, powiedział sobie w duchu.

Fundusze przeznaczone na zwalczanie zagrożeń rozdzielano według kryteriów politycznych, a nie na podstawie rzetelnej oceny sytuacji. Tacy ludzie jak on, Maria i detektyw Howell nie byli w stanie robić tego, czego oczekiwała od nich Ameryka.

- A może wynajęła samochód? Jak myślisz? - spytała Maria.

- Słucham?

- Zabójczynie - powiedziała Maria powoli. - Myślisz, że mogła wynająć wóz?

- Zdziwiłbym się - odparł. - Zawodowi zabójcy starają się nie zostawiać po sobie niczego na piśmie.

- Nie sądziła, że jej rola w śmierci Wilsona wyjdzie na jaw.

- Fakt.

- Poza tym na pewno miała fałszywe dokumenty - ciągnęła Maria. - Doświadczony zabójca nosi kilka zestawów.

- Możemy to sprawdzić, jeśli pomysł z kamerami nie wypali. Ale w Waszyngtonie musi być ze sto biur wynajmu. Trzeba wielu dni, żeby wszystkie odwiedzić, a poza tym, o co właściwie mielibyśmy pytać?

- Pokażemy właścicielom zdjęcia wszystkich czterech kobiet, może któryś rozpozna jedną z nich. Albo jeszcze lepiej, sprawdzimy, czy nie uchwyciły ich kamery zamontowane w wypożyczalniach. Żadna nie miała powodu, by wynajmować wóz.

- Niegłupi pomysł.

To była kolejna różnica między dniem dzisiejszym a czasami, kiedy był świeżo upieczonym agentem. Dwadzieścia parę lat temu do takiej sprawy jak ta, przydzielono by kilkunastu agentów. Teraz musieli radzić sobie we dwoje.

- Dobrze się czujesz, Darrell? - spytała Maria.

- Słucham?

- Jesteś jakiś nieprzytomny.

- Tak. Zamyśliłem się, to wszystko.

- Nad czym?

- Ręka rękę myje - powiedział i parsknął śmiechem.

- To jakieś przysłowie?

- W pewnym sensie - odparł McCaskey. Kochał swoją piękną, słodką Hiszpankę. Była tak obyta w świecie, tak twarda, a przy tym tak prostolinijna. - Masz wpływy, to idziesz do senatora, a on wyklada ci na tacę fundusze federalne. Tak się określa kumoterstwo.

- Rozumiem. Bukmacherzy w Madrycie nazywają to el roulette del amigo.

- No właśnie. Ruletka przyjaciela. Kasa wyłożona, wynik ustalony.

- Czemu o tym pomyślałeś?

- Bo Centrum padło ofiarą takiej właśnie polityki. Może Paul ma rację, że robi to, co robi. Gdybyśmy lepiej się urządzili w ramach systemu, mielibyśmy teraz więcej ludzi. A o to przede wszystkim powinno nam chodzić, zgadza się? O ochronę praworządnych obywateli.

- To dla mnie świętość - stwierdziła krótko.

- Dobrze powiedziane. - McCaskey znów wyjrzał przez szybę. Dojeżdżali do Lafayette Park. - Jesteśmy blisko Hay-Adamsa. Może tam zajrzemy? Przejdziemy się po okolicy, a nuż coś nam umknęło.

- Dobrze.

Dlatego właśnie dobrze było mieć policjantkę za żonę. Może i musiał jej tłumaczyć angielskie kolokwializmy, ale za to doskonale rozumiała, jak ważne są przeczucia, i w życiu, i w pracy.

Podjechali do hotelu o jasnej fasadzie połyskującej ciepło w porannym słońcu. Zaparkowali wóz i postanowili przejść się ulicą Farragut North. Biały Dom lśnił między drzewami parku. McCaskey zauważył dziennikarzy zgromadzonych w namiotach po wschodniej stronie budynku. Prezydent pewnie jechał na lotnisko. Był dopiero środek tygodnia, za wcześnie na wypoczynek w Camp David. McCaskey wspominał z nostalgią czasy, kiedy media same szukały materiałów, zamiast czekać, aż dostarczy im je rzecznik prasowy. Dawniej znalazłby się ktoś, kto wywęszyłby poufne kontakty między Białym Domem a Centrum Szybkiego Reagowania, ujawnił je i nie bał się o tym napisać. Dostęp do osób na świeczniku. To też forma protekcji.

McCaskey wziął żonę za rękę. Ścisnęła jego dłoń, by dodać mu otuchy. Zdawała się wyczuwać jego irytację tą sprawą i sytuacją w Centrum.

- Dopadniemy ją - powiedziała.

- Dzięki. Wierzę w to.

Nagle Maria zatrzymała się w pół kroku. Spojrzała przed siebie.

- Nie, ja mówię poważnie.

- Nie rozumiem.

- Właśnie myślałam o tej kobiecie, o tym, co zrobiłabym, gdybym zabiła kogoś w tym hotelu - powiedziała Maria. - Nie miałabym wyrzutów sumienia, nie przejmowałabym się, że jest późno. Zależałoby mi tylko na tym, żeby jak najszybciej uciec. To znaczy, że zaparkowałabym wóz jak najbliżej hotelu, na w miarę ciemnej ulicy.

- To oczywiste.

- I tam, gdzie widziałoby mnie możliwie najmniej osób. To znaczy gdzie?

- Od strony Lafayette Park - odparł jej mąż. - Blisko miejsca, w którym zaparkowaliśmy my.

- No właśnie. Darrell, myślisz, że mógł tam wtedy być któryś z reporterów? Może akurat nadawał relację na żywo?

- To bardzo możliwe - przytaknął. - Ale kamery tak czy inaczej byłyby zwrócone w stronę Białego Domu, nie parku.

- Może włączyli je wcześniej.

McCaskey spojrzał w tamtym kierunku. Wątpliwa sprawa, ale cóż, niczego nie można wykluczyć. Nagle coś mu przyszło do głowy. Coś, co sprawiło, że zaczął dostrzegać dobre

strony podpisania cyrografu z diabłem.

- Może kamery w ogóle nie będą nam potrzebne - powiedział.

- Czemu?

- Bo jeśli zabójczyni szła tędy, mógł ją widzieć ktoś inny.

Nie mówiąc ani słowa więcej, zabrał Marii telefon komórkowy i ruszył rażno w stronę parku.

Rozdział 30

Waszyngton Środa, 11.54

Jurij i Swietłana Krasnowowie być może wiedzieli, jaki czeka ich los. Mieli zakodowany w genach typowo rosyjski pesymizm, odziedziczony po rodzicach chłopach. Na pewno jednak nie przewidzieli losu swojego syna.

Młoda para przeniosła się do Stanów Zjednoczonych w czasie zimnej wojny. Zamieszkali w Arlington, w Wirginii, i zatrudnili się w ambasadzie sowieckiej. Ona jako stenotypistka, on jako tłumacz. Swietłana była też szyfrantką i pomagała w tłumaczeniu przechwyconych komunikatów wojskowych i rządowych. Jurij przekładał na rosyjski meldunki szpiegów zwerbowanych spośród rodowitych Amerykanów. Pewnego ranka, trzy miesiące po ich przyjeździe, Krasnowów zaczepił oficer CIA. Zaproponował im współpracę. Dopytywał się, kim są ich informatorzy, CIA chciała bowiem ich wykorzystać do dezinformowania Kremla. W zamian obiecał, że kiedy przyjdzie termin powrotu Krasnowów do Moskwy - pracownicy ambasady zmieniali się co półtora roku, by za bardzo nie przyzwyczaić się do amerykańskiego stylu życia - a oni będą chcieli zostać, władze przyznają im azyl polityczny. Gdyby ich współpraca z CIA wyszła na jaw wcześniej, mieli natychmiast zostać przewiezieni w bezpieczne miejsce.

Krasnowowie do tego czasu zdążyli już dobrze poznać Stany Zjednoczone. Podobało im się tu. Poza tym mieli sześciolletnią córkę i czteroletniego syna i chcieli, by ich dzieci dorastały w kraju równych szans. W kraju, gdzie nie ma kolejek po chleb i można mówić i myśleć, co się chce.

Wpadli siedem miesięcy później. Agent, którego zadaniem było szpiegowanie szpiegów, przeczytał raport jednego z kretów i ponownie zapieczętował, zanim Jurij dostał go do tłumaczenia. Podstęp został wykryty. Krasnowowie uciekli. Zostali przeniesieni do Wisconsin i nadano im nowe nazwisko, Brown, wybrane przez Swietłanę, wielbicielkę „Fistaszków”.

Mała Fajina i jej braciszek Władilen wyrosli na Amerykanów i trudno byłoby znaleźć większego patriotę od Włada.

Ledwie skończył osiemnaście lat, wstąpił do marines i okazał się niezwykle biegły w obsłudze M14. Strzelać nauczył się na polowaniach, na które zabierał go ojciec. Brown senior

miał w tym ukryty cel; chciał, by byli gotowi na wypadek, gdyby przyszło po nich KGB. Na szczęście, w wyniku upadku Związku Sowieckiego stało się to mało prawdopodobne.

Wład był tak dobrym strzelcem, że marines przydzielili go do grupy do zadań specjalnych stacjonującej w bazie w Iwakuni w Japonii. W ramach służby wysłano go do Camp Foster na Okinawie, gdzie ćwiczył strzelanie z nowego karabinu snajperskiego DMR, przeznaczonego do walki na terenie miast. Żeby uzyskać certyfikat ukończenia kursu, musiał trafić z dwustu metrów w ruchomy cel wielkości głowy i nieruchomy obiekt wielkości paznokcia.

Zajął pierwsze miejsce w bazie i znalazł się w ścisłej czołówce najlepszych snajperów marines z całego kraju. Tuż przed wybuchem wojny z Irakiem kapitan Wład Brown został przeniesiony do Białego Domu, na którego dachu czuwał nocą wraz z dwoma innymi snajperami, wypatrując przez lornetkę działającą w podczerwieni potencjalnych zamachowców. DMRa nosił na plecach w luźnym skórzanym futerale. Potrzebował niecałych trzech sekund, by wyciągnąć broń i wycelować. Miał meldować o wszelkich osobach zachowujących się podejrzanie w obrębie trzystu metrów od Białego Domu. Na lewym ramieniu miał ważącą kilkadziesiąt gramów kamerę wideo, ustawioną tak, by nie przeszkadzała mu wyjąć DMRa. Obraz z kamery przesyłany był na stanowisko dowodzenia Secret Service, ulokowane w Zachodnim Skrzydle. Gdyby uznano, że zagrożenie jest realne, zadaniem Włada byłoby je zneutralizować.

Daleko zaszedł, jak na syna rosyjskich zbiegów. Jeszcze ćwierć wieku wcześniej coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Niektórzy żartowali sobie z jego rosyjskiego imienia, ale bez przesady. Wład Brown był bardzo drażliwy na tym punkcie. Choć co miesiąc pomyślnie przechodził testy psychologiczne wymagane od wszystkich uzbrojonych osób mających dostęp do prezydenta, inni snajperzy czuli, że lepiej unikać wspomniania o jego imieniu. Poznali go lepiej od psychologów.

Włada rzadko wzywano do Białego Domu w dzień. Jak każdy snajper, potrzebował siedmiu-ośmiu godzin snu, by być w najlepszej formie, a poza tym nie lubił wychodzić z domu przed zmierzchem. Po siedmiu miesiącach służby jego oczy przywykły do ciemności, ciało do przyjemnego dotyku nocnego powietrza, uszy do odgłosów wieczora i świtu. Nie chciał robić niczego, co naruszyłoby tę równowagę.

Szef personelu prezydenta powiedział jednak, że to ważna sprawa, więc kapitan Brown uznał, iż prześpi się później, wezwał wóz służbowy i kazał się zawieźć z koszarów marines na skrzyżowaniu Ósmej i do Białego Domu. Po przyjeździe poszedł na stanowisko dowodzenia Secret Service i został przedstawiony Darrellowi i Marii McCaskey z Centrum

Szybkiego Reagowania. Od razu poczuł sympatię do pani McCaskey. Widać było po niej, że nie jest Amerykanką.

Agent Secret Service Stephen Kearns - syn greckich emigrantów - zaproponował Władowi, by usiadł. Wład odmówił. Pani McCaskey stała, więc jako oficer nie mógł siedzieć w jej obecności. Jej mąż przedstawił się. Wydawał się tak zmęczony, jak zmęczony był Wład.

- Dziękuję za przybycie - powiedział McCaskey. - Kapitanie Brown, prowadzimy dochodzenie w sprawie zabójstwa Williama Wilsona w hotelu Hay-Adams. Zapewne słyszał pan o tej sprawie?

- Tak jest.

- Agent Keams poinformował nas, że nosi pan małą kamerę wideo mogącą robić zdjęcia w ciemnościach - powiedział McCaskey. - Chcielibyśmy obejrzeć nagrania z tamtej nocy.

- Jesteśmy przekonani, że osoba, której szukamy, przechodziła obok parku i minęła pański punkt obserwacyjny - dodała pani McCaskey.

- Agencje Keams, nie ma pan żadnych zastrzeżeń? - spytał Wład. Na mocy porozumienia o współpracy Secret Service i marines, obie strony musiały wyrazić zgodę na udostępnienie taśm z systemu monitoringu Białego Domu.

- Państwo McCaskey dostali upoważnienie od szefa personelu - oznajmił Keams.

- A zatem i ja wyrażam zgodę - zgodził się Wład.

- Dziękuję - powiedział McCaskey.

Agent Keams włączył cyfrowy dysk z nagraniami z kamery. Odwrócił monitor w stronę McCaskeyów. Musieli mieć wysoko postawionych przyjaciół, skoro pozwolono im obejrzeć te materiały. Niewiele osób w ogóle wiedziało o ich istnieniu.

Nagranie było czasowo kodowane i podzielone na pięciominutowe fragmenty. Keams przewinął je do momentów, na których obejrzeniu zależało McCaskeyom. Wład cofnął się o krok, a Darrell i Maria nachylili się nad monitorem, prawie że się dotykając. Był to dziwnie wzruszający widok.

Przez ekran przeszła jakaś kobieta.

- Stop! - powiedział Darrell McCaskey. - Mógłby pan zrobić stopklatkę i powiększyć obraz?

Agent Keams spełnił jego prośbę. Ekran wypełniła zamazana, zielona kobieca postać, idąca z hotelu w stronę Pennsylvania Avenue. McCaskey przesunął małym palcem po słabo widocznym rąbku sukni, wystającym spod długiego płaszcza kobiety.

- Widzisz? - spytał żonę z ożywieniem.

- Tak.

- Jak myślisz, co to?

- Możliwe, że satyna - odparła.

- Jeśli da mi pan chwilę, wyekstrapoluję informacje o kolorze i wyostrzą obraz - zaproponował Keams.

- Proszę - powiedział McCaskey.

Wszyscy milczeli, kiedy komputer robił swoje. Choć zdjęcie było w odcieniach zieleni, program przetwarzający obrazy mógł każdemu z tych odcieni przypisać określony kolor. Poziom nasycenia zieleni odpowiadał jaskrawości barwy. Usuwając zieleń i dopasowując pozostałą intensywność światła do określonego koloru, zdjęcie mogło zostać pokolorowane w sposób odpowiadający rzeczywistości. Jednocześnie komputer skanował obraz, by odróżnić faktyczne dane od zakłóceń takich jak rozmazania powstałe w wyniku ruchu fotografowanego obiektu, śnieżenie i inne artefakty. Następnie usuwał te wady, powielając informacje z sąsiednich pikseli.

Po dwóch minutach kobieta ze zdjęcia wyglądała, jakby pozowała z profilu w świetle dziennym. McCaskey popatrzyli na nią przez chwilę, po czym poprosili agenta Keamsa o wydrukowanie tego ujęcia. Zrobił to i podał kartkę McCaskeyowi.

- Rozpoznaje pan tę osobę?

- Tak - odparł McCaskey. - Panowie, wasza pomoc była nieoceniona. Dziękujemy.

Pani McCaskey uśmiechnęła się, może i przez grzeczność, ale na pewno szczerze. Wład uznał, że dla tej chwili warto było wrócić do pracy. Miał nadzieję, że pewnego dnia, kiedy skończy się jego służba i związany z nią stres, znajdzie taką kobietę jak ona. Opanowaną, ognistą i piękną.

Kapitan wrócił do samochodu i czekającego w nim szofera. Musiał przyznać, że był zbudowany tym, jak ludzie z czterech krajów wspólnie rozwiązali zagadkę śmierci obywatela jeszcze innego państwa. To powinno dać do myślenia Narodom Zjednoczonym i całemu światu. Był jednak zbyt zmęczony, by zastanawiać się, jakie z tego płyną wnioski. Zresztą może nie warto było sobie zawracać tym głowy. Jak mawiał Jurij, lekceważąco machając ręką: „To polityka. Moje kiszki dłużej tego nie zniosą”.

Może geny i kiszki Krasnowów po prostu nie tolerowały chaosu we wszelkich jego przejawach. Była pora lunchu, widok zakorkowanych ulic działał Władowi na nerwy. Otaczały go warczące autobusy, limuzyny i waszyngtończycy trąbiący na turystów zwalnających przy każdym znanym budynku. Zamknął zmęczone oczy i spłynęła na niego ulga, jaką dawała ciemność. A wraz z nią niepokojąca myśl.

Ktoś inny kochał noc tak mocno, jak on. Ktoś, komu wyznawane przez niego wartości były zupełnie obce: zabójczyni.

Wład odpędził tę myśl. Niech martwią się tym ci, którzy dostają za to pieniądze. Poza tym swoim genom oprócz niechęci do chaosu zawdzięczał coś jeszcze. Coś, czemu nie mógł się sprzeciwić. Coś, co nie pozwalało mu myśleć o tej sprawie: jego кишки.

Rozdział 40

Salt Lake City, Utah Środa, 10.17

Na lotnisku, na którym mieli przesiadkę, Mike Rodgers sprawdził wiadomości na komórce. Kupił ją sobie, by wejść w XXI wiek, ale do pracy jej nie nosił, więc nie ucierpiała w zamachu. Miał jedno nieodebrane połączenie od Marii McCaskey. Nie było pośpiechu, zdąży do niej oddzwonić. Samolot do San Diego odlatywał za godzinę.

Lot z Waszyngtonu był rutynowy. Przynajmniej dla Rodgersa. W jego przypadku oznaczało to, że poświęcił go na przygotowanie planu walki. Różnica polegała na tym, że pierwszy raz zdarzyło się, by przeciwnikami, których siłę próbował oszacować, byli Amerykanie. Rozmawiał z Kat Lockley i usiłował ustalić, co wie, a co ukrywa. Doszedł do wniosku, że albo jest świetną aktorką, albo nie ma nic na sumieniu. Nie potrafił stwierdzić, co jest prawdą. Miał nadzieję, że to drugie. Co więcej, liczył na to, że cała ta sprawa okaże się jednym wielkim nieporozumieniem. Teraz, daleko od Waszyngtonu, był bardziej skłonny ufać ludziom. Williama Wilsona pewnie zabiła była kochanka albo konkurent w interesach. Zamach na Centrum mógł być planowany od dawna, może fakt, że przeprowadzono go akurat teraz, był tylko zbiegiem okoliczności. Rodgers wciąż wierzył, że stała za nim grupa terrorystyczna albo państwo, któremu się narazili. Przynajmniej chciał w to wierzyć. Jednym z największych błędów Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego było przyjęcie założenia, że po podniesieniu mostu zwodzonego w zamku zostają sami sprzymierzeńcy.

Kat podniosła komórkę do ucha, ledwie wysiadła z samolotu. Stwierdziła, że musi porozmawiać z Erikiem Stone'em i Kendrą, by sprawdzić, jak się sprawy mają. Senator nie miał na ten rano żadnych planów. Konwencja zaczyna się wieczorem, ale na dobre rozkręci się dopiero jutro. Wtedy senator wygłosi przemówienie, a w piątek zostanie oficjalnie ogłoszony kandydatem na prezydenta. Powiedziała, że chce upewnić się, czy wszystko przebiega zgodnie z planem.

Rodgers zostawił ją samą, poszedł w cichy kąt pustej poczekalni i oparł się plecami o ścianę. Po paru godzinach spędzonych w zatłoczonym samolocie przyjemnie było postać. Ludzie przemykali w tę i z powrotem, ale generał obojętnie patrzył na ich bieganinę. Czuł się jak na placu boju. Zmierzał do celu po cienkiej linii, zewsząd otaczali go potencjalni wrogowie. Musiał uważać na każdy krok. Tak właśnie było w tym śledztwie, choćby przez to,

co jego wyniki mogły dla niego oznaczać z osobistego i zawodowego punktu widzenia. Z niepokojem wstukał numer. Nie sądził, by Darrell lub Maria chcieli spytać, czy wyciągnął coś z Kat. Gdyby czegoś się dowiedział, sam zadzwoniłby do nich z samolotu. Skoro zadzwonili oni, pewnie oznaczało to, że mieli dla niego informacje. Może znaleźli zabójcę - zwolnionego pracownika, który szukał zemsty, albo maltretowanego lokaja.

Informacja, którą przekazał mu Darrell, nie była jednak tą, którą Mike Rodgers chciał usłyszeć.

- Kobieta z twojego otoczenia była na drugim miejscu zbrodni - powiedział McCaskey. - Pora się zgadza, poza tym miała na sobie suknię w tym samym kolorze, co włókna znalezione w pokoju.

Ponieważ nie była to bezpieczna linia, McCaskey nie mógł powiedzieć, jak się tego dowiedział, ale nie mówiłby z takim przekonaniem, gdyby nie był pewny swego. Miał swoje zasady.

- Kto to? - spytał Rodgers.

- Ta dziennikarka.

Lucy O'Connor. Rodgers poczuł ulgę, która przeszła w powątpiewanie, a potem niepokój. Ulgę - bo zabójczyni była spoza jego zespołu. Powątpiewanie - bo było mało prawdopodobne, by Lucy sama zaplanowała choćby jedno zabójstwo, a tym bardziej dwa, o zamachu na Centrum nie wspominając. Choć spędził mało czasu w jej towarzystwie, nie sprawiła na nim wrażenia osoby, która miałaby dość cierpliwości do zabójstwa. Niepokój natomiast wzbudziła w nim myśl, że jeśli to wszystko prawda, Lucy musiała mieć współnika. A to nie oczyszczało Linka i jego ludzi z podejrzeń.

- A co z kapeluszem z szerokim rondem? - spytał. - Też go miała?

- Na tym zdjęciu nie - odparł McCaskey. - Ale mogła go schować do torby.

To byłoby rozsądne. Pozbyć się jednego z charakterystycznych elementów stroju na wypadek, gdyby uchwyciła ją kamera na zewnątrz hotelu. Wtedy trudniej byłoby poznać w niej osobę ze zdjęć zrobionych w środku.

- Co chcesz, żebym zrobił? - spytał Rodgers.

- Powiedz o tym swojej towarzyszce podróży i zobacz, jak zareaguje.

- Dobra. Za niecałą godziną odlatujemy do San Diego. Postaram się przedtem zadzwonić.

Rodgers się rozłączył. Złożył telefon i ruszył w stronę Kat. Siedziała tam, gdzie wcześniej, z oczami utkwionymi w dali i palcem w uchu, i załatwiała jakieś sprawy przez telefon. Jakie sprawy? Jak miał się tego dowiedzieć? Był żołnierzem, nie dziennikarzem

śledczym.

Miejsce obok Kat było wolne. Rodgers usiadł. Nie zniżyła głosu.

-...tylko CNN może z nim rozmawiać przed konferencją prasową. Taki jest układ. Wchodzimy w porze największej oglądalności - mówiła. Zamilkła na chwilę, wyprostowała ramiona, jej usta zacisnęły się w wąską kreskę. - Rozumiem, Dianę - powiedziała. - Ale Larry był pierwszy. Umówmy się tak: dostaniesz pierwszy wywiad po przyjęciu nominacji. Powiedzmy, dziesięć minut w porannych wiadomościach w paśmie po ósmej. - Znow zamilkła. - Tak, masz wyłączność i możesz zrobić wywiad z senatorem w jego domu w Georgetown. - Kat uśmiechnęła się lekko. - Dobrze. Przedstawię twoją propozycję senatorowi, ale jestem pewna, że nie będzie problemów. Dzięki. Pozdrów Mike'a. - Kat wcisnęła „off” i osunęła się na oparcie. - Cóż, mam za swoje. Sama tego chciałam.

- To znaczy czego?

- Wyglodniałych mediów - odparła. - Przed sprawą Wilsona senatorem interesowały się tylko kanały informacyjne. Teraz wszyscy chcą z nim rozmawiać, najchętniej w domu, w którym odbyło się to sławetne przyjęcie.

- To się nazywa szczęśliwy zbieg okoliczności.

Kat spojrzała na niego.

- Szkoda mi czasu na sarkazm.

- No dobrze, więc przejdźmy do rzeczy. - Kat sama dała mu pretekst, postanowił więc to wykorzystać. Może tak było najlepiej. - Co powiesz na wiadomość, że Lucy O'Connor była w Hay-Adamsie w tym samym czasie, kiedy zamordowano tam Wilsona?

- Że chciała namówić go na wywiad - odparła Kat. Wybrała następny numer.

- Albo narobić szumu - podsunął jej Rodgers.

- To znaczy?

Rodgers rozejrzał się, by sprawdzić, czy nikt ich nie słucha. Kto wie, czy Lucy O'Connor nie zabrała się tym samym samolotem, co oni.

- Istnieje zdjęcie pokazujące Lucy wychodzącą z Hay-Adamsa zaraz po zabójstwie. Suknia, którą ma na sobie, jest tego samego koloru co ta, w którą ubrana była zabójczyni.

Kat rozłączyła się.

- To jeszcze nie znaczy, że to zrobiła czy choćby maczała w tym palce - powiedziała. - Mogły kupić ją w tym samym sklepie.

- Naciągane wytłumaczenie - odparł.

- Podobnie jak przedstawione przez ciebie dowody. Mamy tu spragnioną sensacji dziennikarkę i słynnego odludka. To normalne, że po przyjęciu poszła do hotelu, żeby się na

niego zacząć.

- Co tak jej bronisz? - zdziwił się Rodgers.

- Żyjemy w Ameryce. Lucy niczego nie udowodniono. Poza tym nie zasługuje na to, by stawiać ją pod pręgierzem. Podobnie jak senator Orr.

- Myślisz, że o to w tym wszystkim chodzi? - spytał.

- Tak. Ty lub ktoś z Centrum uznaliście, że jesteśmy winni zabójstwa czy nawet czegoś gorszego.

- Nikt tego nie powiedział. Dochodzenie trwa.

- Twoje czy Centrum?

- Dopóki moja rezygnacja nie zostanie oficjalnie przyjęta, pracuję w Centrum na polecenie podsekretarza stanu Agencji Współpracy w Dziedzinie Bezpieczeństwa Departamentu Obrony - powiedział Rodgers.

- No to może powinieneś wrócić do Waszyngtonu i wypełnić swoją misję do końca.

- Żeby było jasne: większą część służby spędziłem w terenie, chroniąc Amerykę i prawa jej obywateli. Nikogo nie uznałem za winnego, takie słowa nie wyszły z moich ust, nawet o tym nie pomyślałem. - Rodgers postukał się w prawą skroń. - Za to ty ubzdurałaś sobie, że się na ciebie uwzięłem. Gdyby tak było, zostawiłbym tę sprawę Paulowi Hoodowi i jego buldogom.

Kat znów przybrała kamienny wyraz twarzy.

- To zabrzmiało jak atak - powiedziała.

- Jestem żołnierzem. Wiele rzeczy, które mówię, tak brzmi.

- Nie zawsze. - Spojrzała na Rodgersa. Obojętność ustąpiła zmęczeniu. - Generale... Mike... ja naprawdę nie wiem, co Lucy zrobiła i czego nie zrobiła. I nie chcę, żeby wyszło, że próbuję się bronić. Po prostu cała ta historia wypłynęła w najgorszym możliwym momencie. Coś mi mówi, że to część planu uknutego przez człowieka lub grupę ludzi, którzy nie chcą, by senator został prezydentem czy w ogóle odegrał jakąkolwiek rolę w tych wyborach.

- Domyślasz się, kto mógłby za tym stać?

- Pewnie. Każdy lobbysta i polityk centrum i lewicy. Polityczni konkurenci, jak senator Debenport i gubernator Jimmy Phyfe z Ohio. Obaj chcą zająć miejsce prezydenta Lawrence'a.

- Masz wiarygodne informacje, że któryś z nich może być zamieszany w to zabójstwo? - spytał Rodgers. - Jeśli tak, nawet gdyby były to tylko podejrzenia, to dobry moment, żeby mi o tym powiedzieć.

- Krążą plotki, że Debenport i Lawrence wykorzystują swoją pozycję, by przyciągnąć

sojuszników, ale nie mamy na to dowodów. W Waszyngtonie nie ma rzeczy nie do pomyślenia, ale ja nie chcę w to wierzyć.

Rodgers zawsze czuł się jak partyzant narażający życie w walce z uciskiem. W tej chwili miał wrażenie, że jest kolaborantem, nikczemnym i marnym. Przysunął się bliżej.

- Powiedziałaś, że nie ma rzeczy nie do pomyślenia. Wiesz, Kat, abstrakcyjne rozumowanie nie jest moją mocną stroną. Dla mnie liczą się mapy, fakty, logistyka. Odkąd to wszystko się zaczęło, idę naprzód krok po kroku, tak jak zawsze, kiedy prowadziłem atak na pozycje wroga. Różnica polega na tym, że do tej pory na ogół wiedziałem, przeciwko komu walczę. Ta sytuacja jest nowa i dla mnie, i dla Centrum.

- Jak dla nas wszystkich - powiedziała Kat. - Nigdy jeszcze nie brałam udziału w śledztwie w sprawie zabójstwa.

- Twoja rola jest w najlepszym razie marginalna - zauważył Rodgers. - To Lucy jest w centrum zainteresowania, nie żaden z twoich współpracowników.

- Nadal nie wierzę, by miała z tym cokolwiek wspólnego.

- Dlaczego? Powiedz.

- Najpierw ty mi odpowiedz na jedno pytanie. Zabijałeś ludzi. Jakim trzeba być człowiekiem, żeby to robić?

- Jeśli nie jest się typowym socjopata, wystarczy zabić jednego człowieka. Z następnymi idzie już łatwiej.

- Nie rozumiem.

- To tak jak ze skokami na spadochronie czy jedzeniem węży. Wmawiasz sobie, że musisz to zrobić. Wtedy potrzeba ci tylko czegoś, co pomoże przezwyciężyć odruch wymiotny. Kiedy jeden z moich podkomendnych ze Strikera, kapral Pat Prementine, miał pierwszy raz rzucić granatem, musiał pomyśleć o pewnym mięśniaku z liceum, którego nienawidził.

- A tobie co pomogło?

- Względy oszczędnościowe.

- Słucham?

- Dwa tygodnie po przyjeździe poszedłem z moim plutonem na zwiad w południowej części Centralnej Równiny - zaczął Rodgers. - Natknęliśmy się na duży obóz Wietkongu. Próbowali nas okrążyć i wiedzieliśmy, że musimy uderzyć ze wszystkich sił, żeby się stamtąd wyrwać. Dostałem rozkaz, by przycząić się za jakimś śmierdzącym pniem i pilnować małej polany. Rozkaz wykonałem. Podeszwy zapadały się w muł, robaki oblażyły mi buty, było gorąco jak cholera. Usłyszałem pojedyncze serie z karabinów. To był głuchy, odległy,

osamotniony dźwięk, który uciszył wszystkie ptaki i owady. W życiu nie pomyślałbym, że po rozpoczęciu wymiany ognia może zrobić się tak cicho. Wiedziałem, że lada chwila nadejdą uzbrojeni partyzanci i musiałem przyjąć do wiadomości fakt, że mogę zginąć. Pogodziłem się z tym. Pożegnałem się w duchu z rodziną, powiedziałem wszystkim, że ich kocham. I nagle zobaczyłem dobry cel. Pięciu partyzantów Wietkongu zajęło pozycję jakieś dwieście metrów ode mnie. Nie zauważyli mnie. Pamiętam, że patrzyłem na nich nad lufą mojego M1 i myślałem, że nie fair byłoby załatwić ich z ukrycia, bez ostrzeżenia. Pomyślałem nawet: Kurde, to ich ojczyzna. Jakie mam prawo ich zabić? Wtedy jeden z nich wyjął z sakwy granat o dużym polu rażenia. Nie widziałem naszych chłopaków, ale Wietnamczyk musiał ich widzieć, bo inaczej po co by go wyciągał? I w tym momencie doznałem olśnienia. Jeśli go zdejmę, upuści tłuczek - bo tak właśnie granat wyglądał, jak tłuczek - i nie będzie z nich czego zbierać. Wietnamczycy przykucnęli, ten z granatem wystawił głowę, by jeszcze raz się rozejrzeć. Wymierzyłem i strzeliłem. Trafiłem go w skroń. Pozostali czterej rzucili się z krzykiem do ucieczki, ja dałem nura za drzewo, tłuczek eksplodował. Siedziałem oparty plecami o wilgotny pień, wiatr przyniósł dym i swąd ładunku wybuchowego. Wstrzymałem oddech, by nie zakaszczyć, bo nie chciałem zdradzić swojej pozycji, w końcu tamci mogli mieć wsparcie. Po jakiejś minucie wychyliłem się zza drzewa i spojrzałem na polanę. Zobaczyłem dwóch Wietnamców czołgających się wśród dymu. Chcieli sprawdzić, kto strzelał. Zdjąłem ich.

- Z nimi poszło już łatwiej?

- Nie tyle łatwiej, co po prostu łatwo. Jak już człowiek przekroczy tę granicę, to przestaje się martwić, że czeka go potępienie.

- To tak jak z kobietami i seksem.

- Zabijanie. Tak mężczyźni tracą dziewictwo.

- Żałujesz tego doświadczenia?

- Jakże mógłbym? - spytał Rodgers. - Dzięki temu mogłem robić, co do mnie należało, w Wietnamie, w Zatoce Perskiej i w Centrum.

- Choć początkowo miałeś wątpliwości, czy to słuszne - zauważyła.

- Miałem dziewiętnaście lat.

- To nie znaczy, że się myliłeś.

- No dobrze - powiedział Rodgers. - Teraz to ja czegoś nie rozumiem. Próbujesz usprawiedliwiać to, w co Lucy może być zamieszana?

- Nie. Kwestionuję twoją wygodną moralność. Zabijanie jest w porządku w pierwszej osobie, to znaczy, kiedy robisz to ty, ale nie kiedy robią to inni.

Rodgers otworzył się przed Kat w nadziei, że ona zrobi to samo. Nie spodziewał się takiej reakcji. Poczul się dotknięty.

- Patrzysz na mnie, jakbym trzymała tłuczek - powiedziała.

- Nie. Już go rzuciłaś - odparł.

- Dobrze powiedziane - przyznała. - Nie chciałam cię atakować. Staram się tylko zrozumieć, jakimi zasadami kieruje się człowiek, który być może zostanie następnym sekretarzem obrony. Ale nie wybiegajmy za daleko w przyszłość. Nie wiem, co Lucy O'Connor robiła tamtej nocy i nie wierzę, by mogła być odpowiedzialna za to, co stało się w hotelu czy w siedzibie Centrum Szybkiego Reagowania. Mogę tylko zasugerować, by twoi ludzie z nią porozmawiali.

- Na pewno to zrobią.

W jej słowach o „wybieganiu za daleko w przyszłość” zabrzmiała niezbyt zawołowana groźba. Krótko mówiąc, jeśli Rodgers nie chce być częścią zespołu, droga wolna.

- No to co dalej? - spytała Kat, biorąc telefon.

- Nie jestem pewien - przyznał. - Czuję się, jakbym przekroczył pewną granicę, ale cała ta sytuacja jest niezwykła.

- Fakt - powiedziała Kat. Założyła nogę na nogę i zaczęła nerwowo kiwać prawą stopą. - Będę się streszczać, bo muszę jeszcze zadzwonić do kilku osób. Chcę, żeby nasze relacje dobrze się ułożyły. Jesteś wyjątkowym człowiekiem i bardzo przydałbyś się partii i naszej ekipie. Ale bliscy współpracownicy powinni chronić siebie nawzajem, a nie patrzeć sobie na ręce.

- Trudno się z tym nie zgodzić - odparł Rodgers. - Dlatego właśnie powiedziałem, że nie jestem pewien, co dalej. - Patrząc na nią, przypomniał sobie, jak zobaczył ją w restauracji Equinox w Waszyngtonie. Siedziała wtedy na stołku barowym w tej samej pozycji co teraz, tak samo kiwała nogą, podminowana po długim, stresującym dniu. Jakże inny wydawał się świat i jego własna przyszłość ledwie parę dni temu.

- Dobrze byłoby, żebyś powiedział o tym admirałowi Linkowi. Tak by wypadało.

- Jasne. Mam jeszcze tylko jedno pytanie - powiedział. - Co byś zrobiła, gdybyś dowiedziała się, że stoi za tym jeden z twoich bliskich współpracowników?

- Przypierasz mnie do muru, generale.

- Chroniłabyś tego kogoś? - spytał.

- Dopóki nie udowodniono by mu winy, tak - odparła. - Żyjemy w Ameryce. - Podniosła telefon do ucha.

Rodgers poszedł do barku i zamówił kawę. Na myśl o Equinoksie coś mu się przypomniało. Coś, na co wtedy nie zwrócił większej uwagi, a co teraz wydało mu się istotne. Wziął kawę i wrócił w kąt. Usiadł, napił się i wyjął komórkę. Zadzwoił do Darrella.

Chciał poprosić go, by coś sprawdził.

I to szybko.

Rozdział 41

Waszyngton Środa, 13.29

Darrell McCaskey jechał z żoną samochodem. Właśnie skręcali na autostradę numer 395, kiedy zapikał telefon. Dzwonił Mike Rodgers. Spytał, czy mają coś nowego.

- Sprawdziliśmy dziennikarkę - powiedział McCaskey. - Mieszkanie, samochód i rozgłośnia są czyste. - Innymi słowy, dwójka agentów Centrum Szybkiego Reagowania przeszukała jej dom i miejsce pracy, nie czekając na nakaz rewizji. Było to przyjętą praktyką w sytuacji, kiedy śledczy nie chcieli, by interesująca ich osoba lub grupa dowiedziała się, że odnaleziono nowe dowody. Centrum potrzeba było czasu, by naślać agentów na Lucy O'Connor. Na razie chcieli, by nadal kontaktowała się z tymi samymi osobami, co do tej pory. - Policja szuka w śmieciach resztek sukni. Właśnie tam jedziemy.

- Nie znajdują jej.

- Mów dalej.

- Wieczorem, dzień po pierwszym zabójstwie, byłem na kolacji z moją towarzyszką podróży - powiedział Rodgers. Linia była niezabezpieczona, więc nie używał nazwisk. - Kiedy przyszedłem do restauracji, właśnie rozmawiała z waszym celem. Miała torbę na zakupy. Powiedziała, że nosi w niej wygodne buty, nike'i, ale w ogóle w nich nie chodzi. W tej chwili też jest w szpilkach. Pomyślałem sobie...

- Mogła dać jej suknię, żeby się jej pozbyła po tym, jak ujawniłem, że Wilson został zamordowany - powiedział McCaskey.

- Zgadza się.

- To był wieczór drugiego zabójstwa - powiedział McCaskey.

- Też się zgadza.

- Czy na tej torbie był jakiś napis?

- Groveburn. Żółta, plastikowa, z uchwytem z czerwonego sznurka.

- Zaraz to sprawdzimy - powiedział McCaskey. - Może dopisze nam szczęście i strzykawkę też znajdziemy. - Zawrócił i ruszył w stronę skrzyżowania New Hampshire i N, gdzie mieszkała Kat. - Jeszcze jedno. Jak na to wszystko zareagowała?

- Zachowuje się raczej, jakby była urażona, a nie winna. Jeśli jest zaniepokojona, zupełnie tego po niej nie widać.

- Na taką akcję nie wzięliby bandy histeryczek. Dzięki, Mike. Jeśli coś znajdziemy, zostawię wiadomość. Na razie uważaj na siebie.

- Nigdy nie byłem w tym dobry, Darrell - odparł Rodgers. - Będzie, co ma być.

Rodgers rozłączył się i McCaskey oddał telefon Marii.

- Mike zaczyna filozofować - powiedział. - To znak, że jest zaniepokojony.

- Mike zawsze się czymś przejmuję.

- To prawda - odparł mąż. - Ale na ogół jest to maska. Tym razem mówi z serca.

McCaskey streścił żonie przebieg rozmowy. Spytała, czym jego zdaniem Rodgers tak się niepokoi.

- Tym, że Kat może być winna - odparł McCaskey.

- Myśli, że to wszystko ukartowała?

- Nie wiem, czy tak myśli. Ja czuję, że musiał maczać w tym palce ktoś pokroju Linka. Nie tylko dlatego, że oba zabójstwa były tak wyrafinowane i tak dobrze skoordynowane, ale dlatego, że trudno byłoby ich dokonać bez pomocy kogoś z biura Orra. Ktoś musiał kryć tych ludzi.

- I tak wracamy do pytania „dlaczego”. Czy naprawdę może w tym wszystkim chodzić tylko o pieniądze, o plany Wilsona dotyczące zwiększenia europejskich inwestycji?

- To jedna z możliwości - odparł mąż. - Przekonamy się, jak porozmawiamy ze sprawcami.

- Zakładając, że ich złapiemy.

- To pewne - powiedział McCaskey zdecydowanym tonem.

- W madryckim oddziale Interpolu wykrywalność zabójstw wynosiła trochę ponad sześćdziesiąt procent.

- Nam w FBI szło nieco lepiej, ale i tak nie dość dobrze. Między innymi dlatego przeszedłem do Centrum. Statystyki zmieniają się, kiedy ma się do pomocy takich ludzi jak ty, Mike i Bob Herbert.

- Zmieniła się też twoja taktyka - zauważyła Maria. - Właśnie dokonaliśmy włamania.

- To prawda, choć ja traktuję to jako zabieg eksploracyjny. Raczej dobry uczynek niż przestępstwo.

- Kochanie, to, co planujemy, w żadnym wypadku nie jest przestępstwem - powiedziała z przekonaniem Maria. - Mamy jasny cel i do niego się ograniczymy. Pani Lockley o niczym się nie dowie, chyba że coś znajdziemy, a wtedy będziemy mogli spokojnie się do niej dobrać.

- Mimo wszystko naruszamy jej prywatność. Łamiemy Kodeks Praw Obywatelskich.

- Tak czy inaczej, to mniej groźne przestępstwo od tego, którego ofiarą padli Wilson i Lawless - odparła Maria. - Jeśli uda nam się zapobiec trzeciemu zabójstwu, warto zaryzykować.

- Oczywiście zgadzam się z tobą, inaczej nie robiłbym tego, co robię - powiedział McCaskey, skręcając na ulicę N. - Ale nie zamierzam udawać, że to zgodne z prawem.

- Dla mnie prawo jest mniej ważne od moralności. Cokolwiek znajdziemy, będę miała czyste sumienie.

Nie dało jej się wytłumaczyć, na czym polega amerykańska koncepcja praw osobistych. Z drugiej strony nie było sensu wskazywać błędów w jej rozumowaniu. Jedno i drugie było absolutnie niepodważalne. Pozostawało tylko pogodzić się z takim stanem rzeczy.

Budynek, w którym mieszkała Kat, był dwupiętrowy, z białej cegły. Drzwi na ulicę były zamykane na klucz, za nimi znajdował się hol ze szufladkami na listy i drzwi wewnętrzne prowadzące do części mieszkalnej. Musieli zatem uporać się z dwoma zamkami. Nie będzie z tym kłopotu. McCaskey zawsze woził ze sobą magnetyczny automatyczny wytrych. Pierwszy automatyczny wytrych skonstruowano w latach sześćdziesiątych, by policjanci, którzy nie byli wykwalifikowanymi włamywaczami, nie musieli otwierać drzwi standardową metodą - to znaczy grzebać w zamku dwoma wytrychami i szukać właściwej kombinacji. Automatyczny wytrych wywoływał moment obrotowy, który po prostu odciągał zasuwę. Zamek przy tym wyginał się bądź ulegał zniszczeniu, przez co włamania nie dało się ukryć. Magnetyczny wytrych zaś wytwarzał silne pole magnetyczne, którego kierunek można było regulować. Zamki otwierały się od razu.

McCaskeyowie podeszli do drzwi. Ustalili, że jakby ktoś pytał, ona szuka mieszkania, a on jest pośrednikiem z agencji nieruchomości. Darrell wsunął czubek mieszczącego się w dłoni urządzenia do dziurki od klucza. Kciukiem przesunął wskaźnik kierunku pola w prawo. Zamek otworzył się od razu. Weszli do holu, a tam uśmiechnęło się do nich szczęście. Jeden z lokatorów właśnie wychodził i otworzył drzwi wewnętrzne. McCaskey upuścił długopis i schylił się w chwili, kiedy mężczyzna go mijał, by ukryć przed nim twarz. Weszli z Marią do środka. Ponieważ w windzie była kamera monitoringowa, ruszyli schodami na górę. Na drugim piętrze było sześć mieszkań. Podczas gdy Maria obserwowała korytarz, jej mąż wyjął z kieszeni mały dysk. Przyłożył go do ościeża interesujących ich drzwi. Był to amperomierz. Jeśli drzwi były pod alarmem, miernik wykazałby przepływ prądu. McCaskey obserwował wyświetlacz. Nic. Choć w środku mógł jeszcze być wykrywacz ruchu, większość mieszkań w mieście, zwłaszcza w nowszych budynkach jak ten, była zabezpieczona od zewnątrz. McCaskey otworzył automatycznym wytrychem zamek w gałce i zasuwę. Schował wytrych

do kieszeni i wyjął skórzane rękawice. Założył je, by nie zostawić odcisków palców. Weszli do środka.

Zasłony były zaciągnięte, w mieszkaniu było ciemno. McCaskey miał małą latarkę przy łańcuszku z kluczykami. Zapalił ją. Sąsiedzi mogli wiedzieć, że Kat wyjechała. Nie chciał, by zobaczyli światło za zasłonami.

Krótki korytarz prowadził do salonu. McCaskey omiótł podłogę światłem z latarki, wypatrując zwierzęcej sierści. Jeśli Kat miała psa, mogła wynająć kogoś do wyprowadzania go. Nie było śladów sierści, w mieszkaniu panowała cisza. Ruszyli z Marią naprzód.

- Nie czuję dymu z kominka - powiedziała.

- Wiem - odparł.

Weszli do salonu. Kominka nie było ani tam, ani w sypialni. Przetrzęsnęli szafy w poszukiwaniu opisanej przez Rodgersa torby.

- To dobry znak - powiedziała Maria, kiedy skończyli przeszukiwać kredensy w kuchni.

- Dlaczego?

- Kobiety na ogół zachowują takie torby. Przydają się. Można w nich dawać prezenty czy nosić zakupy. Pani Lockley ma ich sporo w schowku na przybory do sprzątanía. Tej najwyraźniej się pozbyła.

- To ciekawe, ale wcale nie musi o niczym świadczyć - odparł mąż. Podszedł do półki z książkami i wyjął księgi pamiątkowe z uczelni i liceum. Przewertował je, szukając nazwiska, które przewinęło się w śledztwie, kogoś, kto mógłby być współnikiem Kat Lockley. Nic nie znalazł.

- Trzeba było wziąć ze sobą Matta, mógłby dobrać się do jej komputera - powiedziała Maria, wskazując biurko pod oknem.

- Najważniejsze dokumenty pewnie trzyma na laptopie, z którym się nie rozstaje.

Usłyszał szum wody. Dochodził z kuchni. Z zamrażarki. Pracowała kostkarka do lodu.

- Dziwne - powiedział.

- Co? - spytała Maria, podchodząc do niego.

- Kostkarki napełniają się tylko, kiedy lód się kończy.

Podszedł do stalowej zamrażarki i otworzył drzwi. Buczenie silnika wypełniło ciasną kuchnię. McCaskey podniósł klapę kostkarki. Włożył rękę w lód, oderwał kilka kostek z samego spodu i wyciągnął je na wierzch.

- Cholera.

Maria podeszła do niego.

- Co się stało?

- W lodzie są niebieskie plamy - powiedział, podnosząc kostkę do żarówki oświetlającej zamrażarkę. - Widzisz?

Skinęła głową.

- Włożyła suknię do lodu. Dobra kryjówka.

McCaskey ostrożnie odłożył kostki na blat i zaczął grzebać w nich scyzorykiem, na wypadek, gdyby w którejś była igła od strzykawki. Bezskutecznie. Pewnie schowała ją w mleku, pomyślał tylko po części ironicznie.

- Jeśli jeszcze niedawno trzymała tu suknię - ciągnął McCaskey - to znaczy, że mogła ją ze sobą zabrać.

- Czy to nie ryzykowne nosić przy sobie obciążające dowody? - spytała Maria.

- Z punktu widzenia kogoś, kto jest na liście podejrzanych, bardziej ryzykownie byłoby zostawić ją tutaj albo zniszczyć - odparł. - Tylko pomyśl. Gdzie suknia mogłaby być bardziej bezpieczna, niż w rękach ochrony lotniska? Przypuszczam, że Lockley pozbędzie się jej możliwie najdalej od miejsca zbrodni.

Maria podeszła do zamrażarki. Zatrzymała się. McCaskey uśmiechnął się i podał jej łyżkę zawiniętą w ścierkę. Przełożyła ją przez rączkę i pociągnęła drzwi do siebie, tak by nie zostawić ani nie zatrzeć żadnych odcisków palców. Zajrzała do schowka z lodem.

- Czemu na wszelki wypadek nie wyrzuciła całego lodu? - spytała. - Przecież mogły się do niego przykleić nitki.

- Wtedy zostałyby w umywalce, gdzie byłyby wyraźnie widoczne.

- Mogłaby je splukać.

- FBI w czasie rewizji zagłąda do rur odpływowych - odparł McCaskey. - Ten, kto za tym stał, musiał o tym wiedzieć.

Maria skrzywiła się i spojrzała w dół. Przykucnęła. Jej mąż poświecił latarką na posadzkę.

- Coś znalazłaś? - spytał.

- Być może. Zobacz.

McCaskey kucnął obok. Maria pokazała mu kilka słabo widocznych plam.

- Posadzka jest z wapienia i nie błyszczy, co znaczy, że nie została zaimpregnowana - powiedziała Maria. - Jest porowata. Wchłania wodę.

- No dobra. Spadło na nią trochę lodu. Lód stopniał. Zostały plamy.

- Darrell, wilgoć utrzymuje się w takich płytkach jakąś godzinę, potem wyparowuje - wyjaśniła Maria.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ktoś był tu w ciągu ostatniej godziny - powiedział McCaskey. To mu się nie podobało.

- Na to wygląda.

- Może sprzątaczką.

- Nie czuję zapachu środków czyszczących.

- A ja czuję ananasa...

- Odświeżacz powietrza - powiedziała Maria, wskazując łazienkę. - Widziałam go, kiedy byliśmy w sypialni.

Kurde, dobra jest, pomyślał McCaskey. Mimo to nie był przekonany. To, że na podłodze było kilka wilgotnych plam, wcale nie musiało oznaczać, że ktoś tu niedawno był. McCaskey podniósł oczy na automatyczną kostkarkę w drzwiach zamrażarki. Przejechał schowanym w rękawicy palcem po jej krawędzi.

- Jest wilgotna. Może kapie z niej i stąd te plamy.

- Może - powiedziała Maria. - A może ktoś chce zrobić panią Lockley.

McCaskey poczuł się jak uderzony obuchem. Jeśli tak było, oznaczało to coś jeszcze. Coś, co stało się jasne, kiedy usłyszeli kroki na korytarzu.

To była pułapka.

Rozdział 42

San Diego, Kalifornia Środa, 11.53

Lot z Salt Lake City trwał dwie godziny. Przez cały ten czas Kat nie odzywała się do Rodgersa. Nie dziwiło go to, ale czuł się niezręcznie. Jeśli jest niewinna, powinni porozmawiać o tym, kto mógłby być w tę sprawę zamieszany. Tymczasem ona pracowała na laptopie, nie zwracając na niego uwagi.

Zaraz po wyjściu z samolotu Rodgers sprawdził pocztę głosową w komórce. Była tam długa wiadomość od McCaskeya. Nie brzmiała optymistycznie.

McCaskey był tak rozgorączkowany, że mówił otwartym tekstem, choć linia była niezabezpieczona.

- Mike, w kostkarce w mieszkaniu Kat znaleźliśmy ślady barwnika, prawdopodobnie z sukni, której szukamy - powiedział. - Podejrzewamy, że ktoś był tu w ciągu ostatniej godziny, możliwe, że po suknię. Jeśli jej nie zabrał, Kat może ją mieć w swoim bagażu. Musisz to sprawdzić. Powiedz jej, co się stało. Zmusz ją, żeby powiedziała ci, co wie. Jeśli nie wie nic, możliwe, że ktoś próbuje ją zrobić. Nas już wciągnęli w pułapkę. Na korytarzu jest policja. Czekają na dozorcę, żeby ich wpuścił. Skoro wzięli się za nas, to znaczy, że zamach na Centrum prawie na pewno miał związek ze sprawą. Jak dotąd zginęło trzech ludzi. Nie lekceważ przeciwnika. Zostawię Paulowi wiadomość w Akwarium. Jeśli dowiesz się czegoś, skontaktuj się z nim. Trzymaj się, stary.

Rodgers bezwiednie się zatrzymał. Stał przy wyjściu, wśród wysiadających pasażerów, a wokół kręcił się świat i działy się rzeczy, które dotyczyły także jego. A mimo to czuł się, jakby był poza tym wszystkim. Schował telefon i rozejrzał się za Kat. Była już daleko z przodu. Z pierwszego terminalu było tylko jedno wyjście. Przyspieszył kroku i dogonił ją. Razem przeszli przez stanowisko ochrony.

- Musimy porozmawiać - powiedział Rodgers.

- Wiem.

- Nie. Nie wiesz.

- Tak nie można.

- To prawda. Tam, skąd pochodzę, przestrzega się prawa.

Przewróciła oczami.

- Ten tekst zaczyna być nudny.

- No to teraz powiem ci coś, co cię ożywi - odparł. - Albo maczałaś palce w dwóch zabójstwach, albo ktoś próbuje cię w nie zrobić.

- Tak. Centrum Szybkiego Reagowania.

- Nie! - krzyknął Rodgers. - Posłuchaj tego.

- Czego? Następnej wydumanej teorii?

- Nie! - powiedział Rodgers. Wchodząc do sali odbioru bagażu, wyjął komórkę. Podczas gdy czekali przy pierwszym z trzech taśmociągów, włączył wiadomość od McCaskeya. Podał telefon Kat. Z twarzą wyrażającą raczej pogardę niż zainteresowanie, odsłuchiwała nagraną wiadomość. Kiedy skończyła, spojrzała na Rodgersa z wściekłością.

- Twoi ludzie byli w moim mieszkaniu? - Jej głos przeszywał jak stal. - Wiedziałeś o tym?

- Przypuszczałem, że to zrobią - przyznał.

Kat uśmiechnęła się zaciśniętymi ustami.

- Tym gorzej - powiedziała. - O wiele gorzej. Wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś.

- Później o tym porozmawiamy.

Potrząsnęła głową.

- Nie ma o czym - powiedziała. Stal w jej głosie przegrzała się i zaczynała topnieć. - Zajmą się tym nasi prawnicy. - Odwróciła się.

- Tak tego nie załatwimy. - Rodgers złapał ją za ramię.

Wyrwała mu się.

- Jeśli zacznę krzyczeć, dla ochrony lotniska nie będzie miało znaczenia, że jesteś generałem.

- Nie zrobisz tego. Prasa będzie ciekawa, co się stało. Powiedziałbym im. Uspokoila się, ale jej twarz wciąż była jak z kamienia. Taśmociąg za jej plecami ruszył.

- Czego chcesz?

- Muszę ich przekonać, że jesteś niewinna.

- Ich czy siebie?

- Jedno i drugie - odparł.

- Skoro moje słowo ci nie wystarczy, co może oczyścić mnie z zarzutów?

- Po pierwsze, co się stało z torbą ze sklepu Grovebum? - spytała.

- Zostawiłam ją w biurze dla Lucy.

- Po co? Tamtego wieczoru mówiłaś mi, że nosisz w niej sportowe buty.

- Bo nosiłam - odparła Kat. - Powiedziałam też, że mam tam prezent. Lucy prosiła,

żebym go dla niej przechowała, bo nie chciała, żeby znalazł go jej chłopak. Mieszkają razem.

Rodgers nie mógł sobie przypomnieć, czy mówiła o prezencie. Może i tak.

- Nadal jest w biurze?

- Jestem w San Diego - odparła. - Skąd mam, do cholery, wiedzieć?

- Możesz zadzwonić.

- Teraz?

- Uhm.

Kat z zaciętą twarzą wyjęła komórkę. Zadzwoiła do recepcjonistki senatora i spytała o torbę. Po chwili rozłączyła się.

- Lucy odebrała ją rano, przed dziewiątą - powiedziała.

- Po twoim wyjściu - zauważył Rodgers. - Mogła podrzucić ci ją do mieszkania.

- Jasne. Wleciała przez okno jak Piotruś Pan. Coś jeszcze?

- Tak. Jak przyjedziemy do hotelu, chcę być przy tym, jak będziesz rozpakowywać bagaże.

- O rany, igrasz z losem.

- Przykro mi. Muszę się upewnić, że nie masz tej sukni.

- Mogłam schować ją gdzie indziej, na przykład w skrytce bankowej.

- Jeśli będzie trzeba, to też sprawdzimy.

- A jak nigdzie niczego nie znajdziesz, Centrum dobierze się do mnie pod innym idiotycznym pretekstem - powiedziała. - Admirał ma rację. Wasi ludzie są w tym dobrzy.

Rodgers miał już dosyć. Posunęła się za daleko.

- Nasi ludzie? W ogóle nas nie znasz, Kat. Jesteśmy uczciwymi Amerykanami, częścią Ameryki senatora Orra. Narażamy życie, żeby ludzie tacy jak ty mogli pleść, co im ślina na język przyniesie. Prosiłem cię o pomoc, odmówiłaś. Dlatego, zgadza się, zaczęliśmy działać za twoimi plecami. Stwierdziliśmy, że jest problem, więc ci go przedstawiłem. Poza tym wygląda na to, że ktoś wsypał „moich” ludzi. Policja weszła za nimi do twojego mieszkania.

- Myślisz, że byli obserwowani? - spytała.

- Wątpię. Policja wie, że McCaskey był agentem FBI i mógłby zorientować się, że jest śledzony. Przypuszczam raczej, że obserwowali twoje mieszkanie.

- Czemu? Skąd mogli wiedzieć?

- Domyślam się, że ten, kto włożył suknię do twojej zamrażarki, wyjął ją stamtąd i dał im cynk. Jak sądzę, tym kimś była Lucy.

- Czyli Lucy O'Connor wzięła torbę z biura, schowała suknię do zamrażarki, by zaplamić lód, a potem znów ją zabrała - powiedziała Kat. - A wszystko po to, żeby twój

człowiek znalazł ślady barwnika i uznał, że jestem winna.

- Tak to wygląda.

- I po co to wszystko?

- Nie wiem.

Bagażę zaczęły zjeżdżać po rampie. Kat odwróciła się do taśmociągu. Złość jej przeszła, zastąpiła ją zaduma. Rodgers stanął obok niej.

- Ty naprawdę jesteś tym wszystkim zdziwiona - powiedział.

- Zdziwiona, zła i zdezorientowana. I ciągle nie mogę dojść, kto tu kogo robi w konia.

Bo że tak jest, w to nie wątpię.

- Fakt. Na początek powinnaś przyznać, że problem istnieje.

- Znam Lucy od lat. Nie wierzę, że mogłaby to zrobić. Przecież zaglądałam do tej torby. Był w niej prezent, zapakowany i w ogóle.

- Żebyś go nie otworzyła - powiedział Rodgers.

- Może.

Kat sięgnęła po bagażę. Rodgers jej pomógł. Po chwili pojawiła się także jego torba. Wziął ją, po czym poszli na postój taksówek i stanęli pod bezchmurnym, błękitnym niebem. Od strony przystani nadciągała chłodna bryza. Rodgers spojrzął w tamtą stronę. W oczy rzucił mu się stojący przed terminalem posąg Charlesa Lindbergha. Cóż za ironia losu: na wykonanym z brązu pomniku lotnika nie siedziały ptaki. Ze światem było coś nie tak.

Kolejka była krótka i po kilku minutach jechali już do hotelu. Kat milczała, a Rodgers nie ciągnął jej za język. Wolał, by pomagała mu z własnej woli, nie pod przymusem. Pięć minut później znaleźli się w Bay Grand, półtora kilometra od centrum konferencyjnego. W holu kłębił się tłum dziennikarzy i delegatów. Rodgers i Kat podeszli do punktu rejestracji członków USF i wzięli klucze i identyfikatory z puli dla VIPów. Dostali pokoje na tym samym piętrze, pod mieszczącym się na samej górze apartamentem Orra. W zatłoczonej windzie nadal nie odzywali się do siebie. Młody dziennikarz z „Washington Post” poznał generała z relacji z ataku na kwaterę główną Narodów Zjednoczonych. Rodgers wyjaśnił, że jest tu w charakterze doradcy senatora Orra. Dziennikarz poprosił o komentarz w sprawie zamachu na Centrum Szybkiego Reagowania. Rodgers powiedział, że jest wstrząśnięty. Nie dodał nic więcej. To było fascynujące: kiedy dziennikarz zadawał mu pytania, wszystkie rozmowy cichły. Delegaci na konwencję nie potrafili podsłuchiwać tak sprytnie i nie mieli tak podzielnej uwagi jak waszyngtończycy. Doświadczony polityk, dziennikarz czy członek śmietanki towarzyskiej potrafił w restauracji czy na przyjęciu nie uronić ani słowa z prowadzonej przez siebie rozmowy, jednocześnie śledząc kilka innych, które toczyły się

wokół niego. Nie była to umiejętność, która imponowała Rodgersowi. Bardziej odpowiadało mu nabożne milczenie jego współpasażerów.

Pod drzwiami pokoju Kat odwróciła się do niego. Pokój Rodgersa był dwoje drzwi dalej.

- Nadal uważam, że to jeden wielki absurd. Musi istnieć inne, proste wyjaśnienie - powiedziała. - Ale jeśli chcesz przeszukać moje bagaże, proszę bardzo.

- Dzięki, ale chcę czegoś jeszcze - odparł. - Twojej pomocy. Chcę sprawdzić, czy za tym wszystkim nie stoi ktoś z USF.

Kat zaśmiała się sztucznie.

- Generale, dopiero co powiedziałam, że uważam, że to absurd. Dlaczego miałabym chcieć w tym uczestniczyć?

- Już w tym uczestniczysz - zauważył.

- Bo jakiś były agent FBI włamał się do mojego mieszkania i znalazł niebieski lód? - spytała. - Bo śledziła go policja i prawdopodobnie zostanie aresztowany? Detektyw Howell jest naszym zwolennikiem. Nie był zachwycony, kiedy śledztwo zostało przekazane Centrum.

Jej słowa były dla Rodgersa zaskoczeniem.

- Jak to zwolennikiem?

- Podziwia senatora Orra. Nie podoba mu się to, że Centrum działa w oparciu o pogłoski.

- Czy Howellowi coś obiecano? - spytał. - Posadę szefa FBI czy coś takiego?

- Nie, ale może niedługo zwolni się stanowisko sekretarza obrony.

Rodgers puścił ten przytyk mimo uszu.

- Jesteś pewna, że nie dostał żadnej propozycji?

- Tak. Niektórzy ludzie mają zasady.

- W Waszyngtonie niewielu jest takich. Właśnie rozmawiasz z jednym z dwóch, jakich znam.

- Serio? - Włożyła kartę magnetyczną do zamka. - A mnie się wydaje, że Mike Rodgers, jakiego poznałam, jest wręcz chorobliwie podejrzliwy. Zaczynam się zastanawiać, jak ci się udało pomyślnie przejść testy psychologiczne w Centrum.

- Płacą nam za to, żebyśmy byli chorobliwie podejrzliwi - odparł. - Dzięki temu ludzie tacy jak ty mogą spać spokojnie.

- Dziękuję, śpię dobrze - powiedziała, kiedy zapaliło się zielone światelko. Otworzyła drzwi.

- Jak zachowuje się Howell, kiedy do was dzwoni? Jest pewny siebie? Skryty?

Udziela wymijających odpowiedzi?

- Jest ostrożny - odparła. - W Waszyngtonie to chyba normalne.

- Czegoś nie rozumiem. Musi istnieć jakiś związek. Czy Howell służył w marynarce?

- Nie wiem - powiedziała Kat, wnosząc bagaże do pokoju. Włączyła światło i przytrzymała drzwi. Wyraźnie miała już dosyć. - Coś jeszcze? - spytała. - Chcesz mi zrobić rewizję osobistą, przeszukać bagaże?

- A masz coś do ukrycia? - spytał, wskazując ruchem głowy jej torby.

- Nie w tej chwili - powiedziała zjadliwym tonem.

Rodgers zawahał się. Nawet jeśli znajdzie suknię, to jeszcze żaden dowód. Wszystkie bagaże jechały w jednym wozie. Ktoś mógłby ją podrzucić.

- Generale Rodgers, proszę zadzwonić, gdyby pan czegoś potrzebował. Czegoś, co ma związek z USF. To znaczy, jeśli nadal zainteresowany jest pan współpracą z nami.

Rodgers spojrzał na nią. Z jej jasnych oczu wycierał smutek. Zamknęła drzwi. Ruszył w stronę swojego pokoju. Zauważył, że tuż obok jest klatka schodowa, a nad prowadzącymi na nią drzwiami znajduje się kamera monitoringowa. Ciekawe, czy Link specjalnie przydzielił mu ten pokój, by mieć go na oku.

Miał nadzieję, że nie. I że mylił się co do Howella. Może detektyw policji miejskiej po prostu podlizywał się ważnej figurze. W Waszyngtonie było to powszechne. Ale jeśli tak, to po co miałby obserwować McCaskeya? Z zawiści? Żeby pokazać, że nie pozwoli wkraczać w swoje kompetencje? A może po prostu obserwował mieszkanie Kat i przypadkowo natknął się na McCaskeya. Mógł wiedzieć, że dziennikarka w noc zabójstwa była w hotelu.

Najprawdopodobniej z McCaskeyem nie uda się porozmawiać. Rodgers poszedł więc do pokoju, usiadł na łóżku i wybrał numer zachowany w pamięci komórki. Była tylko jedna osoba, która mogła to rozgryźć.

Drugi człowiek z zasadami, jakiego znał.

Rozdział 43

Waszyngton Środa, 15.44

Bob Herbert ucieszył się, słysząc w słuchawce głos Mike'a Rodgersa. Był to jedyny swojski akcent w tej surrealistycznej sytuacji i przez chwilę, dosłownie przez ułamek sekundy, wydawało się, że wróciły stare dobre czasy.

- Co u mnie? - powiedział Herbert w odpowiedzi na pytanie Rodgersa. - Siedzę na parkingu, wdycham niefiltrowane powietrze, które wolę od tego suchego, metalicznego syfu w Akwariu, i pracuję na laptopie pożyczonym od, nie uwierzysz, szefa kuchni w kantine w bazie Andrews. Muszę upychać swoje pliki między menu na wtorkowy lunch i przepisem na ulubione ciasto generała Chryslera. To placek z wiśniami, jakbyś był ciekaw. Telefony do mnie są przekierowywane na komórkę Jasona Shufflera z księgowości. Zostawił ją w samochodzie, który stał poza strefą rażenia. Czasem oplać się być szarakiem.

Herbert mówił bez ładu i składu i doskonale o tym wiedział, ale miał za sobą ciężki dzień i dobrze było wreszcie dać upust emocjom. Nawet w najlepszych okolicznościach w pełni ufał tylko Mike'owi i Darrellowi, a Darrella nie było pod ręką, więc padło na Mike'a. Herbert odetchnął, by się uspokoić, przerwał swój tak zwany meldunek i przeszedł do najważniejszych wiadomości.

- Policja zgrała Darrella i Marię - powiedział. - Pod zarzutem włamania.

- Słyszałem.

- Darrell miał prawo do jednego telefonu, więc zadzwonił do Paula, a ten wysłał po nich Lowella. Szef zreferował mi sytuację. Masz coś nowego?

- Włączył mi się szósty zmysł. Interesuje mnie detektyw Robert Howell.

- Dobrze się składa, że o niego pytasz.

- Czemu? - spytał Rodgers.

- Bo właśnie przeglądam na komputerze jego akta. Szukałem czegoś, co dałoby się wykorzystać, by wyciągnąć Darrella i Marię z paki.

- Co może go wiązać z Linkiem albo senatorem?

- Może jest fanem senatu - zasugerował Herbert.

- To samo powiedziała Kat - zauważył Rodgers.

- Ale jej nie wierzysz, bo...?

- Bo to powiedziała.

- Super. Lepszego powodu nie masz?

- Nie. Jak już mówiłem, to tylko przeczucie.

- No dobra - powiedział Herbert. Przechylił ekran tak, by nie odbijało się w nim słońce. - Detektyw nie jest żonaty, nie pochodzi z Teksasu, ma osiągnięcia, że tylko pozazdrościć. Służył w straży przybrzeżnej i...

- Nie jest żonaty - przerwał mu Rodgers. - Rozwodnik?

- Nie.

- Ma dziewczynę?

- W aktach nie ma nic na ten temat - powiedział Herbert.

- Cholera.

- Co?

- Może jest szantażowany.

Herbert zmarszczył brwi.

- Nie za bardzo się zagalopowałeś?

- Ja już tak mam - powiedział Rodgers. - Czy w aktach są jakieś dokumenty oznakowane jako poufne?

- Nie.

- Czyli może nie ma tego w aktach cywilnych. Możesz zdobyć jego akta z wojska? Jeśli zwrócę się o nie oficjalnymi kanałami, dostanę je najwcześniej za kilka dni.

- Może dałoby się to załatwić przez Andrews...

- To potrwa. Nie ma czasu.

-...albo poproszę Matta - odparł Herbert. - Jest na dole, naprawia sprzęt.

- Tak by było najlepiej - powiedział Rodgers. - To ważne.

- Już lecę - powiedział szef komórki wywiadowczej. - Oddzwonię do ciebie.

- Dzięki.

Już lecę? - pomyślał Herbert, rozłączając się, i zadzwonił na dół, do Akwarium. Albo był cholernie zmęczony, albo świeże powietrze zawróciło mu w głowie.

Poprosił Bugsa Beneta, żeby wysłał Matta Stolla na miejsce parkingowe 710. Stoli przyszedł po pięciu minutach. Był zadowolony, że może odetchnąć świeżym powietrzem.

- W tych piekielnych czeluściach ciągle cuchnie spaloną miedzią - poskarżył się tęgi informatyk.

Po dziesięciu minutach dostał się do utajnionych akt straży przybrzeżnej. Zaraz potem otworzył kartotekę porucznika Roberta Howella. Był w niej oficjalny raport z 1989 roku,

złożony przez oficera śledczego w związku z incydem na pokładzie świeżo wprowadzonego do służby kutra „Orcas”, stacjonującego w Coos Bay w stanie Oregon.

- Matko święta - powiedział Herbert, czytając dokument.

- Co to? - spytał Stoli.

- Po pierwsze, przepustka na wolność dla McCaskeyów - odparł Herbert.

Podziękował Stollowi i odesłał go z powrotem do piekielnych czeluści.

Zadzwoił do Mike'a Rodgersa. „Podejrzliwego” Mike'a Rodgersa. Mike'a Rodgersa, który często się zagalopowywał.

I często miał rację.

Rozdział 44

San Diego, Kalifornia Środa, 13.00

Eric Stone poprosił w recepcji, by dali mu znać, jak przyjdzie Mike Rodgers. Jak dotąd, nie miał okazji go poznać. Ale Kat powiedziała mu przez telefon, że ma obawy co do jego lojalności. To wzmagało poczucie dyskomfortu, jaki w Stonie wzbudzał fakt, że generał wciąż współpracuje z ludźmi prowadzącymi śledztwo w sprawie USF. Rodgers był patriotą, ale nie ekstremistą pokroju Orra. Stone chciał z nim porozmawiać. I, co ważniejsze, spojrzeć mu w oczy i zobaczyć, po której jest stronie. Stone świetnie potrafił czytać w twarzach. Odkrył w sobie tę umiejętność, kiedy pracował jako kelner. Wiedział dokładnie, w którym momencie przy stoliku nastąpi przerwa w rozmowie pozwalająca zaproponować gościom zimne przekąski. Po minach uczestników przyjęcia, po tym, jak się rozglądali, potrafił poznać, którzy lubią chrupiące kromki, niedopieczony kebab, a którzy nie znoszą sushi. Wiadomo było, że ci, którzy wydają się lekko zawstydzeni, na jednej czy dwóch kielbaskach koktajlowych nie poprzestaną. Umiejętność tę doprowadził do perfekcji, pracując dla admirała Linka, kiedy nieraz miał okazję wpatrywać się w wystraszone, pochmurne, a czasem wręcz groźne twarze żołnierzy i dygnitarzy, polityków i cywili, z którymi stykali się na co dzień. Mike Rodgers był dla niego niewiadomą.

Do chwili, kiedy zobaczył go na hotelowym korytarzu. Generał właśnie wychodził z pokoju. Stone chciał go wyczuć. Na pierwszy rzut oka Rodgers był wojskowym w każdym calu. Jak admirał Link. Tyle że admirał wołał atakować, a ten tutaj - bronić się. Stone poznał to po tym, jak trzymał głowę. Nie prosto, tylko odchyłoną do tyłu, z wysuniętym podbródkiem. Spodziewał się ciosu, ale wyprostowane ramiona wskazywały, że jest na niego przygotowany.

- Generał Rodgers? - spytał Stone, podchodząc do niego.

- Tak?

- Eric Stone.

- Miło mi cię poznać, Eric.

Stone podał mu rękę. Uścisk dłoni generała był mocny, ale nie za mocny. Nie musiał nikomu udowadniać, że jest silny.

- Jak minęła podróż? - spytał Stone.

- Dobrze, dziękuję.

Uprzejmy, ale ostrożny, pomyślał Stone. Ciekawe, dlaczego.

- Wie pan, generale, mam steki na grillu, więc nie mogę długo zostać. Liczę na to, że będziemy mieli okazję porozmawiać, zanim wszystko się zacznie.

- Z chęcią - odparł Rodgers.

- Mam też nadzieję, że będzie to dla pana przyjemne doświadczenie, miła odmiana - ciągnął Stone. - Słyszałem, co stało się w Centrum. To straszne. Kiedy wznowią działalność?

- Już wznowili.

- Na pełnych obrotach?

- Dostatecznie pełnych. W Centrum zawsze ważniejsi byli ludzie niż technika.

- Serce, nie procesor.

Rodgers skinął głową.

- Cieszę się. To także nasza filozofia - powiedział Stone, podnosząc pięść w geście solidarności. - I dlatego senator i admirał są przekonani, że bardzo się pan przyda partii i przyszłej administracji Orra. Mam nadzieję, że nie stracił pan zapалу.

- Skądże znowu - odparł Rodgers.

- Na pewno? - Generał zaprzeczył trochę zbyt skwapliwie. Zabrzmiało to prawie jak wyzwanie czy groźba.

- Proszę nie mylić uważnej obserwacji z brakiem zainteresowania. Kontemplacja pozwala przenieść siłę stąd... - uniosł dłoń -...tutaj - dotknął palcem skroni. - Ale nie osłabia.

- Słowa godne uczonego - zauważył Stone. Wiedział, że Mike Rodgers po powrocie z Wietnamu obronił doktorat z historii.

- Gwoli ścisłości, Eric, mówiłem bardziej jako żołnierz. Uczestniczyłem w wielu wojnach i konfliktach. Stąd wiem, że ten, kto zbyt ochoczo rwie się naprzód, może wdepnąć na minę.

- Cóż, ja miałem szczęście. Nosilem mundur w czasie pokoju. Ja i inni żołnierze byliśmy ostrożni, ale się nie baliśmy. Byliśmy też optymistami, bez względu na sytuację i stopień zagrożenia.

- Ja zawsze jestem optymistą - zapewnił go Rodgers.

- Naprawdę? - Stone złapał go za ramię i roześmiał się. - Proszę wybaczyć, generale, ale wygląda pan, jakby przyjechał na pogrzeb.

Rodgers wlepił oczy w twarz Stone'a.

- Nie tak wyglądam na pogrzebie - powiedział. - Jeśli chcesz zobaczyć, jak, zapraszam w sobotę.

- W sobotę? Czemu? - spytał Stone.

- Bo wtedy pochowamy Maca McCalliego. Zginął w wybuchu ebomby w siedzibie Centrum.

-.Och, tak mi przykro - powiedział Stone, zabierając rękę. - Jestem tu tak zawalony robotą że nawet nie słyszałem, że były jakieś ofiary.

To było kłamstwem. Stone wiedział wszystko o zamachu, który zlecił. I był na siebie wściekły za ten nieudany żart o pogrzebie. Rodgers miał rację: niepotrzebny pośpiech jest źródłem kłopotów. Generał odniósł moralne zwycięstwo.

Przelał pierwszą krew.

- A co się tyczy strachu, Eric, to nie on powoduje, że jestem ostrożny i czujny - ciągnął Rodgers, przybierając bardziej agresywny ton. Role się odwróciły; teraz to on próbował wyczuć Stone'a. Klasyczny wojskowy kontratak. - Sprawia to raczej pozorny brak chaosu. Chaos istnieje zawsze, może być co najwyżej ukryty. Disraeli powiedział kiedyś, że pokój wywołał więcej wojen niż najbardziej bezwzględni agresorzy. Pokój powoduje, że gnuśniejemy. Przystajemy oglądać się przez ramię. Jednym z najważniejszych zadań każdego przywódcy jest wywęszenie ukrytych zagrożeń. Podsycenie ich, jeśli to konieczne, wywleczenie na światło dzienne, by można je było zdusić.

- To brzmi jak podżeganie do wojny - zauważył Stone.

- I słusznie - odparł Rodgers z dumą. - Zawsze uważałem, że lepiej jest wywabić wroga, zanim urośnie w siłę.

- A czy wężąc i wywabiając wrogów, nie zapomina pan o oglądaniu się przez ramię? Wie pan, co w tej chwili jest za pańskimi plecami? - On też przybrał lekko wyzywający ton, ale miał to gdzieś.

- Wiem. Wyjście ewakuacyjne i kamera monitoringowa. - Uśmiechnął się. - Lubię wiedzieć, gdzie są wyjścia.

Stone'owi nie podobała się ta rozmowa ani obrót, jaki przybrała. Nie potrafił stwierdzić, czy Rodgers nadal filozofuje, czy też rozmyślnie igra z nim, czyniąc aluzje do chaosu panującego w ostatnich dniach. Ważne było to, o czym nie wspomniał. Nie powiedział ani słowa o dochodzeniu prowadzonym przez Centrum Szybkiego Reagowania ani o aresztowaniu Darrella i Marii McCaskeyów. Nie dlatego, że o tym nie wiedział. Po ich zatrzymaniu detektyw Howell ustalił, że ostatni numer, na jaki dzwonił McCaskey, należał do Mike'a Rodgersa. Stone chciał wyciągnąć z generała coś więcej na ten temat.

I to szybko.

- Wie pan, generale, nie na taką rozmowę liczyłem przy naszym pierwszym spotkaniu

- powiedział ze śmiechem. - Ale to naprawdę ciekawe. Jeśli ma pan chwilę, skoczę tylko po laptopa i możemy razem pójść do centrum konferencyjnego. Będę wdzięczny za wszelkie sugestie.

- Lepiej spotkajmy się na miejscu. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia.

- Mogę poczekać.

- Steki się przypalą. Dogonię cię. Może potem wyskoczymy na drinka.

- Z chęcią.

Kierownik konwencji ruszył w głąb korytarza do swojego pokoju. Otwierając drzwi, zerknął w lewo. Rodgers podszedł do drzwi Kat i zapukał. Nie krył się z tym. Czy były to niewinne odwiedziny, czy też rozmyślna prowokacja? Stone nie miał pojęcia i to go irytowało. Generał nie spodobał mu się jeszcze bardziej niż cała ta rozmowa. Zadzierał nosa i prawil morały. Link mówił przekonująco i rzeczowo. Ten tutaj wygłaszał kazania, jakby tylko on mógł mieć rację.

Nie żeby to miało znaczenie. Stone dowiedział się tego, czego chciał się dowiedzieć.

Mike Rodgers nie jest sprzymierzeńcem. A skoro tak, to nie liczyło się, że był umiarkowany w poglądach ani że był bohaterem wojennym. Przede wszystkim był wrogiem.

Rozdział 45

San Diego, Kalifornia Środa, 13.16

Kiedy Mike Rodgers miał trzynaście lat, oddział YMCA w Connecticut organizował mecze szachowe z lokalnym arcymistrzem. Rodgers zagrał jedną partię i wygrał. Powód tego był prosty: nie miał zielonego pojęcia o strategii, wiedział, jak poruszają się figury, to wszystko. Zaczął od ruchu niepozornie wyglądającym pionkiem stojącym przed wieżą po stronie królowej. Lubił wieże - czy zamki, jak je nazywał. To brzmiało bardziej militarystycznie. Podobał mu się ich rozmach, ich siła. Chciał jak najszybciej wyprowadzić je z narożników szachownicy i rzucić do boju. Arcymistrz odpowiedział debiutem Sokolskiego. Jednak niekonwencjonalny ruch Rodgersa, przeprowadzony tak daleko od centrum szachownicy, praktycznie zniweczył wszelkie możliwości ataku czarnych. Arcymistrz poddał się po szesnastu chaotycznych posunięciach.

Pukając do drzwi Kat, Rodgers myślał o tym, że w życiu nie miał do czynienia z tak nieudolną, amatorską próbą manipulacji, jaką widział w wykonaniu Erica Stone'a. Aż zaczął powątpiewać, czy tacy ludzie byliby w stanie zawiązać jakikolwiek spisek. Z drugiej strony, to właśnie dlatego byli niebezpieczni. Nie pasowali do żadnych schematów. Byli nieprzewidywalni.

Kat była zniecierpliwiona i okazywała to całą sobą, od oczu po wyzywająco wysunięte biodro.

- Tak, generale?

- Muszę z tobą porozmawiać. - Ominął ją i wszedł do pokoju.

- Ależ proszę bardzo - powiedziała sarkastycznym tonem. - Wejdz.

- Wybacz, ale nie chcę tu stać i gadać, bo Eric Stone patrzy i pewnie podsłuchuje. -

Kat puściła drzwi.

- Po co miałby podsłuchiwać? Czyżby uważał, że kogoś tak nieobliczalnego, jak ty, ryzykownie byłoby wpuścić na konwencję?

- Nie. Myśli, że coś ukrywam. I ma rację.

- A co ukrywasz?

- Fakt, że detektyw Howell został wrobiony, być może właśnie przez niego - powiedział Rodgers.

- Jak to zrobiony? I niby w co?

- Dostał cynk, żeby przyjść do twojego mieszkania - powiedział Rodgers. - A co do tego, jak się w to wkopał... kilkanaście lat temu miał romans z kolegą ze straży przybrzeżnej.

- Czyli jest gejem. Kogo to obchodzi?

- To nie wszystko. Tamten chłopak najwyraźniej się rozmyślił i stwierdził, że został uwiedziony. Howell wziął całą winę na siebie. Ponieważ był wyższy rangą, uznano, że choć do zbliżenia doszło za obopólną zgodą, wykorzystał swoją pozycję. Dostał stosunkowo łagodną reprimendę, ale trafiła ona do jego akt osobowych, które zostały utajnione.

- Dopóki ktoś do nich nie zajrzał.

- Tak. Ktoś, kto miał dostęp do dokumentów wojskowych.

- Admirał Link.

- Być może - przyznał Rodgers. - Ale on pewnie nic nam nie powie, więc trzeba będzie spytać o to detektywa Howella. Innego wyjścia nie widzę.

- A czemu niby ja miałabym to zrobić?

- Bo nie wierzę, że Howell byłby skłonny pomóc Centrum. Jeśli zadzwonię do niego ja, pewnie nic nie powie. Jeśli zrobisz to ty, może będzie bardziej wylewny. Zwłaszcza jeśli powiesz, że nie wniesiesz oskarżenia przeciwko Darrellowi McCaskeyowi i jego żonie.

- Niby dlaczego? Włamali się do mojego mieszkania.

- Nie mieli wyboru - zauważył Rodgers. - Myśleli, że jesteś w to zamieszana.

- Teraz już tak nie myślą? A ty?

- Mam nadzieję, że nie jesteś. Masz okazję, żeby mnie w tym utwierdzić.

- Wiesz, od pięciu minut powinnam być na dole i rozmawiać z dziennikarzami o kampanii - powiedziała. - Ale tak mnie wkurzyłeś, że nie mogłam się zebrać, żeby tam pójść. A teraz prosisz, żebym ci pomogła w tym twoim zwariowanym śledztwie. Chciałabym po prostu mieć święty spokój.

- A ja miałem brać udział w castingu do roli sekretarza obrony. Tymczasem jestem tu i błagam cię, żebyś pomogła mi w bitwie, która nawet mnie nie dotyczy.

- Mnie też, generale. - Kat z westchnieniem podeszła do łóżka i wyłowiła spod płaszcza komórkę. - Miejmy to już z głowy. Jaki jest numer Howella?

Rodgers wskazał telefon na stoliku przy łóżku.

- Mogłabyś zadzwonić ze stacjonarnego i włączyć głośnik? Chciałabym słyszeć, co będzie mówił.

- Dobrze. Czemu nie? Upokorzmy faceta jeszcze bardziej.

Rodgers dał jej numer centrali policji miejskiej, bo tylko ten znał. Połączyli ją z

Howellem.

- Detektywie Howell, mówi Kat Lockley. Uprzedzam, że włączyłam głośnik. Jest ze mną generał Mike Rodgers z Centrum Szybkiego Reagowania.

Powiedziała to z naciskiem, żeby pokazać generałowi, że nie uważa go już za członka swojej ekipy. Rodgers znosił już gorsze ciosy. Ten też przetrzyma.

- Właśnie miałem do pani dzwonić - powiedział Howell. - Jak zapewne pani słyszała, zastaliśmy w pani mieszkaniu dwoje agentów Centrum. Zatrzymaliśmy ich pod zarzutem włamania.

- Tak. Mimo to nie zamierzam wnieść oskarżenia.

- Słucham?

- Wrócimy do tego później. Generał uważa, że są ważniejsze sprawy, o których powinniśmy porozmawiać.

- To znaczy?

- Proszę wybaczyć, że poruszam ten temat, detektywie, ale generał Rodgers twierdzi, że ma powód, by przypuszczać, że jest pan szantażowany.

Zapadła cisza. Kat spojrzała na Rodgersa. Siedziała na poduszkach przy stoliku, on stał w nogach łóżka. Jeszcze przed chwilą zdawało się, że dzieli ich przepaść. Teraz zniknęła bez śladu.

- Generale, mam rozmowę na drugiej linii - powiedział Howell. - Może pan chwilę poczekać?

- Tak.

To, czy rzeczywiście miał kogoś na drugiej linii, nie miało znaczenia. Rodgers dał mu „chwilę”. Kilkanaście sekund.

- Na jakiej podstawie uważa pan, że jestem szantażowany? - spytał Howell.

- A jest pan? - powiedział Rodgers.

- Mógłby pan najpierw odpowiedzieć na moje pytanie?

- Zaintrygowała nas pułapka, w którą wpadli państwo McCaskey. Wszystko było zbyt dobrze zgrane w czasie. Ktoś dostał się do mieszkania, by zostawić dowody obciążające panią Lockley, potem poszli tam nasi ludzie i zaraz zjawiliście się wy.

- Zakłada pan, że nie mieliśmy tego mieszkania pod obserwacją.

- Gdyby tak było, złapalibyście osobę, która weszła tam przed nimi - zauważył Rodgers.

- Nie chcę o tym rozmawiać, generale.

- Rozumiem. Ale pan też musi coś zrozumieć. Centrum zostało zaatakowane. Zginął

mój współpracownik...

- Wiem. Przykro mi.

- Zginęli też inni. Zamierzamy położyć temu kres. Nie muszę panu mówić, co się stanie, jeśli okaże się, że brał pan w tym wszystkim udział.

Z głośnika dobiegł stłumiony chichot.

- I kto tu mówił o szantażu?

- To co innego - powiedział Rodgers. - Tym razem sprawą zajmie się wydział spraw wewnętrznych.

- Detektywie, zawsze miałam o panu dobre zdanie. Chciałabym, żeby coś mi pan powiedział, szczerze - wtrąciła nagle Kat. - Czy generał Rodgers ma zwidy, czy to ja jestem ślepa na fakty? Czy zadaję się ze złymi ludźmi?

Detektyw Howell zamilkł po raz trzeci. Kat zmarszczyła brwi, kąciki jej ust opadły. Rodgers przeniósł wzrok na wiszący nad łóżkiem obraz. Była to litografia przedstawiająca hiszpański statek w Zatoce San Diego w czasach, gdy okoliczne ziemie zamieszkiwali hiszpańscy osadnicy. Do ludzi zgromadzonych na brzegu płynęła łódź z żywnością. Obraz nosił tytuł Aguardar Noticias del Hogar.

Oczekując wieści z kraju.

Rodgers pomyślał o tym, jak inny był świat, jak inne było życie, kiedy całymi tygodniami trzeba było czekać na odpowiedź na takie pytanie, jakie zadała Kat. Aby ją poznać, ludzie obdarzeni wielką mądrością i jeszcze większą intuicją musieli wyruszać w długie podróże.

- Myślę, że to wystarczy za odpowiedź - powiedziała Kat posępnym tonem.

- Detektywie, proszę coś powiedzieć - naciskał Rodgers. - Jeśli pani Lockley ma rację, możemy panu pomóc. Cokolwiek się stało, możemy to naprawić.

- Nie - odparł Howell. - Dokonałem wyboru. Będę żył z jego konsekwencjami. Ale zapewniam pana, że nie wiedziałem, że Centrum zostanie zaatakowane.

- Czy stali za tym ci sami ludzie? - nie ustępował Rodgers.

- Nie wiem - wyznał.

- A co pan wie? - spytała Kat.

- Tylko że pewnego dnia zadzwonił do mnie jakiś mężczyzna.

- Kiedy to było? - zainteresował się Rodgers.

- Dwa i pół tygodnia temu. Miał informacje o przebiegu mojej służby, których ujawnienie oznaczałoby dla mnie koniec pracy w policji. Powiedział, że zostaną usunięte z mojej kartoteki, jeśli będę współpracował.

- Na czym ta współpraca miała polegać?

- Nie powiedział - odparł Howell.

No pewnie. To oznaczałoby współudział w zabójstwie. Już lepiej byłoby pogodzić się ze skandalem i wyrzuceniem z pracy.

- A o co poprosił, kiedy już zaczął mówić? - spytał Rodgers.

Znów zapadła cisza, ale tym razem na krótko.

- Na początku chodziło tylko o sekcję - odparł Howell.

- To znaczy? - spytała Kat.

- Mieli szybko zabrać ciało, a my mieliśmy poprzestać na pobieżnych oględzinach - powiedział Howell. - Pani ludzie chcieli wywieźć Wilsona z kraju. Powiedzieli, że chodzi o to, by oszczędzić senatorowi nagonki mediów. Uznałem, że to ma sens. Na oko przyczyną zgonu był atak serca. Nie widziałem przeszkód, by załatwić sprawę w przyspieszonym trybie.

- Powiedział pan „na początku” - zauważył Rodgers.

- Uhm. Potraktowałem to jako przysługę. A tu nagle pan McCaskey stwierdził, że Wilson został zamordowany. W tym momencie miałem już na koncie naruszenie regulaminu. Myślałem, że da się to jakoś załagodzić. Ale wtedy wynikła ta druga sprawa.

- Dokumenty z wojska - powiedziała Kat.

- To miasto jest przerażające - stwierdził Howell. - Oboje to wiecie. Nie chciałem skończyć jako szeryf na jakimś zadupiu i miałem nadzieję, nie, modliłem się, żeby Darrell McCaskey dopadł tych ludzi.

- Nadal może to zrobić - zauważył Rodgers. - Pani Lockley nie wniesie oskarżenia. Proszę go zwolnić. Niech pan mu pomoże.

- Jak?

- To zależy. Czy odniósł pan wrażenie, że to wszystko jest częścią szerszej operacji?

- To niewykluczone - odparł Howell. - Powiedzieli mi, że zostanę poinformowany, kiedy mój „interfejs”, jak to ujęli, nie będzie dłużej potrzebny. Jak dotąd takiej informacji nie dostałem.

- Czyli mogą planować więcej zabójstw - powiedział Rodgers. - Ma pan z nimi kontakt?

- Nie. Nie wiem nawet, z kim rozmawiałem. Numer był zastrzeżony.

- Na pewno był to ktoś, kto miał dostęp do pańskich akt z wojska.

- Zgadza się.

- To znaczy, że mógł to być Link - powiedział Rodgers. Mimo to, nie sądził, by admirał zajął się tym osobiście. To byłoby zbyt ryzykowne. - Kiedy ostatnio rozmawiał pan z

tym człowiekiem?

- Przed chwilą. Pytał, czy ktoś interesował się sprawą.

- Co znaczy „przed chwilą”? - spytał Rodgers.

- Tuż przed tym, jak pan zadzwonił. Przerwałem rozmowę z nim, by odebrać telefon od pana.

Rodgersa przeszedł dreszcz. Nie ze strachu. To było takie uczucie, jakby prąd przebiegł mu po szyi. Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. Szkoda że nie miał broni. Albo bomby elektromagnetycznej, czegoś, co zatrzymałoby pracę wszystkich urządzeń i dało mu dość czasu, by dokładnie się rozejrzeć.

- Powiedział pan temu człowiekowi, że jesteśmy na drugiej linii? - spytał Rodgers.

- Tak. Spytał o to.

- Dobrze. Mam do pana dwie prośby. Po pierwsze, proszą zwolnić McCaskeyów.

- Nie mogą tego zrobić bez odpowiednich dokumentów - odparł Howell. - Przefaksują je pani Lockley...

- Nie ma na to czasu - zaprotestował Rodgers. - Przecież dobrze pan wie, że nie są przestępcami. Niech pan wyjaśni, że to pomyłka i ich wypuści. Proszą powiedzieć, że mieli zgodą na to, by wejść do mieszkania.

- Bo tak było - wtrąciła Kat pod wpływem impulsu. - Ja im pozwoliłam.

- W porządku - powiedział Howell. - A ta druga prośba?

- Jeśli ten człowiek znowu się odezwie, niech pan spróbuje w jakiś sposób dowiedzieć się, kim jest. - Rodgers ruszył w stronę drzwi. - I powie o tym Darrellowi.

- Dobrze.

- Dzięki. Porozmawiamy później.

Kat odłożyła słuchawkę, a Rodgers pospiesznie podszedł do drzwi. Zaczął nasłuchiwać. Na korytarzu panowała cisza. Kat stanęła na drugim końcu małego holu.

- Co się stało? - spytała.

- Nie jestem pewien. Na razie zostań tu.

- Czemu?

- Bo muszą wyjść i mogą mieć kłopoty - odparł Rodgers. - Jakby co, będę potrzebował kogoś, kto wniesie za mnie kaucję.

- Jakie kłopoty?

- Nie mam pojęcia - powiedział i uchylił drzwi. - Ale jedno wiem na pewno. To, co stało się w Waszyngtonie, to był dopiero wstęp. Przedstawienie odbędzie się tutaj.

Rozdział 46

Waszyngton Środa, 16.42

Człowiek czuje się bezkarny, kiedy coś oddziela go od niebezpieczeństwa. Zamek w drzwiach. Policjant na patrolu. Wpływowy człowiek stojący między nim a tymi, którzy chcieliby zrobić mu coś złego.

W każdym z tych przypadków jest to tylko złudzenie. Darrell McCaskey przekonał się o tym, pracując w FBI. Zakładał, że młoda, niedoświadczona Lucy O'Connor tego nie wie. Ale się dowie jeszcze tego popołudnia.

McCaskey z żoną zostali wypuszczeni z celi w komisariacie Pierwszego Dystryktu. Detektyw Howell osobiście zawiózł ich na parking policyjny przy 65 K Street NE. Wcześniej zadzwonił tam, by przygotowano wóz do odbioru.

Zaskakująco szczerze opowiedział im, co się stało. Słuchając go, McCaskey czuł się jak spowiednik. Nie żeby miał coś przeciwko temu, byle tylko nie musiał zachować tajemnicy spowiedzi.

Nie osądzał tego człowieka. Ludzie robili różne rzeczy pod wpływem strachu i instynktu samozachowawczego. Pracując w FBI, miał do czynienia z niezliczonymi zbrodniami namiętności, których sprawcy okazywali skruchą już chwilę po ich popełnieniu. To nie usprawiedliwiało Howella, ale McCaskey przynajmniej rozumiał, jak to jest.

Siedział obok żony na tylnym siedzeniu wozu Howella. Kiedy detektyw skończył mówić, McCaskey spytał go, czego oczekuje w zamian za pomoc.

- Wyjścia z sytuacji - powiedział Howell ze smutkiem.

- Z tym może być kłopot. Kiedy dorwiemy tych ludzi, na pewno pana wsypią - zauważył McCaskey.

- Wiem. Myślałem o tym. Moglibyście mnie usprawiedliwić, mówiąc, że od samego początku potajemnie przekazywałem wam informacje. To zmniejszyłoby wagę ich zarzutów.

- My nie mieliśmy szansy się wytłumaczyć, kiedy nas pan aresztował - powiedziała Maria z wyrzutem.

- Trzymali mnie na smyczy. Przepraszam.

- r - Gdyby nie telefon generała Rodgersa, stalibyśmy teraz przed waszym prokuratorem okręgowym - ciągnęła.

- Znalazłbym sposób, żeby jakoś to załagodzić.

- Mówi pan tak, jakby chodziło o ból żołądka. Ta sprawa mogła ciągnąć się za nami do końca życia.

- Tak, ale trzeba przyznać, że do mieszkania tej kobiety weszliście bezprawnie.

- Włamaliśmy się, żeby wyjaśnić wyjątkowo paskudną zbrodnią - wtrącił McCaskey. - Gdyby mierzyć przestępstwa skalą Richtera, to miałyby jeden przecinek zero punktu.

- Przecież już przyznałem, że dałem ciała. W wojsku też, przez co wplątałem się w cały ten bajzel. To, co zrobiłem, nawet nie było przestępstwem. Sąd tak to nazwał, by ulżyć gówniarzowi, który miał wyrzuty sumienia, że uprawiał seks.

- Gówniarzowi - powtórzyła Maria. - To był chłopak? Mężczyzna? Wjeżdżając na parking, Howell skinął głową.

- Wziąłem winę na siebie, bo wiedziałem, jak ciężko to przeżywa. Miałem na uwadze jego dobro. Mogłem wnieść o apelację, ale tego nie zrobiłem. A teraz ci dranie wygrzebali tę sprawę i kłują mnie nią w oczy. Czułem... tylko przez chwilę, ale to wystarczyło... czułem, że biorąc wtedy na siebie winę, zasłużyłem na rozgrzeszenie za jeden grzech, jaki popełnię w przyszłości. I popełniłem go teraz. Gdybym wiedział, że tak się to rozwinie, w życiu bym na to nie poszedł. To było nie w porządku. Jeśli mi pomożecie, moją pokutą będzie dalsza służba społeczeństwu. Jak dotąd, radziłem sobie z tym bardzo dobrze. Jeśli nie, zapłacę za swój grzech w więzieniu, a to nikomu nic nie da. - Odwrócił się do McCaskeya. - Policjanci powinni sobie pomagać, Darrell. Nie zostawiaj mnie na lodzie. Proszę.

McCaskey otworzył drzwi i wysiadł. Podeszedł do drzwi od strony kierowcy. Howell opuścił szybę.

- Gdybym zrobił, o co prosisz, nie mógłbym spojrzeć w oczy wdowie po Macu McCalliem - powiedział McCaskey. - Wstawię się za tobą, obiecuję, ale kłamać nie będę.

Howell zaczerwienił się, ale nie odpowiedział. Zamknął okno i odjechał.

Maria wzięła męża za rękę.

- Postąpiłeś słusznie - powiedziała. - Jestem z ciebie dumna.

- Szkoda tylko, że jakoś nie jest mi z tym lżej - westchnął. Odprowadził wzrokiem skręcający za róg wóz detektywa.

Lęk, z jakim Howell podejmował decyzję, za którą tak drogo zapłacił, musiał być niczym w porównaniu ze strachem i poczuciem osamotnienia, jakie ogarniało go teraz. McCaskey żałował, że nie było innego wyjścia z tej sytuacji. Może powinien był pozostawić to Paulowi.

- A może facet powinien był dobrze się sprawować - powiedziała Maria.

- Słucham?

- Znam cię. Żałujesz, że to wszystko nie ułożyło się inaczej. Detektyw Howell dokonał wyboru. Zginęli ludzie. Musi żyć z konsekwencjami.

- Wiem. Wiesz, kocham tę robotę, ale czasem wkurza mnie to, co muszę robić.

Maria mocniej ścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się, by dodać mu otuchy.

Odebrali samochód i włączyli się w popołudniowy korek.

McCaskey niewiele mógł zrobić dla Roberta Howella, ale, jak na ironię, było coś, co mógł zrobić dla Maca McCalliego. I zamierzał to zrobić.

Znajdzie i ukarze ludzi winnych tej tragedii.

Rozdział 47

San Diego, Kalifornia Środa, 14.02

Ledwie Rodgers wyszedł na korytarz, Kat wybiegła za nim.

- Mam swoje obowiązki, generale. Nie mogę tu zostać.

- Musisz - odparł. - Możesz być w niebezpieczeństwie, to raz, a dwa, pomagając tym ludziom, możesz zostać oskarżona o współudział w zмовie przestępczej.

- Nie wierzę, że senator za tym stoi.

- Nie możesz udowodnić, że tak nie jest. Proszę cię. Nie mam czasu na dyskusje. Muszę coś sprawdzić.

- Zaczekam godzinę - stwierdziła. - Nie dłużej.

Rodgers nie odpowiedział. Przypuszczał, że ledwie zniknie z pola widzenia, Kat wyjdzie. Nie wiedział, czy naprawdę jest niewinna, czy tylko udaje. Zanim zszedł na dół, załomotał do drzwi Erica Stone'a. Nikt nie otworzył. Rodgers nie wiedział, gdzie kierownik konwencji jest ani co knuje. Zresztą, nie wiedział wielu rzeczy. Zbyt wielu, szczerze mówiąc.

Schodami zszedł do holu głównego. Nie dlatego, że obawiał się o swoje bezpieczeństwo. Po prostu w razie, gdyby zadzwonił McCaskey, nie chciał z nim rozmawiać, stojąc ramię w ramię z wścibskimi delegatami USF.

Wyszedł na dziedziniec okolony wysokimi, smukłymi palmami i zalany brzoskwiniowym blaskiem słońca. Wokół kręcili się ludzie, na szerokim podjeździe stały samochody zaparkowane w dwu szeregach. Tak nie znajdzie Erica Stone'a. Wrócił do recepcji i spytał, czy ktoś go widział. Odparli, że nie. Rodgers nie sądził, by kazano im kłamać. Stone'a tu po prostu nie było. Przyszło mu do głowy, by sprawdzić nagrania z kamer monitoringowych, ale doszedł do wniosku, że nawet jeśli go znajdzie, nic mu to nie da. Ważniejsze było to, dokąd Stone się wybiera.

Wrócił na dziedziniec. Spojrzał ku centrum konferencyjnemu. Pewnie impreza już się zaczyna, delegaci schodzili się na darmowy lunch, po którym miały zostać wygłoszone pierwsze przemówienia. Przed budynkiem stały wozy transmisyjne. Może któraś z kamer uchwyciła Stone'a. Rodgers postanowił to sprawdzić. Na razie i tak nie miał innego punktu zaczepienia.

- Generale?

Ktoś wyrósł u jego boku. Odwrócił się. To był Stone, szeroko uśmiechnięty, z krótkofalówką w dłoni. Z głośnika wśród trzasków rozlegały się słabe, ale pełne napięcia głosy pracowników obsługi konwencji.

W chaotycznym gambicie był pewien ruch, pomyślał Rodgers. Nieoczekiwany ruch, który pozwalał przejąć kontrolą nad szachownicą. Pytanie tylko, czyjego wykonanie to fuks nowicjusza, czy improwizacja wytrawnego profesjonalisty.

- Słyszałem, że mnie pan szukał? - powiedział Stone z uśmiechem.

- To prawda.

- Co mogą dla pana zrobić?

Rodgers rozejrzył się.

- Po pierwsze, skąd wiedziałeś, gdzie jestem? - spytał. Wypatrywał najbliższej kamery monitoringowej lub obserwatora.

- Nie było w tym żadnego spisku, generale - odparł Stone ze śmiechem. - Recepcjonistka powiedziała, że poszedł pan w tym kierunku. Wiedziałem, jak pan jest ubrany i dopisało mi szczęście.

Rodgers tego nie kupił. Mógł być obserwowany przez każdego z setek otaczających ich ludzi. A może ktoś go widział z hotelowego okna.

- Czego więc chce pan ode mnie? - naciskał Stone.

Rodgers przyjrzał mu się uważnie. Jego pozie, jego minie, jego dłoniom.

- Rozmawiałem z detektywem Howellem z policji miejskiej - powiadomił go. - Powiedział mi, że jest szantażowany przez jednego z waszych ludzi. Chcą wiedzieć, przez kogo i dlaczego.

- To absurd - odparł Stone. - Detektyw sprzął dochodzenie. Potrzebował kozła ofiarnego. Wybrał nas. Może ktoś go do tego namówił, może ma do nas o coś pretensje. Mogą tylko powiedzieć, że tracimy przez niego czas. Jeśli to wszystko, czego chciał się pan dowiedzieć...

- Nie, jest coś jeszcze. Chcą wiedzieć, jaki jest ostateczny cel gry.

- Wybór prezydenta - odparł Stone. Zmarszczył brwi i rozejrzył się. - A propos, gdzie Kat? Widział ją pan?

- Tak.

- Miała rozmawiać z dziennikarzami o kampanii.

- Potrzebuje czasu dla siebie. - Rodgers przysunął się do Stone'a. - Mów, do cholery.

- Przecież mówią.

- Nie. Odstawiasz szopkę. Widać po twoich oczach, po twoim uśmiechu, że jesteś

pewny siebie, ale mimo to wiem, że kłamiesz.

- Słucham?

- To się nazywa przeniesienie napięcia. Kiedy człowiek jest cały w nerwach, w taki czy inny sposób widać to po nim. Koniuszki palców ci zbieleły. Ściskasz tę krótkofalówkę jak gumową piłką do odreagowania stresu. To od tych steków, co?

- Tak, generale. Wie pan, może porozmawiamy kiedy indziej...

- Teraz.

- To, co pan robi, nie ma sensu, zdaje pan sobie z tego sprawę? - zaprotestował Stone.

- Proszę tylko pomyśleć. Gdybym był winny straszliwej zbrodni, myśli pan, że z miejsca bym wszystko wyznał? Że potrafi pan tak skutecznie zastraszać ludzi?

- Jeśli się postaram.

- Ochrona w dziesięć sekund wcisnęłaby pańską twarz w asfalt - zapewnił go Stone.

A ja oskarżyłbym pana o napaść i żaden żaloszny detektyw nie wyciągnąłby pana z więzienia.

Rodgers spojrzał na niego bystro.

- Skąd wiedziałeś?

- Co?

- Że Howell zwolnił McCaskeyów.

- Nie wiedziałem.

Rodgers domyślił się, co jest grane, na chwilę przed tym, jak to usłyszał. Z krótkofalówki dochodziły podniesione głosy, podające niezrozumiałe, zachodzące na siebie meldunki.

Stone podniósł ją do ust.

- Tu Stone. Co się dzieje?

- Mamy kłopot - powiedział ktoś.

- Co?.

- Admirał - odparł jego rozmówca. W jego głosie brzmiało wahanie, nie' pewność.

Wyszedł z hotelu tylnymi drzwiami, ale nie dotarł do centrum konferencyjnego.

- Przecież to tylko półtora kilometra! Dzwoniliście do szofera? - spytał, sięgając po komórkę.

- Tak. Nie odbiera. Admirał też nie.

- Co robi ochrona?

- Zadzwonili na policję i poprosili o wysłanie śmigłowca, będą szukać limuzyny z powietrza.

- Powiedźcie im, że zaraz tam będę - rzucił Stone ze złością. Wybrał numer i rzucił się

biegiem do hotelu.

Rodgers pobiegł za nim.

- Kat, tu Eric - powiedział Stone po chwili. - Mamy kłopot. Idź na dół do dziennikarzy.

Wpadli do holu głównego. Plotka o uprowadzeniu admirała już się rozeszła. Wszyscy porzucili swoje dotychczasowe zajęcia i wypytywali osoby z odznakami Sztab, co się dzieje. Stone nawet się nie zatrzymał. Razem z Rodgersem minęli windy i wbiegli na wyłożony dywanem korytarz ze sklepami. Tylne drzwi znajdowały się na jego drugim końcu.

Podczas gdy Stone referował Kat sytuację, Rodgers wrócił do myśli, która błysnęła mu tuż przed tym, jak krótkofalówka obudziła się do życia, a która zupełnie zmieniła jego zapatrywania na temat tego, co uważał za fuks żółtodzioba, chaotyczny gambit.

Nie sądził już, że Stone jest amatorem. Ani jego szef, kimkolwiek był. Ktoś dokładnie sprawdził Rodgersa. Doskonale wiedzieli, co zrobi i jak zareaguje na wszystkie ich posunięcia. Stone był przygotowany na to, że Rodgers odszuka go w San Diego. I że po ich pierwszej rozmowie i aresztowaniu McCaskeyów powie Kat, by na jakiś czas zniknęła. Wiedział też, że kiedy w końcu pokaże się Rodgersowi, generał będzie go ciągnął za język.

Krótko mówiąc, sukinsyn grał na zwłokę.

Rozdział 48

Waszyngton Środa, 17.47

Słońce opadało za horyzont, w powietrzu czuć było chłód. Od strony samolotów niósł się słaby zapach paliwa dieslowskiego. Herbertowi przypomniały się chwile spędzone z żoną Yvonne na lotniskach wojskowych w obcych krajach, gdzie czekali na transport bądź kolejne zlecenie z CIA.

Światło, zapach, smak powietrza najbardziej kojarzyły mu się z lotniskiem w amerykańskiej bazie lotniczej w Ramstein w Niemczech. Tam właśnie zjedli z Yvonne ostatni posiłek przed wylotem do Bejrutu, gdzie ona zginęła, a on stracił władzę w nogach. Kupili w kantine kanapki i kawę i wyszli ze składanym stolikiem na powietrze. Ponieważ było za wietrznie, by zapalać świece, wzięli znaną w magazynie menorę. To był najlepszy zapiekany ser z surówką z białej kapusty, jaki Herbert w życiu jadł. Yvonne wydawała mu się piękna i dzielna jak nigdy. Była prawdziwym wzorem do naśladowania. Zawsze mobilizowała jego i siebie samą do większego wysiłku. Wierzyła, że cokolwiek zrobią w Libanie, pomoże to zaprowadzić pokój w regionie.

I rzeczywiście, przyniosło to pokój prawie trzystu żołnierzom amerykańskim, którzy zginęli w zamachu na ambasadę. Włącznie z Yvonne.

Ciężko mu było nie ulegać bezsilnej złości, kiedy ten dzień stawał mu przed oczami - najczęściej niespodziewanie, jak bandyta wyskakujący zza węgła. Czasem powodowała to piosenka, której Yvonne słuchała w podróży. Czasem wisząca w powietrzu aura, jak teraz. Nawet zapach pieczonego sera budził wspomnienia. Herbert mógł tylko przełknąć gulę rosnącą mu w gardle, skupić się na tym, co robił i odpędzić w cholerę te ściskające serce obrazy. Po wczorajszym zamachu było to szczególnie konieczne.

Tropienie bandziorów zwykle przynosiło mu ulgę. To właśnie próbował robić w tej chwili. Problem polegał na tym, że musiał odpędzać nie tylko wspomnienia Yvonne, ale i pokusę, by dołożyć Paulowi Hoodowi. Miał ochotę - jak to mawiał jego dziadek z Missisipi - „przywalić mu w kichawę, żeby mu się we łbie klepki poukładały”. Zwolnienie Mike'a Rodgersa odebrał jako osobistą zniewagę, najgorszą w ciągu ostatniego ćwierćwiecza. Kiedy to wszystko się skończy, będzie musiał się zastanowić, czy jest w stanie dalej pracować z Hoodem. Na razie czuł, że powinni z Mikiem założyć kartel mścicieli. Wymyślił już nawet

stosowny slogan reklamowy. „Niech zapłacą za to, że kazali płacić tobie”. Dałoby im to okazję, by odegrać się w wielkim stylu.

Na razie jednak musiał dowiedzieć się jak najwięcej o Lucy O'Connor. Darrell zadzwonił, żeby powiedzieć, że jadą z Marią do jej mieszkania. Jeśli, zgodnie z jego oczekiwaniami, jej tam nie zastaną, Herbert miał sprawdzić, dokąd mogłaby pojechać.

- Mam jedną ciekawostkę na jej temat - powiedział Herbert.

- Jaką? - spytał McCaskey.

- W czasie studiów na Camegie-Mellon trafiła do pierdla.

- Za co?

- Dawła w kanał.

- Ćpała?

- Tak wynika z akt policji z Pittsburgha. Odsiedziała sześć miesięcy, w tym czasie była na odwyku.

- Niemożliwe. To musiałyby wyjść przy sprawdzaniu jej przeszłości. Nie dostałaby akredytacji przy Kongresie.

- Chyba żeby ktoś zadołował akta i powiedział, że pewnego dnia poprosi w zamian o przysługę. Don Corleone z krwi i kości.

- Orr albo Link - stwierdził McCaskey. - To skąd ty wygrzebałeś tę informację?

- Znikąd - odparł Herbert. - Sprawdzalem przebieg jej studiów, okazało się, że w akademiku, gdzie mieszkała, aresztowano kilka osób. Nie było wśród nich jej nazwiska. Zadzwoniłem do jednej z panienek, którą posadzili. Powiedziała, jasne, Lucy była z nią w pierdлу.

- Czyli potrafi robić zastrzyki - zauważył McCaskey. - Kolejny fakt świadczący przeciwko niej.

- Nie da się ukryć. Jesteś ambitną dziennikarką, która popełniła błąd, ktoś ci pomaga, daje ci dostęp do licznych źródeł informacji... wiele osób posunęłoby się do zabójstwa, byleby tego nie stracić. Niektórzy zabiliby nawet z bardziej błahych powodów.

- To prawda, ale nie będę przekonany w stu procentach, dopóki z nią nie porozmawiam.

- Słusznie.

- A propos, jeśli nie zastaniemy jej w domu, gdzie powinniśmy szukać? Masz jakieś sugestie?

- Wysłałem Stephena Viensa do NRO. Pozwolili mu popracować z programem automatycznego wyszukiwania Platformy Nadzoru Wewnętrznego.

Platforma Nadzoru Wewnętrzznego była nowym satelitą Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Krążyła po geostacjonarnej orbicie i obserwowała Waszyngton. Mogła namierzać samochody na podstawie sylwetki, masy i określonej konfiguracji urządzeń elektronicznych w desce rozdzielczej. Kamera, w którą była wyposażona, robiła zbliżenia pozwalające na odczytanie numeru rejestracyjnego. Gdyby zaobserwowano podejrzanego, który wsiada do wozu czy go wypożycza, Platforma mogła go śledzić.

- Jak Viens to załatwił? - spytał McCaskey. - Departament chucha i dmucha na Platformę.

- Wiem tylko, że zadzwonił do nich Paul. I dali nam godzinę.

- Jestem pod wrażeniem.

- Pewnie ktoś uznał, że jest nam winny przysługę, albo zrobiło mu się nas żal - stwierdził Herbert. - Tak czy inaczej, pani O'Connor jeździ czerwonym mustangiem ze składanym dachem. Jeśli gdzieś się nim wybrała, znajdziemy ją.

Podczas gdy rozmawiał z McCaskeyem, na pożyczonym laptopie, z którego korzystał, pojawiła się wiadomość.

Viens: Mamy ten wóz. Jedźcie przez most Woodrowa Wilsona w kierunku zachodnim.

- Darrell, mamy ją. Jest na 95, jedźcie na drugi brzeg rzeki. Być może na lotnisko. - Nie umknęła mu ironia całej sytuacji: Lucy O'Connor była na moście nazwanym ku czci W. Wilsona.

- Jesteśmy na 395. Spróbujmy przeciąć jej drogę. Czy Viens może dalej ją śledzić?

Herbert przekazał pytanie Viensowi, który odpisał, że łączniczka NRO z Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Lauren Tartags, powiedziała, iż może spokojnie korzystać ze sprzętu, chyba żeby zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Herbert kazał mu podziękować pani Tartags za wspaniałomyślność. Ekspert Centrum odpisał:

Viens: Nie robi tego przez uprzejmość. Mówi, że nie ma wyboru.

Wydało mu się to dziwne, ale na razie nie zwracał sobie tym głowy. Powiedział McCaskeyowi, żeby się nie rozłączał. Obiecał, że będzie go informował na bieżąco.

Herbert usłyszał, jak McCaskey naradza się z żoną. Uśmiechnął się. Odnosili się do siebie z tak wielkim szacunkiem. Maria była hardą, zawadiacką, upartą policjantką starej szkoły, taką, co to nie puka, tylko od razu wyważa drzwi. Stanowiła idealną przeciwwagę dla bardziej skrupulatnego McCaskeya.

Herbert cieszył się, że są szczęśliwi. I im zazdrościł.

Mimo że otrzymywał dane z nowego satelity, czuł się, jakby wrócił do

technologicznej epoki kamienia łupanego. Gdyby nie ten zamach, siedziałby teraz w swoim gabinecie i oglądał zdjęcia przesyłane prosto z Platformy. Co prawda mógłby to robić w Akwariu, ale to oznaczałoby przebywanie w towarzystwie Paula Hooda. Na razie wolał tego uniknąć.

Zwłaszcza że mógł robić, co do niego należało, tu, na dworze, gdzie niosący się nad parkingiem zapach maszynierii pozwalał mu cofnąć się w czasie do chwili, kiedy miał najlepszego współpracownika, jakiego można by sobie wymarzyć: żonę, oddaną partnerkę, tak w pracy, jak i w życiu osobistym.

Może dlatego Paul Hood nie rozumiał, dlaczego decyzja, którą podjął, była zła. On nie miał swojej Yvonne. Nie wiedział, czym jest partnerstwo. I może dlatego Herbert tak surowo go oceniał. Bo on miał ten punkt odniesienia.

I tu, w mąconej szumem wiatru ciszy, gdzie wspomnienia nabierały kształtów w cieniach między budynkami, wciąż miał Yvonne.

Rozdział 49

Waszyngton Środa, 18.06

Darrell McCaskey w życiu by nie pomyślał, że kiedyś będzie się cieszył z korków.

Powoli posuwał się naprzód zapchaną w obie strony autostradą. Herbert podawał mu aktualne położenie Lucy. Była coraz bliżej. Na wszelki wypadek poprosił detektywa Howella, by wysłał kogoś do jej mieszkania. Chciał upewnić się, że jej tam nie ma, że ktoś inny dla zmyłki nie jedzie jej samochodem. Howell bez słowa spełnił prośbę. Był chłodny, rzeczowy, czemu w gruncie rzeczy nie należało się dziwić. Nie pomógłby sobie, wyrażając sprzeciw, stawiając warunki czy żądając gwarancji. Mimo wszystko był profesjonalistą.

Skreślając na autostradę numer 95 w kierunku wschodnim, McCaskey dostał wiadomość, że mieszkanie Lucy jest puste. Prawie na pewno jest w samochodzie. Po chwili odezwał się Herbert.

- Jesteś jakieś dwa kilometry od niej - powiedział. - Jeśli wolno mi coś zasugerować, między tobą a nią nie ma żadnych zjazdów z autostrady. Mógłbyś wysiąść i przejść przez barierkę na północ od Springfield...

- Wiem, gdzie. Widzę.

Samochód jechał z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. McCaskey spojrzął na auta jadące z naprzeciwka i wsadził telefon za pasek. Nie rozłączył się.

- Maria, spróbuję zatrzymać panią O'Connor - powiedział. - Zaczekamy na ciebie na poboczu. Zawróć na następnym zjeździe.

- Zakładasz, że się zatrzyma.

- Zrobi to. Jeśli nie z własnej woli, zatrzymam wóz jadący przed nią.

- A jeśli ma broń? - spytała Maria.

- To nie będę otwierał ust - odparł.

Maria zmarszczyła brwi na znak dezaprobaty.

- Mam na myśli pistolet, nie strzykawkę.

- Będę uważał - zapewnił ją McCaskey. - Najtrudniej będzie przejść na drugą stronę autostrady.

Zwykle w takich sytuacjach nie żartował. Śmiertelna powaga Marii wzruszyła, a zarazem go rozbawiła. Tym razem nie było tak jak w Madrycie, kiedy byli ekskochankami i

niechętnymi sobie sojusznikami. Ani nawet tak, jak podczas poniedziałkowej akcji z Edem Marchem. Dziś po raz pierwszy pracowali razem jako małżeństwo. Maria niepokoiła się o niego. Chciał tego uniknąć.

Pocałował ją w policzek, wrzucił luz i otworzył drzwi. Maria przesunęła się na fotel kierowcy i chwyciła kierownicę. McCaskey przebiegł przed samochodem i machając rękami przemknął przez dwa pasy ruchu. Rozległ się pisk opon, zawyły klaksony. McCaskey dopadł do barierki i zaklął. Poszukiwany mustang był jakieś pięćset metrów przed nim, na pasie dla wyprzedzających. Widział go od strony pasażera. Jechał trzydziestką, nie szybciej, i nagle się zatrzymał. McCaskey miał nadzieję, że Lucy nie usłyszała odgłosów całego zamieszania i nie zauważyła, że ktoś kieruje się w jej stronę. Nie chciał, by próbowała uciec pieszo. Miałaby nad nim sporą przewagę.

- Darrell, słyszysz mnie?

McCaskey złapał telefon.

- Tak. Bob!

- Platforma wskazuje gwałtowny wzrost temperatury - powiedział.

- To znaczy? - spytał McCaskey i w tej chwili usłyszał donośne trąbienie z naprzeciwka. Samochody wokół mustanga zatrzymywały się. - Nieważne - powiedział. - Już widzę. Podpaliła to cholera!

- Co?

- Z zamkniętych okien idzie dym! Musiała ukradkiem wysiąść. Dacie radę ją zobaczyć?

- Nie. Chmury zasłaniają pole widzenia kamery.

- No dobra. Dzwoń na policję. Muszę ją znaleźć.

McCaskey zerwał się do biegu. Kierowcy, którzy nie mogli wyminąć mustanga, zostawiali wozy i uciekali pieszo. Jakiś mężczyzna zatrzymał swojego rama 1500 na poboczu pięć samochodów za płonącym wozem. Wskoczył z szoferki z gaśnicą w rękę. Nagle gdzieś z tyłu pojawił się czerwony błysk. McCaskey odwrócił się. Maria wdrapała się na dach samochodu i rzucała race, próbując zwrócić jego uwagę. Wskazywała ręką rama. McCaskey zobaczył przez dym, że ktoś wsiada do szoferki. Musiała to być Lucy. Ram wyposażony był w 5,7 litrowy silnik HEMI Magnum. Wóz z jajami. Bez trudu mógł się przebić przez blokujące drogę samochody i zjechać z autostrady.

Płomienie strzelały ze szpar między oknami a dachem mustanga. Kierowca rama trysnął na nie strumieniem piany z gaśnicy. W tej samej chwili rozgrzana przednia szyba pokryła się pajęczą siecią pęknięć. Ogień wzniecony przy użyciu zapalniczki i tego, co Lucy

mogła mieć pod ręką, nie powinien być tak szybko stać się tak intensywny. Musiała użyć przyspieszacza...

Jechała na lotnisko, uprzytomnił sobie McCaskey. Użyła aerozolu, lakieru do włosów czy dezodorantu, który miała w bagażu podręcznym.

McCaskey jednym susem przesadził barierkę, złapał mężczyznę wpół i pociągnął go na ziemię. W tej samej chwili pojemnik eksplodował. Popękana przednia szyba wyleciała w powietrze, po masce przeturlała się mała ognista kula. Kawalki osmalonych toreb podróżnych unosiły się z dymem jak czarny śnieg. Narkomani może i nie byli bystrzy, ale znali się na środkach chemicznych używanych w gospodarstwie domowym. I wiedzieli, jak odwrócić uwagę policji.

McCaskey podniósł się z asfaltu.

- Wszystko w porządku? - spytał mężczyznę z gaśnicą.

- Tak, dzięki.

Sam był poobijany, ale cały. Okrążył płonący samochód od przodu. Ram jechał prosto na niego, wzdłuż pobocza. McCaskey próbował wskoczyć na jego tył, ale źle wymierzył.

Za to Maria wymierzyła, jak trzeba.

Wsiadła z powrotem do wozu i ruszyła naprzód, lawirując wśród samochodów. Kilka metrów od nadjeżdżającego z przeciwka rama skrzyła i całym impetem wbiła wóz w barierkę. Metal nie pękł, ale wygiął się na tyle, by zahaczyć o zderzak rama i oderwać go po stronie pasażera. Przednie koło zostało zablokowane. Maria dodała gazu, mocniej wyginając barierkę. Zderzak na dobre wcisnął się w oponę.

Potężny silnik rama zawył, usiłując przezwyciężyć przeszkodę. Zanim to się stało, McCaskey przypadł do drzwi po stronie kierowcy. Otworzył je i jego oczom ukazała się wykrzywiona rozpaczą twarz. Zobaczył kobietę, która płakała tak gwałtownie, że miała tyle potu na czole, co łez na policzkach. Cała ta sytuacja wyraźnie ją przerosła. Dygotała na całym ciele, tylko jej dłonie były nieruchome. Zbielałe z wysiłku palce kurczowo ścisnęły kierownicę. Spojrzała na McCaskeya.

- Nie tak miało być - wyszeptała drżącym głosem. Wyjrzała przez przednią szybę.

McCaskey wszedł na stopień, wyciągnął rękę i przekręcił kluczyk. W ryku nadjeżdżających wozów strażackich trudno było cokolwiek usłyszeć. Nachylił się nad Lucy.

- Co nie tak miało być? - spytał.

- Obiecali, że będę miała wyłączność. Tylko na tym mi zależało.

- Kto ci to obiecał?

Zdawała się go nie słyszeć.

- Powiedzieli, że go uśpię. Że tylko o to im chodzi. Chcieli, żebym narobiła bałaganu w pokoju, tak jakby była tam ostra impreza. Powiedzieli, że będzie skompromitowany.

- Wilson, tak?

Lucy nie odpowiedziała. McCaskey delikatnie odwrócił ją do siebie.

- Zrobiłaś zastrzyk Williamowi Wilsonowi.

- Tak.

%

- Żeby mieć wyłączność?

Spojrzała mu w oczy.

- Powiedzieli, że nic mu nie będzie. Inaczej niż Meyersowi.

- Kim jest Meyers?

- Richard Meyers. Był moim chłopakiem. Trzy lata temu poszliśmy na plażę w Corpus Christi. Dałam mu speedballa. Umarł.

- Wiedzieli o tym? - spytał McCaskey.

- Uciekłam.

- Ale oni o tym usłyszeli?

- Tak.

- Czyli byłaś szantażowana - powiedział.

Skinęła głową.

Jako młoda narkomanka była w Teksasie. Ktoś musiał się o tym dowiedzieć i zachować tę informację na przyszłość. Żeby móc ją szantażować. To znaczyło, że ci ludzie przygotowywali swój plan, swoją operację, od dawna.

- A jak było z Lawlessem?

- To też zrobiłam. Musiałam. Powiedzieli, że mnie wydadzą, jeśli odmówię. A potem musiałam podrzucić suknię do mieszkania Kat. - Lucy zaczęła płakać. - Nie chciałam jej skrzywdzić. Lubię ją.

- Kto kazał ci to wszystko zrobić?

- Powiedziała, że mam pisać o nich przychylnie, bo inaczej pójdę do więzienia za zabójstwo - odparła. - Byłam w pułapce. Nie wiedziałam, co robić.

- Z kim rozmawiałaś, Lucy? Z admirałem Linkiem? Senatorem Orrem? Którymś z ich współpracowników?

- To była kobieta.

- Znasz jej nazwisko?

- Nie.

- Na jaki numer dzwoniła?

- Na moją komórkę - odparła.

- No dobrze. Na razie nie ruszaj się stąd. Ktoś po ciebie przyjdzie. Spróbuję ci pomóc, uwierz mi, dobrze?

- Dobrze - powiedziała matowym głosem.

McCaskey poklepał ją po zeszywniałej dłoni. Zszedł na autostradę. Policjanci przedzieraali się ku niemu przez gąszcz samochodów. Maria stała na jezdni. Za jej plecami widać było rozłożoną poduszkę powietrzną.

- Dobra robota - powiedział. - Stało ci się coś?

- Nie. A tobie?

- Też nie.

Pocałował żonę w czoło i sięgnął po komórkę. Nie miał jej. Biedny Bob pewnie rwie włosy z głowy i wścieka się, że nie wie, co się dzieje. Musi do niego zadzwonić. Podeszedł szybko do jednego z policjantów, okazał mu legitymację Centrum Szybkiego Reagowania i pożyczył od niego telefon. Obiecał, że odda go później.

Nie zadzwonił na komórkę Boba, bo ten pewnie jeszcze się nie rozłączył. Zamiast tego wybrał numer Akwarium. Odebrał Bugs Benet. McCaskey poprosił asystenta Hooda, by kazał Herbertowi sprawdzić, kto dzwonił na komórkę Lucy O'Connor w ciągu pół godziny po zabójstwie Williama Wilsona.

- Robi się - powiedział Bugs. - Jak możemy się z tobą skontaktować?

- Mną się nie przejmujcie - odparł. - Pomóżcie lepiej Mike'owi. - Nie zgrywał bohatera, kierował się względami praktycznymi. Coś mu mówiło, że czy Mike Rodgers odejdzie z Centrum, czy nie, to właśnie on będzie musiał doprowadzić tą sprawą do końca.

Rozdział 50

San Diego, Kalifornia Środa, 15.45

Z chaosu zawsze wyłania się ład i porządek. Pytanie tylko, kiedy i jakim kosztem.

Jak to zwykle bywa, w holu hotelowym chaos rozprzestrzenił się błyskawicznie. Jeden delegat zaraził nim trzech następnych, a ci z kolei dziewięciu innych. Mike Rodgers wiedział, że nie da się nad tym zapanować. Ochrona wezwała policję, posiłki były już w drodze. Ich obecność jeszcze bardziej uwypukliła niezwykłość sytuacji i resztki normalności zniknęły bez śladu. Zamieszanie będzie takie samo, tyle że na ograniczonej przestrzeni. Inna sprawa, że chaos ma tendencję do przeskakiwania wszelkich barier. Najważniejszym zadaniem było wyeliminować przyczynę, nie walczyć ze skutkami.

A przyczyną tą był wstrząs wywołany rzekomym uprowadzeniem admirała Kennetha Linka i niepewnością co do tego, kto to zrobił i dlaczego. Mike Rodgers chciał zająć się tym od razu. I nie tylko po to, by powstrzymać panikę. To, co się stało, najwyraźniej miało związek z tym, co przed czterema dniami rozpoczęło się w Waszyngtonie.

Poszedł we względnie cichy kąt przy kiosku. Zadzwoił do gabinetu generała Jacka Breena w Pendleton. Słyszając głos starego znajomego, Breen ucieszył się.

- Gdzie jesteś? - spytał.

- W San Diego - odparł Rodgers.

- San Diego? Słyszałem, że jest tam jakieś zamieszanie. Masz z tym coś wspólnego?

- Pośrednio. Jack, muszę przeprowadzić rozpoznanie z powietrza. Jak najszybciej.

Najlepiej czymś, co nie tylko dużo widzi, ale i potrafi łączyć. Przypuszczamy, że admirał Link został uprowadzony z hotelu.

- Szczegóły?

- Jechał limuzyną, tyle wiem. Nie mam pojęcia, jakiej marki. Zresztą pewnie i tak nikt nie powiedziałby mi prawdy.

- Już rekwirują apache'a. Myślisz, że chodzi o okup czy o zabójstwo?

- Nie wiem i dlatego musimy znaleźć tę limuzynę - powiedział Rodgers. - Czy twoi ludzie mogliby mnie stąd zabrać?

- Bądź za dziesięć minut na dachu centrum konferencyjnego. Ilu ich potrzebujesz?

- Pełny zestaw?

Oznaczało to trzynastu ludzi. Breen obiecał, że tyłu wyśle.

- To świetnie. Będę czekał.

- Będziemy obserwować drogi na wschód - obiecał Breen. - Na północy jest dużo policji, biegnie tamtędy autostrada numer 405 z Los Angeles do Meksyku. Porywacze pewnie i tak tam nie pojedą, bo będą chcieli uniknąć korków i kontroli granicznej.

- Fakt - powiedział Rodgers i w tej chwili usłyszał pikanie w słuchawce. Ktoś czekał na połączenie. - Generale, zobaczą się z twoimi ludźmi za dziesięć minut. - Wybiegł z holu i przełączył się na drugą rozmowę. - Tak?

- Mike, tu Darrell.

- Masz coś?

- Tak. Co ty, biegniesz?

- Uhm. Załatwiam śmigłowiec. Podobno uprowadzono admirała Linka.

- Serio? To dziwne.

- Czemu?

- Bo właśnie zgarnęliśmy Lucy O'Connor - wyjaśnił McCaskey. - Przyznała się, że zrobiła obu ofiarom zastrzyki. Niecałe pół godziny po pierwszym zabójstwie był do niej telefon z biura admirała Linka.

- Z kim rozmawiała?

- Nie wie - powiedział McCaskey. - Tylko że była to kobieta.

- To jeszcze nie musi o niczym świadczyć. Każdy mógł skorzystać z jego telefonu.

- Nie bez jego kodu autoryzacyjnego - zauważył McCaskey. - Sprawdziliśmy to. W jego biurze nie zna go nikt oprócz samego Linka.

- Po drugim zabójstwie też były telefony?

- Nie, wtedy bardziej uważali. Było już wiadomo, że nie udało im się zatuszować pierwszego. Musieli być o wiele ostrożniejsi.

- Naprawdę tak lekko traktowali życie ludzkie? - spytał Rodgers.

- Uhm - odparł McCaskey. - W razie czego mogli się wszystkiego wyprzeć, stwierdzić, że Lucy działała na własną rękę, bo chciała mieć materiał na artykuł.

- No dobrze. Ale po co w ogóle było to robić? Lucy domyśla się czegoś?

- Jest lekko otumaniona, prawdopodobnie jakimś barbituranem. Mówi niewyraźnie, ma spowolnione reakcje. Na ulicach często widziałem ludzi w takim stanie.

- Może któryś z ludzi Orra dostarczał jej narkotyki? To dałoby im możliwość wywierania na nią nacisku.

- Sprawdziliśmy to. Kupowała je na własną rękę u znajomego dealera. Znaleźliśmy go

przez jego kuratora.

- No to co o tym wszystkim sądzisz?

- Chcesz poznać moją zunifikowaną teorię? - spytał McCaskey.

- Na tyle, na ile może być zunifikowana na niezabezpieczonej linii.

- Mike, a żebym to ja cokolwiek wiedział. Któryś z ludzi senatora chciał śmierci pierwszej ofiary. Druga ofiara, przypadkowy turysta, został zamordowany, by odwrócić uwagę od senatora i jego partii. Nasza znajoma dziennikarka liczyła na dodatkowe korzyści i w razie czego miała służyć za kozła ofiarnego. Jeśli powiem coś więcej, będą to już tylko daleko idące domysły.

- Wal śmiało - powiedział Rodgers, biegnąc Harbor Drive. Szeroka droga okalała zatokę. Przed sobą miał centrum konferencyjne. Z oddali dochodził charakterystyczny warkot nadlatującego śmigłowca.

- Jakie są typowe motywy zabójstw i porwań, Mike? Władza. Zemsta. Zazdrość. Pieniądze. W FBI wyznaczaliśmy zespoły mające sprawdzić każdy z nich i wytypować na tej podstawie ewentualnych sprawców.

- Ja nie mam zespołu - zauważył Rodgers. - A kiedy to się skończy, być może nawet nie będę miał roboty.

- Wiem.

- Może masz choć jakieś przeczucia, Darrell? Daj mi coś, cokolwiek. McCaskey westchnął.

- Mówimy tu o polityku, który jest bogaty, nie zdradza żony i cieszy się szacunkiem innych senatorów. Jeśli to on za tym stoi, domyślam się, że chodzi o władzę.

- A admirał?

- Znasz go lepiej niż ja, Mike - odparł McCaskey. - Ale pomyśl tylko. Był szefem wywiadu. To prawdziwa władza. Poznał jej smak.

Warkot helikoptera i jego własne dyszenie powodowały, że Rodgers niewiele słyszał. Poprosił McCaskeya, by zadzwonił, jak tylko w którymś z serwisów informacyjnych czy komunikatów FBI pojawi się wiadomość o żądaniu okupu za Linka. On sam odezwie się, jak tylko znajdzie świeży trop albo choć wpadnie na nowy pomysł. A wpadnie, choćby miał wywiesić Erica Stone'a za nogi z kabiny apache'a.

Co nie jest najgorszym pomysłem, jaki dziś miałeś, powiedział sobie w duchu. Zakładając, że uda się znaleźć tego drania. Stone zniknął zaraz po tym, jak nadeszły pierwsze wiadomości o porwaniu.

Rodgers usłyszał bardziej piskliwy warkot śmigłowców policyjnych, lecących nad San

Diego Freeway. Dwa zawisły nad Lotniskiem im. Lindbergha na wypadek, gdyby limuzyna tam pojechała, dwa inne z patrolu portowego kierowały się nad morze. Być może porywacze zamierzali wywieźć admirała Linka samolotem. Na równoległej do Harbor Drive Pacific Coast Highway rozlegało się wycie syren. Ochroniarze biegali tu i tam, pokrzykując do krótkofalówek i starając się utrzymać porządek wokół centrum konferencyjnego. Najwyraźniej nie pozwolono im nikogo stąd wypuścić. Gdyby na ulice wyległo następne kilka tysięcy delegatów, utrudniłoby to akcję ratowniczą.

Rodgers podbiegł do wschodniego wejścia do centrum konferencyjnego i w tej samej chwili śmigłowiec marines wylądował. Generał pokazał ochroniarzowi plakietkę USF i legitymację Centrum. Został wpuszczony. Główną salę otaczała szeroka, zalana słońcem, betonowa galeria. Było w niej gęsto od bufetów, sal komputerowych i stoisk z pamiątkami USF. Ludzie stali beczynnymi, jak w holu hotelu, wypytywali jeden drugiego o najświeższe informacje i dzielili się przypuszczeniami co do tego, kto za tym wszystkim stoi. „Cholerni cudzoziemcy” - to wyrażenie powtarzało się najczęściej.

Byłoby ironią losu, gdyby okazało się, że mają rację. Mike Rodgers nawet nie pomyślał, że USF może mieć wrogów za granicą. A może ktoś chciał pomścić Williama Wilsona?

Nie. Coś takiego musiało zostać starannie zaplanowane. Porywacze musieli znać harmonogram zajęć Linka, dostać się do szofera limuzyny i go zdjąć, i przygotować kryjówkę lub trasę ucieczki. Na pewno wcześniej dokładnie wszystko przećwiczyli.

Rodgers wszedł na betonowe schody prowadzące na dach centrum konferencyjnego. Był zmęczony, ale wieloletnim ćwiczeniom ze Strikerem zawdzięczał doskonałą kondycję. Drzwi ewakuacyjne były otwarte. Wyszedł na dach. Helikopter czekał pięćdziesiąt metrów dalej. Rodgers pomachał pilotowi, który odpowiedział mu salutem. Generał pobiegł do apache'a, schylając głowę w silnym strumieniu zaśmigłowym.

Nagle zatrzymał się w pół kroku.

Porwanie musiało być zaplanowane.

Czyżby odpowiedź miał przed oczami? Spojrzał na miasto. Drogi i autostrady upstrzone były czerwonięskimi plamami policyjnych kogutów. Unoszący się w powietrzu smog wchłaniał śmigłowce. Wielka maszyna bezpieczeństwa została puszczona w ruch.

Ale czy to wystarczy?

Ze zdwojoną energią popędził w stronę śmigłowca.

Rozdział 51

Waszyngton Środa, 19.08

Bob Herbert niechętnie przeniósł się z laptopem do Akwarium. Po tym jak McCaskey przekazał mu najświeższe wiadomości, postanowił bezpośrednio uczestniczyć w operacji. Zresztą na parkingu zaczęło silniej wiać i było mu nieprzyjemnie chłodno w plecy. Poza tym mechanicy z Andrews stwierdzili, że przydałby im się ktoś, kto przetestowałby windę. Pracownicy wciąż korzystali ze schodów, choć po trzygodzinnej naprawie mechanizm zdawał się działać bez zarzutu. Mechanicy nie mogli go jednak wypróbować, bo nie mieli stosownych certyfikatów bezpieczeństwa. Większa część Centrum poszła z dymem, ale przepisy to przepisy.

Przed zejściem na dół szef komórki wywiadowczej zadzwonił do Stephena Viensa, który nadal siedział w NRO. Poprosił, by sprawdził, czy któryś z satelitów marynarki wojennej nie wypatrzył limuzyny na tyłach hotelu Linka. Rejon ten był dość dokładnie obserwowany, ponieważ znajdowała się tam baza marynarki wojennej, baza okrętów podwodnych i inne ważne obiekty, jak Ośrodek Technicznej Obsługi Floty i Ośrodek Wywiadu i Gier Wojennych w pobliskim okręgu Riverside. Viens powiedział, że da znać, jak coś znajdzie.

Herbert z chęcią zgodził się przetestować windę. To było dziwne uczucie. Korzystał z niej tysiące razy, ale dopiero teraz zaczął zwracać uwagę na dźwięki i lekkie wstrząsy towarzyszące jeździe. Czy były to jęki mechanicznego bólu czy ziewnięcia budzącego się mechanizmu? Wyraźnie czuł w nozdrzach rozrzedzone powietrze, wtłaczane przez przenośną, zasilaną akumulatorem pompę umieszczoną na dachu kabiny. W pewnym sensie winda ta przypominała Herbertowi jego samego po tym, co stało się w Bejrucie: przez jakiś czas nie mógł normalnie funkcjonować, potem z oporami wrócił do pracy. Pod tym względem miał przewagę nad współpracownikami z Centrum. Znał ból, z jakim wiąże się proces odbudowy.

Winda jechała trochę ociężale, ale w końcu dotarła na dno szybu.

Lepiej za wolno niż za szybko.

Wytoczył się z windy, włożył rękę do środka, by wcisnąć guzik odsyłający kabinę na górę, i skierował się do Akwarium. Okrojona do minimum załoga uwijała się w skupieniu. Herbert nie był tym zaskoczony. Po kryzysie ludzie pracowali szybko, intensywnie, co

chroniło ich przed wstrząsem. To był jakby emocjonalny odruch. Dopiero kiedy zdejmą zbroję odpowiedzialności, w pełni dotrze do nich, co się stało.

Oprócz niego w Akwariu było tylko Hood. Ich spotkanie odbyło się w zaskakująco luźnej atmosferze, przynajmniej z perspektywy Herberta. Zrelacjonował ostatnie wydarzenia i nic więcej nie dodał. Włożył wtyczkę do gniazdka i włączył laptopa. Chciał być gotów na wypadek, gdyby Viens miał dla niego nowe informacje. Mapa otrzymana z Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego pokazywała koła nadlotniskowe, korytarze lotnicze, a nawet możliwe cele ataku terrorystycznego, jak elektrownie jądrowe, sieci energetyczne, tamy, węzły transportowe i centra handlowe. W razie czego można było uzupełnić ją o inne drogi dojazdowe.

McCaskeyowie zjawili się zaraz po Herbercie. Ku ogólnemu zadowoleniu, przynieśli kolację. Była to dla wszystkich pierwsza prawdziwa przerwa od zamachu, a dla McCaskeyów - od śmierci Williama Wilsona. Hood spytał o Rodgersa. McCaskey i Herbert wyjaśnili mu, co robi generał.

- Chodziło mi o to, jak się trzyma - powiedział Hood.

- Zdaje się, że jest jakby w zawieszeniu i czeka, by zobaczyć, jak się to wszystko ułoży - odparł McCaskey.

- To dziwne - skomentowała Maria. - Mike Rodgers przebywa w świecie rzeczywistym, a ty mówisz, że jest w zawieszeniu. My siedzimy w mocno zniszczonym budynku, a mimo to podobno mamy łączność ze światem.

- Cóż, wszystko zależy od podejścia - odparł Hood.

- Jak człowiek wie, że ma pracę, jest mu łatwiej - zauważył McCaskey.

- Urzędnicy państwowi muszą umieć radzić sobie z ciągłymi zmianami. Ja nadal twierdzę, że to wewnątrz określa, co widać na zewnątrz.

- To tak jak w naszym przypadku - powiedziała Maria. - Powłoka Centrum jest popękana, ale my nadal działamy.

- Otóż to.

Herbert nie włączał się do rozmowy. Zajął się kanapką z pieczoną wołowiną, którą przynieśli McCaskeyowie, studiowaniem mapy okręgu San Diego na laptopie i podłączaniem pożyczonej komórki do sieci Akwariu. Motywujące gadki nudziły go. On potrafił sam się zmobilizować. Zwykle wystarczała świadomość, że gdzieś tam jest ktoś, kogo trzeba złapać za gardło. W rozmowie jego współpracowników pobrzmiwały zaś irytujące świętoszkowate tony. Mąż Marii żył, miała go u swojego boku. Hood wciąż stał na czele agencji rządowej, a ze swoim życiorysem mógł być pewien, że zawsze znajdzie jakąś państwową posadkę. Łatwo

im było o optymizm.

Może rzeczywiście powinieneś połączyć siły z Mikiem. Założyć firmę konsultingową, na przykład obsługującą prywatny sektor. Bezpieczeństwo w niebezpiecznej epoce. Warto o tym pomyśleć.

Wkrótce zadzwonił Stephen Viens. Herbert był zaskoczony, że odezwał się tak wcześnie.

- Właśnie dzwonili do nas z drogówki w San Diego - zameldował Viens. - Zdaje się, że znaleźli tą twoją zaginioną limuzyną.

- Czemu uważają że to ta?

Nie spytał, czemu drogówka zadzwoniła do NRO. Departament Bezpieczeństwa Wewnętrznego włączył wydziały drogowe policji do prowadzonego przez NRO Systemu Obserwacji Infrastruktury. System ten dawał lokalnym organom ścigania bezprecedensowy dostęp do zdjęć z satelitów wojskowych, meteorologicznych i innych, wyposażonych w urządzenia obserwacyjne. Pozwalało im to śledzić potencjalne zagrożenia terrorystyczne.

- Limuzyna została porzucona na parkingu przy autostradzie numer 163, na wschód od San Diego - wyjaśnił Viens. - Szofer leżał związany w bagażniku. Powiedział, że na parkingu hotelowym dostał w głowę i tyle pamięta. Porywacze musieli przesiąść się do innego samochodu. Drogówka chce, by NRO przejrzało zdjęcia z ostatnich godzin, może na którymś widać wóz zaparkowany w tamtej okolicy.

- Ile to potrwa?

- Niedługo.

- To znaczy?

- Satelity obserwujące bazę marynarki wojennej Coronado i ośrodek szkoleniowy lotnictwa nie widzą całego obszaru - powiedział Viens. - Mają widok na autostradę numer 15 w kierunku wschodnim. Wygląda na to, że limuzyna została zaparkowana w martwym punkcie. Właśnie to sprawdzają.

A kto wiedziałby o tym lepiej od byłego szefa wywiadu marynarki wojennej? - spytał Herbert w duchu.

- Niewykluczone, że satelita straży granicznej Interceptor-Three mógł coś wychwycić, ale chyba jest trochę za daleko na południe. Monitoruje go FBI, mają to sprawdzić.

- Przekażę to Mike'owi - powiedział Herbert. - Dzięki, Stephen. Zrelacjonował pozostałym przebieg rozmowy, jednocześnie wstukując numer Rodgersa.

- Po co admirał miałby sfignować swoje porwanie? - spytała Maria.

- To właśnie jest klucz do całej sprawy, nie? - powiedział Herbert. Rodgers podniósł

sluchawkę. Właśnie wsiadał do apache'a, ale cierpliwie wysłuchał najświeższych nowin. Nie skomentował ich ani jednym słowem. Helikopter tak hałasował, że Herbert nie był pewien, czy Rodgers w ogóle go słyszy.

- Zrozumiałeś wszystko, Mike? - spytał na koniec.

- Tak - powiedział Rodgers.

- I co ty na to?

- Daliśmy się zrobić w konia. I to jak.

- W jakim sensie?

- Wyjaśnię ci to, jak coś sprawdzę - obiecał Rodgers. - Muszę lecieć. Zadzwoń, jak tylko będę mógł.

- Daj im popalić - rzucił Herbert i rozłączył się. Opuścił telefon i spojrzął na pozostałych.

- Komu ma dać popalić? - spytał McCaskey.

- Nie powiedział. Ma zadzwonić za jakieś pół godziny. Jedno, co wiem na pewno, to to, że cała ta sytuacja jest paradoksalna.

- Jak to? - spytał Hood.

- Człowiek, który ma największą szansę zamknięcia sprawy, tak naprawdę już dla nas nie pracuje.

Rozdział 52

San Diego, Kalifornia Środa, 16.29

Wiadomość o uprowadzeniu była dla Kat Lockley wstrząsem. Obudziła też w niej niepokój. Senator Orr na pewno by czegoś takiego nie ukartował, w ogóle nie miała pojęcia, kto mógłby to zrobić. Może ktoś z zewnątrz. Rodgers?

Na razie to było nieważne. Liczyło się tylko bezpieczeństwo senatora. Po rozmowie ze Stone'em Kat wcisnęła guzik przywołujący windę. Czekając na nią, zadzwoniła do senatora i powiedziała mu, co się stało. Poprosiła, by został w pokoju i zapewniła, że będzie u niego za minutę-dwie. Senator Orr zgodził się nie wychodzić przynajmniej do czasu, aż ochrona upewni się, że może bezpiecznie zejść na dół. Stwierdził, że musi jak najszybciej porozmawiać ze swoimi ludźmi, dać im znać, że nic mu się nie stało, a konwencja będzie kontynuowana zgodnie z planem. Kat obiecała, że wszystkiego dopilnuje. Następnie zadzwoniła do Pata Simcoxa, szefa ochrony. Chciała upewnić się, że pozostanie na swoim stanowisku pod drzwiami apartamentu senatora i nie przyłączy się do poszukiwań admirała Linka. Simcox zapewnił, że nigdzie się stamtąd nie ruszy. Powiedział, by się nie przejmowała. Jeśli to jakiś spisek przeciwko USF, nikt nie dostanie się do senatora.

Wierzyła mu. Ten były kierowca ciężarówki był twardzielem, jak mało kto.

Przyjechała winda i wylali się z niej delegaci. Mieli zaniepokojone miny i zasypali Kat pytaniami. Powiedziała im, że senatorowi nic się nie stało, po czym przeprosiła ich i weszła do środka. W drodze na górę dołączyła do niej Kendra Peterson.

- Eric powiedział mi, co się stało - zaczęła Kendra. - Właśnie rozmawiałam z senatorem. Mówił, że prosiłaś, by został w pokoju.

- Tak. To źle?

- Nie. Wręcz przeciwnie.

- Cieszę się.

Kat odetchnęła z ulgą. Nie miała ochoty się kłócić. Winda otworzyła się i Kat poszła do apartamentu senatora. Zapukała. Kiedy drzwi się otworzyły, weszła do środka.

I zobaczyła coś, czego się nie spodziewała.

Pat Simcox stał w drzwiach apartamentu i mierzył do niej z glocka kaliber 9 mm. Do lufy przykręcony był tłumik gemtech SOS.

Kat zatrzymała się. Przeniosła wzrok z pistoletu na brązowe oczy Simcoksa.

- Pat, co ty robisz? - spytała.

- Witam cię.

- Po co ten pistolet?

- Wejdz i nie gadaj! - warknęła Kendra.

Kat odwróciła się ze złością.

- Co ty robisz, do cholery?

- Porozmawiamy, jak przyjdzie Eric - powiedziała Kendra.

Kat przeszła do salonu. Senator Orr siedział na sofie obok wyjścia na taras. Patrzył prosto przed siebie, oddychał płytko. Ramiona zwisały mu bezwładnie, dłonie spoczywały na kolanach, odwrócone do góry. Przed nim, na stoliku ze szklanym blatem, stała otwarta butelka piwa imbirowego i opróżniona do połowy szklanka. Ochroniarz senatora stał z boku.

- Senatorze? - powiedziała Kat. - Nic mu nie jest? - spytała ochroniarza.

Nie odpowiedział. Kat przypadła do Orra i kucnęła przed nim. Wzięła go za rękę. Była chłodna.

- Senatorze, dobrze się pan czuje?

- Nie odpowie - wyjaśniła Kendra. - Pan Simcox dodał do napoju kilka kropli tiopentalu sodu.

- Co to?

- Łagodny środek znieczulający. Powinien unieszkodliwić go na jakieś półtorej godziny.

- Ale po co? - krzyknęła Kat.

Ktoś zapukał. Kendra zaczęła, aż zapuka jeszcze dwa razy, i dopiero wtedy otworzyła. Wszedł Eric Stone. Miał poważną, ale spokojną minę.

- No i jak? - spytał.

- Doskonale - powiedziała. - A na dole?

- Spore zamieszanie, będzie jeszcze większe. - Stone podszedł do Simcoksa i zabrał mu pistolet. - Ubierz go, proszę, Thomas.

- Tak jest - odparł ochroniarz.

- Thomas? - zdziwiła się Kat.

- Thomas Mandor - wyjaśnił Stone. - Stary znajomy admirała Linka.

- Kim jest, zawodowym zabójcą?

- Nie, Kat. Nie chcemy zabić senatora - zapewnił ją Stone. - Tylko zabrać go stąd i odbyć z nim długą rozmowę o Williamie Wilsonie i przyszłości. Chcemy, żebyśmy wszyscy

dobrze się zrozumieli.

Kat wstała i ruszyła do Stone'a. Uniósł wolną dłoń na znak, by nie podchodziła bliżej.

- Eric, co jest grane? - spytała. - Co ty robisz?

- Pomagamy ocalić kraj - odparł.

- O czym ty mówisz? Senator jest patriotą. A co z admirałem Linkiem? Przecież go znasz...

- Ta sprawa admirała nie dotyczy. W tej chwili interesuje mnie tylko Donald Orr. Jest mordercą agresywnym nacjonalistą który odwołuje się do najnikczemniejszych lęków elektoratu. Podsyca podejrzenia, które pewnego dnia zwrócą nas przeciwko sobie, przeciwko wszystkim, którzy są inni od nas samych.

Mandor przyniósł kapelusz, ciemne okulary i kurtkę. Zaczął ubierać senatora.

- Proszę was - powiedziała Kat. - Powstrzymajcie się. Dopóki nie będzie za późno.

- Już jest za późno. - Stone podszedł do niej. - Mam do ciebie jedno pytanie. Idziesz z nami czy mamy cię tu zostawić?

- Dokąd miałabym z wami iść?

- Nieważne - wtrąciła Kendra.

- Jak najdalej stąd. Oficjalnym celem jest zapewnienie senatorowi bezpieczeństwa - wyjaśnił Stone. - Tak czy nie, Kat? Idziesz czy zostajesz?

Kat spojrzała na pistolet.

- Nie zabijesz mnie. Nie tu, nie teraz.

- Nikt niczego nie usłyszy - zapewnił ją Stone. - No, czekam na odpowiedź.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Widok lufy pistoletu z przykręconym tłumikiem był bardziej przekonujący od argumentów Stone'a. W głowie miała przerażającą pustkę, nogi się pod nią ugiwały. Wierzyć w ideały to jedno. Ginąć za nie to zupełnie co innego. Jednak w głębi duszy nie chciała ulec szantażowi. Zwłaszcza że tak ciężko pracowali z senatorem na to, co osiągnęli.

Krótką, wewnętrzną walką została rozstrzygnięta, kiedy pojawiło się trzecie wyjście z sytuacji.

Takie, którego nikt nie przewidział.

Rozdział 53

San Diego, Kalifornia Środa, 16.44

Rozległ się cichy szum, bardziej wyczuwany niż słyszany. Pierwsze zaczęły drzeć szyby. Potem zaciągnięte zasłony. Chwilę potem już wszyscy czuli wibracje.

Dwudziestometrowy AH64D Apache Longbow opuścił się wzdłuż ściany hotelu, odwrócony do niej bokiem. Słońce rzuciło jego surowy cień na zasłony. Longbow wyglądał jak komar, miał lekko przechylone wirniki i krótkie skrzydła osadzone w długim, smukłym kadłubie, zwieńczonym dużym turbowałowym silnikiem General Electric T700GE701.

Śmigłowiec obrócił się powoli, kierując lufę trzydziestomilimetrowego karabinu boeing M230 w okno pokoju.

- Chryste Panie - wymamrotał Stone.

Ruszył do wyjścia i w tej samej chwili klamka i zamek eksplodowały. Drzwi wyleciały z zawiasów. Mike Rodgers przeszedł przez obłok gryzącego dymu powstały w wybuchu C4, prowadząc mały oddział marines z karabinami MP5N w rękach. Kilku podeszło do Thomasa Mandora i Kendry Peterson. Popchnęli ich w stronę sypialni. Wspólnicy Stone'a nie zaprotestowali. Dwaj marines zostali z Mikiem Rodgersem.

- Rzuć broń! - zakomenderował Rodgers, podchodząc do Stone'a. Musiał przekrzykiwać warkot apache'a, który wysadził go na dachu hotelu. Śmigłowiec miał jeszcze się przydać.

Działacz USF zawahał się, ale tylko na chwilę. Skierował pistolet w stronę senatora Orra.

- Nie! - krzyknęła Kat.

- Nie mam wyboru! - odparł.

- Masz - powiedziała. Przysunęła się do senatora. - Możemy porozmawiać o tym, co ci się nie podoba. Przecież już nieraz to robiliśmy.

- Za późno.

- Eric, zabiłeś już kogoś? - spytał Rodgers, kiedy marines wypełnili pokój.

- Nie.

- To nie rób tego. Wiem, myślisz, że nie ma innego wyjścia. Ludzie w stresujących sytuacjach często tak uważają. Ale to nieprawda.

- Nic nie rozumiecie! - Stone ze złością wskazał Orra pistoletem. - To zły człowiek!
- Ten człowiek jest senatorem Stanów Zjednoczonych, nie tobie go sądzić! - krzyknęła

Kat.

Powoli usiadła obok Orra, jakby chciała zasłonić go własnym ciałem. To był wzruszający gest, ale z tej odległości Stone załatwi ich oboje, zanim Rodgers zdąży do niego dobiec. Pozostawało więc tylko jedno wyjście, z którego generał wolałby nie korzystać.

- Kat ma rację - powiedział. - Może i posiedzisz za to, co zrobiłeś do tej pory, ale lepsze to, niż dać się skosić tym chłopakom.

- Mówisz, żebym nie zabijał i jednocześnie grozisz mi śmiercią? - zaśmiał się Stone. - Jesteś tak samo porąbany jak Orr!

Rodgers przysuwał się coraz bliżej Stone'a, który stał bokiem, z pistoletem skierowanym w dół. Miał zmarszczone brwi, był wściekły, osaczony. W tak napiętej sytuacji, jak ta, trzeba było wykazać się determinacją, ale unikać nadmiernej agresji.

- Na razie nie myślmy o tym, kto kogo może zabić - zaproponował Rodgers. Powoli wyciągnął lewą rękę i otworzył dłoń. - Posłuchajmy rady Kat i porozmawiajmy. Oddaj mi broń, żebyśmy mogli zacząć to wszystko odkręcać.

Stone nie odpowiedział. Milczenie często oznaczało gotowość do kapitulacji. Zwykle można to było poznać po zmniejszeniu napięcia mięśni wokół ust i oczu i rozluźnieniu ścięgien szyi. Niestety, w tym przypadku tak nie było. Łoskot helikoptera pewnie nie pomagał Stone'owi zebrać myśli.

- Wiesz co, Eric? - powiedział Rodgers. - Poproszę porucznika Murdocka, który stoi w tej chwili za moimi plecami, by połączył się przez radio ze swoimi ludźmi i odesłał helikopter. Będzie nam łatwiej rozmawiać.

- Nie chcę rozmawiać! - krzyknął Stone. - Chcę skończyć, co zaczęliśmy!

- My, to znaczy kto?

- Admirał, Kendra i ja.

- A co zaczęliście?

- Kontrakcję. To kryptonim wymyślony przez admirała. To był jego pomysł, i to słuszny!

Ten młody człowiek był w ogromnym stresie. Choćby nawet nie miał zamiaru strzelić, mógłby to zrobić po prostu ze zmęczenia. Rodgers musiał temu zapobiec. Opuścił prawą rękę, z palcem wskazującym wyciągniętym w stronę podłogi. To był sygnał dla marines. Jeśli zegniesz palec, mają strzelać. Jeśli podniesie rękę, mają się wycofać.

- O co chodzi z tą kontrakcją? - spytał.

- Miała być przeprowadzona w ramach planu senatora.
- Jak wirus komputerowy - powiedział Rodgers.
- Tak.
- A jaki był plan senatora?
- Zabić wszystkich wrogów - odparł Stone.
- Kłamie! - odparowała Kat.
- Daj mu mówić!

Generał obserwował dłoń, w której Stone trzymał pistolet. Na razie bez zmian. Powoli zbliżał się do niego.

Stone odwrócił się lekko w stronę Rodgersa.

- Zabójstwo Williama Wilsona to pomysł Orra - powiedział Stone. - Kat wprowadziła go w życie. Chodziło o to, by zwrócić uwagę na problem, jednocześnie go rozwiązując.
- Problem antyamerykańskiej działalności gospodarczej - rzekł Rodgers.
- No właśnie.
- Skąd wiesz, że senator jest odpowiedzialny za zabójstwo Wilsona? - Rodgers chciał wciągnąć Stone'a w rozmowę, sprawić, by skupił uwagę na nim, nie na senatorze.
- Orr powiedział to admirałowi, a admirał mnie.
- Spytałeś senatora o to?
- A po co? I tak by nie powiedział prawdy. Poza tym admirał nigdy nie kłamał.

Przynajmniej mnie.

Rodgersa dzieliło od niego już tylko kilka kroków.

- Jeśli to prawda, chcę, żebyś powiedział mi wszystko. Ja przekażę to Centrum Szybkiego Reagowania.
- Centrum! - warknął Stone. Odwrócił się trochę bardziej. - To przez nich wszystko diabli wzięli...

Rodgers wyczuł okazję i ją wykorzystał. Stone lekko uniósł rękę, odwracając glocka od Donalda Orra i Kat Lockley. Rodgers wyciągnął dłoń i złapał go za prawy nadgarstek. Skierował lufę ku podłodze, jednocześnie sięgając lewą ręką po pistolet. Prawą dłonią pchnął przedramię Stone'a w lewo, a lewą w prawo. Trzasnęła kość w nadgarstku. Pistolet zwiś z drżących palców Stone'a i Rodgers od razu go chwycił.

Marines wkroczyli do akcji. Jeden z nich położył Stone'a twarzą w dół na dywanie. Drugi podbiegł do Kat i senatora. Kazał Kat, by poprosiła w recepcji o wezwanie lekarza hotelowego. Generał zabrał glocka.

- Nie wiesz, co robisz! - krzyknął Stone.

- Ratuje cię przed karą śmierci, jak sądzę - odparł Rodgers. Dał żołnierzowi znak, by pozwolił Stone'owi usiąść. Sam kucnął przy nim. - Gdzie admirał Link?

- Nie wiem.

- Nie wierzę. Zagadywałeś mnie pod hotelem, kiedy jego limuzyna została uprowadzona. Chciałeś odwrócić moją uwagę.

- To nie znaczy, że wiem, dokąd pojechał.

Rodgers potrząsnął głową.

- Nadal nic nie rozumiesz? Kontrakcja się skończyła. Czymkolwiek była, o cokolwiek wam chodziło, już jest po wszystkim. Sprawa się ryła. Jeśli chcesz ocalić własny tyłek, lepiej, żebyś poszedł z nami na współpracę.

- Wierzę, że postąpiliśmy słusznie. I nie wsypię swojego szefa. Pani Peterson też nie.

- Ale ten dżentelmen mówi, że to zrobi - dobiegł głos od strony drzwi sypialni.

Rodgers spojrzał w tamtą stronę. Stał tam trzeci wspólnik Stone'a, prowadzony przez niskiego żołnierza z opuszczonym karabinem. Twarz mężczyzny wyrażała skruchę.

- Kim pan jest? - spytał Rodgers, wstając.

- Nazywam się Thomas Mandor.

- Jaka jest pańska rola w tym wszystkim?

- Robię za mięśniaka.

- Został zatrudniony przez współpracowników admirała Linka, rzekomo w charakterze osobistego ochroniarza senatora - powiedziała Kat z goryczą.

- Zatrudnił mnie pan Stone, ale po to, żebym wywiózł gdzieś senatora - sprostował Mandor. - I tak się składa, że wiem, gdzie jest admirał Link.

- Słucham.

- U mojego wspólnika. Dogadamy się, to powiem wam, gdzie są.

- Nie - powiedział Rodgers. - Jeśli tego nie zrobisz, to słowo daję, osobiście dopilnuję, żeby do wszystkich zarzutów, jakie zostaną ci postawione, dołączono utrudnianie pracy organom ścigania.

Mandor przemyślał to. Po chwili powiedział Rodgersowi, dokąd pojechał Kenneth Link.

Rozdział 54

San Diego, Kalifornia Środa, 17.15

Rodgers i jego marines wbiegli po schodach na dach hotelu. Zostawili Stone'a, Kendrę i Mandora w rękach lokalnej policji. Postawiono im zarzut napaści, nielegalnego posiadania broni i współudziału w uprowadzeniu. Kat została z senatorem Orrem i lekarzem hotelowym. Rodgers miał do niej kilka pytań, ale nie tu i nie teraz. Potrzeba mu było więcej informacji i podejrzewał, że tylko Kenneth Link może ich udzielić.

Thomas Mandor wysłał ich do domku w górach w okolicy pobliskiego Fallbrook. Pilot skontaktował się z szeryfem okręgu i podał mu adres. Wyjaśnił przy tym, że muszą dostać się tam niezauważeni, co oznaczało, że śmigłowiec musiał wylądować w pewnym oddaleniu od celu. Dodał, że nie potrzeba im wsparcia, wystarczy przewodnik, ktoś, kto wskaże dom, o który chodzi. Szeryf przydzielił im do pomocy swojego zastępcę, Andy'ego Belmonta. Belmont miał czekać na łące na wysokości sześciuset pięćdziesięciu metrów, cztery kilometry na północny zachód od zjazdu Mission Road na przedgórzu Gór Nadbrzeżnych. Raptem kilkaset metrów od celu. Zastępca szeryfa Belmont zna okolicę, a poza tym osobiście spotkał pana Richmonda. Będzie mógł wskazać jego dom. Pilot miał wypatrywać czarnego dżipa z dużą białą gwiazdą na masce.

Apache przeleciał nad autostradą numer 163 i skierował się wzdłuż autostrady numer 15 na wschód. Pilot trzymał się poniżej pułapu stu pięćdziesięciu metrów. Myśliwce marynarki odbywały tu loty ćwiczebne i nie chciał ryzykować zderzenia. Wszedł wyżej dopiero nad wzgórzami. Rodgers siedział za pilotem i wypatrywał dżipa zastępcy szeryfa. Po prawej stronie miał jednego żołnierza, za nim było jeszcze trzech, zajmujących wygodne składane fotele. Właściwie bardziej przypominały one wiosła; od niedawna wstawiano je do Longbowsów, które dzięki temu mogły przerzucać małe oddziały w głąb nieprzyjacielskiego terytorium. Fotele, nawet te przytwierdzone na stałe, drżały jak stare motelowe łóżka, a temu, kto nieopatrznie zdjąłby słuchawki, przez tydzień brzęczałoby w uszach. To nie była maszyna projektowana z myślą o wygodzie pasażerów. Jak stwierdził z dumą pilot: „Longbow daje w kość”. Oprócz karabinu maszynowego, można go było wyposażać w rakiety typu powietrze-ziemia hellfire na czterolufowych wyrzutniach i rakiety powietrze powietrze stinger. Ten apache nie zabrał stingerów po części dlatego, że załoga wystartowała w

pośpiechu, by jak najszybciej zabrać Rodgersa, a po części, by uniknąć strat wśród cywilów, gdyby w następstwie jakiejś awarii śmigłowiec runął na ziemię.

Pilot pierwszy zauważył dżipa i skierował się ku niemu. Osadził apache'a na ziemi dwieście metrów od niego. Rodgers otworzył drzwi i podbiegł do samochodu. Zastępca szeryfa wysiadł i podał mu rękę.

- Generał Rodgers, jak sądzę? - powiedział Belmont.

- Tak.

- Bardzo mi miło. Jak mogę pomóc?

- Proszę powiedzieć, jak wygląda cel.

- To stara drewniana chata, jakieś trzysta metrów od grani. Otoczona dębami. W razie pożaru byłaby to pułapka bez wyjścia, ale przynajmniej stoi w cieniu. Mogę spytać, co się stało?

- Przetrzemywany jest tam zakładnik - odparł Rodgers. - Jak najlepiej się tam dostać?

- Chcecie ją okrążyć czy od razu zaatakować?

- Wchodzimy od razu.

- Od północy, czyli od strony grani jest więcej okien. Bezpieczniej podejść od południa.

- Czy jest tam jakieś miejsce, gdzie mógłby wylądować śmigłowiec?

- Tuż nad chatą jest spora polana. Przy okazji to dobry punkt obserwacyjny.

- To świetnie. Może nas pan tam zaprowadzić?

- Będzie to dla mnie zaszczyt - zapewnił Belmont.

Rodgers klepnął go w ramię i pobiegł z powrotem do śmigłowca. Zebrał swoich ludzi i powiedział pilotowi, żeby trzymał się nad łąką. Jak tylko marines zajmą chatę, jeden z nich wskaże mu miejsce lądowania. Jeśli Mandor mówił prawdę i Link rzeczywiście tu jest, Rodgers zamierzał możliwie najszybciej go zgarnąć. Tak, żeby przynajmniej jemu nikt nie zdążył zaaplikować jakichś prochów.

Oby tylko dało się go przekonać, by powiedział, o co w tym wszystkim właściwie chodzi.

Rozdział 55

Fallbrook, Kalifornia Środa, 18.00

Eric Stone stwierdził, że sądząc ze zdjęć, które oglądał, samotna chata na J szczycie góry była odbiciem osobowości jej właściciela. Jak Michael Wayne Richmond, była prymitywna, prosta i trochę niebezpieczna.

Dwupokojowy dom był mały i ciemny. Wyłożone twardym drewnem podłogi były wypaczone od wód gruntowych przesiąkających z dołu, a stary, belkowany sufit pokrywały zacieki. Olejne obrazy przedstawiające ciężarówkę, pędzla samego Richmonda, przekrzywiły się od regularnych trzęsień ziemi. Czteroszybowe okna od frontu wychodziły na zachwaszczoną łąkę sięgającą prywatnej drogi gruntowej. Z okien od tyłu rozpościerał się widok na strome zbocza upstrzone wielkimi głazami. Poruszane silnym wiatrem Santa Ana gałęzie dębów nieustannie drapały dach.

Na strychu były myszy. Ożywiły się, kiedy słońce zaczęło zachodzić. W lodówce było głównie piwo, mielone mięso i ser. Chleb był czerstwy. Kiedy zapadnie zmrok, Kenneth Link wyśle Richmonda po coś normalnego do jedzenia. Richmond pojedzie swoim wozem terenowo-sportowym, nie vanem, którym się tu dostali. Schowali go w garażu. Jeśli ktoś widział, jak Richmond przenosi do niego „więźnia” z limuzyny, policja i tak go nie znajdzie. A już na pewno nie przed jutrzejszym wieczorem, kiedy Link się stąd wydostanie. Zaraz po jego wyjściu Richmond zadzwoni do mediów, podając się za przedstawiciela bliskowschodnich ekstremistów. To będzie pierwszy gwóźdź do trumny USF. Obywatele Stanów Zjednoczonych nie chcą nowych wrogów wśród radykalnych terrorystów. Ze związanymi rękami, Link zejdzie ścieżką na dół. Będzie biegł, przewracał się i kaleczył, by później wyglądało, że jego ucieczka była śmiałym wyczynem. Kiedy dotrze do autostrady, zostanie uratowany. Potem, po pobycie w szpitalu - krótkim, w końcu jest twardzielem - wygłosi przemówienie do delegatów na konwencję USF. Poprosi o modlitwę za senatora Orra. A następnie odbędzie naradę z Erikiem Stone'em. Jeśli Orr zgodzi się na odejście z USF, zostanie uwolniony. Jeśli odmówi, zapanuje powszechna żałoba po jego zniknięciu i prawdopodobnej śmierci. Tak czy inaczej, Kat Lockley i Lucy O'Connor odpowiedzą za zabójstwa Williama Wilsona i Roberta Lawlessa. Był pewien, że Kat dobrowolnie pójdzie na stos, byle ochronić Orra. Żał mu było tylko Lucy. Dziewczyna dała się wykorzystać. Z

drugiej strony, pozwoliła, by ambicja przyćmiła jej rozsądek.

Kiedy Kat przyzna się do zabójstwa, opinia publiczna na dobre odwróci się od USF. Donald Orr wróci do senatu i po zakończeniu kadencji przejdzie na emeryturę. Za kilka miesięcy nikt nie będzie pamiętał o USF.

Link i jego porywacz byli w największym pokoju domku. Richmond siedział na fotelu na biegunach, wychylony do przodu. Nie bujał się. Link zajął sfatygowany fotel. Przed chwilą włączył lokalne wiadomości. Uprowadzenie było informacją numer jeden. Reporter doniósł, że senator Orr podobno przebywa w swoim doskonale strzeżonym apartamencie. Rzecznik USF, lokalny działacz, który pracował dla Stone'a, stwierdził, że senator najprawdopodobniej wyda oświadczenie w ciągu najbliższej godziny.

- Mam nadzieję, że nie - powiedział Richmond. - Powinni już go byli stamtąd zabrać.

- Na pewno to zrobili - odparł Link. - Może Eric na razie nie chciał niczego mówić. Pewnie jeszcze nie ma wieści od Mandora.

- Uhm. Możliwe, że Tom bał się dzwonić z komórki i chciał poczekać, aż dojedzie do Vegas.

- Ten telefon jest bezpieczny.

- Może gdzieś utknęli, policja ustawiła blokadę czy coś.

To też było mało prawdopodobne. W razie czego mieli mówić, że wywożą senatora przez wzgląd na jego bezpieczeństwo. Policja nie miałaby powodu ani prawa kwestionować decyzji szefa ochrony Orra.

- Może zadzwoni pan do pana Stone'a? - zasugerował Richmond.

- Dam mu jeszcze trochę czasu - odparł Link i dalej oglądał telewizję, pokazującą wywiady z wstrząśniętymi i zaniepokojonymi delegatami i szefem policji. Był zadowolony, że tak dobrze zaaranżował własne uprowadzenie, i trochę go to podniosło na duchu. Powiedział sobie, że druga część operacji też przebiegła zgodnie z planem, tylko dziennikarze jeszcze nic o tym nie wiedzą. Przełączył na CNN, by sprawdzić, co mówią w ogólnokrajowych serwisach informacyjnych.

Nagle coś zauważył. Myszy przestały buszować po strychu. Może wyszły na dwór poszukać jedzenia. A może czaił się tam jakiś drapieżnik. O tej porze grzechotniki, kojoty i sowy wyruszały na łowy.

A może mają gości.

Po chwili okna po obu stronach pokoju roztrzaskały się i do środka wpadły dwa pojemniki z gazem łzawiącym.

Rozdział 56

Fallbrook, Kalifornia Środa, 18.16

Gaz pieprzowy ma natychmiastowe działanie. Wywołuje stan zapalny miękkich tkanek gardła, czego skutkiem jest ich pieczenie i obrzęk. Po kilku sekundach ofiara zaczyna mieć zawroty głowy i ostre nudności. Oczy pieką i łzawią. Nawet gdyby komuś udało się to wytrzymać, i tak niewiele by widział, jako że drobne, rozproszone cząsteczki wiszą w powietrzu jak gęsta, wolno przetaczająca się mgła.

Rodgers i jego marines nosili ochronne gogle. Butli tlenowych nie wzięli. Założyli, że po wybiciu szyb wiatr szybko wywieje gaz. Wstrzymają oddech, zabiorą wszystkich, których zastaną w środku, i wyniosą ich na dwór.

Do domku udało im się podejść bez trudu. Z pomocą zastępcy szeryfa podkradli się od strony ściany, w której nie było okien. Porucznik Murdoch zajrzał do wnętrza przy użyciu MiFOPa, miniaturowego światłowodowego peryskopu. Wyposażone w przyssawkę urządzenie wielkości dużej muchy zawierało małą kamerę. Po przyczepieniu go do szyby, użytkownik mógł wycofać się na bezpieczną odległość. Obiektyw przesyłał zdjęcia do odbiornika wielkości myszki komputerowej. Każdy z marines mógł dokładnie obejrzeć pokój i sprawdzić położenie przebywających w nim osób.

Podczas gdy Rodgers i pięciu ludzi podkradło się do drzwi frontowych, pozostali dwaj zajęli pozycje i wrzucili pojemniki z gazem do środka. Nie minęła minuta, a Kenneth Link i jego towarzysz byli już na zewnątrz. Dwaj marines zakuli porywacza w kajdanki z podwójnym zamkiem, a porucznik Murdock wezwał apache'a. Rodgers przez bezpieczne łącze powiadomił Jacka Brena o udanej akcji ratowniczej. Poprosił, by nie mówił o tym nikomu, dopóki się stąd nie zwiną. Nie chciał, by zlecieli się tu dziennikarze. Kiedy skończył, pożyczył manierkę od jednego z marines. Dał dwóm żołnierzom znak, by ustawili się z boku, i zaprowadził admirała do pobliskiego pniaka. Link usiadł. Generał podał mu manierkę. Admirał wziął mały łyk, oddychając chrapliwie, i nalał sobie wody na dłoń. Obmył oczy.

Rodgers dziękował losowi, że nie ma broni. Czuł, że nie spodoba mu się to, co zaraz usłyszy.

- Dzięki za ratunek, Mike - powiedział Link.

- Żaden kłopot.

Link zamrugał oczami.

- Jak mnie znaleźliście, do licha?

- Porywacz miał współlnika - powiadomił go Rodgers. - Powiedział, gdzie cię szukać.

- Tak myślałem, że nie działał sam. Gdzie go złapaliście?

- W apartamencie senatora Orra - odparł Rodgers.

Link wziął większy łyk.

- Senatorowi nic się nie stało?

- Nie.

- To dobrze.

Rodgers kucnął przy pniaku.

- Nie byłeś związany.

- Nie - odparł Link. - Powiedział, że ma broń i zastrzeli mnie, jeśli spróbuję uciekać.

- Admirale, może przestańmy pieprzyć i pomówmy o tym, co się stało? - zasugerował

Rodgers.

- Przecież mówimy.

- Nie. O tym, co naprawdę się stało.

- Jak to?

- Stone wszystko wyśpiewał - odparł Rodgers.

- Tak? To znaczy co?

- Że to spisek mający powstrzymać Orra i zniszczyć USF.

Link spojrzał na Rodgersa.

- Serio?

Rodgers skinął głową.

Link rozejrzał się dookoła. Dwaj marines stali jakieś dwadzieścia metrów za nim. Wysoka, pożółkła trawa szeleściła lekko, wiatr niósł się nad łąką z cichym skowytym. Admirał mógł mówić bez obaw, że ktoś go usłyszy. Spuścił głowę.

Jeśli człowiek ma szczęście, przynajmniej raz w życiu staje w obliczu chwili, którą Rodgers nazywał kamieniem węgielnym. Chodzi o moment, kiedy człowiek musi podjąć decyzję w oparciu o zasady, a nie o własne bezpieczeństwo. Był to fundament, który nadawał kształt całemu późniejszemu życiu. Tę chwilę wspomina się z dumą lub żalem. Rodgers widział wiele takich „kamieni węgielnych” na polu bitwy, gdy decyzje podejmowało się raczej pod wpływem instynktu niż po trzeźwym namyśle. Niektórzy zamierali pod ostrzałem, inni zapominali o niebezpieczeństwie i rzucali się do ataku. Ci, którzy pękli, nigdy nie przestali tego żałować. Ci, którzy podjęli działanie, czuli się jak bogowie przez resztę życia,

czy trwało ono jeszcze dziesiątki lat, czy raptem kilka sekund.

Admirał Kenneth Link stał w obliczu swojego kamienia węgielnego. Rodgers widział to w jego przekrwionych oczach. Zastanawiał się, czy brnąć dalej w kłamstwo, które może ujdzie mu na sucho, a może nie, czy też powiedzieć prawdę o wojnie, którą rozpętał.

- Czy Stone powiedział wam, że to senator Don Orr i Kat Lockley zaplanowali zabójstwo Williama Wilsona? - spytał Link.

- Tak.

- Wierzysz mu?

- Nie jestem pewien - przyznał Rodgers. - Po co mieliby to zrobić? I czemu senator miałby ci się do tego przyznać?

- Należeliśmy do jego sztabu, byliśmy jego najbliższymi współpracownikami - odparł Link. - A on uważał, że jego plan jest niezawodny. Co się tyczy motywów... po pierwsze nienawiść. Po drugie, polityka. Orr uważał, że śmierć w pikantnych okolicznościach, atak serca podczas stosunku, zniszczy nie tylko tego człowieka, ale i poparcie dla jego planów. Wierzył, że jeśli stanie się to zaraz po przyjęciu w Georgetown, media zwrócą uwagę na USF. Dałoby mu to możliwość podkreślenia różnic między nim a pozostałymi, eurocentrycznymi kandydatami.

- Ale z winy Centrum wszystko wzięło w łeb.

Link skinął głową.

- Orr nie przewidział, że Darrell McCaskey znajdzie ślad po zastrzyku. Sukinsyn chciał rozgłosu, nie procesu o zabójstwo.

- Skoro to wiedziałeś, czemu nie zgłosiliście tego policji?

- Zrobiliśmy to. Detektyw Howell nie chciał zająć się Orrem bez niezbitych dowodów.

- Można mu było pokazać ślad po ukłuciu.

- To za mało - powiedział Link. - Zaszkoziłoby to tylko Lucy, której los i tak był przesądzony, bo to ona zrobiła zastrzyki Wilsonowi i Lawlessowi. Poza tym Howell był szantażowany...

- Chodzi o sprawę gwałtu na gejowskiej randce.

- Uhm.

- Mógł zgłosić się do FBI albo przekazać informacje Scotland Yardowi - zauważył Rodgers.

- I tak cała wina spadłaby na Lucy. A gdyby zaczęła mówić, Kat też poszłaby siedzieć. I to dobrowolnie. Jest oddana senatorowi. Jego też pewnie opryskałoby trochę błota, ale to mogłoby nie wystarczyć, by go skompromitować. Ilu wyborców opłakiwałoby aroganckiego,

bogatego antyamerykańskiego biznesmena z Anglii? Nie, Mike. Musieliśmy powstrzymać Orra na dobre.

- Niby jak? Zabijając go?

- Gdyby to okazało się konieczne - przyznał Link. - Nic nie rozumiesz, Mike. Mam tego człowieka na oku od czasów, kiedy służyłem w wywiadzie marynarki wojennej. Brałem wtedy udział w posiedzeniach senackiej komisji do spraw służb zbrojnych. Człowiek, którego widziałem na tych spotkaniach, nie był dobrodusznym Teksaszczykiem, jakiego odgrywa przed wyborcami. Przypominał raczej Josepha McCarthy'ego. To podejrzliwy, agresywny ksenofob. Opowiadał, że kiedy wraca w rodzinne strony, chodzi na spacer po pustyni i snuje wizje przyszłości Ameryki. „Twierdza Ameryka”, tak to nazywał. Nasze granice miałyby być nie tylko bezpieczne, ale zamknięte, nasze zasoby zostałyby wykorzystane do maksimum, a nasi wrogowie zostaliby odcięci od pomocy finansowej, zmiażdżeni lub pozostawieni samym sobie, aż powybijają się nawzajem. Amerykańskiej opinii publicznej wciska łagodniejszą wersję tego programu. Ale wiedziałem, że zamierza osiągnąć swój cel, nie przebijając w środkach.

- McCarthy i Stalin w jednym - powiedział Rodgers. - Zgrabna sztuczka.

- Nie wierzysz mi? Spytaj każdego uczestnika tych posiedzeń - ciągnął Link. - W końcu okazało się, że tylko ja mam szansę coś z tym zrobić. Obserwowałem go z pomocą Kendry i Erica. Kiedy w kraju zapanowały nastroje izolacjonistyczne, Orr zwietrzył okazję, by zostać prezydentem. Wtedy my też przystąpiliśmy do działania.

- Przeniknęliście do jego najbliższego otoczenia, by go powstrzymać.

- Otóż to - powiedział Link. - Miałem dwie możliwości. Pierwsza to załatwić go, zanim zabije Wilsona, tyle że wtedy stałby się męczennikiem dla podobnie myślących izolacjonistów. Dlatego zczekaliśmy, aż sam się złapie na haczyk, i wciągnęliśmy go do łodzi. W CIA prowadziliśmy takie operacje na całym świecie.

- Ja to wszystko rozumiem. Nie wiem tylko, czemu próbowałeś to załatwić sam.

- A ilu osobom ty mówisz o tajnych operacjach?

- To zależy. - Rodgers zaczynał wpadać w złość. - Gdybym miał wybór: albo zaufać komuś takiemu, jak Paul Hood, albo wysadzić w powietrze jego biuro, nie wahałbym się ani chwili. Zaufałbym Hoodowi.

- Przecież ty też współpracowałeś z Orrem i Kat! - powiedział Link. - Spotykałeś się z nią. Nie znaleźmy twoich planów. Gdybyśmy powiedzieli o wszystkim Hoodowi, on mógłby pójść z tym do ciebie, a ty do senatora. Nasze stosunki nie były najlepsze, Mike. Naciskałem cię, bo nie wiedziałem, po której jesteś stronie.

- Lepiej byłoby porozmawiać.

- Może.

- Nie „może” - warknął Rodgers. - Przez twoją decyzję zginął jeden z moich ludzi!

- Zawsze jest mi przykro z powodu strat ubocznych! - odparował Link. - Ale polityka to wojna, a na wojnie giną ludzie. Niewinni ludzie. Czytałem twoje akta, generale. Widziałeś takie rzeczy na własne oczy. Jesteśmy żołnierzami, naszym głównym zadaniem jest bronić kraju. Czasem decyzje trzeba podejmować szybko. I muszą to robić ludzie żyjący w stresie, ludzie, którzy starają się, nie tracąc z oczu ostatecznego celu, znaleźć najlepszą drogę, która do niego prowadzi. Tak właśnie postąpiłem.

- Rozjechałeś czołgiem jednego ze swoich żołnierzy.

- To też się zdarza, nie?

- W czasie odwrotu, kiedy taktyka się sypie.

- Jeśli tak było, to tylko z winy Centrum! - Link podniósł głos. - Trzeba nam było jeszcze tylko paru dni, by przeprowadzić tę operację, by powstrzymać Orra. To ja podjąłem decyzję w sprawie Centrum. Użyliśmy bomby elektromagnetycznej zamiast konwencjonalnych ładunków, bo chcieliśmy uniknąć ofiar. Twojego człowieka miało nie być w tym pomieszczeniu.

- Kolejny znak, że podjąłeś złą decyzję - zauważył Rodgers.

- Powstrzymaliśmy Orra, zgadza się?

- Jasne. - Rodgers gestem przywołał marines. - Dasz radę wstać?

Link podniósł się.

- Dokąd jedziemy?

- Zabieram cię na policję w San Diego - powiedział Rodgers. - Niech uzgodnią wszystko z policją waszyngtońską.

- W porządku. Chciałbym tylko zadać ci jeszcze jedno pytanie: Rozumiesz motyw, którymi się kierowaliśmy, prawda?

Przyszli marines i admirał nagle jakby stał się innym człowiekiem. Jego głos zmienił się, ale nie było w nim niepewności ani skruchy. Może to strach, pomyślał Rodgers. Może dotarło do niego, w jakiej jest sytuacji.

- Jakie to ma znaczenie? - spytał generał.

- Nie wszystko ułożyło się tak, jak tego chciałem - odparł Link. - Czeka mnie długi upadek. W samotności. - Uśmiechnął się niepewnie. - Jesteś uczonym. Kto powiedział, że samotność jest wspaniała, jeśli jest się dziką bestią lub bogiem?

- Francis Bacon - odparł Rodgers i przysunął się do niego. - Admirale, rozumiem

wasze motyw. Po prostu się z nimi nie zgadzam. Państwo opiera się na prawie, nie na działaniach mścicieli czy samowolnych operacjach. Zrobiłeś ludziom krzywdę, by wprowadzić w życie własną wizję wspólnego dobra.

- A ocalenie narodu przed tyranem? Nie sądzisz, że to słuszny cel?

- To jeden z najambitniejszych celów, jakie stawiali sobie najwięksi ludzie w dziejach - przyznał Rodgers. Chciał mu choć trochę ulżyć. - Nie zgadzam się tylko, że najkrótsza droga musi być tą najlepszą. Tym, co odróżnia nasz naród od innych, jest fakt, że choć popełniamy błędy, zawsze je naprawiamy. Może Orr stałby się ważnym graczem. Może nawet zostałby prezydentem. Ale nastroje w kraju by się zmieniły. My, Amerykanie, jesteśmy hardzi i niecierpliwi, ale koniec końców robimy to, co słuszne.

Link uśmiechnął się znacząco.

- Czyli wsypałbyś nas przed Orrem, zgadza się? Rozmowa zamiast nacisków, takie byłoby twoje podejście?

Rodgers nie odpowiedział. Nie wiedział, jak.

- To mi wystarczy - rzekł Link. - Postąpiłem słusznie.

Apache wylądował na polanie i Rodgers kazał marines odprowadzić admirała. Sam ruszył za nimi. Idąc, zastanawiał się nad pytaniem Linka.

Coś mu mówiło, że nieprędka przestanie się nad nim głowić.

Rozdział 57

San Diego, Kalifornia Czwartek, 8.33

Apache wylądował w Pendleton, gdzie Link został oddany w ręce żandarmerii, która miała go przekazać policji w San Diego. Na razie przedstawiono mu tylko zarzut sfingowania własnego porwania, sformułowany wyłącznie w oparciu o zeznanie Rodgersa dotyczące rozmowy, jaką odbył z admirałem zaraz po jego uwolnieniu. Zarzut ten był w gruncie rzeczy błahy, ale na razie nic więcej na niego nie mieli. Trzeba było poczekać, aż Eric Stone spotka się z adwokatem i złoży zeznania. On i Kendra także byli w rękach policji San Diego.

Po aresztowaniu admirała Rodgers wrócił do apartamentu senatora Orra. Kat nadal z nim była. Senator trochę już doszedł do siebie i był wystarczająco przytomny, by podziękować Rodgersowi za sprawne działanie.

- Mam nadzieję, że nie wierzysz w te brednie Erica - powiedziała Kat.

- No właśnie - dodał Orr. - Słyszałem, że zupełnie postradał zmysły.

Rodgers odparł, że nie wierzy, skądże znowu. To był spisek zawiązany przez admirała Linka, który od dawna chował urazę do senatora. Uzgodnili, że Orr wstrzyma się z wygłoszeniem mowy do delegatów do następnego dnia. Kat zeszła na dół i ogłosiła z podium, że śledztwo trwa, ale Link jest już bezpieczny, a wystąpienie senatora zostało przeniesione na jutro. Rodgers poszedł z nią by upewnić się, że zrobi to, co zapowiedziała. Podczas gdy Orr odpoczywał, Kat wróciła do swojego pokoju, by napisać mu przemówienie. Pod ich drzwiami wystawiono strażę, by zapobiec dalszym atakom.

I dopilnować, by nigdzie nie wychodzili.

Tymczasem Rodgers zadzwonił do Darrella McCaskeya. Generał powiedział mu, jak wygląda sytuacja, i czego potrzebuje, by zakończyć sprawę.

Następnego ranka, zgodnie z jego propozycją, spotkali się z Kat i Orrem na śniadaniu w apartamencie senatora. Ktoś zapukał i Kat poszła otworzyć.

- Umieram z głodu - powiedziała z szerokim uśmiechem.

Uśmiech zniknął, kiedy otworzyła drzwi. Stał za nimi detektyw Robert Howell z jakąś kobietą i sześcioma policjantami z policji San Diego. W ręku miał dwie koperty. Kobieta, jak się okazało, detektyw z miejscowej policji, przestąpiła próg. Była młoda, miała stalowe spojrzenie i łagodny, ale stanowczy głos. Ona też trzymała dwie koperty.

- Pani Kat Lockley?

- Tak.

- Detektyw Lynn Mastio. Mamy tu nakaz zatrzymania pani pod zarzutem współudziału w dwóch zabójstwach, wystawiony dziś przez sędziego Andrew Zuckera z okręgu San Diego.

Senator Orr podszedł do nich. Przeniósł wzrok z detektywa Mastio na detektywa Howella.

- Bob, czy ta młoda dama wie, kim jestem?

- Wiem, proszę pana - odparła detektyw Mastio. - Senator Donald Orr, tak? Mam tu też nakaz zatrzymania wystawiony na pańskie nazwisko, senatorze.

- Zatrzymania? - warknął Orr. - To znaczy, że oboje jesteśmy aresztowani?

- Nie, senatorze. Oficjalne zarzuty nie zostaną państwu przedstawione, dopóki dokładnie nie sprawdzimy zebranych dowodów - odparła Mastio.

- My tu musimy prowadzić konwencję! - zaprotestowała Kat. - Nie macie prawa oskarżać nas w oparciu o pogłoski i przeszkadzać nam w pracy.

- Przykro mi - odparła Mastio - ale mamy takie prawo.

Orr zwrócił się do Howella.

- Co ty tu robisz, do cholery?

- Mam dokumenty niezbędne do ekstradycji - powiedział Howell, podnosząc koperty.
- Jeśli zostanie pan aresztowany za przestępstwa popełnione na terenie podlegającym naszej jurysdykcji, ściągniemy pana do Waszyngtonu, gdzie zostanie pan postawiony w stan oskarżenia.

- To oburzające! Co to za bzdury? - warknął senator. - To ja zostałem napadnięty! Powinniście rozmawiać z Linkiem i jego współnikami, nie ze mną!

Sprawił wrażenie, jakby chciał zasłonić się swoją pozycją i reputacją i pozbyć się problemu. Howell nie zamierzał do tego dopuścić. Kiedy Rodgers zasugerował McCaskeyowi, by właśnie jego tu przysłali, śledczy Centrum zareagował na tę propozycję z nieskrywanym entuzjazmem.

- Dziwi mnie, że żadne z was nie spytało, kto właściwie został zamordowany - powiedział Rodgers, podchodząc do nich.

- Zakładam, że ma to coś wspólnego z tym idiotą z Anglii - mruknął Orr.

- Raczej z prawami ofiary zabójstwa - powiedział Rodgers.

- Jak śmiesz pouczać tego człowieka, komu przysługują jakie prawa! - krzyknęła Kat.

- Bronił swojego kraju w Wietnamie, od wielu lat stanowił prawo w imieniu takich obywateli

jak my, by poprawić sytuację wszystkich Amerykanów, a zwłaszcza kobiet.

- Patriotyzm senatora nie ma tu nic do rzeczy. Robert Lawless był Amerykaninem - zauważył. - Co z jego prawami? Lucy O'Connor jest Amerykanką. Czy wiedziała, w co się pakuje?

Kat odwróciła się do niego.

- Jesteś najgorszy z nich wszystkich. Wyciągnęliśmy do ciebie rękę, kiedy nie miałeś nic. To ja byłam odpowiedzialna za Lawlessa i Lucy. Senator nie miał z tym nic wspólnego.

- Admirał Link twierdzi co innego - powiedział Rodgers.

- Pani Lockley - poprosiła Mastio - czy mogłaby się pani odwrócić?

Kat wpiła się w nią wzrokiem.

- Co? Dlaczego?

Mastio odpięła kajdanki od pasa.

- Skujecie nas?! - wrzasnęła Kat.

- Tak, proszę pani.

- Nigdzie nie pójde bez mojego adwokata, proszę pani - powiedział Orr. - Zadzwoń do niego i zaczekam, aż przyjedzie.

- Przykro mi, senatorze, ale nie tak to się odbywa. Będziecie musieli pójść z nami. Wszyscy.

- To absurd! - wy sapał Orr.

- Nie - powiedział Rodgers. - Tak funkcjonuje system, którego przysiągłeś bronić.

- Macie prawo milczeć i nie odpowiadać na pytania - oznajmiła Mastio. - Cokolwiek powiecie, może zostać wykorzystane przeciwko wam w sądzie...

- Proszę, nie róbcie tego senatorowi - błagała Kat. - Człowieka na jego stanowisku trzeba traktować z szacunkiem.

- To tak, jak z kontem w banku, Kat - powiedział Rodgers. - Im większy wkład, tym wyższy dochód.

Podczas gdy Mastio kończyła czytać prawa przysługujące zatrzymanym, Kat odwróciła się i przeszła wściekłym wzrokiem Rodgersa, a potem pozostałych. Wszyscy bez mrugnięcia okiem wytrzymali chmurne, gniewne spojrzenia senatora i jego asystentki. Trwało to tylko chwilę, ale Rodgers nigdy jeszcze nie przeżył czegoś podobnego. To nie było zderzenie poglądów politycznych czy taktycznych propozycji. W takich sytuacjach przedmiotem sporu były idee wyrażone słowami. Tu doszło do prymitywnej, milczącej konfrontacji, właściwej raczej małpom niż istotom na wyższym szczeblu rozwoju.

Młoda detektyw z San Diego rozładowała napięcie, wnosząc do rozmowy odrobinę

człowieczeństwa; godności, o którą prosiła Kat.

- Senatorze, pani Lockley, jeśli obiecacie nie stawiać oporu, rozkuję was - powiedziała. - Moi ludzie zabiorą wasze rzeczy na komisariat.

Kat zgodziła się.

- Na dole są dziennikarze - powiedział Orr. - Będę mógł z nimi porozmawiać?

- Opuścimy budynek przez poziom podziemny, tam, gdzie przyjmuje się dostawy.

- Przez piwnicę? - wybuchnęła Kat.

- Tak - odparła detektyw. - Nie chcemy wywołać wzburzenia zwolenników senatora i ryzykować, że dojdzie do zamieszek.

- Zasługujecie na to - powiedziała Kat.

- Ale oni nie - odparła Mastio, po raz pierwszy tracąc cierpliwość. - Mogliby ucierpieć niewinni ludzie.

Na tym dyskusja się skończyła. Senator poszedł założyć krawat. Kat wyszła na korytarz. Wzięła banana z wózka ze śniadaniem, przywiezionym przez obsługę i pozostawionym pod drzwiami. Jeden z policjantów upewnił się, że nie zabrała przy okazji noża czy szklanki.

Podczas gdy czekali na senatora, detektyw Howell wziął Rodgersa na stronę. Stanęli pod szafą w przedpokoju.

- Chciałbym podziękować, że poprosił mnie pan o przyjazd, generale - powiedział Howell.

- Wydawało mi się, że powinien pan tu być i tyle.

- Wie pan, że nawaliłem.

- Słyszałem jakieś plotki - odparł Rodgers. Uśmiechnął się. - Ale to były plotki, nic więcej.

- Dzięki. Chciałem tylko powiedzieć, że odpowiem za swoje błędy - powiedział Howell. - Odejdę ze służby albo pogodzę się z degradacją czy co mi tam zechcą zrobić.

- Detektywie, coś mi mówi, że pańskie zeznania będą kluczowe w tej sprawie - odparł Rodgers. - Zostanie pan napiętnowany za to, co pan zrobił, i ujawnione zostaną pewne aspekty pańskiego życia prywatnego. Odpokutuje pan za to, za co odpokutować musi. Zdziwiłbym się, gdyby pańskim przełożonym to nie wystarczyło.

- Oby miał pan racją.

- Ludzie są w gruncie rzeczy zdolni do współczucia. Zrozumieją, przez co musiał pan przejść. Jeśli pan nie pęknie, będzie dobrze.

- Dzięki - uśmiechnął się Howell. - Samo to, że Darrell zadzwonił, wiele dla mnie

znaczyło.

- Jest surowy, ale sprawiedliwy - odparł Rodgers.

Wrócił senator i wszyscy wyszli, oprócz trzech policjantów. Wezwano ochronę hotelu i na oczach dwóch hotelowych detektywów policjanci spakowali rzeczy senatora Orra i znieśli je na dół. Potem to samo zrobili z rzeczami Kat Lockley, Kennetha Linka, Erica Stone'a i Kendry Peterson. Walizki zostały umieszczone w wozie policyjnym i przewiezione na komisariat.

Mike Rodgers nie poszedł z nimi. Miał jeszcze coś do załatwienia. Jak na ironię, był teraz faktycznie najwyższym rangą działaczem USF. Postanowił pójść do centrum konferencyjnego i wygłosić mowę do delegatów. Choć nigdy nie był dobrym mówcą, nie odczuwał jakiegóż szczególnej tremy, kiedy wszedł na podium i powiedział wprost, że wydarzenia minionego dnia zmusiły USF do zmiany planów. Senator za dzień-dwa wyda oficjalny komunikat, i w tej chwili nie ma nic więcej do dodania. Nie odpowiedział na pytania wykrzykiwane z pierwszych rzędów.

- I to by było na tyle - powiedział na zakończenie.

Wyglądało na to, że wszyscy zrozumieli prawdziwą wymowę tych słów. Tysiące ludzi powoli ruszyło ku wyjściom. Niektórzy poszli do hoteli zmienić rezerwację biletów na samolot, inni postanowili zaczekać na otwarcie barów w centrum, pozostali zaczęli kupować przecenione pamiątki.

Wczesnym popołudniem, kiedy całe miasto wiedziało już o aresztowaniu i ekstradycji senatora Orra, zdjęto sztandary USF. Wkrótce po partii zostały tylko porzucone transparenty i zmięte ulotki wysypujące się z przepelnionych pojemników na śmieci i niesione wiatrem nad Pacific Coast Highway.

Rozdział 58

Waszyngton Piątek, 8.22

To było miłe spotkanie, ale zaprawione kroplą goryczy, m W dusznym Akwarium, w którym wciąż wisiał lekki zapach dymu, po raz ostatni w tym gronie zebrali się wszyscy żyjący członkowie pierwszego dowództwa Centrum Szybkiego Reagowania: Paul Hood, Mike Rodgers, Bob Herbert i Darrell McCaskey. Hood zobaczył swoich współpracowników rozmawiających na korytarzu i zaprosił ich do środka. Zabrakło tylko Marthy Mackall, zamordowanej w Hiszpanii. Lowell Coffey, Matt Stoli, Ron Plummer i Liz Gordon przyszli do Centrum później. W tej chwili pracowali nad przywróceniem go do stanu pełnej funkcjonalności. Coffey rozmawiał z senatorem Debenportem o funduszach, Stoli i jego ludzie instalowali nowy sprzęt, a Liz odbywała spotkania z pracownikami, by sprawdzić, czy po zamachu nie czują lęku przed pracą w podziemiach, w zamkniętej przestrzeni, w miejscu, gdzie zginął ich kolega.

Hood spodziewał się, że między nim a Rodgersem i Herbertem wytworzy się napięcie. Tymczasem panowało ogólne poczucie triumfu. Darrell McCaskey rozpoczął operację, którą wspólnie doprowadzili do końca, wzajemnie pomagając sobie nieść ciężar. Hood był zadowolony, że to Mike postawił kropkę nad i. Zasługiwał na to, by odejść w glorii chwały. Jeśli zaś Bob Herbert miał jakieś pretensje w związku z redukcjami w Centrum, na razie odłożył je na bok. A może już o nich zapomniał. Jak na człowieka z Południa przystało, był niczym magnez: palił się jasnym płomieniem i szybko gasł. Raptem kilka miesięcy wcześniej był zły na Rodgersa, że po rozwiązaniu Strikera stanął na czele komórki wywiadowczej.

A może po prostu jest zmęczony popychaniem wózka, pomyślał Hood. Herbert zamówił u kwatermistrza nowy silnik, telefon i komputer, ale miał to wszystko dostać dopiero jutro.

- Nadinspektor George Daily jest bardzo zadowolony - powiedział McCaskey, kiedy usiedli przy stole. Spojrzał na Rodgersa. - Londyńska prasa zrobiła z Mike'a bohatera.

- Może dostanę pracę w Scotland Yardzie - odparł Rodgers.

- Gdziekolwiek pójdziesz, upewnij się, że mają tam okna - poradził Herbert, wachlując się raportem wywiadu z bazy Andrews. Dopóki nie zacznie działać prowadzona przez niego komórka, musiał polegać na danych z innych ośrodków obserwacyjnych i zwiadowczych. -

Technicy mówią, że dopiero za dzień-dwa uda im się naprawić maszynię.

- Nie wierz im - powiedział Rodgers. - Zawsze mówią, że potrzeba im więcej czasu niż to jest w rzeczywistości. Dzięki temu, jak już wszystko naprawią, bierzemy ich za cudotwórców.

- A myślałem, że to ja jestem cyniczny - zauważył Herbert. - Ktoś tu za długo służył w wojsku.

- Wiesz, mógłbyś kandydować na prezydenta - zasugerował generałowi McCaskey. - Słyszałem, że USF szuka chętnych.

- To nie dla mnie - odparł Rodgers.

- Co, stanowisko czy poglądy? - spytał Hood.

- To, że miałbym zastąpić Donalda Orra - powiedział Rodgers. - Nie sądzą, by USF mogła przetrwać. Jeśli nawet, to tylko jako marginalna organizacja. Jeśli potwierdzi się to, co Kenneth Link mówił o Orze, senator zostanie idolem pomyleńców ze skrajnej prawicy.

- Święta prawda - zgodził się Herbert. - Następnym razem, jak będziesz brał jakąś robotę, Mike, najpierw zgłoś się do mnie, sprawdzę, co i jak. Przejrzałem protokoły części zamkniętych posiedzeń, o których mówił Link, a w których uczestniczył Orr. USF powinna zmienić nazwę na NSDAP.

- Panowie, może na razie nie mówmy o Linku - wtrącił Hood. - Po tym, co nam tu urządził.

- I to w imię miłości ojczyzny - dodał McCaskey.

- Ciekawe czy znajdzie się taki, co zaprzeczy, że senator Orr był zagrożeniem? - spytał Rodgers.

- Ja. - Herbert podniósł rękę. - A kto może zaprzeczyć, że William Wilson stanowił zagrożenie dla gospodarki amerykańskiej?

- Nikt, ale to nie może usprawiedliwiać zabójstwa - odparł McCaskey.

- Dlaczego nie? Toczyliśmy już wojny z powodu interesów gospodarczych - przypomniał Herbert. - Zginęło w nich wielu ludzi. I wszystko to rzekomo w imię obrony ojczyzny.

- Czyli twoim zdaniem mamy zabijać ludzi, którzy zagrażają naszym portfelom? - spytał McCaskey.

- To za trudne pytanie - odparł Herbert. - Ja tylko zbieram informacje, nie płacę mi za myślenie.

Rodgers uśmiechnął się.

- Słuchajcie, nie bronie Orra - ciągnął Herbert. - Cokolwiek o nim powiedziec, był

tchórzem, skoro wysłał tę naiwną Lucy O'Connor, żeby odwaliła za niego brudną robotę i jeszcze wcisnął jej kit, że nic złego się nie stanie. I łajdakiem, skoro szantażował detektywa Howella. Mówię tylko, że takie rzeczy robi się rutynowo pod pretekstem obrony interesów narodowych. W tym sensie błąd Orra polegał na tym, że był jedynym członkiem Kongresu, który oddał głos w tej sprawie. Gdyby oficjalnie wypowiedziano wojnę Anglii i Wilson był jej jedyną ofiarą wszystko byłoby zgodne z prawem.

- Zawsze uważałem, że szkodliwą restrykcyjną politykę należy zwalczać lepszymi, bardziej produktywnymi propozycjami - stwierdził Hood.

- Jasne. A kiedy to się nie udaje, trzeba takich ludzi jak ja, żeby wszystko naprawić - skwitował Rodgers.

- Otóż to - zgodził się Herbert.

- No nie wiem - odparł McCaskey. - Moja starsza siostra brała udział w pokojowych demonstracjach w latach sześćdziesiątych. Były dość skuteczne.

- Bardzo skuteczne - powiedział Rodgers - Pozbawiły mnie i moich ludzi środków i wsparcia niezbędnego, by pobić Wietkong - burknął. - Tylko w tym były skuteczne, Darrell.

Zapadła krępująca cisza. Miła atmosfera ulotniła się bez śladu. Podziały widoczne były nawet w gronie osób, które miały pozostać w Centrum.

- Myślę, że nadal jesteśmy w to zbyt emocjonalnie zaangażowani - rzekł Hood. - Może lepiej odłożyć polityczne spory na później.

- Zgadzam się - odparł Rodgers. - Wpadłem tu tylko po to, by podziękować Darrellowi i Bobowi za pomoc. I Marii też. Świetnie się spisała.

- Przekażę jej. - McCaskey długo patrzył na Rodgersa. - Jakie masz plany?

- Jeśli chodzi o sprawy zawodowe, żadnych - odparł generał. - A co się tyczy osobistych, mam coś do zrobienia. Muszę znaleźć odpowiedź na pewne pytanie.

- Pomóc ci? - spytał Herbert.

- Mówiłeś, że nie jesteś od myślenia.

- To była fałszywa skromność.

- Nie, dzięki. Chodzi o pytanie, które zadał mi admirał, kiedy zabierali go marines. Wiecie, coś na zasadzie „co by było, gdyby?”. Chcę to przemyśleć. Najlepiej łażąc po skałkach albo przypiekając się na plaży.

- Zasłużyłeś na urlop - powiedział Hood. Zabolalo go to, że Rodgers podziękował innym za pomoc, a jego pominął. To było małostkowe. Ale machnął na to ręką. Nie był w jego skórze, nie wiedział, co czuje.

Spotkanie skończyło się, McCaskey i Herbert wyszli, by pomóc w remoncie Centrum.

Hood i Rodgers wstali. Generał stanął twarzą w twarz ze swoim długoletnim współpracownikiem.

- Rozmawiałeś z prezydentem o tym, co się stało? - spytał Rodgers.

- Wczoraj wieczorem - odparł Hood. Zawahał się. Chciał powiedzieć więcej o nowym układzie, poprosić o radę cenionego sojusznika. Rozmyślił się jednak. - Biały Dom wyraził zadowolenie i wdzięczność.

- To dobrze. To wszystko?

- To znaczy?

- Miałeś minę, jakbyś chciał powiedzieć coś jeszcze - zauważył Rodgers.

- Nie - zapewnił go Hood. - Nie, po prostu przypomniało mi się, że muszę pogadać z jednym stażystą.

- Ze stażystą? Po tym wszystkim przejmujesz się jakimś żółtodziobem? To się nazywa mikrozarządzanie.

- Nie o to chodzi. To syn nowego faceta Sharon.

Rodgers się skrzywił.

- A ty mu dajesz robotę?

Hood skinął głową. Czuł się jak kujon, który przeszedł do innego kółka zainteresowań, bo akurat szukali tam szachisty czy dobrego dyskutanta.

- Śliska sprawa, co?

Hood się uśmiechnął.

- Miejmy nadzieję, że moja dyskretna dyplomacja coś da.

- Nie piłem do ciebie, mówiąc, że gadanie i tak kończy się walką. To był lament. Nienawidzę wojny jak ty. Zbyt wielu przyjaciół straciłem.

- Wiem.

Oczy generała złagodniały i zwilgotniały. Przez chwilę wydawało się, że jest bliski łez.

- Nie chciałem też, żebyś pomyślał, że specjalnie cię pominąłem, kiedy dziękowałem Bobowi i Darrellowi za pomoc. Lecąc tutaj, myślałem między innymi o decyzjach, jakie podjęli Orr i Link. To nie jest tak, jak w wojsku, gdzie człowiek ma cel i ograniczoną liczbę sposobów jego osiągnięcia. Gdzie wszyscy w oddziale są identycznie uzbrojeni i wyszkoleni i w gruncie rzeczy wiesz, czego od nich oczekiwać. W polityce niczego nie da się przewidzieć i na nikim nie można polegać.

- Niektórzy próbują, niewielu się udaje - przyznał Hood.

- Ty próbowałeś bardziej niż inni. Nie zawsze kupowałem to, co nam wciskałeś, i

dawałem to jasno do zrozumienia. Ale nie mogę robić ci wyrzutów za to, że się starałeś. Cóż, byłeś właściwym człowiekiem na tym stanowisku. - Wskazał szerokim gestem całe Centrum. - Słuchasz, co się do ciebie mówi, masz świetny instynkt i dobre serce. A poza tym... kurde, Biały Dom kasał cię w jedną kostkę, ja kopałem cię w drugą, a jeszcze podłożyli ci tu bombę. Mimo to pomogłeś nam przez to wszystko przebrnąć i wygrałeś.

- Wszyscy wygraliśmy - przypomniał mu Hood.

- Ty byłeś trenerem. Pierwsza lampka szampana należy się tobie.

- Dzięki - powiedział Hood. Miał wrażenie, że to za słabe słowo, by wyrazić to, co czuł. Ale jak najbardziej szczerze.

- No dobra, zabieram się stąd. Pora na ten długi urlop.

- Zasłużyłeś na odpoczynek. I mam nadzieję, że znajdziesz odpowiedź na to pytanie, jakkolwiek ono brzmi. Gdyby potrzeba ci było rady, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

- Uhm - odparł Rodgers z uśmiechem.

Podali sobie dłonie i uściskali się. To było trudne pożegnanie. Przeżyli razem wiele wzlotów i upadków. Rodgers ocalił życie Harleigh Hood. Choć Hood spodziewał się, że jeszcze się zobaczą, kończyła się epoka wspólnych zwycięstw i porażek.

Rodgers uwolnił się z uścisku, zsalutował sprężysto, odwrócił się i wyszedł szybkim i dziarskim krokiem w niepewną przyszłość.

Hood wrócił do stołu konferencyjnego. Jego własna przyszłość też była mglista. Nadszedł czas odnowy, nie tylko dla Centrum, ale i dla niego samego. Nie kwestionował decyzji, w wyniku których znaleźli się w tej sytuacji, bez Rodgersa i wielu innych pracowników, związani sojuszem z Białym Domem. Ale ich żałował. I tak już pozostanie.

Oczywiście nie znał swojej przyszłości. Miał jednak nadzieję, że Rodgers nie mylił się co do niego. Że rzeczywiście w odróżnieniu od Donalda Orra i Kennetha Linka wie, co jest etyczne, a co nie. I że ma dość siły, by bronić tego, co słuszne. Najbliższe tygodnie będą próbą nie tylko dla niego, ale i dla całego Centrum.

Nagle z kanałów wentylacyjnych dobiegły głuche okrzyki radości. Pracowała tam grupa mechaników z sił powietrznych. Po chwili w podziemnym kompleksie zaczęło krążyć chłodne powietrze. Wszystko jedno, czy wprowadzili Herberta w błąd, czy dokonali cudu. Liczy się tylko odnowa, pomyślał Hood. Nie można jej skreślać.

Nigdy.

Podziękowania

Dziękuję następującym osobom za ich cenną pomoc: dr. Martinowi Greenbergowi, Larry'emu Segriffowi, Denise Little, Johnowi Helfersowi, Brittany Koren, Victorii Bundonis Rovin, dr Robercie Pieczenik, Carlowi La Greca i Tomowi Colganowi, naszemu redaktorowi. Ale przede wszystkim to do Was, czytelnicy, należy ocena, na ile nasze wspólne przedsięwzięcie jest udane.

Tom Clancy i Steve Pieczenik